

David Herbert
Lawrence

KOCHANEK
LADY
CHATTERLEY

Żyjemy w czasach z całą pewnością tragicznych, ale stanowczo nie będziemy z tego powodu tragizowali. Właśnie taką postawę obrała Konstancja Chatterley. Wojna ugodziła ją straszliwie, lecz postanowiła nie robić z tego tragedii. W 1917 roku wyszła za mąż za Clifforda Chatterley'a, kiedy przyjechał z wojska, na urlop. Spędzili miodowy miesiąc, a potem wrócili do Francji. W rok później został ciężko ranny i jako kalekę odesłano go do domu. Konstancja miała wtedy dwadzieścia trzy lata. Po dwuletniej kuracji Clifford w pewnej mierze odzyskał zdrowie, ale dolna część jego ciała pozostała na zawsze sparaliżowana. Nauczył się poruszać po mieszkaniu w fotelu na kółkach i sporządzono mu inwalidzki wózek z wbudowanym silniczkiem, w którym mógł jeździć po terenach przylegających do dworu.

Przecierpiał tyle, że w pewnym stopniu utracił wrażliwość na ból. Był jak dawniej przystojnym, inteligentnym, pogodnym, zamkniętym w sobie mężczyzną z rumianą cerą i jasnymi niebieskimi oczami, które często miały zamyślony wyraz. Był tak blisko śmierci, że to co mu pozostało z życia, wydawało mu się szczególnie cenne. I tak ciężko dotknął go los, że coś w nim skamieniało i na zawsze utraciło zdolność czucia.

Konstancja, jego żona, miała rumianą cerę, miękkie puszyste kasztanowate włosy, zdrowe, silne ciało, trochę kanciaste ruchy, żywe usposobienie, niski łagodny głos i niebieskie oczy o marzycielskim wejrzeniu. Sprawiała wrażenie spokojnej miłej, wiejskiej dziewczyny. W rzeczywistości była jedną z owych bardzo nowoczesnych kobiet, wiecznie pogrążonych w zadumie i mozolnie nad czymś medytujących. Przez pewien czas studiowała w Dreźnie, w Niemczech, i gdy wybuchła wojna szybko wezwano ją z powrotem do domu. I chociaż z gorzką ironią myślała teraz, że to właśnie Niemcy — a w każdym razie niemieckie działa — zdruzgotały jej życie, w dalszym ciągu wspominała pobyt w Dreźnie jako najszczęśliwszy okres swojej młodości. Była jednak wtedy może nie tyle szczęśliwa, co zafascynowana. Fascynowało ją wszystko, życie, muzyka, typowo germańskie dyskusje na abstrakcyjne tematy, będące pewnego rodzaju filozofowaniem. Te niekończące się dysputy budziły w niej najgłębszy oddźwięk. Studenci filozofii, ekonomii politycznej, młodzi profesorowie literatury, etnologii, filozofii klasycznej lub nauk przyrodniczych, jakże oni wspaniale mówili i jak ona im odpowiadała! A potem jak jej słuchali i jak ona ich słuchała, dlatego że przedtem oni słuchali jej!

Przyszła wojna i Konstancja powinna była wszystko to wspominać z goryczą. Ale Clifford, z którym od dawna się przyjaźniła i który studiował w Cambridge, nie był ciasno myślącym patriotą. Walczył w obronie ojczyzny, ale szczerze współczuł młodym inteligentnym Niemcom, którzy podobnie jak on dostali się w potężne tryby straszliwej i zniechęcającej biegła sapanie pracujących kopalnianych wyciągów i łomot wielkich sortowniczych sit, a przy silniejszym powiewie wiatru czuć było w powietrzu swąd siarki, dolatujący z tłących się hałd.

Konstancja była teraz lady Chatterley, żoną kalekiego właściciela posępnego starego dworu w zeszpeconej, pospolitej okolicy, dysponującą skromnym, raczej nie wystarczającym dochodem. Postanowiła sobie jak najlepiej z tym poradzić. Mogła pracować, czytać i medytować do woli, jako samotna, wszechwładna pani tych dóbr. Rozsądne prowadzenie gospodarstwa dające możliwość związania końca z końcem, sprawiało jej satysfakcję. Lubiła przyjmować gości, każdego, czyje towarzystwo odpowiadało Cliffordowi. Ale on wolał samotność. Żyła tak z dnia na dzień, bez perspektyw, pogrążona w wiecznie tych samych, monotonna zajęciach. Zewnętrznie pozostała zdrową, spokojną, pozornie nieśmiałą, a w gruncie rzeczy zamkniętą w sobie młodą urodziwą kobietą. Zasklepiona we własnym świecie, była bezsporną panią wszystkiego, co ją otaczało.

Clifford nie był jej ciężarem. Wypełniał sobie czas czytając, pisząc, malując, poruszając się samodzielnie w inwalidzkim fotelu po starym parku, lub powoli, ostrożnie, tocząc się przez park w swoim motorowym wózku do sąsiedniego lasu. Wydawał rozporządzenia ogrodnikom, drwalom i gajowemu. Doglądał swego państewka. Jesienią jeździł czasem,

bardzo powoli, do lasu i tam, ze strzelbą w ręce, czatował na bażanta. Niekiedy odważał się nawet zabierać z sobą malarskie przybory i próbował namalować jakiś obrazek. Dawniej malował dużo i z zapalem, teraz rzadko się na to zdobywał. Ale robił wrażenie nieomal szczęśliwego, szczęśliwszego niż przed katastrofą. Niepokoił się tylko czasem o Konstancję. Była dla niego bardzo dobra, kochała go w swój szczególny, bezosobowy sposób. A on oczywiście nie mógłby bez niej żyć. Byli prawdziwymi przyjaciółmi, jak dawniej, przed małżeństwem.

Ale niewątpliwie spotkała ich straszliwa tragedia. Clifford nie mógł być dla niej prawdziwym mężem. Żyła z nim jak zamężna zakonnica, siostra w Chrystusie. Było to tym trudniej znieść, że oczywiście *przez* jeden poślubny miesiąc byli normalnym małżeństwem. Clifford wiedział, że była z natury zmysłowa. Nie mógł o tym zapomnieć. Nie był zdolny snuć ponurych rozważań. Miał tak silnie rozwinięty instynkt samozachowawczy, że wzruszały go i

machiny. Podczas urlopu w dalszym ciągu chętnie czytał jej głośno utwory Hauptmanna i Rainera Marii Rilkego. Słuchała go z przyjemnością. Postanowiła „wznieść się ponad wojnę”, a przynajmniej ponad wojenny szowinizm, który doprowadzał ją do rozpaczki.

Ale zanim nadszedł *Untergang des Abendlandes*, Clifford stał się ruiną człowieka, a jej życie też legło w ruinie. Była młoda i niewybaczalnie, nieomal po prostaku zdrowa. Kiedy cios w nią uderzył, po prostu zamilkła. I pozostała milcząca, wiecznie pogrążona w rozmyślaniach, które do niczego nie prowadziły.

W roku 1920 przenieśli się do Wragby, rodzinnego domu Clifforda. Jego ojciec umarł i teraz on został baronetem. Wragby Hall był niskim, długim, ponurym starym dworem, stojącym w bardzo pięknym parku; w niedalekim sąsiedztwie licznych, świeżo uruchomionych kopalni węgla. Z oddali doobchodziły tylko przyjemne strony życia, inaczej wpadał w apatię. Zdarzały mu się całe dni głębokiej apatii, w ciągu których tajało i rozpływało się w nim to, co groziło goryczą i męką. Potem wracała chęć życia. Znowu jeździł wtedy motorowym wózkiem do lasu. Jeśli siedział zupełnie nieruchomo, Udawało mu się czasem podpatrywać wiewiórki gromadzące na zimę orzechy lub jeża, węszącego wśród zeschniętych liści. Za każdym razem czuł, jak by udało mu się wyrwać jakiś niewielki łup ze szponów losu. Triumfował wtedy z odniesionego zwycięstwa nad losem, śmiercią, a także nad samym życiem. Prawie nigdy jednak nie zapuszczał się poza bramę parku. Nie mógł znieść współczującego wzroku górników. Nie czuł się skrępowany wobec ogrodników, drwali i gajowego. Byli jego płatną służbą.

Czasem Konstancja, idąc obok, towarzyszyła mu do parku lub lasu. Siadała pod jakimś drzewem i dziwna, zwycięska radość Clifforda, że jest żywy w otoczeniu ludzi i natury, kojąco działała na jej nerwy. Znowu czytał Platona i lubił rozmawiać z nią o greckich dialogach, często trzymając, jej dłoń w swoich rękach.

— To bardzo zabawne, właściwie dopiero teraz widzę — mówił — w jakie śmieszne podniecenie wprawiała ich dyskusja oraz pojęcia rozumu i myśli. Podobni byli do małych chłopców, którzy właśnie odkryli, że potrafią myśleć i z radości nie panują nad sobą. Są tak olśnieni, że wszystko inne przestaje się liczyć, ważne są tylko myślenie i wiedza. Sądzę, że dawno, bardzo dawno temu człowiek w podobny sposób odkrył w sobie pociąg płciowy i myśl o tym zawładnęła nim bez reszty. Liczyła się świadomość tego, nic więcej tylko mentalna świadomość. Odkrycie Ameryki przez Kolumba było niczym w porównaniu z odkryciem dokonany przez starożytnych Greków, że posiadają logicznie myślący umysł. Wzrusza mnie to, nawet teraz. Gdyż moja dłoń, obejmująca twoją, wydaje mi się równie realna jak myśl. A tobie? Jest równie ważna, jak jakaś cząsteczka wiedzy, nie sądzisz? Uścisk naszych dłoni. Przecież to także jest życie. I coś, czego człowiek nie będzie mógł czynić po śmierci. Umysł ludzki będzie zdolny myśleć, gdy umrze ciało. Może będę dalej mógł myśleć i jak Sokrates wierzę, że moja wiedza będzie jeszcze pełniejsza. Ale nie będę mógł trzymać

twojej dłoni. W każdym razie nie w sensie fizycznym. Choć oczywiście nie można wykluczyć, że zachowa się między nami jakaś łączność, jakiś szczególny uścisk, może nawet nieporównanie istotniejszy. Może będę mógł nadal trzymać cię za rękę, kiedy już umrę. Co o tym sądzisz?

Jego duże, błyszczące, niebieskie oczy patrzyły dziwnie twardo, gdy tak siedział z wzrokiem utkwionym nieruchomo w jej twarzy. Jego dłoń mocno obejmowała jej rękę w niesamowitym, uścisku. W jego oczach dostrzegła wyraz zwycięskiego triumfu. Odniósł nad czymś nieznanym jakieś niesamowite zwycięstwo!

Ale wybuch jego triumfalnego uniesienia przeszył ją lodowatym dreszczem, jak gdyby zmroził ją nagle jego zimny egoizm. Czy naprawdę odniósł aż taki triumf? A co z nią? Z jej życiem, z fizycznym życiem jej ciała? Co z dłonią uwięzioną w jego uścisku, jak gdyby była trofeum, które zamierza zabrać ze sobą aż poza grób? Poczowała chłód, przygnębienie i rozpacz. Ostatecznie ona nie miała powodu do triumfu — poza znaczną poprawą jego zdrowia. Ale skoro o n został potwornie okaleczony, jaka będzie jej przyszłość? Jej ciało nie doznało żadnych uszkodzeń. Nie wydobyła się cudem z grobu. Przeciwnie, czuła się jak gdyby właśnie teraz po pas zakopywano ją w ziemi, żeby dotrzymywała mu towarzystwa. Siedziała zatopiona w milczeniu, nie reagując na jego słowa. Gniewny skurcz, jak gdyby cień rozżalenia przemknął mu przez twarz.

— Wiem, kochanie — powiedział — że w pewnym sensie ty zostałam najbardziej skrzywdzona. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem od ciebie zależny i w pewnym sensie żyję twoim kosztem.

— Wiesz, że chcę tego — szepnęła.

— Wiem! Ale nie da się ukryć, że zostałam na zawsze pozbawiona bardzo ważnej części życia. I fakt, że zostałam tego pozbawiona, może poza twoją świadomością coraz silniej oddziaływać na ciebie i wyrządzić ci wielką krzywdę. Chcę o tym mówić z tobą teraz, żebyś wiedziała... Nie chcę żebyś czuła, że się dla mnie poświęcasz. Nie chcę tego, gdyż nie sądzę, żebyś była kobietą, która może tej części życia się wyrzec. Mówiąc otwarcie, ożeniłem się z tobą, bo byłaś... zmysłową kobietą. Pragnęłam mnie, zanim się to ze mną stało, prawda? — Konstancja przytaknęła cicho. — Tak, wiem, i to jest bardzo gorzka prawda. A także wiem, że będziesz tę żądzę nadal czuła, choć pod tym względem zostałam na zawsze z tego życia wykreślony. To okropne, ale musimy jakoś się z tym uporać. Chcę ci zatem powiedzieć: Jeżeli spotkasz innego mężczyznę, którego zapragniesz, i naprawdę będziesz chciała mu się oddać, niech cię nie powstrzyma myśl o mnie. Zrób to i żyj własnym życiem. Mnie grozi to, że mógłbym kiedyś stać się podobny do przysłowiowego psa leżącego na kupie siana. Tego nie chcę. I dlatego mówię: wiem co się dzieje z kobietami, które w młodości tłumią w sobie zmysły. Płacą później za to prawdziwym piekłem. Nie chcę, żebyś poszła w ich ślady. Nie chciałbym też, żebyś stała się lekkomyślna. I wiem, że będziesz się starała, żeby nie było to dla mnie zbyt ciężkie. Ale jeśli kiedykolwiek spotkasz mężczyznę, którego gorąco fizycznie zapragniesz, weź go sobie. Miej kochanka, jeśli tak musi być.

Mówił to odważnie i prawie jednym tchem. Widać było, że wszystko przedtem przemyślał. I równie wyraźnie było widać, że wszystko co powiedział było dla niego tylko hipotezą: abstrakcyjny romans z abstrakcyjnym mężczyzną. Łatwo mu było uwolnić się od tej myśli. Konstancja siedziała na zwalonym drzewie, z opuszczoną głową, trzymając go za rękę, bez słowa. Wzbierały w niej dziwne uczucia.

Mogłoby się wydawać, że otaczająca ich, naładowana niezwykle silnymi emocjami atmosfera przywabiała inne żywe stworzenia, bo z leśnej ścieżki wybiegł nagle duży spaniel, dotknął miękkim pyskiem ręki Konstancji, a potem węsząc nerwowo podniósł łeb w górę. Jednocześnie usłyszeli czyjeś kroki. Z bocznej ścieżki wyszedł na drogę gajowy Parkin.

Konstancja wysunęła rękę z dłoni męża. Clifford obejrzał się i obudził z apatii, w którą przed chwilą zapadł. Gajowy dotknął kapelusza, zmierzając w poprzek drogi ku ścieżce, po przeciwnej stronie. Gwizdnął cicho, przywołując psa.

— Zaczekajcie, Parkin — powiedział Clifford, unosząc się trochę w fotelu.

— Słucham pana? — odparł gajowy, przystając.

— Obróćcie mój wózek i ustawcie go w koleinie. To mi pomoże.

Gajowy podszedł do nich wielkimi krokami, nie odzywając się ani słowem. Sprawiał wrażenie silnego, ale jak na leśnika był niski i niezwykle spokojny. Konstancja wiedziała, że niedawno opuściła go żona dla sąsiada-górnika, zostawiając go w gajówce z pięcioletnią córeczką. Odtąd żył samotnie, stroniąc od ludzi, a dziecko oddał pod opiekę swojej matce, mieszkającej w pobliskiej wsi. Parkin przewiesił strzelbę przez ramię i bez słowa położył ręce na oparciu fotela sir Clifforda. Jego bystre, piwne oczy tylko przelotnie spoczęły na twarzy Konstancji stojącej obok. Ich spojrzenia spotkały się na sekundę, ale Konstancja, wciąż jeszcze dziwnie wzburzona, zaledwie go zauważyła. On jednak, choć jak zawsze milczący i daleki, dostrzegł nieokreśloną udrękę w błękitnych oczach młodej kobiety. Ale jego twarz natychmiast znów przybrała swój zwykły obojętny wyraz i usta zacisnęły się mocno pod bujnymi, nastroszonymi wąsami. Ostrożnie obrócił wózek i wprowadził w koleinę, po której lżej było jechać.

— Popchać pona, czy sam da pon radę? — zapytał z silnym miejscowym akcentem.

— Możecie popchać, jeśli macie ochotę — odparł sir Clifford.

— Ano powioze.

Ruszyli w milczeniu. Każde z nich bez słowa patrzyło prosto przed siebie. Brązowy spaniel biegł przed nimi, węsząc. Z drzew opadały ostatnie pożółkłe liście. Wyszli na skraj lasu i ujrzeli otwartą przestrzeń parku, zbocze porośnięte rozłożystymi bukami i pasące się na trawie owce. W szarym świetle pochmurnego dnia, stary dwór na szczycie zbocza wydawał się odwieczny i opuszczony. Gajowy wciąż patrzył prosto przed siebie i ostrożnie pchał wózek, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Wydawało się, że rude wąsy zawadiacko go wyprzedzają. Ale nie przestawał myśleć o błękitnych, pełnych nieokreślonego cierpienia oczach mylady. Ba, jest przecież tylko młodą dziewczyną. Ano, wojna ciężko dotknęła szlachtę. Z takim kaleką jak sir Clifford, ani nie cieszy się mężem, jak to młoda żona, ani nie ma co myśleć o dzieciach. Słowo daję, ma smutne oczy biedactwo! I wszyscy tak dobrze o niej mówią!

Pomyślał o własnej żonie, która zaczęła się puszczać, kiedy był na wojnie. A przecież nie musiała znosić tego, co to młode stworzenie. Nie! Gdyby miała więcej zmartwień, może by sobie nie poszła, jak byle dziwka, z pijakiem — górnikiem. Ale dobrze, że sobie poszła i niech nie wraca. Baba z wozu, koniom lżej. Jeszcze są dobre kobiety na świecie, dość spojrzeć na to młode stworzenie, żonę sir Clifforda! Jaka spokojna i jaki miły ma głos. Ano, tak! Nie on jeden ma się czym martwić. Ta biedna dziewczyna oberwała gorzej od niego. A taka spokojna i łagodna, wcale nie jak wielka dama. Takiej jak ona, mężczyzna musiałby dziś daleko szukać. Cóż, każdy musi dźwigać swój krzyż i łykać swoją porcję utrapienia.

Konstancja otrząsnęła się wreszcie z obezwładniającego ją otumanienia i zdała sobie sprawę z obecności Parkina, który w milczeniu pchał ciężki, inwalidzki wózek. Był czerwony z wysiłku, ale nadal zachowywał się obojętnie. Pomimo tej rezerwy wyraźnie wyczuwało się jego obecność i Konstancja przypominała sobie, że zawsze odcinał się od tła, gdziekolwiek go spotkała. Ta jego odrębność i wyrazistość postaci budziła w niej wrażenie szczególnego piękna, rzadko spotykanego u mężczyzn. Nie był przystojny, szpeciły go zbyt bujne wąsy. Ale cechująca go wyjątkowa odrębność miała coś wspólnego z nieskrępowaną swobodą dzikich zwierząt i ptaków. Konstancja zastanawiała się czy kochał swoją żonę, krzepką, pospolitą kobietę. Musiała go razić i drażnić ordynarnością, choć zapewne nie zdawał sobie z tego sprawy. Żył teraz zupełnie samotnie, z dala od ludzi, w kamiennym domku na skraju

lasu. Nic o nim nie wiedziała, traktowała go jak jednego ze służących swego męża. Słyszała, że był bardzo czujnym gajowym. Sir Clifford apatycznie pozwolił się wieść i po przyjeździe do domu zaraz się położył, aby odpocząć przed podwieczorkiem.

Jesienne dni upływały monotonnie, zbliżała się zima. Konstancja starała się tego nie dostrzegać. Jeżeli czas mija niepostrzeżenie, tym lepiej. Miała swoje domowe obowiązki i była odpowiedzialna za niektóre sprawy w życiu wsi. Oprócz tego był Clifford. Musiała wciąż dbać i troszczyć się o niego, nieomal jak o małe, bezradne dziecko. Dokuczały jej tylko dziwne, nagłe i nieobliczalne napady zdenerwowania. Miewała powtarzające się straszliwe sny o koniach, o jakiejś spokojnie pasącej się klaczy, która nagle wpadała w szał. Wstawała rano opętana złością, i gdyby nad sobą nie panowała, gotowa była okrutnie znęcać się nad służbą, a nawet bezlitośnie szydzić z Clifforda. Na końcu języka miała straszne, obelżywe słowa, które chciałyby mu powiedzieć, patrząc jak siedzi w łóżku podparty poduszkami, chłodny i czujny, bądź leży pogrążony w apatii.

Nigdy ich nie wypowiadała. Ale była tego coraz bliższa i w końcu za każdym razem, gdy obudziła się w takim demonicznym nastroju, wybiegała do parku i długo po nim chodziła, żeby się uspokoić. Jej twarz wykrzywił wówczas grymas nieokiełznanej złości, a w szeroko otwartych oczach malował się obłądny strach przed samą sobą. — Jestem opętana, wiem, że jestem opętana — powtarzała smutno i przyśpieszała kroku, pchana jakąś nieubłaganą siłą szalejącą w jej piersi. Gotowa była coś, kogoś, zabić. Wzbierało w niej niepohamowane okrucieństwo. W parku i na skraju lasu wracało to samo wspomnienie. To tutaj, coś kiedyś się stało. Rozglądała się wokoło, szukając rozwiązania tajemnicy. I wtedy wracał sen, jej sen o koniach. Na pewno gdzieś tutaj jest stado koni i klacz, która za chwilę wpadnie w furię i rzuci się na nie, grzmocąc je kopytami i rozrywając potężnymi zębami na strzępy. Zatrzymywała się, zmrożona strachem. Ale nigdzie nie było koni.

Nagle z lasu dobiegł ją huk strzału, niby echo jej własnego szaleństwa. Zaczęła schodzić w dół leśną, wilgotną drogą, deptając mokre, gnijące liście. Idąc usłyszała czyjś głos i płacz dziecka. Zatrzymała się w miejscu, nad słuchując. Dziecko szlochało i ktoś je cicho pocieszał. Ruszyła szybko w tamtą stronę, a jej dotychczas bezprzedmiotowa złość znalazła ujście w podejrzeniu, że ktoś krzywdzi dziecko. Biegła z wypiekami na twarzy i błyszczącymi oczami, bliska utraty tchu. Zobaczyła ich na wąskiej drodze. Szlochającą dziewczynkę w czerwonym płaszczku i kapturku z kretów i schylonego nad nią gajowego Parkina. — Na pewno nie kcesz, żeby zagryzoł małe króliczki, a potem je zjodał? Nie kcesz, żeby się rzucił na bazancice siedzące na jolkach i przegryzał im szyjki, co? On był zły. Popatrz na niego i potem płacz. Tylko na niego popatrz.

Gajowy mówił niezwykle czule, lecz jednocześnie z wyraźną irytacją, a dziecko nie dawało się pocieszyć, Konstancja podeszła do nich, wciąż jeszcze pełna gniewu, przekonana że dziecku stała się jakaś krzywda.

— Co się tu dzieje? — zapytała ostro.

Gajowy wyprostował się szybko i dotknął kapelusza.

— Zastrzeliłem tego starego kocura, co tu łaził jak mu się podobało, miesiąc, albo i dwa — powiedział szorstko, wskazując zewłok ogromnego pręgowatego kota, rozciągnięty na ścieżce. — A moja mała myśli, że jest nad czym beczeć. No, dość już tego — zwrócił się do dziecka. — Jaśnie poni na ciebie patrzy. A bądźże cicho.

Nadal mówił do dziecka łagodnie, ale w jego głosie wzbierało zniecierpliwienie, a wzrok robił się twardy. Widać było, że dziecko się go boi.

Konstancja pochyliła się nad dziewczynką.

— Co ci się stało? Powiedz, malutka. Nie płacz już. To było wstrętne, złe kocisko, szarpał pazurami małe króliczki i mor-

dował je. No, nie płacz. — Własną chusteczką delikatnie otarła łzy z buzi dziecka porzuconego przez matkę. Dziewczynka z całą pewnością bała się mężczyzny, który był jej

ojcem. Konstancja poczuła do niego niechęć. Nic dziwnego, że żona go opuściła. Pomyślała, że w gruncie rzeczy Parkin nie lubi swojej córki.

— Będzie z wami przez cały dzień? — zapytała.

— Matka jest w domu — powiedział, szybko obracając głowę w stronę gajówki. — Przychodzi zwykle w sobotę, żeby trochę posprzątać.

Konstancja czuła, że gajowy zmusza się do uprzejmości, lecz jej nie lubi, dlatego że jest kobietą.

— Zaprowadzę małą do domu, do babki. Jak się nazywasz, kochanie?

Dziewczynka zerknęła na nią nieufnie. W jej ciemnych oczach Konstancja dostrzegła upór i niechęć.

— Connie Parkin — odparła.

— No to chodźmy — powiedziała Konstancja uśmiechając się do niej. — Zaprowadzę cię do domu, a tymczasem Parkin... a tymczasem twój ojciec skończy swoją robotę.

— Nie trzeba, psze pani — zaprotestował gajowy..

— Zaprowadzę ją — powtórzyła Konstancja, biorąc małą za rączkę.

Czuła, że Parkin stoi i patrzy za nimi z niechęcią. Nie lubił kobiet i gardził nimi. Był po prostu głupi.

W gajówce mała energiczna staruszka, ze smugami sadzy na nosie czyściła palenisko. Wzdrygnęła się, gdy dziewczynka niespodzianie podbiegła do niej. Odwróciła się i zobaczyła Konstancję.

— Coś takiego! — wykrzyknęła.

— Dzień dobry — powiedziała Konstancja. — Przyprowadziłam pani wnuczkę. Bardzo się przestraszyła, kiedy jej ojciec zastrzelił kłusującego kota.

— Coś takiego! Bardzo pani łaskawa, pszę pani. Co się pani mówi za to, że cię psyprowadziła do domu, Connie?

— Dziękuję — powiedziała Connie, śmiało patrząc na Konstancję ciemnymi oczami, ale jednocześnie z zakłopotania wkładając palec do ust.

— Dziękuję wielmożnej pani — pouczyła ją babka.

Ale dziewczynka odwróciła się i nie chciała powtórzyć. Górnicy nigdy nie mówili „mylady”, jeśli mogli tego uniknąć. Dziewczynka wzdrygała się nawet powiedzieć „wielmożna”. Była wyraźnie onieśmielona.

— Wiedziałam, że będzie awantura, jak ją weźmie z sobą do lasu. Trudno z nim wytsymać, nawet kiedy jest w najlepszym humoże. Bardzo dziękuję, że jom pani psyprowadziła. Bardzo dziękuję. Staruszka była wyraźnie oszołomiona odwiedzinami Konstancji, ale jednocześnie niezadowolona, że przyłapano ją przy czyszczeniu paleniska, w dodatku z nosem usmarowanym sadzą. Konstancja wróciła do dworu, głęboko świadoma dystansu między nią i tymi ludźmi. Nie byli do niej wrogo usposobieni, ale czuli wyraźną ulgę, gdy ich pożegnała.

Z zadowoleniem wróciła do Clifforda i własnego środowiska. Nie wiadomo dlaczego ci ludzie złościli ją. Jakie zuchwałe oczy miało dziecko Parkina!

Tego wieczoru z prawdziwą przyjemnością siedziała w gabinecie Clifforda, kiedy głośno jej czytał. Uspokajało to jej urażoną dumę.

W następną sobotę Clifford miał jakąś sprawę do Parkina. Ale poprzedniej nocy padał ulewny deszcz i nie można było wyjechać wózkami. Po południu Konstancja poszła więc pieszo, żeby przekazać polecenie męża. Lubiła mieć cel dla swoich spacerów.

Frontowe drzwi gajówki były zamknięte i nikt nie wyszedł ich otworzyć. Okrążyła więc dom i nagle zobaczyła Parkina myjącego się na podwórku. Zwyczajem górników zdjął koszulę, odwinął spodnie na biodrach i zanurzył głowę w miednicy z wodą. Konstancja wycofała się natychmiast i wróciła do lasu, żeby jeszcze chwilę pospacerować.

Ale w wilgotnym półmroku lasu zaczęła drzeć, nie mogąc się opanować. Biały tors mężczyzny uparcie majaczył jej przed oczami i wydawał się niezwykle piękny. Białe, muskularne, cudowne ciało, obleczone gładką i mocną jak jedwab skórą. Cóż znaczy jego twarz, nastroszone wąsy i nieprzyjazne, zuchwałe oczy. Cóż znaczy jego głupota. Jego ciało było bosko piękne i rozświetlało mrok jak objawienie. Clifford nawet w swoim najlepszym okresie nie miał tak pociągająco gładkiej i jędrnej skóry i nie był tak nadludzko piękny.

Z trudem przemogła się, żeby wrócić do domku i zapukać do drzwi. Stojąc na progu, drżała z tłumionej emocji. Nigdy dotąd ani przez chwilę nie pomyślała o Parkinie inaczej, jak o podwładnym gajowym. Wydało się jej niemal występkiem, że jego ciało może być tak nieskalanie piękne.

Posłyszała, że schodzi po schodach. Przebierał się przed pójściem do miasta. Słowa uwięzły jej w gardle, gdy stanął przed nią w czystej koszuli, nowym krawacie i odświętnych spodniach. Jąkała się, przekazując mu polecenie męża, a on słuchał patrząc na nią zimno, hardymi oczami. Nie podobała jej się jego twarz. Zdała sobie sprawę, że obrzydły jej twarze prostaków, ich bezdusznosc oraz nudne, wulgarne sprawy zaprzątające ich myśli. Czy możliwe, żeby pod tą śmieszną, czystą koszulą i krawatem kryło się tak piękne ciało samotnego mężczyzny?

— Tak jest, mylady — powiedział. — Wiem, czego życzy sobie sir Clifford. Zajmę się tym.

Konstancja odwróciła się i odeszła. Wchodząc w mrok lasu czuła, że Parkin za nią patrzy. Na pewno myśli coś głupiego i wulgarnego. Niech sobie myśli. Jest niczym. Pomimo ukrytego piękna swego ciała, jest niczym. Ci głupi prości ludzie obrzydli jej do ostateczności.

Ale wieczorem, w sypialni, przyglądała się swemu nagiemu ciału, zastanawiając się czy i w nim ktoś mógłby dostrzec to zjawiskowe piękno, jakie ona przez krótką chwilę dostrzegła w tamtym człowieku. Czy jakiś mężczyzna ujrzy w niej takie same piękno?

Przygnębiona, narzuciła nocną koszulę. Po co to wszystko? I tak nic z tego. Clifford, który był kulturalnym mężczyzną, w sensie fizycznym był dla niej stracony. A mężczyźni o pięknych ciałach mieli pospolite, głupie twarze, które jej nie interesowały i pospolite, głupkowate głosy, których wołałaby nigdy więcej nie słyszeć.

Clifford czytał jej głośno, prawie co wieczór. Czasem bywał zmęczony. Jego kalectwo wywoływało stany znużenia, które działały na niego jak naturalna narkoza. Ale czytanie" głośno sprawiało mu wielką przyjemność, obojętnie jakiej książki. Ostatnio najbardziej odpowiadały mu zabawne powieści. Czytał Hadzi Babę. Konstancja słuchała ze schyloną głową, szyjąc lub haftując. Długie lśniące, kasztanowate włosy bujnym węzłem swobodnie leżały na jej karku. Clifford nie podejrzewał jakie myśli snują się w jej pozornie niewinnej, dziewczęcej głowie. Pogrążony w lekturze czuł się szczęśliwy, że ma ją przy sobie, stale czymś zajęta i nie narzekającą na los.

Śmiał się serdecznie z Hadzi Baby, gdy tego walecznego bohatera przejmował odrazą widok obnażonych twarzy angielskich kobiet. Och, gdyby te kobiety zakryły twarze, jaki ogień namiętności rozpaliby serce Hadziego! Ale nieprzystojna nagość ich oblicza gasiła w nim ogień pożądania. Clifforda niesłuchanie to bawiło. Konstancja uniosła głowę i spojrzała na niego dużymi niebieskimi oczami, pełnymi smutku i zadumy.

— Czy nie uważasz, że naprawdę szkoda, iż u ludzi nie widzimy nigdy nic innego, tylko ich twarze? — zapytała. — Czy nie sądzisz, że twarz jest chyba najmniej udaną częścią ciała większości ludzi?

— Chcesz przez to powiedzieć, że lepiej byłoby, gdyby zakryli twarze i chodzili nago? — zaśmiał się. — Wspaniały pomysł! Przypomina mi Renoira. Mówił, że zawsze stara się pozbawić twarze znaczenia i uczynić je po prostu jednym z mało istotnych fragmentów postaci.

— Tak — odparła. — Dlaczego zawsze mamy widzieć tylko czyjąś twarz, a nie całą postać? Jestem pewna, że to błąd.

— Być może. Wydaje mi się jednak, że właśnie w twarzy odzwierciedla się osobowość każdego z nas.

— Ale jest może w nas jeszcze coś, poza osobowością? Coś, co się nigdy nie uzewnętrznia.

Zastanowił się nad tym: jeszcze coś poza osobowością? Poczul ogarniający go niepokój. Spojrzał uważnie na żonę. Ale ona nadal szła z niezmaconym spokojem.

— Co może w nas być, poza osobowością? — zapytał. Podniosła głowę i spojrzała na niego z zadumą w niewinnych błękitnych oczach.

— Czy ciało nie może mieć własnego życia, może nawet autentyczniejszego niż osobowość?

— Ciało... to znaczy żołądek, serce, płuca? — zapytał. Ale ona myślała o czymś innym.

— Dlaczego tors często bywa w rzeźbie taki piękny, bez głowy? Żyje własnym życiem.

— Możliwe — zgodził się z nią, urywając dyskusję. Poczul się na niebezpiecznym gruncie i wyostrzony zmysł samozachowawczy powstrzymał go przed dalszą rozmową. Znow zaczął czytać.

Lecz ona miała nowy mglisty temat do rozmyślań: ciało żyjące czystym, niepokalanym własnym życiem, niezależnie od twarzy, deformowanej tak wielu różnymi uczuciami, frustracją, lub wręcz wulgarnością. Twarze prawie zawsze są pospolite. Nawet jej własna wyrażała rozgoryczenie, z czego Konstancja zdawała sobie sprawę. Zakryła ją gęstą woalką, jak mahometanka, zostawiając odsłonięte tylko oczy. Potem stanęła przed lustrem i patrzyła na swoje leniwe, złociste, milczące ciało. Też było niewinnie piękne i przemawiało utajoną tęsknotą. Jej piersi były oczami, a pępek ustami stulonymi w tęsknym oczekiwaniu. Wszystko to mówiło swoistym milczącym językiem, bez tanich słów. Ale wkrótce ten nastrój znow ją opuścił i całkowicie zapomniała o swoim ciele. Nadeszło Boże Narodzenie, a z nim mnóstwo rozmaitych obowiązków. Była teraz niezwykle trzeźwa, rozsądna i zapracowana. Nie przyszło jej nawet na myśl wracać do tamtych obłąkanych rozważań o ciele. Dzięki Bogu skończyła z tymi bzdurami. Miała tysiąc spraw do załatwienia.

W czasie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku mieli gości, głównie przyjaciół i krewnych Clifforda. Wszyscy byli bardzo mili i Clifford był w dobrej formie. Panował miły, wesoły nastrój, przypominający niemal czasy przedwojenne. Lady Ewa Rolleston, ciotka Clifforda spędziła u nich kilka dni. Pozostało w niej coś z dawnej grande dame, gdyż pochodziła z jednego z najznakomitszych angielskich rodów. Utraciła jednak dobrą reputację, z powodu namiętności do kart i pociągu do alkoholu.

Była teraz wdową, wysoką, szczupłą damą, pozornie powściągliwą i odrobinę roztargnioną. Jej niebieskie oczy wydawały się trochę bezmyślne, a kształtny arystokratyczny nos był lekko zaczerwieniony. Mimo to pozostała grande dame. Później prosta i bezpośrednia, nadal potrafiła wymuszać szacunek dla swojej osoby. Sączyła swoją brandy z dystyngowaną obojętnością, nie przejmując się szeptanymi po cichu komentarzami.

Konstancja lubiła ją, ale czuła się w jej towarzystwie onieśmielona. Lady Ewa, stale ubrana na czarno i oryginalnie naiwna naiwnością w stylu niemal ujmująco dziewczęcym, wyglądała jak zjawka z innego świata. A jednak za tą jej dziewczęcą prostotą tkwiła zdecydowana i bezwzględna nieustępliwość. Wewnętrznie nieczuła i nieprzystępna, była jak Matterhorn — i to przede wszystkim charakteryzowało lady Ewę.

Swoją siostrzenicą, Konstancją, trochę gardziła. Jej zamglone niebieskie oczy często z chłodną obojętnością patrzyły na młodą, ładną kobietę. Konstancja zawsze serdecznie, niemal czule odnosiła się do ciotki, która nie odwzajemniając tych uczuć, lekceważyła ją. Córka starego kontradmirała nie pochodziła z klasy panującej. Nie potrafiła władać. Mogła być bardzo dobrą panią domu. Umiała wymagać, ale nie władać, to nie leżało w jej naturze. Pod

tym względem Clifford był lepszy. Konstancja wiedziała, że grande dame będąca jej ciotką w istocie żywi dla niej wzdąę. Ale ta grande dame, to był tylko ostatni trick ciotki Ewy, jej ostatnia atutowa karta. Choć tylko do pewnych granic. Z chwilą, gdy przestawano się litować nad piękną, trochę skompromitowaną lady, jej „grande damerie”, jak to nazywał Clifford, w ogóle przestawały być jakimkolwiek atutem.

— Jesteś naprawdę cudowna, kochanie — powiedziała lady Ewa, siedząc z Konstancją w jej saloniku.

— Dlaczego? — zapytała Konstancja, lekko zaniepokojona, gdyż spodziewała się jakiejś zasadzki.

— Ten twój stosunek do Clifforda. Jest naprawdę wspaniały! Musisz mieć cudowną naturę.

— Dlaczego? — powtórzyła Konstancja.

— Biedny chłopiec, tak strasznie okaleczony. Można powiedzieć, że została z niego połowa mężczyzny. Oczywiście, ta właściwa dla takich osób jak ja. Jest taki dowcipny i zajmujący. Ale nie wiem, czy żonie to może wystarczyć.

— Clifford jest bez zarzutu, zapewniam ciocię — odparła Konstancja. Jest nieomal doskonałym mężem.

— Na pewno, zauważyłam to. Ogromnie się stara zachować twoje uczucie. Dobrze wie, co robi. Gdyby nie ten wypadek na wojnie, byłby na pewno ideałem męża. Ale tak jak się rzeczy mają, musisz bardzo boleśnie odczuwać brak pewnej dziedziny życia. Zostałaś jej pozbawiona.

— Wcale nie! — wykrzyknęła Konstancja. — Nie zostałam pozbawiona niczego, czego mogłabym pragnąć. Proszę mi wierzyć.

Lady Ewa spojrzała na nią z niedowierzaniem.

— W takim razie bardzo się cieszę — powiedziała. — Byłoby okropne, gdybyś cierpiała z tego powodu. Nie ma nic gorszego, jak wyrzec się czegoś w młodości, odżywa to potem w człowieku kiedy jest już za stary. Nie ma nic gorszego dla kobiety w średnim wieku niż uczucie, że ją coś ominęło. Może właśnie coś najważniejszego.

— Ale co jest w życiu najważniejsze? — zapytała Konstancja.

— Tego nie wiem. Ale ma to jakiś związek z mężczyznami. Byłam wierna swemu mężowi. Nie mówię, że tego żałuję. Ale czasem ogromnie mi brakowało, że nie zaznałam czegoś innego. To straszliwa rzecz czuć, że się umrze bez zakosztowania tego, po co w pewnym sensie zostało się stworzonym. — Lecz po co zostaliśmy stworzeni? — z przymusem zapytała Konstancja. — Wydaje mi się, że dla bardzo wielu celów. A może bez żadnego celu w ogóle. To kwestia prywatnego sądu każdego z nas.

— Nie wiem, nie jestem tego pewna — powiedziała lady Ewa. — Kiedy byłam młoda, chciałam wprowadzać reformy, myślałam o polityce i innych tego rodzaju sprawach. I zdobyłam to, czego chciałam. Oboje z mężem byliśmy tak po uszy zagłębieni w polityce, że właściwie wszystko inne ginęło nam z oczu. Oczywiście pobraliśmy się z miłości... i mamy troje dzieci. Ale pod koniec, mając około czterdziestu sześciu lat, poczułam, że żyłam absolutnie nadaremnie. Nigdy nie zaznałam jedynej rzeczy, której naprawdę pragnęłam. A potem już było za późno. Nie może spotkać kobiety nic straszliwszego. Myślę, że powinny więcej eksperymentować. Nabijamy sobie czymś głowy i pozostajemy głuche na wszystko inne. Gdyby kobiety miały szersze spojrzenie i więcej eksperymentowały w poszukiwaniu tego, czego naprawdę chcą, na pewno by coś znalazły.

— Ale co? Co można znaleźć? — zapytała zdumiona Konstancja.

— Nie wiem. Ale zawsze czymś zaprzątamy sobie głowę. Ja wmówiłam w siebie, że chcę romantycznej miłości i polityki... jak gdyby z powieści George'a Meredith'a. Osiągnęłam jedno i drugie. I wcale nie było to tym, czego pragnęłam. Kobiety powinny być bardzo ostrożne, gdy w grę wchodzi sprawy, o których na pewno wiedzą, że ich pragną najbardziej.

Prawie zawsze się mylą i kiedy wreszcie spełnią się ich pragnienia, spotyka je gorzkie rozczarowanie.

— Ale co ciocia mogła by mieć takiego, co by ciocię uszczęśliwiło?

— Nie wiem dokładnie. Ale myślę, że gdybym swego czasu ucieła sobie mały romansik z przystojnym, wesołym policjantem, czułabym się dziś lepiej. W każdym razie teraz mi się wydaje, że właśnie tego chciałam.

Konstancja zaczęła cicho się śmiać.

— Jakie to się wydaje proste — powiedziała.

— Nieprawdaż? — odparła lady Ewa. — Ale jak byłam młoda równie łatwo byłoby mi zacząć fruwać. Nigdy nie mogłabym wesołemu młodemu policjantowi pozwolić na to... to znaczy dopóki bym go nie przemieniła w coś innego, co nie byłoby już wesołym, młodym policjantem. Po prostu nie mogłam. A teraz tego żałuję. Czy nie wydaje ci się to absurdem w ustach starej kobiety?

Lady Ewa nie była stara, brakowało jej jeszcze kilka dobrych lat do sześćdziesiątki. Ale uważała swoją młodość za skończoną.

— Rzeczywiście wydaje się to trochę dziwne — powiedziała Konstancja.

— Dlatego chciałam cię ostrzec. Próbuj i bierz czego pragniesz, za młodu. Starzejąca się kobieta, opętana daremnymi żałami, to gorsze, niż gdyby opętał ją diabeł.

Konstancja spojrzała badawczo na ciotkę.

— Dziękuję za ostrzeżenie — powiedziała. — Ale ja naprawdę myślę, że mam wszystko, czego chcę. Czy nie sądzisz ciociu, że kobiety są utrapieniem... nawet dla siebie samych? Nie przypuszczam, żeby naprawdę w mniejszym lub większym stopniu miało to związek z symbolicznym policjantem. Wszystkie czujemy się zawiedzione zbliżając się do pięćdziesiątki, niezależnie od tego co miałyśmy w życiu. Jestem pewna, że żony policjantów też się tak czują, może nawet bardziej niż my.

— Nie wiem — zastanowiła się lady Ewa. — Nie sądzę. Ale ty jesteś ode mnie o tyle mądrzejsza.

— Wcale nie jestem mądra — zaprzeczyła Konstancja. — Tylko myślę, że mam wszystko, czego pragnę... — Ostatnie

zdanie zabrzmiało trochę niepewnie i lady Ewa spojrzała na nią z niedowierzaniem wiedząc, że jej siostrzenica kłamie. Więc jednak coś ukrywa! Spodziewała się, że musi tak być.

Konstancja też wiedziała że kłamie. Dlaczego zawsze musi się zdradzić? Jej ciotka gotowa sobie wyobrazić niestworzone historie.

Goście rozjechali się, ulotnił się świąteczny nastrój i opuszczona, młoda para pozostawiona sobie zrozumiała, że wszystko to było żalną fikcją. Przez dłuższy czas żyli odizolowani, w swoim własnym świecie. Potem nagle wpuścili do swego domu ten inny świat, z zewnątrz. Teraz czuli się przybici i wyczerpani. Z powrotem popadli w stan denerwującego przygnębienia.

Cliffordowi wróciły ostre bóle i z pobladłą twarzą cierpiał w milczeniu. Konstancja robiła dla niego wszystko, co mogła. Poświęciła mu się teraz całkowicie. Gdyby mu to choć cokolwiek pomogło, nie żałowałyby tego. Ale co się raz zepsuło, było nie do naprawienia. Poczucie bezcelowości tych wysiłków zatruwało jej duszę. Zaczęły opuszczać ją siły i kwitnąca uroda. Myślała o swoim kłamstwie wobec ciotki: — Mam wszystko, czego pragnę! — I co ma takiego? Rozpacz, bunt i przeraźliwie puste życie przed sobą. Jej odwaga i siły wyraźnie słabły. Zachowała różową cerę, gdyż było to wrodzoną i niezmienną cechą jej urody. Ale wciąż chudła. Pulsująca żyłka na cienkiej szyi zdradzała osłabienie organizmu.

Gdy jej siostra, Hilda, przyjechała odwiedzić ją w marcu, wykrzyknęła na powitanie:

— Kon! Co ci jest? Jak ty wyglądasz? Jesteś chuda jak tyczka i suknia po prostu wisi na tobie. Jesteś wyraźnie chora! Co się z tobą dzieje?

Hilda była jedyną siostrą Konstancji, nie miały też braci. Natychmiast wpadła w niepohamowany gniew. Poszła rozmówić się z Cliffordem.

— Co jest Konstancji? — zapytała. — Dlaczego tak rozpaczliwie chudnie?

— Rzeczywiście zeszczuplała — odparł. — Chciałbym, żebyś jakoś mogła jej pomóc.

Jego osobliwy egoizm przeraził Hildę. Był przecież w każdym calu dżentelmenem, doskonale wychowanym i w najwyższym stopniu uważającym. Robił co mógł, żeby nie sprawiać kłopotu swej młodej żonie. Znosił bóle w milczeniu i przez długie godziny cierpiał samotnie. Nigdy jej w takich chwilach nie wzywał, starał się w niczym jej nie przeszkadzać i być zawsze pogodnym, żeby w ten sposób okazać jej swoją wdzięczność. Był uosobieniem dżentelmena.

Ale nigdy nie dostrzegał Konstancji jako istoty której życie płynie własnym, odrębnym nurtem. Może ją idealizował: rozkwitała przecież cudownie w orbicie jego życia. Ale nigdy, nawet przez chwilę nie wyczuwał sercem jej obecności. Spontaniczna, gorąca serdeczność, którą Hilda żywiła dla siostry, a Konstancja dla niej, była czymś nie mieszczącym się w sferze jego pojęć: czymś, co należało tłumić.

Wraz z Hildą wtargnęło do domu nowe tchnienie: gniewu i buntu. Hildę znużył jej „oddany” mąż, który ją głaskał i pieścił, ale nigdy, nawet na chwilę, nie stanął przed nią nagi, bez okrywającej go skorupy rzekomej dżentelmenerii. Opuściła go więc, zabrała manatki, dzieci i zamieszkała w Szkocji. Teraz przyjechała na tydzień do siostry. Konstancję zbadał miejscowy lekarz. Nie znalazł żadnej organicznej choroby. Wysłano ją do Londynu do specjalisty, skarżyła się bowiem na bóle serca. Stwierdził, że organizm ma zasadniczo zdrowy. Cierpiała na newralgiczne bóle serca spowodowane, podobnie jak wszelkie nerwobóle, wyczerpaniem i życiem nerwami, w ustawicznym napięciu woli. Potrzebowała i odpoczynku aby wyzwolić się z nerwowego napięcia, w które popadła.

— Musisz pojechać ze mną do Szkocji, Kon.

Ale Konstancja odmówiła. Hilda sprowadziła już do domu stałą pielęgniarkę, kulturalną starszą kobietę do opieki nad sir Cliffordem. Clifford zgodził się, choć w jego gotowości aby zrobić wszystko dla dobra Konstancji wyczuwało się cień rozgoryczenia. Konstancja nie chciała go więc opuścić.

Stała obecność pielęgniarki sprawiła jednak, że Konstancja mniej myśli poświęcała teraz Cliffordowi. Nie przestała o niego dbać. Tak będzie zawsze. Ale wyzwoliła się z napięcia jakie budził w niej niepokój o męża.

Dziwne było życie tych dwojga ludzi. Pod niektórymi względami byli sobie niezmiernie, niemal intymnie bliscy. Kiedy czasem, w ciszy wieczoru, trzymał ją za rękę, wydawało się że panuje między nimi wielki spokój i cudowna jedność. Byli niemal jak dwie dusze, wyzwolone z ciała i wszelkich jego obciążeń, idące ręką w rękę coraz wyżej, drogą graniczącą z niebem doskonałości. Rozmawiali spokojnie o duszy i nieśmiertelności. Zagadnienie nieśmiertelności niezmiernie interesowało Clifforda. Jego pogląd zgadzał się z starodawną teorią Platona. Dusza człowieka poważnie poszukującego prawdy, jej czystej i niezmiennej istoty, osiąga wyższe rejony, gdzie absolutna, niczym nie zmącona prawda i sprawiedliwość świecą wspaniałym wiecznym blaskiem, nareszcie kojącym zbolące serce człowieka.

Dwa rumaki ciągnące rydwan duszy, dziki, nieposkromiony kary z kosmatymi uszami i delikatny, przepiękny siwek — obydwie zaprzętały wyobraźnię Clifforda.

— Wydaje mi się — powiedział kiedyś do Konstancji — że mój dziki czarny rumak został śmiertelnie ugodzony na wojnie gdy będę walczył by dostać się na drogę do świetlistych rejonów nieba, tylko jeden koń będzie ciągnął mój rydwan.

— Nie sądzę, żeby tak było, kochanie — odparła po chwili namysłu. — Pomyśl jakie miewasz szalone napady złości, chociaż nad nimi panujesz.

— Chyba masz rację. Tak! Jesteś bliska prawdy, Kon. To na pewno sprawa czarnego rumaka. Właśnie jego. Bardzo możliwe, że się ostatecznie znarowił. Zamyślił się głęboko. Tak bardzo tęsknił do nieśmiertelności i chciał być pewny, że w końcu uda mu się, choć z wielkim trudem, dotrzeć na szeroki gościniec będący przedpolem nieba, skąd można jeszcze raz spojrzeć na leżącą w dole ziemię, zanim ostatecznie wkroczy się w promienną jasność samych niebios. Akceptował wizję Fedrusowego mitu. I bardzo się lękał, że gdy zamrze w nim czarny rumak żądzy, z jednym tylko białym, nieskalanym rumakiem w zaprzęgu nigdy nie dotrze na szczyt. Jeden rumak nie potrafi go wciągnąć pod górę.

„Mam tylko jednego konia w rydwanie” myślał z goryczą. Ale może Konstancja miała rację. Czarny rumak mimo wszystko żył jeszcze, może mniej oczywisty i niesforny, ale o wiele bardziej znarowiony. Przypomniawszy sobie straszliwe napady furii, w których pragnął zniszczyć świat i doprowadzić ludzkość do zagłady. Tak, to była żądza. To na pewno był czarny rumak! Poczuł wielką ulgę. Tak bardzo się bał, że jego czarny rumak z kosmatymi uszami zginął.

Ale jednocześnie był zaskoczony. Czyżby aż tak bardzo kochał czarną bestię swej duszy, że gotów był wycić jak potępioniec na myśl, że ta bestia w nim skończyła?

— Brakowałoby mi mego czarnego rumaka gdybym sądził, że skończył we mnie, Kon — powiedział patrząc na nią zimnymi, świecącymi oczami, które ją przeraziły.

— Przypomnij sobie tylko swój stosunek do wuja Everetta — powiedziała spokojnie.

Wuj Clifforda, Everett, należał do starej daty aroganckich dżentelmenów, z brutalną nonszalancją manifestujących swoją klasową wyższość.

Clifford nie znośił go.

— Obawiam się, że jesteś nieuleczalnym mistykiem, mój chłopcze — mówił Everett. — No cóż, może to i dobrze. Masz za żonę rozsądną kobietkę.

Takie powiedzenia budziły wściekłość w duszy Clifforda, musiał jednak leżeć i milczeć wiedząc, że dyskusja do niczego nie doprowadzi.

— A więc cieszę się, że mój rumak z nabiegłymi krwią oczami żyje — powiedział po namyśle. — Na Boga, myślę, że mógłby za jednym zamachem odgryźć wujowi Everettowi czubek głowy.

— Bogowie nadal mają w swoim zaprzęgu czarne i białe rumaki jeżdżąc wokół niebios, prawda? — zapytała Konstancja.

— Na Jowisza, na pewno tak! I doskonale panują nad każdym z nich. Tylko my, biedni śmiertelnicy, nie umiemy poskromić Czarnego — odparł wesoło Clifford.

— Czy nie uważasz, że Sokrates okrutnie obchodzi się ze swoim czarnym rumakiem? Tak szarpie wędzidło, że język mu krwawi i pysk ma pełen krwi, oraz bezlitośnie okłada go batem. Czy nie myślisz, że można w łagodniejszy sposób poradzić sobie z koniem?

Clifford spojrzał na nią uważnie. Dopatrzyła się śladu brutalności nawet u Sokratesa. Nawet Sokrates był brutalem! A Konstancja z głębi duszy nienawidziła wszelkiego rodzaju okrucieństwa.

— Chyba nie z taką upartą bestią — powiedział.

— Może jednak czarny rumak nie jest aż tak złośliwy. Czy nie sądzisz, że gdyby go ktoś zapytał, czego naprawdę chce, miałby równe prawo domagać się spełnienia swych pragnień, jak siwek, lub nawet sam woźnica? Ale Sokrates uważa, że trzeba do krwi kaleczyć mu pysk i zmuszać do uległości.

Zastanowiło to Clifforda. Konstancja zupełnie dobrze posługiwała się symbolami. Doskonale знаła symbolikę mitów Platona. Oboje swobodnie posługiwali się nią w swoich rozmowach. Ale Konstancja, zamiast uważać Sokratesa za wzór doskonałości, zawsze zajmowała odmienne stanowisko.

— Wyjaśnij mi dokładnie, co w tym przypadku nazywasz czarnym koniem?

— Czy nie chodzi tu o zaspokajanie popędów? — odparła Konstancja. — Czy nie symbolizuje tu ciała, które gwałtownie domaga się spełnienia swoich żądań? Kiedy na przykład odgryza czubek czaszki wuja Everetta, lub robi cokolwiek innego.

— Zapewne masz rację — rzekł Clifford. — Ale chyba nie powiesz, że byłoby właściwe postąpić z wujem Everettem tak, jak by to zrobił czarny rumak?

Konstancja odłożyła robótkę i spojrzała na męża.

— Posłuchaj — powiedziała powoli. — Na twoim miejscu pewnego dnia bez chwili wahania odgryzłabym wujowi Eve-rettowi czubek głowy. Niechby wszyscy ujrzeli, że jest głupcem pozbawionym krzty rozumu. Zrobiłabym to z całą premedytacją. Uważałabym, że mój czarny rumak ma pełne prawo go ugryźć.

Znów zajęła się szyciem, a on, ogromnie podniecony, zastanawiał się przez chwilę nad tym nowym stosunkiem do czarnego rumaka.

— Czy chcesz powiedzieć, że czarny rumak ma prawo spełniać wszystkie swoje zachcianki? — zapytał.

— A ty myślisz inaczej? Oczywiście z zastrzeżeniem, że robiłby to we właściwym czasie i w odpowiedniej kolejności. Czy nie uważasz, że biały rumak i woźnica, zamiast wspólnie wycężyć siły żeby udaremnić zamiary czarnego, powinni powiedzieć mu: — Spokojnie! Tylko spokojnie! Zachowaj spokój, a pojedziemy gdzie chcesz. Biegnij równo, nie wywracaj rydwanu, a zajedziemy dokładnie tam, gdzie sobie życzysz.

Spojrzał na nią podejrziwie.

— Myślisz, że by posłuchał? — zapytał.

— A czemuż by nie? — odparła. — Albo czarny rumak ma całkowite prawo do istnienia, do własnych pragnień i ich zaspokajania, albo nie powinien istnieć. A przecież sam powiedziałeś, że nie poradziłbyś sobie mając tylko jednego konia w zaprzęgu. Strach cię ogarnia na myśl, że twój czarny rumak nie żyje, a jednak pozwalasz mu żyć tylko po to, żebyś go mógł ujarzmić.

Gwałtowne podniecenie Clifforda nagle minęło. Czuł, że w twierdzeniu Konstancji kryje się coś, co jest mu wrogie.

— Czy ty nie poskramiasz swego czarnego rumaka Kon? — zapytał.

— Nie chcę tego robić — odparła z głową nisko opuszczoną nad robótką. — Nie mam takiego zamiaru. Chcę pozwolić mu pędzić swobodnie do jego mety, gdy tylko znajdzie drogę.

Clifford poczuł rosnący w nim bunt przeciwko temu, co powiedziała. Ale odparł spokojnie:

— Chyba masz rację, kochanie.

Znów myśli ich się rozeszły. Łączyła ich dziwna bliskość, szczególnego rodzaju zażyłość, subtelny związek dusz, wyzwalający się w mowie, w słowach. Jego istotą był toczący się między nimi spór. Jak gdyby za każdym razem, gdy wytwarzał się między nimi ów nastrój zażyłości, wypełzał lśniący, dotkliwie pokaleczony wąż jej duszy, by walczyć z zazdrosnymi psami jego duszy. Po każdej, takiej rozmowie wycofywali się niczym walczący na arenie zapaśnicy, każde na swoją wyjściową pozycję. Przez dłuższy czas Konstancja przegrywała. Czuła, że duch walki wygasa w niej i siły ją opuszczają. Opanowywały ją słabość i zmęczenie, a dni upływały jej ospale i bez celu. Ciotka Ewa sprawiła, że wszystko wydawało się nieważne. Konstancja poczuła w sobie głęboką obojętność wobec nieśmiertelności w interpretacji Clifforda i jego czysto abstrakcyjnego nieba, choć jemu wydawało się tak cudowne. Jego niebo budziło w niej tylko drugorzędne zainteresowanie o poślednim znaczeniu, ostatnio zaś zaczęło wyraźnie upodabniać się do więzienia, przypominając rozżarzone do białości stalowe ściany z opowiadania Poe'go. Nienawidziła tego nieba Clifforda, nieba czystej sprawiedliwości i prawdy. Czuła się podstępnie, niezdolnie przez niego tyranizowana, w imię tego nieba najczystszej sprawiedliwości. Czuła,

że Plato, idealizując swoje niebo czystej sprawiedliwości, przez cały czas popełniał straszliwą niesprawiedliwość. Krzywdził czarnego rumaka i świetlistego, pokaleczonego węża nieubłaganą, okrutną niesprawiedliwością.

Właśnie tak! Było to jeszcze jedno niebo oparte na tyranii. Na tyranizowaniu przez negację. Clifford zdręczał ją, do niczego jawnie nie zmuszając, swoją, podstępą negacją. Całkowicie ignorował część jej duszy, którą zabijał nie uznając jej istnienia. Tak samo można kogoś zabić, pozbawiając go powietrza. Tak właśnie zabijał ją Clifford. Dławił w niej tę część duszy, która była jej prawdziwym istnieniem. Postępowałby identycznie, gdyby nie został ranny na wojnie. Tylko że wtedy nie widziałby sytuacji tak jasno. Straszliwa katastrofa uczyniła ją jasnowidzącą.

Nieszczęsny czarny rumak jej życia? Przez długie miesiące leżał jak martwy, ze skręconą w bok szyją, jak gdyby złamaną szczególnie złośliwym szarpnięciem wodzów. Miała uczucie, że zmarł, a ona nosi trupa w swym wnętrzu. Ale teraz nieszczęśnik walczył, usiłując znów stanąć na nogi. A ona czuła, że musi go bronić, bronić przed Cliffordem i całym światem. Musi milczeć i zachować jego byt w tajemnicy. Musi go chronić i trzymać w bezpiecznej kryjówce.

Miała jednak sprzymierzeńca w osobie pielęgniarki, pani Bolton, której mąż, górnik, zginął przed dwudziestu laty w kopalni, pozostawiając ją z dwojgiem małych dzieci. Ciężko potem pracowała i zdobywszy dyplom przez wiele lat zajmowała stanowisko rejonowej pielęgniarki, odwiedzającej chorych w domu. Obecnie zrezygnowała z tej pracy, która stała się dla niej za męcząca. Kochała swego męża. Miał zaledwie dwadzieścia osiem lat, gdy zginął w podziemnym wybuchu. Pracujący na przodku rębacz krzyknął do reszty górników, żeby padli na ziemię, a oni natychmiast to wykonali. Ale Ted Bolton stał wtedy za węglem i nie usłyszał wezwania. Wybuch przeszedł górą nad leżącymi górnikiemami i zabił Teda. Podczas dochodzenia zarząd kopalni udawał, że Bolton się przestraszył i zaczął uciekać, zamiast upaść płasko na ziemię. A więc przyczyną jego śmierci było tchórzostwo, lub w najlepszym przypadku strach. Wobec tego rodzinie nie należało się odszkodowanie, i tylko z litości postanowiono wypłacić wdowie zapomogę. Miała wynieść trzysta funtów. Ale wdowie, Ivy Bolton, odmówiono jednorazowej wypłaty całej sumy. O nie, mogłaby te pieniądze przepić, lub w inny sposób roztrwonić. Musiała więc co poniedziałek rano przeszło godzinę wyczekiwać w tłumie, na tygodniową wypłatę trzydziestu szylingów. Ale najbardziej jątrzyło ją to, że nazwali Teda tchórzem i mówili, że uciekał. A ona dobrze wiedziała, że Ted zawsze lekceważył niebezpieczeństwo i był lekkomyślnie nierozważny.

Czuła w głębi duszy, że przedsiębiorstwo zabiło jej męża, a potem dodatkowo go znieważyło. Nigdy im tego nie wybaczyła. Ale kryła tę nienawiść w sercu i na zewnątrz stała się bardzo spokojną, niezwykle opanowaną, dystygowaną kobietą, o sposobie bycia prawdziwej damy. Była bardzo poważana w rejonie i domy wszystkich górników stały przed nią otworem. W ich pojęciu była damą. Ale w swój spokojny, skryty sposób nienawidziła wszystkich przełożonych. Całej tej wyższej klasy bogatych właścicieli i dyrektorów przedsiębiorstw. Tak ciężko ją znieważyli, ją i jej zmarłego męża trzystufuntową zapomogą, wypłacaną po trzydziści szylingów tygodniowo. Tygodniowo trzydziści szylingów przez niecałe cztery lata! Ale wszystko jedno, sama sobie poradzi.

Szczerze współczuła sir Cliffordowi w jego wielkim nieszczęściu i będąc doświadczoną pielęgniarką zajmowała się nim równie troskliwie, jak opiekowałaby się zmarłym mężem. Ale skrycie, w najtajniejszych zakamarkach duszy, nie lubiła go. Nie lubiła jego obłudnej życzliwości, przesadnych objawów uznania i uprzejmości, z jej punktu widzenia nieludzkich. Właśnie w tym dobrym wychowaniu, uprzejmości i manierach nauczyła się rozpoznawać zimną wyniosłość, nieczułość serca, zdawkową ciekawość i duchową arogancję wyższych sfer. Tak dobrze się wyszkoliła, że przyswoiła sobie te zimne, pewne siebie zwroty „czy mogę prosić” i „bardzo, bardzo dziękuję”. Ale wewnątrz płonął w niej bunt.

Niepewny, zagubiony wyraz oczu Konstancji ugodził ją prosto w serce. Biedactwo! Nigdy nie było jej dane zaznać prawdziwie serdecznego uścisku mężczyzny, tulącego ją mocno, prawdziwie mocno do piersi i pocieszającego z głębi serca. Ona, Ivy Bolton tego zaznała. Ten cały sir Clifford w ogóle nie ma serca. Umie tylko bez końca perorować, a jego rzekome uczucia na nic nikomu się nie przydadzą.

— Powinna pani pospacerować na świeżym powietrzu. Nie powinna pani wciąż siedzieć w domu — namawiała Konstancję.

Pani Bolton gotowa była zrobić wszystko, byle tylko oderwać Konstancję od sir Clifforda. Używała całego swego autorytetu pielęgniarki, wtrącając co chwila „mylady”, by zamaskować wywieraną presję. Mówiła sobie w duchu: „Ona się wyniszczy, zjadają ją nerwy. Chciałabym, żeby znalazł się jakiś miły młody człowiek, którego wzięłaby sobie za kochanka.”

W końcu pewnego dnia, w kapryśną marcową pogodę, udało jej się przekonać Konstancję, żeby znów wyszła się przejść.

— Niech pani pójdzie obejrzeć żonkile w ogródku gajowego. Jest na co popatrzeć. Są naprawdę śliczne, koniecznie powinna je pani zobaczyć.

W ogródku gajowego! Coś drgnęło w sercu Konstancji. Dawno już wyzbyła się swoich bezsensownych urojeń. Był zwykłym prostakiem, jednym z miliona takich samych jak on ludzi. Był zerem! Częstką ponurej nicości.

Ale teraz coś się w niej poruszyło. Przyjemnie byłoby zobaczyć choćby tę gajówkę... ten domek... Otaczała go jakaś szczególna, bajkowa atmosfera.

Poszła wolno przez park w stronę lasu. Dzień był pochmurny, z okresowymi przebłyskami słońca. Drzewa w parku stały ogołocone z liści, las szumiał, gdzieś rośli kępiki nikłych leśnych kwiatów kołysanych powiewem wiatru. Wzdłuż ścieżynek radośnie wychylały główki blade pierwiosnki. Konstancję ogarnęło podniecenie. Była szczęśliwa, że znalazła się w lesie i słyszy szum wiatru w gałęziach. Zerwała kilka fiołków i przez chwilę trzymała je w otwartej dłoni, żeby poczuć ich zapach. Ach, wyrwać się, uciec od tej monotonnej powszedniości, zerwać krępujące więzy i odnaleźć się w zaczarowanym świecie. Pograć się w życiu roślin i lasu! Powoli przeszła przez las do odległej o milę gajówki. Mały ogródek za domem cały migotał w przebłyskach słońca, padającego na dziko kwitnące na zboczu żonkile. Było to ostatnie miejsce, gdzie pozwolono im rosnać swobodnie. Konstancja usiadła oparta o pień sosny, która kołysała się za jej plecami jak jakieś żywe stworzenie, patrzyła na żonkile i wdychała ich gorzkawy zapach. Przypomniała jej się maksyma Clifforda: — Naturą rządzi odwieczny kodeks starych, surowych praw. Człowiek musi przekroczyć jego granicę. Powołaniem i przeznaczeniem człowieka jest przełamać się, przedrzeć przez ustalone, arbitralne prawa natury. — Ona widziała to inaczej. Nie czuła nieubłaganej bezwzględności praw natury. Znacznie bardziej dokuczały jej prawa ludzkie. Nie mogła dopatrzeć się cienia arbitralności w kołyszących się na wietrze żonkilach, na które teraz nasuwał się cień. Ach, gdyby ludzie byli naturalniejsi! Gdyby mogli być naprawdę, prości i otwarci. Ale tacy są skomplikowani i skrupowani nieskończoną ilością praw.

Gajówka stała w dole, milcząca i zamknięta. Z komina wydostawała się smuzka dymu. Ale nic się nie poruszało. Mały kamienny domek, pokryty szarą dachówką, zbudowany był u stóp zbocza, na którym rosły żonkile. Konstancja patrzyła z przyjemnością. Ale nie kusiło jej, żeby wejść do środka i zaznajomić się z jego wnętrzem. Kiedyś mieszkała w nim żona gajowego, która uciekła z górnikiem, bo nie mogła znieść wiecznego milczenia swego męża. Domek, gdzie w schowku kominka zawsze czekał imbryk z wodą i czajnik z zaparzoną herbatą. Nie, Konstancja wcale nie miała ochoty zapoznać się bliżej z jego pospolitym wnętrzem. Woląca pozostać na zewnątrz. Po chwili wstała i zawróciła w stronę domu. Popołudnie mijało. Zapewne było już po czwartej i zachowałaby się nieładnie spóźniając się na herbatę, którą zawsze o tej porze pili razem z Cliffordem.

Poszła na przelaj w stronę szerokiej, zielonej drogi biegnącej obok lodowatego źródła, w którym Robin Hood zwykł był gasić pragnienie. Niezapominajki i świeżo skoszone siano pokryją w maju drogę gęstym dywanem, ale teraz nie było jeszcze ich śladu. Tylko kilka pierwiosnków, zeschnięte liście i wiatr szumiący w koronach dębów nad głową.

Nagle usłyszała z prawej strony ciche stukanie i zastanowiła się, czy może to być dzieciół. Ale nie, to był odgłos młotka. Przypomniała sobie chatkę na małej polance, gdzie gajowy zbudował kryty słomą paśnik dla bażantów i karmił je tam ziarnem. Głośno skrzeczając, przebiegł przed nią kogut bażanci. Stuk młotka ucichł. Gajowy najwyraźniej nadśluchiwał. Zeszła wąską ścieżką w stronę osłoniętej drzewami chatki. Brązowy spaniel wybiegł jej na spotkanie. Zobaczyła, że gajowy prostuje się, a potem bystro i podejrzliwie patrzy między drzewa. Miał się stale na baczności i był zawsze czujny, tropiąc kłusowników i innych intruzów, swoich wrogów. Jego życie było ciągłą walką, którą toczył samotnie z mieszkańcami sąsiednich kopalnianych osiedli.

Był w samej koszuli, gdyż zbijał kojec dla bażantów piskląt. Przygotowywał miejsce do nasadzania kur. Dotknął dłonią kapelusza i czekał, aż Konstancja podejdzie bliżej.

— Byłam ciekawa, kto tutaj stuka — powiedziała. — Czy będziecie nasadzać kury w tym roku?

— Tak, mylady. Dobrze nam poszło z bażantami zeszłego roku, i jak się da, chcemy mieć tym razem jeszcze więcej.

Clifford sprzedawał bażanty i miał z tego niezły dochód.

Konstancja weszła do chatki. Znajdował się tam warsztat z narzędziami, różnego rodzaju sidła i pułapki, pojemnik na ziarno, beczułka smoły, pędzle i suszyło się kilka skór rozciągniętych na kołkach. Gajowy ukląkł i znów zajął się swoją pracą, jak gdyby nie dostrzegając jej obecności. Przyglądała mu się, gdy klęcząc przybijał coś młotkiem.

Był jak zawsze zamknięty w sobie i cała jego postać wyrażała nieprzyjemną czujność. Jego twarz nie byłaby brzydka, gdyby nie jej wrogi wyraz. Bujne wąsy sterczały wojowniczo pod trochę zbyt krótkim nosem. Zbliżał się chyba do czterdziestki. I z nikim nie przestawał, tylko zawzięcie, mściwie tropił kłusowników.

Dwukrotnie ciężko pobili go kłusujący górnicy. Porachowali się z nim tak okrutnie, że przez kilka dni musiał leżeć w łóżku, lecząc doznane obrażenia. Ale zemścił się na nich i trzech posłał do więzienia. Bano się go i nienawidzono w całej okolicy, a w oczach miejscowych dzieci był czymś w rodzaju wilkołaka. Kiedy nieśmiało zakradały się kilka kroków w głąb leśniczynowego zagajnika, aby zerwać bukietek pierwiosnków lub garstkę orzechów, serca podchodziły im do gardła. I nigdy nie zapuszczały się dalej w głąb, żeby Parkin nie odciął ich od żywopłotu. Kiedy bowiem udało mu się je zaskoczyć i schwytać, napędzał im tak niehumanitarnego strachu zapisując ich imiona oraz nazwiska rodziców, że potem przez całe tygodnie, kiedy na swojej ulicy zobaczyły policjanta, bladły z przerażenia myśląc, że przynosi wezwanie do sądu.

Konstancja dobrze wiedziała, czym był: postrachem dzieci i obiektem nienawiści kłusujących górników, gdyż strzelał do ich ulubionych psów jeśli je spotkał w lesie i z przewrotną satysfakcją potem ukradkiem je grzebał. A dla żony, która go opuściła, pozostał źródłem nieustającej pasji. Mimo to ona, Konstancja, go lubiła. Podobał jej się fizycznie, podobał się sposób w jaki się pochylał przybijając coś młotkiem, a także jego milczące, a nawet pełne nienawiści unikanie ludzi. Lubiała go, bo toczył wojnę z całym światem. Toczył też wojnę z Cliffordem i z nią samą, podobnie jak z kłusownikami. Z trudem zmuszał się do grzeczności. I rozmawiając z nimi, z premedytacją używał surowej miejscowej gwary. Robił to umyślnie, podobnie jak obecnie czyni to wielu ludzi z prowincji, aby tym nieuchwytnym, pogardliwie rzuconym wyzwaniem, okazać lekceważenie afektowane cedzącym słowa szlachetnie urodzonym. Był znakomitym strażnikiem, uważał bowiem las za swoją domenę i praktycznie biorąc nikt się do niego nie wtrącał. Ale irytowały go nawet spacerunki Konstancji

po lesie, w okresie lęgów, i wręcz nienawidził motorowego wózka Clifforda. Na szczęście wózek mógł poruszać się tylko po głównej drodze.

Siedząc teraz na pieńku obok drzwi chatki i patrząc jak zbija kojec, Konstancja czuła, iż chciałaby żeby jak najprędzej sobie poszła. Chciał być sam. Mógł żyć tylko w pustej przestrzeni, wśród drzew. Obecność jakiejś ludzkiej istoty w pobliżu ciążyła mu jak kłoda u szyi. Denerwował się, robił się złośliwy i przykry.

Ale Konstancja nie miała ochoty odejść. Z jakiegoś niewytłumaczonego powodu sama jego fizyczna obecność sprawiała jej przyjemność. Nie chciało się jej z nim rozmawiać, doskonale wiedziała, że nie chce słuchać tego, co miałby do powiedzenia, gdyby w ogóle miał coś do powiedzenia. Co było nader wątpliwe! Ale podobało jej się to miejsce i z przyjemnością patrzyła jak Parkin się nachyla, zbijając chropawe deszczułki. Wydawało jej się, że ona też pracuje. Spojrzał na nią w końcu ukradkiem i szybko odwrócił oczy. Pozostała obojętna. Nawet się nie odezwała. Siedziała spokojnie na pieńku, zamyślona, z rękami splecionymi na kolanach. A on pracował dalej, póki nie skończył roboty.

Postawił wtedy kojec przy innych, wrócił i zebrał narzędzia. Zawahał się. Odkąd usiadła na pieńku ani razu dłużej na nią nie popatrzył i cały czas pracował z odwróconą głową. A teraz skierował się do chatki, nadal nie patrząc na Konstancję. Wyminął ją i wszedł do środka. Nawet na nią nie spojrzał.

Podniosła się z pieńka i stojąc w drzwiach patrzyła na niego.

— Bardzo tu miło — powiedziała. Zerknął na nią podejrziwie.

— Tak myślicie, mylady?

— Tak. Kiedy będziecie sadzać kury?

— Jak bede miał jojka.

Odwrócił się i sięgnął po kurtkę. Patrzyła jak ją zapina na piersiach. Nie spojrzał na nią, ale czuł na sobie jej niebieskie, poważne, zadumane oczy. Złościło go to.

— Będę czasem przychodziła posiedzieć tutaj — powiedziała. Podoba mi się tu i chcę, żeby bażanty się ze mną oswoiły.

— Ano — mruknął. Włożył kapelusz i wziął kilka pułapek na krety, zabierając się do odejścia. Odsunęła się na bok, a on przechodząc, lekko się o nią otarł. Ale nic nie powiedział. Stała obok, kiedy zakładał kłódkę na skobel.

— Pewnie pójdziecie teraz na herbatę? — zapytała.

— Ano. Niezadługo. Jak zastawię te pułapki.

Mówił do niej chłodno, niemal pogardliwie, jak gdyby była natrętnym dzieckiem, od którego chciałby jak najprędzej się uwolnić. Bawiło ją to. Uparcie stała przy zamkniętych drzwiach nie ruszając się z miejsca. Zawahał się, a potem prędko dotknął kapelusza i mruknął:

— No, to już ide.

Ruszył szybko wielkimi krokami w stronę ścieżki.

— Do widzenia — powiedziała. — Ja też już pójde.

Szła tuż za nim. Kiedy go mijiała odwrócił się szybko i znów dotknął kapelusza. Potem szedł za nią w pewnej odległości, wąską ścieżką, aż do źródła, gdzie drogi ich się rozchodziły.

Ale gdy miał ponownie skręcić w inną boczną ścieżynkę, obejrzał się i przez chwilę za nią patrzył. Ona też się odwróciła i zobaczyła, że zrobił to samo. Zniknął między drzewami, a ona, uśmiechając się sama do siebie, powoli poszła do domu.

„Mimo wszystko jest bardzo zabawny” — pomyślała.

Spóźniła się na herbatę.

— Bardzo przepraszam — powiedziała. — Ślicznie było dziś w lesie. Patrzyłam jak Parkin przygotowuje kojce dla bażancików. Już naprawdę zaczęła się wiosna.

Położyła na stole bukiet z dzikich żonkili, fiołków oraz pierwiosneków i kilka gałązek srebrnych wierzbowych bazi.

— Muszę wybrać się tam jutro. Pewnie już obeschnie na tyle, żeby mój wózek przejechał — odparł Clifford.

— Zrób to koniecznie! — wykrzyknęła. — Będziesz zachwycony.

Następnego dnia razem wybrali się po południu do lasu i Konstancja wydawała się zupełnie szczęśliwa. Przynosiła Cliffordowi różne kwiatki i okryte pączkami gałązki. — „O Ty, niezgwałcona ciszy oblubienico” — powiedział, patrząc ze wzruszeniem na leżące na jego dłoni zawilce i fiołki. — Wiosenne kwiaty zawsze przypominają mi ten werset. O wiele bardziej niż grecka urna. A tobie?

— Tak — odparła niepewnie. I po chwili dodała: — Ale dlaczego miałyby być zgwałcona? To takie brutalne słowo. Kiedy siadają na nich pszczoły lub jakieś inne drobne owady, nie czują się chyba zgwałcone, prawda?

— Być może — odparł. — Są bardzo dziwne. Takie na przykład fiołki. Myślę że dużo mniejszą uwagę zwracalibyśmy na kwiaty, gdyby poeci nie napisali o nich tylu pięknych wierszy.

Zatrzymała się w miejscu. Czy to prawda? Nie, tylko w połowie. To, co napisali poeci, istotnie otwarło pewne drzwi, małą furteczkę, do kwiatów. Ale kiedy się przekroczyło tę furtkę poetów, kwiaty stawały się jeszcze bardziej kwieciście tajemnicze.

Nie była w odpowiednim nastroju, by słuchać literackich aluzji i sposób, w jaki Clifford abstrakcyjnie zalecał się do niej przy pomocy słów i rozmaitych aluzji, tego popołudnia szczególnie ją irytował. „Nie, nie! Tylko nie to” — powtarzała w duchu bezwiednie.

Spędzili przepisową godzinę wśród drzew. Niebo było szare i zimne. Czuli się trochę nieswojo i czas włókł się w nieskończoność. Oboje chętnie wrócili do domu i rozstali się na kilka godzin. Konstancja czuła, że czasem musi być sama.

Nazajutrz padał ulewny deszcz, mogła więc pójść sama do lasu. Błądziła po nim jak najciszej, wypatrując bażantów. W końcu, gdy znów rozpadało się na dobre, zawędrowała do chatki. Zastała ją zaryglowaną i opuszczoną. Usiadła na pieńku pod wysuniętym daszkiem, patrzyła na padający deszcz i słuchała jego szumu. Cudownie było tak siedzieć samotnie w ciszy lasu, patrzeć na deszcz i słuchać szumu wiatru wśród drzew, jednocząc się z przyrodą w odwiecznym leśnym półmroku.

Gdy ulewa osłabła, cicho podbiegł do niej brązowy spaniel i położył łapę na jej kolanach. W ślad za nim nadszedł gajowy. Zobaczywszy ją, podniósł rękę do kapelusza.

— Tak przyjemnie jest być na powietrzu i chodzić samotnie po lesie — powiedziała wstając i odsuwając się na bok, żeby mógł otworzyć drzwi.

— Ano! — mruknął, jakby nie rozumiejąc tego, co powiedziała. Usiadła z powrotem w milczeniu, raczej żałując, że przyszedł i jej przeszkadza. Dzisiaj nie chciała go widzieć. Taka się czuła szczęśliwa, wpatrując się samotnie w widmowe postacie, które deszcz wyczarowywał wśród starych dębów.

Ale pomimo wszystko jego obecność nie przeszkadzała Konstancji. Pracował cicho w szopie. Przynajmniej nie będzie się do niej odzywał, ani robił literackich aluzji.

— Czy jest drugi klucz od tej chatki? — zapytała. — Czy mogę go dostać? Chciałabym tu przychodzić w deszcz, posiedzieć i patrzeć jak pada.

Gajowy spojrzał na nią z ciekawością, usiłując odgadnąć do czego zmierza. Miał brązowe oczy, z źrenicami jak małe, twarde paciorki.

— Jest tylko jeden klucz — odparł.

— Czy możecie dorobić drugi? — zapytała.

Nie odpowiedział, tylko pochylił się nad stosem szczap, szukając jakiegoś odpowiedniego kawałka drewna. Nadal milczał. Był to wyraźny sprzeciw. Ale Konstancja nie zamierzała ustąpić.

— Czy możecie dorobić drugi? — powtórzyła, i tym razem głos jej nabrał groźnego brzmienia. Nie pozwoli się obrażać.

Gajowy odwrócił się z gniewnym westchnieniem. — No, mogę... — odpowiedział. Potem znów spojrzął jej w oczy i dodał: — a może sir Clifford zbudowałby pani inną chatę, czy leśny domek? Cheba było kiedyś coś takiego tam w dole, przy źródle.

— Nie! — odparła stanowczo. Chcę przychodzić właśnie tutaj i patrzeć jak się wykluwają pisklęta.

Nadal bardzo starannie wymierzał swój kawałek drewna. Nie odpowiadał i nawet nie udawał, że jej słucha. Zdenerwowało ją to.

— Więc dorobicie mi drugi klucz? — zapytała. Odwrócił się, znów pochylił nad drewnianym i obróconym

do niej plecami powiedział: — Sam muszę często być tu teraz jak kury będą się niosły.

— I co z tego? — zapytała ze złością. — Nie będę wam przeszkadzała.

Wciąż odwrócony był do niej plecami.

— Kury mogą nie lubić tutaj nikogo obcego.

— Nie uważam się za osobę obcą — odparła. — Ale dość tego. Chcę mieć swój klucz, żebym mogła tu przychodzić i siedzieć kiedy będę miała ochotę. Nadal trzymał głowę odwróconą i nie odzywał się ani słowem. Ale wiedziała, że trzęsie go pasja. Wszystko musi być jak on chce, inaczej ogarnia go furia.

— No jak, kiedy dostanę swój klucz? — spokojnie upierała się Konstancja.

Odwrócił się powoli i głosem pełnym nienawiści zapytał: — To ilu ja teraz mam tutej szefów? Ilu mam słuchać?

— Na litość boską! — wykrzyknęła. — To śmieszne! — Ale szybko opanowała nagły poryw gniewu. — Nie macie się co złościć — powiedziała. — Po prostu pielęgniarka mówi, że muszę dużo przebywać na dworze, poza domem, bo tam zjadają mnie nerwy. A kiedy tu jestem i wiem, że wy jesteście gdzieś w pobliżu, czuję się bezpieczna. To wszystko. Zrozumcie, że ja też nie mam łatwego życia.

Była to szczerza prawda. Łzy nabiegły jej do oczu, odwróciła się pośpiesznie i wyszła z chaty. Idąc ścieżką, niespodziewanie zaczęła nagle z rozpaczyny gorzko szlochać, zakrywając twarz szalem. Prawie biegnąc przeszła przez las do parku.

Upłynęło parę dni zanim znów poszła do lasu. Choć pozornie spokojna, była wytrącona z równowagi i unikała kontaktu z ludźmi. Dla Clifforda była bardzo miła, ale w gruncie rzeczy był jej tak obojętny, że chwilami nie zauważała jego obecności.

Pewnego wieczoru, po popołudniowej herbacie, wybrała się do lasu, w którym kosi gwizdały w złotawym półmroku, ale nie poszła do chatki. Zeszła w dół do źródła, które bulgotało w studzińce, czyste jak kryształ i lodowato zimne. To prawda, stała tu kiedyś, wyżej na zboczu, chatka albo szałas. Usiadła i trwała bez ruchu w otaczającej ją ciszy. Słuchała głosów bażantów, które przylatywały do karmnika z ziarnem, przed usadowieniem się na noc.

Ale miejsce przy źródle wydało jej się zimne i smutne, jak gdyby nawiedzone przez duchy. Modrzewiowy zagajnik na zboczu też wyglądał posepnie. A rosnąca wzdłuż strugi murawa tchnęła smutkiem i niedolą miejsc, które niegdyś tętniły życiem a potem je utraciły. Kiedyś, w przeszłości, kiedy las był otwarty dla wszystkich, mnóstwo ludzi musiało tu biwakować i gasić pragnienie, bo źródło było sławne... Nie, było smutne.

Wstała i przygnębiona szła w stronę domu. Kosi przestawały już gwizdać i słyszeć było tylko głośny trzepot ptaków, sadowiących się przed nocą na gniazdach. Jakie to było piękne i smutne. Szła wolno, a las zdawał się zamierać wokoło niej. Dogonił ją brązowy spaniel. Obejrzała się. Parkin szedł za nią dotykając dłonią kapelusza.

— Przyniosłem ten klucz, mylady — powiedział.

— Och, dziękuję — odparła zgaszonym głosem. I biorąc klucz, dodała: — Czy mieliście dużo kłopotu?

— Co za kłopot! Nie było żadnego kłopotu.

Wyrzucił te słowa z siebie gwałtownie. Wyraźnie chciał ją teraz uspokoić. Ale nie mógł pohamować wybuchu.

— Wobec tego dziękuję wam jeszcze raz — powiedziała. Potem, kiedy wieczory robiły się coraz dłuższe, chodziła

często po popołudniowej herbacie do lasu i spacerowała przez kilka godzin, a czasem wstępowała do chatki. Na małej polance przed drzwiami ustawione były w krąg kojce, w których kwoki wysiadywały bażancie jajka. Przed zachodem słońca ukradkiem przybiegały bażanty, by uszczknąć trochę rozsypanego przez Parkina ziarna — kury sunęły chyłkiem przez trawę, a koguty nadlatywały płaskim lotem, w całym przepychu barwnego upierzenia.

Konstancja patrzyła na nie, siedząc bardzo cicho. Gajowy przychodził i odchodził spokojnie, niemal okazując życzliwość. Zaakceptował jej obecność i swoją, jako jej leśnego anioła stróża. Nigdy jej się nie narzucał i rzadko się odzywał. Ale kiedy jej niemal przez tydzień nie było, spojrzął na nią uważnie, gdy znów się zjawiła. Trwało jednak dłuższą chwilę, zanim zmusił się do pytania:

— Czyba pani nie chorowała?

— Nie. Pielęgniarka wyjechała na tydzień, więc opiekowałam się sir Cliffordem.

— Ano tak.

Była uszczęśliwiona, kiedy bażancie piskłeta zaczęły wybiegać na trawę. Były takie malutkie i bezradne. Pomagała je karmić. Jak małe, drżące kłębuszki życia stały na jej ręce i dziobały pokarm z dłoni.

Podniosła głowę i spojrzała na gajowego błyszczącymi, wilgotnymi, zachwyconymi oczami.

— Jakie one są śliczne — szepnęła. — Nowe, młodziutkie stworzonka.

— Ta. Małe ptasie niemowlaki.

Powiedział to trochę lekceważąco, ale ze zrozumieniem, a jego brązowe oczy, o rozszerzonych tęczęwkach, dziwnie na nią spojrzały.

Kłęcząca wśród rozbieganych piskląt, płacząc. Czuła w sobie ogromną pustkę. A on, choć chciał się oddalić, stał jak zaczarowany. Nie mógł odejść od tej łagodnej, klęczącej kobiety. Wbrew woli podszedł bliżej i stanął obok, patrząc na jej pochyloną głowę.

— Czyba pani nie płacze? — zapytał zakłopotany. Konstancja skinęła głową, oślepiona łzami i nadal klęczała skulona, z włosami opadającymi na twarz. Parkin znów spojrzął na jej pochylone nisko plecy i, nie zdając sobie niemal sprawy co robi, kucnął przy niej z szeroko rozstawionymi kolanami i delikatnie położył rękę na jej plecach. Płakała dalej, dysząc ciężko. Ciepło jej miękkich, schylonych pleców drgających od szlochu przeszło go tak niepohamowaną żądzą, że wstał, schylił się, podniósł ją z ziemi i przytrzymał w objęciach. Wszystko, czego na świecie pragnął, ześrodkowało się w tej chwili na jej osobie. A ona, gdy ją podnosił, przez ułamek sekundy ujrzała jego rozbłysłe, niezwykle rozszerzone, nie widzące oczy. Przytulił ją gwałtownie do siebie. „Tak! Niech mnie weźmie! Niech robi co chce!” — przemknęło jej przez myśl.

Potem siedział pochmurny i nie odzywał się ani słowem. Trzymał się od niej z daleka. Nawet gdy odchodząc powiedziała miękko: — Do widzenia! — i szukała jego wzroku, nie spojrzął na nią. I były to jedyne słowa, jakie padły między nimi.

Ale następnego dnia wróciła. Nie było go w chacie. Zjawił się najpóźniej, jak mógł, żeby zamknąć kojce. Ściemniało się, senne piskłeta pochowały się pod skrzydła kwok i las zapadał w ciszę. Przyszedł jak duch, bardzo późno, w mżącym deszczu. A ona też wydała mu się duchem, gdy ją ujrzał siedzącą na pieńku i oczekującą go pod daszkiem chaty. Znów wezbrało w nim pożądanie. Ale spokojnie wniósł kojce pod dach, nie dając po sobie znać, że ją zauważył.

Czekała dalej. Może odejdzie, udając że jej nie widzi? Że jej nigdy tutaj nie było?

Ale nie! Dłuższy czas krążył między kojcami, w coraz gęściej szych ciemnościach. W końcu wolno podszedł do niej.

— Późno przyszedłeś! — westchnęła cicho.

— Ta. Zrobiłem to umyślnie. Zawahała się.

— Czy nie chcesz, żebym tu przychodziła? — spytała prawie szeptem.

Spojrzał na nią i błysk jego rozszerzonych źrenic zadał kłam zaciętemu wyrazowi twarzy. Szalała w nim żądza, tym razem był niemal brutalny. Wróciła do domu samotnie, po ciemku, trochę obolała. Ale nazajutrz znowu poszła wieczorem do lasu. Był na miejscu. Podszedł do niej i popatrzył na nią wyzywająco.

— Nie uważasz, że się poniżasz, zadając się z kimś takim jak ja? — zapytał brutalnie.

Spojrzała na niego niepewnie, boleśnie dotknięta. I natychmiast z jego oczami stało się coś, czego nigdy jeszcze u nikogo nie widziała. Pociemniały nagle, ich źrenice rozszerzyły się, rozbłysły w nich tańczące iskierki i stały się bardzo piękne. Podniosła rękę i dotknęła jego twarzy.

— Nie wtedy, kiedy ciebie dotykam — powiedziała. — Jesteś wtedy dla mnie tylko piękny. Ale nigdy nie wiadomo, co mężczyzna sobie potem pomyśli.

— Więc lubisz mnie dotykać? — zapytał cichym, niepewnym głosem.

— Tak, bardzo lubię. To cudowne — jęknęła.

— Noprawde lubisz? Tak jak ja? — rzekł powoli, gwarowo rozciągając słowa, w których zabrzmiało szczere uczucie. Na chwilę zapomniał o dzielącej ich przepaści.

Rozpłakała się i długo nie mogła powstrzymać łez. Stał zdumiony i zakłopotany.

— Nic nie szkodzi — wyszeptwała łykając łzy. — To tylko ze szczęścia.

Tego wieczoru pierwszy raz w życiu zbudziła się w niej żądza. Nagle we wnętrzu jej ciała zadrgały i wybuchły potężne fale wzruszeń, tam gdzie dotąd była pustka, niczym dźwięk rozkołysanych dzwonów rosły i rozbrzmiewały coraz potężniej, aż nowe, oszalamiające doznania wypełniły ją całą, a ona, zatopiona w nich, słyszała, jak gdyby z oddali własne urywane, nieprzytomne okrzyki, podczas gdy cudowne, coraz silniejsze fale wznosiły się i przetaczały przez jej ciało, aż nagle, sięgnąwszy szczytu, zaczęły powoli odpływać i cichnąć w pełni cudownej harmonii, niby echo wielkich, rozkołysanych dzwonów.

Leżała potem, skulona jak nie narodzone dziecko w łonie matki, a wkoło niej pulsowało nowe życie. Kochała tego mężczyznę, kochała go każdym nerwem i wspaniałą duszą swojego ciała, a on czule i nieprzytomnie błędził po jej piersiach wilgotnymi ustami. I nagle znów przywarła do niego całą sobą, w ostatnim przypiływie wdzięczności, który jak potężna fala porwał ją i uniósł ku niemu. Pragnęła zostać przy nim na zawsze. Nigdy, nigdy go nie opuścić. A kiedy odchodziła, by wrócić do domu, ich rozstanie nie było rzeczywistą rozłąką. Jego ciepło otaczało ją nadal i trwało w niej. On zaś wracał przez las, oszołomiony i zafascynowany cudowną, nadludzką potęgą pożądania. Konstancja była z nim nadal, tak blisko jak otaczająca go noc. Zdążyła na czas na obiad. Nie dostrzegła badawczego spojrzenia, jakim obrzucił ją Clifford. Jej twarz tchnęła wewnętrznym żarem, a błękitne oczy były głębokie jak noc. Ale jego nie widziały.

Po obiedzie poprosiła, żeby jej coś przeczytał, a on wybrał Racine'a. Słyszała jego głos, skandujący powoli i z namaszczeniem francuskie frazy. A kiedy robił jakieś uwagi, lub pytał ją o zdanie, podnosiła głowę, patrzyła na niego wciąż płonącymi oczami i mówiła:

— Tak, to jest rzeczywiście wspaniałe. Samo brzmienie tych słów. — Zachęcony jej aprobatą, czytał dalej. A Konstancja, z głową schyloną nad robótką, słuchała gardłowej francuszczyzny, jak zawodzącego w kominach wiatru. Nie docierała do niej ani jedna sylaba.

Przepełniało ją uczucie niewymownego szczęścia, szczęścia nie mającego żadnego związku ze słowami. Czula, że krąży w niej nowa krew, jak gdyby do jej żył przelała się krew tamtego mężczyzny niby świeży, ożywczy powiew wiatru, i przemieniła ją całą. Pulsowało w niej życie i była wewnętrznie rozkołysana, jak lasy wiosną. Nie mogła się oprzeć uczuciu, że

za sprawą tamtego mężczyzny wtargnęło do jej ciała nowe, ożywcze tchnienie, i była jak las szumiący w łagodnym porywie wiatru, rozkołysany i bezgłośnie rozbrzmiewający pączkami. Czuła swoje ciało jak ciemny gąszcz splątanych dębowych konarów, cicho szemrzących i rozśpiewanych miliardami rozwijających się pąków. Tymczasem ptaki wtuliły łebki pod skrzydła i, pogrążone w zachwycie, spały w tym bezkresnym gąszczu, którym było jej ciało.

Z tamtego mężczyzny, z jego ciała zrodził się ów czysty, przemożny wicher, który ją przeniknął do głębi. — To dlatego, że tego chciałam — szepnęła zamyślona. I jak wołanie ostatniego zasypiającego w niej ptaka, w kłębowisku wibrujących w niej uczuć, nieznanego głosu powtórzył: — To dlatego, że tego chciałam.

Przez chwilę pomyślała o tamtym mężczyźnie. Gdzie on teraz jest? Ale jej myśli nie potrafiły błędzić oderwanie. To, co w nim było najlepsze najwyraźniej wrosło w nią i całkowicie się z nią zespoliło. Niczego więcej nie potrzebowała. Chciała być sama, kołysana powiewem, który on w nią tchnął i w którym się odrodziła. Tylko tego pragnęła. Nie zniosłaby niczego powierzchownego, nie mogącego się równać z tym najgłębszym, cudownym związkim.

A tymczasem głos innego mężczyzny, sir Clifforda, bezustannie, miarowo terkotał w jej uszach, dziwnymi gardłowymi dźwiękami. Ani przez sekundę nie słyszała naprawdę tego, co czytał. Tylko jakieś oderwane dźwięki przypominające nieokrzesane wrzaski i wycie dzikusów, tańczących wokół rozpalonego za lasem ogniska. Clifford był umalowanym, wysmarowanym dzikusiem, zawodzącym coś w całkowicie niezrozumiałym bełkocie poza obrębem jej świadomości. A ona nadal przebywała w świętym lesie zmysłów, pogrążona w czystym zespoleniu z tym drugim mężczyzną, które było tak subtelne i inspirujące, jak natchnienie płynące od bogów. Gdy Clifford skończył czytać, spojrzała na niego i zadrżała na widok tej dziwnie nagiej twarzy z drapieżnymi oczami mężczyzny stworzonych przez naszą cywilizację. Było to oblicze najgroźniejszej bestii, obłaskawionej lecz bezgranicznie okrutnej i nieczulej. I w odruchu samoobrony, wiedzioną najgłębszym ze wszystkich naturalnych instynktów, uśmiechnęła się do tego kulturalnego dżentelmena, do obłaskawionego dzikusia, a zarazem pogromcy wszelkich porywów łagodnie krążącej w niej krwi.

— Bardzo ci dziękuję, kochany — powiedziała. — Pięknie czytasz Racine'a.

— Wiesz, coś chyba w tym jest — odparł. — Wrażenie może być trochę stereotypowe, ale zaczynam dochodzić do wniosku, że w rzeczywistości takie są wszystkie nasze uczucia. W dużej mierze sprowadzają się do szablonu. Tyle tylko, że staramy się upiększyć je jakimiś nowymi ozdobnikami czy zakrętasami, na wzór sztuki nowoczesnej, która na ogół jest w bardzo złym guście. Nie mogę pozbyć się uczucia, że takim był Hamlet. Orestes i Fedra sięgnęli o wiele głębiej do korzeni tego samego rodzaju uczuć, bez tak wielu wypaczeń.

— Tak — powiedziała powoli. — Na pewno masz rację. To prawda.

Nie wiedziała czy to, co on mówił, lub co ona odpowiadała, miało jakikolwiek sens. Ale samozachowawczy instynkt podpowiadał jej, że nie należy mu przeczyć, ani go straszyć, lecz utwierdzać we własnym mniemaniu o sobie. Był innego gatunku stworzeniem, obłaskawionym, lecz groźnym. Pomogła mu więc, jak zwykle, położyć się spać i pocałowała na dobranoc, jak gdyby był jakimś dziwnym bożkiem, którego łaski powinna sobie zaskarbiać. — Mein Abgott — szeptała w duchu, całując go spokojnie i obserwując samą siebie, jak inną, nieznaną osobę. „Moje bóstwo. Mój dawny-bożku. Mein Abgott” powtarzała bezgłośnie, gdy on trzymał ją w ramionach, zanim odeszła. A w sercu jej szalała furia, dzikie bestie z dżungli jej duszy, gotowe były skoczyć mu do oczu. Ale powściągnęła je. Nie będzie się na niego złościć. Był upadłym bogiem, który przemienił się w fałszywe bóstwo. Mogła nadal składać temu bóstwu ofiary, ze względu na jego dawną boskość. Będzie dla niego dobra, a nawet wdzięczna mu do samego końca. Był wizerunkiem jej dawnych domowych bogów, jej domowym bóstwem.

Poszła do siebie, na górę. Pielęgniarka, pani Bolton, spała na parterze, obok pokoju sir Clifforda. Uparła się przy tym, gdyż jej pacjent często budził się w nocy i przynosiło mu ulgę, gdy ktoś przychodził z nim porozmawiać. Był dziwnym człowiekiem: na pozór tak dbały o wszystko i wszystkich, w rzeczywistości pozostawał całkowicie w sobie zamknięty. Nigdy nie dotarło do niego technicznie jakiegokolwiek żywej istoty, stworzenia lub rzeczy. Trwał odcięty od wszelkiego kontaktu z życiodajnym oddechem wszechświata. Lubił piękne widoki i kwiaty. Ale przede wszystkim kochał sztukę, obrazy, książki. Tutaj bowiem jego umysł i swoisty krytycyzm mogły, wyżywać się swobodnie. Doznawał prawdziwie estetycznej przyjemności podziwiając książki i obrazy. Pobudzały jego system nerwowy i napępiały go dumą zdobywcy, lub zaspokajały jego arogancką zarozumiałość. Ale to jeszcze bardziej oddalało go do wszelkiego fizycznego współżycia z ludźmi i pozostawiało na mieliźnie, jak gdyby był człowiekiem umarłym dla otaczającego go świata, zdolnym odczuwać jedynie własne gwałtowne napady zachwyty lub irytacji.

Mogłoby się wydawać, że jego ciało przestało istnieć i pozostała z niego tylko siatka nerwów. Z tym wyjątkiem, że odkąd odniósł ową fatalną ranę, która niemal całkowicie zniszczyła jego istnienie, zrodziła się w nim głęboko ukryta niepohamowana chęć życia. Stała się dla niego czymś najważniejszym i cenił sobie teraz wyłącznie to, co mogło go utrzymać przy życiu, w zwykłym fizycznym sensie. Właśnie dlatego stan zdrowia stał się dla niego ważniejszy niż wszystko inne, a jedzenie znaczyło tak wiele, bo go utrzymywało przy życiu. Jak drapieżny ryś pilnował swoich posiłków i w rezultacie jadł za obficie. W swoim wózku, poruszonym ręczną dźwigienką, jeździł codziennie dokoła ogrodu, nigdy się nie zaniedbując ani nie skracając ćwiczenia, które utrzymywało go w formie. Wiedział, że Konstancja osłania go i jej zawdzięcza swój byt. Mógł na niej polegać. Trzymał się jej więc całym wysiłkiem woli i pilnował się, żeby jej nie przeciążyć.

W rezultacie miał się wyjątkowo dobrze, stał się innym człowiekiem. Górna część jego ciała rozrosła się ponad miarę, co uczyniło ją niemal bryłową i ociężałą. Jego twarz, dawniej blada i pociągła, również wypełniła się, zrobiła się szeroka i rumiana, oraz nabrała nowego wyrazu: upartej woli życia. Mimo to jego rysy zachowały dawną wrażliwość, zdradzając krytyczne usposobienie, a bladoniebieskie oczy Anglika błyszcząły nieprzeciętną inteligencją. Ale we wszystkim tym było coś zagadkowego, jakaś osobliwa apodyktyczność, uporczywa wola życia i walka kaleki o prawo do istnienia. I właśnie to go zdradzało, uzewnętrzniając się wbrew jego woli w twardym, niemal aroganckim wyrazie twarzy.

Jak na kalekę, był nadspodziewanie zdrowy. Dokuczala mu tylko bezsenność, często budził się w nocy i długo nie mógł zasnąć. W takich chwilach ogarniał go straszliwy nerwowy lęk, że może za chwilę umrzeć.

Budził wtedy panią Bolton, która przynosiła mu coś do jedzenia, albo zaparzała słabą kawę, grała w karty, warcaby, lub szachy. Uczył ją gry w szachy, a ona, będąc bystrą, inteligentną kobietą, była dumna z szybkich postępów. Chciała nauczyć się wszystkiego, co robią dobrze urodzeni, żeby w ich życiu nie było już dla niej żadnych tajemnic. Wtedy wyrówna z nimi porachunki.

Clifford znalazł więc nową rozrywkę, ucząc tę starą kobietę grać w szachy, a nawet dla własnej przewrotnej zabawy dawał jej lekcje francuskiego. Nie przychodziło jej to łatwo, ale robiła postępy.

Dzięki temu Konstancja miała dużo więcej wolnego czasu. Pani Bolton z przyjemnością opiekowała się Cliffordem i chłonęła wszelkie wiadomości, które mogły dać jej pojęcie o życiu i obyczajach wyższych klas. Nigdy jednak nie rozmawiała z nim o górnikach. Zrobił się teraz zapalonym Biznesmenem. Miał poważne udziały w okolicznych przedsiębiorstwach górniczych, więc szczególnie interesował się kopalnianymi szybami. Rozmyślał, planował, studiował i odbywał długie narady z dyrektorem kopalni i innymi udziałowcami. Bardzo dużo swej siły woli i inteligencji poświęcał rozwojowi dwóch kopalni, z których czerpał większość

swoich dochodów. Poświęcał też część dywidend, a także kapitału, dla unowocześnienia pracy w kopalniach. Teraz ziarno, które rzucał w glebę, zaczynało przynosić owoce. Z nieustającym zainteresowaniem i nie słabnącą uwagą obserwował krzywą, zysków, jak gdyby swoją wolą chciał zmusić kopalnie do tego, żeby się opłacały, i to opłacały sownie.

Ivy Bolton wiedziała o tym wszystkim. Ale w tych sprawach zachowywała całkowite milczenie. Opiekowała się wiernie sir Cliffordem, poświęcając mu część własnego życia, ale nigdy nie zapominała, że należy do nieprzyjacielskiego obozu. W swych usiłowaniach była bezwzględna i spokojnie, bez żadnych skrupułów postanowiła wyzwolić Konstancję spod władzy męża. Nieomal pragnęła, żeby ta młoda kobieta znalazła kochanka w innym mężczyźnie.

Właśnie dlatego uważnie, po kobiecemu, obserwowała twarz Konstancji i instynktownie odgadła, że na coś się zanosi. Tego wieczoru umocniła się w swych podejrzeniach widząc, że Konstancja wróciła do domu z odmienioną, świeżą twarzą, bardzo piękną. Serce wdowy wezbrało tęsknotą za dawnągorącą miłością, która tak okrutnie została jej odebrana. Zapragnęła choćby usłyszeć o takim płomiennym uczuciu.

Zastanawiała się, gdzie Konstancja tego mężczyznę mogła znaleźć. Nigdzie w pobliżu nie było nikogo, kogo można by brać w rachubę. Konstancja często chodziła wieczorem do lasu. Był tam gajowy Parkin. To niemożliwe! Wstrętny, okrutny człowiek. Żadna kobieta ani przez chwilę by o nim nie pomyślała. A jednak! Po kobiecemu wiedziała, że natura obdarzyła go gorącym temperamentem. Zdradzał to choćby jego zadarty nos i małe jak paciorki, dzikie, złe źrenice. Wiedziała też, że był powszechnie znieawidzony. Ale również po kobiecemu wiedziała, że namiętny mężczyzna będąc nienawistny może wzbudzać gorące pożądanie. Wciąż jednak wydawało się jej to niemożliwe. Sir Clifford źle spał tej nocy. A Parkin, wróciwszy do chatki, w której tak niedawno była Ona, długo siedział w milczeniu, z rękami zwieszonymi między kolanami, wpatrując się w ciemność nocy i w gwiazdy, które zdawały się prześlizgiwać między konarami dębów i nie wiadomo dlaczego przypominały mu ciało tej kobiety. Długo patrzył bez ruchu, głuchy na wszystko w ciemną noc, jak gdyby mogło go to zbliżyć do upragnionej kobiety. W końcu wyciągnął się w chatce na słomie i, owinięty w wojskowy koc, spał nieruchomo. Było jeszcze ciemno, kiedy się zbudził. Spojrzał na gwiazdy. Była pewno czwarta. Westchnął na wspomnienie otrzepał i obciągnął na sobie sztruksowe ubranie i zupełnie rozbudzony, cicho jak skradające się zwierzę wyszedł do lasu, zabierając strzelbę.

Szedł cicho, czujnie, szeroko rozwartymi oczami wypatrując w ciemnościach. Ale noc nadal wypełniona była wspomnieniem ciała kobiety. Jak zawsze, cicho i czujnie obszedł wokoło las. Bezksiężycowa noc przejmowała wilgocia i chłodem.

W końcu, gdy na wschodzie zamajaczyła pierwsza blada smuga świtu, zawahał się. Powinien był pójść teraz do gajówki, rozpaścić ogień i coś zjeść. Ale przeważało w nim to inne, nieugaszone pragnienie, więc zawrócił i przeszedł powoli przez las i park. Błade światło poranka przedzierające się przez szare chmury, zwiastowało szary, deszczowy dzień.

Bezbarwny, nieruchomy świat roztaczał się przed nim, kiedy powoli szedł przez park, w stronę domu. Dwór stał na pagórku, z frontem całkowicie odkrytym od strony parku. Wszystkie ogrody znajdowały się za nim. Tylko podjazd, omijając kilka ogromnych, starych drzew, piął się zakolem aż pod same schody, nie zasłaniając otwartej, porośniętej szorstką trawą przestrzeni, która rozciągała się między nim i dworem.

Pani Bolton modliła się, by nadszedł świt. Sir Clifford bardzo długo nie mógł tej nocy zasnąć. Kiedy się rozwidni, na pewno znów usnie. Rozsunęła zasłony w jego sypialni i zgasiła światło. Potem przeszła przez rozsuwane drzwi do przyległego gabinetu i podeszła do frontowego okna, wychodzącego na park. Jeśli wpuści jak najwięcej dziennego światła i sir Clifford upewni się, że już dnieje, na pewno znów zaśnie. A ona będzie mogła kilka godzin odpocząć, zanim o dziewiątej poda mu śniadanie.

Kiedy cicho rozsuwała zasłony, zobaczyła mężczyznę, stojącego nieruchomo pośrodku drogi, w pewnej odległości od domu i wpatzonego w dom. W szarym świetle świtu dostrzegła, że to gajowy stoi ze strzelbą w ręku. Nie było w tym nic dziwnego, bo zwykle o świcie wychodził na obchód. Stał sztywno wyprostowany i dokładnie mu się przyjrzała. W tej nieruchomej, niemal chłopięcej postaci, okrytej płaszczem z długimi połami, coś nieuchwytnego zdradzało mężczyznę otumanionego miłością. Wyglądał trochę śmiesznie, jak zakochany pies, daremnie warujący pod domem swej ukochanej. Uśmiechnęła się do siebie, posepnie. — Kto by to pomyślał — szepnęła. — To zupełnie nie do wiary! — I cicho klasnęła językiem o podniebienie z udaną troską o młodą żonę sir Clifforda, lady Chatterley, która zadaje się z gajowym swego męża. — Można by się spodziewać, że poszuka sobie kogoś lepiej urodzonego.

Ale pomimo wszystko, pani Bolton triumfowała. Sama nie wiedziała dlaczego, ale tak było. Co więcej, postanowiła trzymać całą rzecz w tajemnicy. A nawet nie dopuścić, żeby ktoś inny się o tym dowiedział. Będzie osłaniała Konstancję. I nigdy nie pozwoli, żeby jakieś plotki doszły do sir Clifforda, jeśli tylko potrafi temu zapobiec. Gajowy! Jeśli o to chodzi, Parkin niewiele różni się od jej zmarłego męża, który miał tylko dwadzieścia osiem lat, i na zawsze pozostanie młody. A ona, mylady, też nie tak bardzo różni się od Ivy Bolton, jeśli już mówić całą prawdę. Miała nadzieję, że ten Parkin zachowa się przyzwoicie. W tym leżało całe niebezpieczeństwo. Żeby tylko okazał się przyzwoity. W każdym razie wygląda na to, że jest dobrym kochankiem. Zerknęła do sąsiedniego pokoju, gdzie sir Clifford spał, z twarzą zasłoniętą potężnym ramieniem. — Nigdy się nie dowiesz, jeśli potrafię temu zapobiec — szepnęła i cicho wysunęła się do swego pokoju.

I kiedy potem kobiety we wsi uzalały się nad lady Chatterley, że jest żoną-zakonnica, pielęgniarka Bolton mówiła: — Coś mi się zdaje, że się mylicie. Ja też tak na początku myślałam, ale potem musiałam zmienić zdanie. Mówię wam, że sir Clifford jest stuprocentowym mężczyzną, chociaż wiem jak trudno wam w to uwierzyć. Tak, nigdy byście w to nie uwierzyły, ale oni mają nadzieję doczekać się dziecka. Właśnie tak! A ja wcale się temu nie dziwię.

Mówiła to zadowolona, znów triumfując. Dzień był dżdżysty. Konstancja nadal chciała być sama. Przez całe rano zajmowała się domowymi sprawami, a po obiedzie wybrała się do miasteczka samochodem, który jej kupił sir Clifford. W tym dżdżystym dniu okolica wyglądała szkaradnie, wiosna tu jeszcze nie dotarła. Samochód ciężko pchał się pod górę przez Tevershall, ciągnącą się nieskończenie drogą wśród ciemnoczerwonych domków z błyszczącymi czarnymi dachami z łupku, płaskimi jak pokrywki garnków. W oknach nędżnych sklepików widać było stosy mydła, pęki różowego rabarbaru lub beładnie rozrzucone tekstylia. Potem mijało się jedną po drugiej kaplice: baptystów, metodystów, kongregacjonistów, prezbiterianów i jeszcze inne, ale wszystkie równie ponure i brzydkie. Na szczycie wzgórza wznosił się stary kościół i stały stare kamienne domy — pozostałość rolniczego osiedla, z okresu zanim zjawiły się tutaj kopalnie.

Tevershall leżało na gruntach Wragby Hall, ale Clifford i Konstancja unikali wszelkiego z nim kontaktu. Miasteczko służyło zaspokajaniu potrzeb górników, którzy byli tu niemal jedynymi mieszkańcami. Nie lubili Chatterley'ów. Najlepiej więc było pozostawić tę osadę własnemu losowi. Mieszkańcy Wragby Hall nie interesowali się nią i rzadko kiedy pojawiali się na tym dwumilowym paśmie nędzy i szpetoty. A jednak, pomyślała Konstancja, on się wychował, a teraz jego stara matka żyje tu w jednym z tych domków, z jego dzieckiem! I on jest stąd.

Westchnęła. To ta beznadziejna, ponura brzydota tak ją przygnębia. Przywykła do Sussexu i łagodnego starego domu w kotlinie, wśród kredowych pagórków. Nigdy się nie przyzwyczai do tego okropnego górniczego rejonu północno-środkowej Anglii. A jednak w jakiś sposób też go polubiła. Wzruszała ją panująca tu atmosfera surowej męskości, ślepego,

nieustępliwego hartu tych ludzi. Gdyby tylko zdali sobie sprawę, jak tu brzydko i choć trochę postarali się to odmienić.

Samochód wjechał na górę i kierowca skręcił w stronę Stacks Gate. Trochę dalej na lewo, Konstancja zobaczyła kładącą się cieniem nad falistą okolicą, potężną bryłę zamku Bolsover. Ale za nią i niżej, gęstą masą różowiły się tynki nowszych domów i w wilgotnym kwietniowym powietrzu wznosiły się nad kopalniami pióropusze czarnego dymu i białej pary.

Na skrzyżowaniu dróg stał wielki, nowy, wspaniały, czerwony i złocony gmach Coningsby Hotel. Opodal ciągnęło się samo Stacks Gate, czternaście rzędów nowych, czyściutkich różowych domków, jak gdyby przypadkiem wzniesionych na przerażonych tym faktem polach. Za nimi, potężnymi słupami pary dymiła wielka, nowa, bardzo bogata kopalnia, nowoczesnie wyposażona we wszystkie urządzenia do produkcji ubocznej. Tutaj, oczywiście, nie było już żadnej kaplicy bądź kościoła, ani nawet sklepu z prawdziwego zdarzenia. Tylko ta wielka kopalnia pyszniła się, jak wspaniałe dzieło diabła, na jednym końcu osady, a na drugim ogromny hotel. Był on właściwie zwykłą górniczą gospodą, ale tak samo jak kopalnia miał wszystkie nowoczesne urządzenia do produkcji ubocznej. Mieszkańcy napłynęli gromadnie. Stacks Gate powstało już za czasów pobytu Konstancji we Wragby i ludzie ci zjechali się tutaj tak licznie nie wiadomo skąd, w ciągu zaledwie paru lat jej małżeńskiego życia.

Samochód wjechał na kolejne wzgórze i oczom Konstancji ukazało się Hardwick, wspaniały gmach w elżbietańskim stylu, rysujący się szlachetną linią na tle dużego parku. Ale znów, tuż za zakrętem, zjechali w dół, między stare i poczerniałe, niegdyś różowe domki górników, po obu stronach drogi wiodącej do starego miasteczka Uthwaite, którego strzelista wieża kościelna sterczała w niebo, w bezpośrednim sąsiedztwie „fabryk” — kopalni i hut.

Uthwaite było pozostałością bardzo starego miasteczka, przycupniętego w kotlinie, u stóp rozległego, ciągnącego się nad nią płaskowzgórza, skąd liczne zamki i duże rezydencje dominowały nad całą okolicą, niby wspaniałe lwy. Teraz jednak w Uthwaite zbiegały się i splatały tory kolei, a naokoło kopalnie, huty i fabryki dymiły sadzą i parą, zatruwając powietrze i osmalając stare mury miasteczka. Po obu stronach nowo wybudowanych dróg przelotowych tłoczyły się wzdłuż starych, krętych uliczek, hordy obdrapanych, czerwono-czarnych górniczych domków, a na rozległej przestrzeni, gdzie zamki i rezydencje wciąż jeszcze wznosiły swe mury, dym walczył o lepsze z unoszącą się w powietrzu parą i coraz to nowe osady górnicze pokrywały liszajami okoliczne stoki. Wszystko mie szło się razem i chociaż wspaniałe domy, twierdze ludzi nadal majaczyły w oddali, stały przeważnie porzucone i puste, jak spękane skorupy. Właśnie zaczęto rozbierać stary dwór w Fritchley. Był zbyt wielkim, bezużytecznym zabytkiem przeszłości. Konstancja czuła, że zapadł wyrok i dawny świat skazany jest na zagładę. Czuła, że Wragby też czeka ten sam los. Wielcy posiadacze ziemscy zakładając kopalnie wydawali wyrok na stare siedziby swoich przodków. Nowe wypierało stare.

Przez długi czas Konstancja buntowała się przeciwko straszliwej szpetocie środkowo-północnej Anglii. Była nie do zniesienia. A nawet podczas swego krótkiego tutaj pobytu dostrzegła, jak się rozrasta. Teraz padał ofiarą dwór w Fritchley, za rok to samo stanie się z Shipley, niezwykle piękną rezydencją z 1760-go roku, z cenną sztukaterią, łagodnymi krągłymi wykuszami oraz komnatami wyłożonymi boazerią lub ozdobionymi delikatnymi malowidłami. Sam król Edward lubił ten dwór i chętnie w nim przebywał, odpoczywając w jego ciepłej atmosferze. A „dziedzic” Manby, jak go w okolicy nazywano — jakże kochał ten dom i pojedynczo rosnące wokół stare, wspaniałe buki!

Dziedzic Manby umarł, i jego spadkobiercy odziedziczyli bogactwo płynące z kopalni. Ale szyby podeszły już nieomal pod próg zamku. Droga przez park była otwarta dla wszystkich i zgraje górników wałęsały się i odpoczywały nad stawem, jak gdyby nie mogli zająć się jakąś pracą. Stary dumny dziedzic nie zwracał na to uwagi. — Górnikom

zawdzięczam mój dochód — mówił. — Są taką samą ozdobą parku, jak biegające po nim jelenie. — Powiedział to do króla Edwarda.

— Zgadzam się — odparł król. — Gdyby pod trawnikiem w Sandringham znajdowało się złożo węglowe, założyłby kopalnię i uważał ją za malowniczą dekorację ogrodu.

Ale było to poprzednie pokolenie, a może nawet jeszcze wcześniejsze.

Teraz w Shipley nie było już wspaniałych buków, a ogołocony park wyglądał niesamowicie. Stara rezydencja miała ulec rozbiórce. Na jej miejsce wyrosną rzędy domków. Obecni właściciele mieli dom w mieście, wiejski dom w Szkocji i willę w okolicy Nicei. Nienawidzili Shipley.

Konstancja wiedziała o tym. Znała Manbych i całe sąsiedztwo. Dosłownie wszyscy złożyli Chatterleyom wizytę, bardzo życzliwie i serdecznie ofiarowując jej... co? Na pewno nie bliską przyjaźń. Znajomość! Księżę i księżna Coningsby, potomkowie najważniejszego tutejszego rodu, byli uprzedzająco uprzejmi. Biedny Clifford. Właśnie to! „Ten biedny, młody sir Clifford Chatterley”. — Och, jacy ludzie potrafią być serdeczni, gdy komuś współczują!

Serdeczni! Czy była to naprawdę serdeczność? Przypomniała sobie Parkina i jego rozszerzone pożądaniem źrenice, w których migotały żywe iskierki. I szczególny żar namiętności tak gwałtowny, że iskierki zmieniały się w błyskawice. Serdeczność? Zaczynała podejrzewać, że wiele owych dawnych, pięknie brzmiących słów utraciło znaczenie, podobnie jak kwiaty, które zwiędły, pozostawiając tylko sztywne, suche łodygi. Serdeczność? — Och tak, ludzie przywiązują szczególną wagę do tego, żeby okazywać serdeczność Konstancji i mnie — powiedział kiedyś Clifford lady Ewie. — Ale co to było warte... czy okazywanie serdeczności rzeczywiście obowiązuje?

Konstancja odsunęła od siebie te myśli, kierowca zatrzymał bowiem samochód w krętej, wąskiej uliczce na zapleczu kościoła w Uthwaite. Wysiadła na chodnik. Policjant zasalutował i wstrzymał dla niej ruch. Przynajmniej tutaj, w sercu tego starego miasteczka była nareszcie mylady. Przeszła przez jezdnię, do starej drogerii.

Spędziła w Uthwaite trochę czasu, robiąc zakupy i gawędząc z paru spotkanymi osobami. Wypiła nawet filiżankę herbaty w czystej, zabawnej maleńkiej herbaciarni. Miło było być panią swojego czasu, choćby tylko przez godzinę. Poczula się tak, jak gdyby była znów w Londynie, uczęszczała do Akademii Rysunku i w pośpiechu wpadała do herbaciarni i restauracji.

Kiedy wracała do domu, znów zaczął padać deszcz. Wyglądała przez szyby samochodu. Nie! Nie pójdzie dziś wieczorem zobaczyć się z Parkinem. Nie dzisiaj... Ale myślała o nim i o pięknie jakie dostrzegła w nim, w jego ciele i czystym zmysłowym zapamiętaniu, w przebłyску piękna mimo nieokrzesańcia i pospolitych rysów, oraz o jakiejś dziwnej wrażliwości, kruchej i pięknej jak rozkwitły krokus. Myśląc o tym, szczerze współczuła tej straszliwie oszpeconej okolicy oraz jej dziwnym, odrażająco brzydkim mieszkańcom. Może wielu z nich też nosi w sobie ukryty płomień czulej namiętności, szczerzej i szlachetnej. Ale jednocześnie są tacy straszliwie nieokrzesańciani, ograniczeni i topornie brzydacy.

— Gdyby można było otworzyć im oczy i przeżywać wraz z nimi piękno świata — mówiła do siebie samej, myśląc o Parkinie. — Piękno żywych istot! Gdyby można było w nich to rozbudzić! Zapomnieć o sztuce i estetyce, które zawsze w jakiś swoisty sposób wiążą się ze snobizmem. Spójrzcie tylko na niego! Jest piękny! Nawet jego twarz, kiedy łagodnieje i robi się świeża jak kwiat. Muszę mu to powiedzieć. Tak, powiem mu to. Ci ludzie są tak okrutnie odarci ze swego naturalnego piękna. A jednak czuję, że ono gdzieś w nich tkwi, nawet kiedy są tacy brzydacy. Mają jednak w sobie załazek czułości, który w przyszłych pokoleniach może rozkwitnąć i zaowocować życiem godnym człowieka. Powinno się to tylko rozwinąć. Och, jakże błędny jest nasz system wychowawczy! Jak niegodziwie ich traktujemy!

— Wypiłam już herbatę w Uthwaite — powiedziała do Clifforda.

— Wypiłaś, kochanie? W herbaciarni, u panny Bentley? Co porabia ta nasza pszczołka?

— Jest taka sama, jak zawsze — odparła Konstancja.

Panna Bentley była starą panną z ciemnymi włosami i szerokim nosem, która celebrowała podawanie herbaty z takim nabożeństwem, jak gdyby rozdawała sakrament.

— To naprawdę godne pochwały — powiedział Clifford — wkładać tyle duszy w przygotowywanie herbaty, jak to czyni panna Bentley. Tyle tylko, że ten cejloński gatunek wcale na to nie zasługuje. Panna Bentley byłaby wspaniałą kapłanką w jakiejś świątyni dziewic. Czy pytała o mnie?

— Och tak, oczywiście. — I Konstancja zaczęła mówić stłumionym głosem, udając pannę Bentley. — Czy wolno mi zapytać, jak sir Clifford się czuje, mylady?

Clifford roześmiał się.

— Czy powiedziałaś jej, że po prostu kwitnę?

— Oczywiście. Powiedziałam, że masz się wspaniale i żeby wstąpiła do Wragby odwiedzić cię, jeśli wybierze się kiedyś do Tevershall.

— Co ci strzeliło do głowy! Wyobrażasz sobie jak głupio będę wyglądał, kiedy panna Bentley będzie chciała nieomal pocałować mnie w rękę. Wiem, że zrobiłaby to, gdyby jej starczyło odwagi. Co ci odpowiedziała?

— Zaczerwieniła się i na chwilę skromnie spuściła oczy. Wyglądała wtedy zupełnie młodo. Musiała być kiedyś bardzo ładna. A potem dodała, że chyba się nie ośmieli.

— Nie ośmieli się! — roześmiał się Clifford. — Cóż to za pocziwa stara dziwaczka! Czy sądzisz, że darzy mnie jakimś szczególnym uczuciem?

— Myślę, że tak. Jesteś przecież *preux chevalier* jej wyobraźni.

— Przypuszczam, że właśnie w ten sposób rodzili się *preux chevaliers* odparł.

— Oczywiście. I wielu naprawdę stało się potem bohaterami.

— Tak myślisz? Nie jestem pewny. W każdym razie to była piękna bajeczka.

Spędzili razem miły, spokojny wieczór. Padał deszcz i na dworze było bardzo ciemno. Konstancja pomyślała o tamtym mężczyźnie. Ale, kiedy zapalono lampy, przestała już o nim myśleć.

— Posłuchaj, Kon — powiedział Clifford, napełniając po kawie fajkę tytoniem. — Czy naprawdę jest ci obojętna kwestia twojej nieśmiertelności?

Spojrzała na niego uważnie. Był w doskonałej formie i znakomicie wyglądał.

— Nie zastanawiam się nad tym — odparła.

— Ha! — powiedział przeciągle. — Tak, dla ciebie to nie jest problem. Ale wydaje mi się, że dla mnie jest najważniejszy. Czy chcesz powiedzieć, że naprawdę nic cię nie obchodzi, czy jesteś, albo nie jesteś, nieśmiertelna?

— Nie bardzo wiem, o jaki rodzaj nieśmiertelności ci chodzi.

— Ależ tak! Wiesz doskonale! Chodzi o to, czy twoja dusza, ty sama, bądź twoje wewnętrzne „ja”, nazywaj to sobie jak chcesz, osiągnie stan... powiedzmy... doskonałości. A będąc doskonale, będzie żyć własnym życiem w nieskończoność.

Konstancja odłożyła na bok robótkę, uważnie słuchając.

— No cóż! — powiedziała po chwili wahania. — Muszę się przyznać, że naprawdę nie bardzo mi zależy na wlekącej się w nieskończoność nieśmiertelności.

— Ale jak będziesz umierała?... Przecież wszyscy musimy umrzeć.

— Wiem o tym. Ale jak będę umierać — zmarszczyła brwi — myślę, że będę miała dość wiary, żeby to przyjąć z radością i resztę zostawić Bogu.

— A więc naprawdę nie zależy ci na tym, co się z tobą stanie po śmierci?

— Nie tak bardzo. Powiedzmy, że nieznanne moce, które mnie powołały do życia, znów uniosą mnie stąd w swoich ramionach. Niemowłę wie przed swoim urodzeniem, że się urodzi i na tym poprzestaje. Ale nie wie nic o tym, czym są urodziny i na czym to polega... w ogóle nic. W taki sam sposób ja się odnoszę do śmierci. Wiem, że umrę i będę stąd zabrana. Ale nie

mam pojęcia gdzie, jak, kiedy i dlaczego... i na pewno nie potrafię sobie tego wyobrazić. Zdaję się więc na łaskę losu, podobnie jak nie narodzone niemowlę.

— A idee Platona, niebo i wszystkie te rzeczy nic dla ciebie nie znaczą?

— To są obrazy! Stwarzają tylko wyobrażenia. Ale znaczą tyle samo, co galeria obrazów. Jestem tam widzem, ale mnie nie ma na tym obrazie. Gdybym próbowała się na nim umieścić, byłoby to tylko męczące i bezcelowe... Nie! Myśląc o niebie, ideach Platona i wszystkich tych rzeczach, czuję się tak, jak gdybym była w National Gallery, lub w Uffizi. Oglądam ładne, lub bardzo ładne dzieła, ale świat jest na zewnątrz, poza nimi, a moje życie toczy się w tym właśnie świecie. Pociągnął z fajki.

— Czy chcesz przez to powiedzieć — wykrzyknął — że twój abstrakcyjny odbiór znaczy dla ciebie więcej niż wszystko inne? Niż na przykład panna Bentley?

— Panna Bentley, kiedy odprawia ceremonię nad swoim nożem do masła, nie interesuje mnie wcale. Ale kiedy się zaczerwieniła i przez chwilę wyglądała jak zawstydzona dziewczynka, znaczyło to dla mnie tyle samo co Plato, lub Tycjan.

— Czy to możliwe? — zapytał zdumiony. — Dlaczego? Zapadło milczenie. Nie wiedziała co mu odpowiedzieć. Ale czuła, że coś musi Cliffordowi ostatecznie wyjaśnić: na przykład dokładnie określić własne wyobrażenie nieśmiertelności i nie poddawać się wiecznie jego kryteriom.

— Nieśmiertelność nie może być czymś, co znamy. Może być tylko czymś odczuwanym — powiedziała po dłuższej chwili.

— Ale nie możemy jej odczuwać za życia, bo poznamy ją dopiero po śmierci! — zawołał.

— Dlaczego? — zapytała i urwała oszołomiona. — Uważam to za bardzo niemądre — dodała po chwili. — Jeżeli teraz nie czuję, że jestem nieśmiertelna, co za sens miałoby zamęczać się tym później? Kiedy pierwszy raz naprawdę wzruszył mnie obraz Tycjana... przedtem zawsze uważałam jego nagie kobiety za niemądre i nudziły mnie... ale kiedy pewnego dnia w całej sobie nagle odczułam to łagodne, promienne piękno, piękno ciała... powiedziałam sobie wyraźnie: to właśnie jest nieśmiertelność ciała.

— Masz na myśli sztukę Tycjana — powiedział.

— Bynajmniej! Jego dzieła tylko odkryły mi to, co potem potrafiłam już dojrzeć w ludziach... nieśmiertelność ciała. Zobaczyłam to w panie Bentley, kiedy się zarumieniła.

— Ale nie, kiedy przyniosła nóż?

— Nie, wtedy nie.

— Dlaczego?

— Bo robiła mnóstwo hałasu o byle głupstwo.

— No ale przecież — roześmiał się — jej ciało się nie zmieniło.

— Ależ tak! Zmieniło się.

— Czy we mnie także czasem widzisz tę nieśmiertelność ciała? — zapytał.

— Czasem tak.

— Na przykład kiedy? Teraz ją widzisz?

— Teraz nie.

— Dlaczego?

— Bo się uzbroiłeś.

— Więc kiedy jestem bezbranny... nie wtedy, kiedy jestem uzbrojony? — droczył się z nią.

— Kiedy składasz broń i wyglądasz trochę bezradnie. Jeżeli wiesz o co mi chodzi.

— A kiedy tak wyglądam?

— Tylko czasem. Jak jesteś trochę smutny i nie rozmyślasz, albo kiedy jesteś wesoły, bo wiesz że wracasz do zdrowia. Albo kiedy nagle wpadasz w złość.

Milczał przez dłuższy czas, a potem powiedział z goryczą:

— Zapewniam cię, że gdy patrzę na swoje bezwładne nogi, trudno mi dostrzec nieśmiertelność ciała.

Ton jego głosu był niemal cyniczny, coś w nim ją przeraziło. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegł ją: „Nie posuwaj się za daleko”. Nagle zdjął ją lęk przed nim, jak gdyby było w nim coś szatańskiego.

— Cliffordzie — powiedziała szybko, patrząc mu w oczy. — Wiesz, że jestem do ciebie bardzo przywiązana i chcę, żeby zawsze tak było. To, co się stało z twoimi nogami, nie ma żadnego znaczenia. Pozostałeś sobą.

— Pozostałem sobą! — powtórzył. — Właśnie! Ale żywą istotą stanę się dopiero wtedy, gdy się wyzwolę z ciała. Nie wcześniej!

— Nic podobnego! Jesteś żywą istotą! Pomyśl jak wielki udział bierzesz w życiu, choćby w moim.

— I jakiego udziału nie biorę, choćby w twoim życiu.

— To nie ma znaczenia.

— Ale dla mnie ma! Kobiety Tycjana! Nieśmiertelność ciała! Czy przypuszczasz, że nie wiem co masz na myśli, chociaż może sama nie zdajesz sobie z tego sprawy?... Mam nadzieję, że znajdziesz mężczyznę, który będzie ciebie kochał i da ci dziecko... nieśmiertelność ciała, której szukasz.

— Czy miałbyś mi za złe, gdybym miała dziecko, Cliffordzie?

Spojrzał na nią szybko.

— Gdybyś miała czyjeś dziecko? — zapytał.

— Nie wiem. Ale czy miałbyś mi za złe, gdybym je miała z jakimś innym mężczyzną?

— Czy mogłabyś mi obiecać, że to będzie Duch Święty? — zapytał ironicznie.

— Być może... — szepnęła. — Właśnie Duch Święty. Umilkli na chwilę.

— Dlaczego o to pytasz? Czy spodziewasz się dziecka?

— Nie — szepnęła. — Jeszcze nie.

— Jeszcze nie! Co to znaczy: jeszcze nie?

— Czy będziesz mi miał za złe, jeśli urodzę dziecko? — powtórzyła Konstancja.

— Pytałem czyje to będzie dziecko.

— Ale czy musisz o to pytać. Niech to będzie Duch Święty, jeśli to coś uprości.

— Ale mnie nie pomoże. Widzę tylko jakiegoś, takiego czy innego mężczyznę, który pewnie nigdy nie był na wojnie, więc...

Znów na chwilę umilkli.

— Dlaczego musisz koniecznie wiedzieć kto będzie tym mężczyzną? — zapytała łagodnie.

— Czy nie mam prawa?

— A czy masz prawo?

Znów nastąpiła długa chwila ciszy.

— Nie, na Boga! Zapewne nie mam — powiedział nagle. — Przypuszczalnie nie mam prawa mieć nawet żony... która jest nią tylko z pozoru i dlatego, że nosi moje nazwisko. Nie, nie mam prawa. Nie mam do ciebie żadnego prawa. Możesz pójść do każdego mężczyzny, który ci się spodoba.

— Na litość boską, posłuchaj Cliffordzie! Kocham cię. Nauczyłeś mnie tylu rzeczy...

(W oryginalnym maszynopisie brakuje stron 87—90)

— Wybieram się dziś po południu do Nottingham, do dentysty — powiedziała. — Podejrzewam, że z moim zębem coś jest nie w porządku.

— Do Nottingham? — zapytał ze szczególnym naciskiem. Zacerwieniła się gwałtownie. Ton, jakim to powiedział,

miał jej dać do zrozumienia, że wszystko może się kryć za tą wizytą.

— Umówiłam się na trzecią i muszę zaraz jechać — odparła.

— Wrócisz na obiad?

— Na pewno.

— Och, na pewno!

Jego powątpiewanie było obraźliwe. Konstancja znów się gwałtownie zaczerwieniła. Ale pojechała. Zaczął ogarniać ją gniew. Chciała być z nim szczerą i przypomnieć mu jego stanowisko w tej sprawie. Tymczasem wyglądało na to, że poruszyła gniazdo żmij. Siedziała w samochodzie sztywno, nie zdając sobie sprawy co się wokoło niej dzieje. Wzdrygnęła się, gdy kierowca otworzył drzwiczki i zapytał dokąd chce pójść. Samochód stał na środku rynku. Była tak spięta nerwowo i zamyślona, że półtoragodzinna jazda umknęła jej świadomości. Odwiedziła dentystę, wypila filiżankę herbaty, załatwiła kilka sprawunków i ruszyli w drogę powrotną. Była zdumiona, że myśląc o Cliffordzie czuje taką zapiekłą nienawiść. W jaki przemyślany, okrutny sposób tyranizował ją cały czas! Podporządkował sobie jej życie, usiłował podporządkować jej wolę i nawet jej myśli nigdy od niego nie były wolne. Jaki zimny był w rzeczywistości! Z jakim zimnym wyrachowaniem postanowił nią zawładnąć. Tak, zachowując pozory, robił to z podstępą, zimną premedytacją. Może zresztą sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Może działał w nim instynkt, zimny i zdradliwy, jak u węża: omotać ją i obezwładnić.

Teraz dopiero zrozumiała dlaczego jej siostra, Hilda, tak go nie lubi. Konstancja powiedziała kiedyś: — Wiesz, Hildo, wydaje mi się, że nienawidzisz Clifforda. — Na co usłyszała: — Nie, tak źle nie jest. Ale go nie lubię. Jestem za dumna, żeby go lubić. — Wtedy Konstancji wydało się to raczej zabawne. Ale w głosie Hildy zadźwięczała nuta zimnej pogardy. Konstancję to zaniepokoiło. Nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś mógł gardzić Cliffordem. Był przecież bardzo miły i taki szlachetny.

Nagle jednak dostrzegła jego chłodny, bezwzględny egoizm. Pod maską, szlachetnego tolerancyjnego dżentelmena, jego nieubłagana silna wola działała z precyzją nieludzkiego mechanizmu. Nagle ujrzała zimne cielsko węża, oplatające ją coraz ciaśniej i wzdrygnęła się ze wstrętem.

— Nie! — powiedziała głośno. — Tego nie zrobisz. — I w jej oczach pojawił się nowy, surowy, mściwy wyraz. A ten drugi mężczyzna? Czy okaże się taki sam?... Przemyślnym, podstępnym tyranem? Wiedziała, że żona nazywała go tyranem. Czy też jest jednym z nich?

Pomyślała o Parkinie, i o jego nieruchomej, wrogiej twarzy. Tak, on też może okazać się tyranem. Ale nie tak zdradzieckim i skrytym, jak Clifford. Z nim, będzie to starcie dwóch woli, może ją spotkać pewna brutalność z jego strony. Kiedy się spotka ze sprzeciwem, może się stać brutalny, wstrętny i złośliwy, jak osaczone zwierzę. Ale nigdy nie będzie oziębły. Mógł warczeć, gryźć i zachowywać się jak zwierzę. Ale był pozbawiony tego czystego, niematerializowanego chłodu, z którym Clifford niepostrzeżenie, cal po calu, podpełza coraz bliżej upatrzonego celu i powoli, pierścieniami swej ukrytej woli oplata ofiarę. Takie to subtelne, nienawistne, a jednocześnie jakoś dziwnie nieskazitelne. Wszystko co robił wydawało się czyste, jasne i nienaganne. To było takie okropne! Ta jego nienagannie szlachetna wola, która w końcu ujarzmi ją i unicestwi. Tak, po pewnym czasie stanie się bezdusznym automatem, całkowicie zależnym od woli Clifforda, myślącym tylko tak jak on jej podyktuje i kierującym się tylko takimi uczuciami, jakie on pozwoli jej ujawnić. A przez cały ten czas Clifford zachowa pozory wuzutego z egoizmu, wyrozumiałego, skromnego dżentelmena o nienaganych manierach. Pozostawi jej na pozór całkowitą swobodę. Z jego ust nie padnie żaden rozkaz, nigdy nie powie: — Musisz! Nie wolno ci! Nie pozwolę ci na to! — o nie, nigdy, przenigdy! Pozornie zawsze i w każdej sytuacji pozostawi jej wolny wybór. I przez cały czas niepostrzeżenie będzie ją okradał z wszelkich możliwości decyzji, aby zawsze musiała wybierać to, co jemu odpowiada.

Albowiem on jest absolutnym władcą całego swego wszechświata, a ona tylko nieużytecznym przedmiotem. Jego nieśmiertelność, jego niebo czystej prawdy, wzniosłe ideały, promienne światło, to tylko on sam, on jeden, wyniesiony do potęgi absolutu po wypaleniu wszystkiego co jest mu zbędne. Nie ma miejsca dla niej, nie ma miejsca dla niczego w jego wszechświecie. Gdyby się tam znalazła, w tym ostatecznym, białym żarze, musiałyby się spalić, unicestwić, stać się częścią w jego ostatecznym przeistoczeniu.

Wzdrygnęła się z obrzydzeniem i zawrzał w niej bunt.

— Nie! — wykrzyknęła. I powtórzyła: — Nie, nigdy!

Czuła, że wszystko to jest niegodne i nieuczciwe. Teraz lepiej rozumiała Hildę, jej bunt i rzucający się w oczy wewnętrzny spokój po opuszczeniu męża, który z właściwym sobie nietaktem, w gruncie rzeczy był taki sam, jak Clifford. Żądał, by Hilda podporządkowała się jego nieśmiertelności. Musi rozpuścić i swój nędzny śmiertelny byt w jego nieśmiertelności.

— Uff! Jakie to ohydne! Jak odrażająca jest ta anielsko nienaganna tyrania. Przynajmniej pod tym względem gajowy jest lepszy. Nie zakłada z góry swojej nieśmiertelności, nie uważa że jest absolutem. Może żądać od żony, by gotowała mu obiad i łątała ubranie, ale nie wysysa z niej przez cały czas duszy, jak uczepiona do gardła łasica. Co to, to nie. Mógł ją jawnie tyranizować i nawet uderzyć w twarz. Ale ostatecznie nie było to jeszcze najgorsze. Toczyli ze sobą otwartą wojnę. Jeśli musi być wojna, lepiej niech będzie otwarta.

I oczywiście między nimi będą tylko krótkie i rzadkie okresy wojny. Kiedy oczy gajowego rozszerzały się i migotały w nich błyskawice pożądania, czuła że się odradza i staje realna. Dała mu coś z siebie samej. To prawda. Ale nie uległa jego tyranii, tylko szczeremu, nagłemu pożądaniu. Ulegając mu czuła się o wiele bardziej sobą, odradzała się.

Tyrania jest nikczemna. Wszystkie jej rodzaje. Tego była zupełnie pewna. Ale o wiele gorsza od fizycznej tyranii, która grozi ciosem pięści, jest ta cicha, pozornie nieposzlakowana tyrania duchowa. Nie, nigdy na to nie pozwoli! Utraciłaby swoją duszę.

Przez chwilę myślała, że lepiej będzie, opuścić Clifforda i odejść z gajowym. Kupi jakąś małą farmę w Szkocji i tam z nim zamieszka. Ma dość własnych pieniędzy. I Hilda by pomogła, gdyby było trzeba. Mogliby tam nawet zamieszkać wszyscy razem.

Ale potem coś w niej się sprzeciwiło. Nie! Nie wolno wrywać go z jego środowiska. Nie wolno nawet w najłagodniejszej formie próbować zrobić z niego dzentelmena. To by tylko wprowadziło chaos. Nie! Nie powinna nawet wpływać na niego, żeby rozwinął się umysłowo, według reguł obowiązujących w świecie ludzi wykształconych. Musi go pozostawić takim, jakim jest. Instynktownie buntował się przeciwko wykształceniu. Ten sam instynkt zabraniał mu mówić poprawną angielszczyzną, nawet do niej. Uparcie trzymał się gminnej, prostackiej gwary, w swego rodzaju samoobronie.

Westchnęła, znudzona swymi myślami. Widocznie nie można mieć wszystkiego, czego się chce, w jednym mężczyźnie. Jej dwaj mężczyźni wzajemnie się dopełniali. I nie chciała zrezygnować z jednego na rzecz drugiego. Ale też nie pozwoli się tyranizować żadnemu z nich. Nie! Jeżeli Clifford ją do tego zmusi, opuści go. Ale wtedy będzie musiała również opuścić drugiego mężczyznę. Nie może go zabrać ze sobą i na pewno tego nie zrobi. Byłoby to zbyt wielkim upokorzeniem dla obojgu. Pojedzie sama do Hildy. Najlepiej będzie żyć samej, o czym przekonała się Hilda.

Wróciła do domu zmęczona i ociężała, nieomal wyprana z wszelkich uczuć. Nie miała dość energii, by zauważyć czy Clifford przyjął ją miło, czy niemiło, a nawet gdyby to zauważyła, nie byłaby w stanie mu się w jakiś sposób odwzajemnić.

Ale on wydawał się daleki i zimny, jak ośnieżony szczyt Mount Everestu. Tym lepiej. Niech sobie celebryje swoją lodowatą wyniosłość, byleby trzymał się z daleka, nie wkraczając w jej życie.

Spędzili w milczeniu krótki wieczór, czytając. Nie siedzieli długo. Konstancja tylko udawała, że czyta. Zamiast mózgu czuła w głowie wielki korek. Była wypruta z uczuć, poza dręczącą, bezduszną, letargiczną pustką w skorkowaciałym mózgu. Najwcześniej więc jak było możliwe, wstała z fotela:

— Dobranoc, Cliffordzie.

— Dobranoc, Kon. Śpij dobrze.

Jego głos był nienagannie grzeczny, jak zawsze. Chciała mu odpowiedzieć: — Nie wysilaj się. Nie dam się nabrać. — Ale oczywiście nie postąpiła tak ordynarnie. Cicho zamknęła drzwi, jak dobrze wychowana osoba.

Na drugi dzień Clifford zachowywał się tak samo, był tylko trochę mizemiejszy i w swojej demonstracyjnej powadze przypominał małego, nadąsanego chłopca. Konstancja pozostała obojętna, gdyż w tej sytuacji okazywanie uczuć nie miało sensu. Ale nienawidziła tej pustki, która ją ogarniała po zbyt silnym emocjonalnym napięciu. Mdlilo ją na samą myśl o dalszych starciach jej woli z wolą Clifforda, czy kogokolwiek innego. Ach, gdyby mogła być sama, wolna od wszelkich napięć! Dlaczego Clifford nie potrafi dotrzymać słowa? Czy tylko po to powiedział, że nie wymaga od niej żadnych poświęceń, żeby tym ciaśniej otoczyć ją pierścieniem swojej władzy? No cóż, ona ma jego słowo, niech teraz zacieśnia lub rozluźnia pęta tylko wokół samego siebie. Znowu padał deszcz, nie mogła więc uciec z domu. Późnym rankiem, przechodząc obok gabinetu Clifforda, usłyszała męskie głosy i weszła zobaczyć co się tam dzieje. To gajowy przyszedł po jakieś instrukcje i Clifford udzielał mu ich z ożywieniem i znajomością rzeczy.

Kiedy weszła, Parkin obrócił się i na mgnienie oczy ich się spotkały. W jego brązowych oczach, z małymi punkcikami źrenic, wyczytała pytanie i niemal lęk spłoszonego zwierzęcia. Ale on w jej szeroko otwartych, błękitnych oczach nie mógł niczego wyczytać.

— Dzień dobry — powiedziała spokojnie.

— Dzień dobry, mylady — odparł z szybkim ukłonem.

— Jak się chowają małe bażanty?

— Ha, mylady; moją się pięknie.

— Niedługo przyjdę je znowu zobaczyć.

— Ano! Niech pani przychodzi. — Zawahał się i zwrócił znowu do Clifforda. — Więc mam tamtych dwóch podać do sądu? Tego pan chce?

— Tak, właśnie tego — odparł sir Clifford.

— Ano dobrze. Pójdę z tym do Clipstone.

— Kogo chcecie pozywać? — zapytała Konstancja.

— Dwóch górników z Stacks Gate... już trzeci raz zostali . przyłapani. Zakładali sidła na króliki, i to poza sezonem — powiedział sir Clifford. Sama myśl o wystąpieniu przeciwko komuś, wyraźnie go ożywiła.

— Gdzie oni zakładali te wnyki? — zapytała zwracając się do gajowego.

Zatoczył ramieniem szeroki łuk.

— Tam, od południa... w parku. Złapałem ich z sześciu wnykami i parą królików.

— Kiedy? — zapytała.

— Dziś rano do dnia. Zasadziłem się na nich i miałem ze sobą siostrzeńca Jakuba — odparł głośno.

Widać było wyraźnie, że on też wstąpił na ścieżkę wojenną. Patrzył na Konstancję oczami o zwężonych źrenicach lśniących jak u polującego zwierzęcia. Twarz jego znowu nie wyrażała, z oczu zniknął ten szczególny, zwierzęcy niepokój. Tylko jego małe oczy szukały czegoś w niej, tak jak zwierzę mogłoby badać twarz człowieka, niezdolne do nawiązania z nim bezpośredniego kontaktu.

— Czy rzeczywiście trzeba włączyć tych ludzi po sądach?

— zapytała powoli, zwracając się do Clifforda. Choć w gruncie rzeczy było jej to zupełnie obojętne.

— A czy dobrze jest chwytać króliki, lub inne stworzenia

— odparł sir Clifford — w okresie lęgu?

— Brr, okropność! Nienawidzę tych wszystkich sideł — powiedziała.

— Niezadługo rozleżą się nam po całym lesie, jeśli nie dobierzemy się im do skóry, jakżeśmy ich złapali — odezwał się Parkin z twardą nutą zadowolenia w głosie.

— Słusznie mówicie, Parkin! — rzekł sir Clifford. — Zgłoście to wszystko w Clipstone.

— Ta! — potwierdził gajowy. Zsalutował i odszedł, stukając ciężkimi butami.

— Ten człowiek po prostu kocha pakować ludzi za kratki — powiedział, uśmiechając się, sir Clifford.

— Brr, okropność! — powtórzyła Konstancja.

— Jest bardzo pożytecznym strażnikiem — dodał Clifford, z wyraźnym zadowoleniem.

— Zdaje się, że wszyscy mężczyźni w taki lub inny sposób są myśliwymi, zawsze coś lub ktoś, jest dla nich zwierzyną — powiedziała gorzko. I wyszła z pokoju.

Przez frontowe okno widziała Parkina, jak zamasyście kroczy podjazdem, zdecydowany utoczyć wrogom krwi. Poły obszernej płaszcza łopotały mu koło łydek, tuż za nim biegł jego brązowy pies. Jeszcze raz rzucił światu wyzwanie. Stanie się przez to jeszcze bardziej niepopularny. Wszyscy górnicy i ich rodziny mieli ogromnie za złe pociąganie kłusowników do sądu. Ale jemu najwyraźniej sprawiało to satysfakcję. Szedł wielkimi krokami, a wokół fruwały poły jego płaszcza. Syn człowieczy wyrusza na wojnę! Uśmiechnęła się posępnie sama do siebie.

Pomimo wszystko, podobał się jej chłód i spokój, z jakim powitał ją w gabinecie Clifforda. Nie wzbudziłby podejrzania, nawet gdyby był tam obecny w komplecie cały Scotland Yard. A jednak bał się, czy coś nie zaszło. Widziała to w jego oczach. Może obawiał się, że go wydała. Potem natychmiast odzyskał pewność siebie i nie okazywał większego niepokoju niż jego mały brązowy psiak. A sposób, w jaki wkroczył do samej jaskini lwa, by sprawdzić sytuację, był rzeczywiście zabawny. Podczas lunchu Clifford był wyraźnie w dobrym humorze. Po południu, ponieważ pogoda się poprawiła, wyjechał z domu swoim wózczykiem, a ona, szukając samotności, poszła się przejść przez park, aż na przyległe pola. Wciąż jeszcze czuła kipiący w niej gniew. I oczywiście była niespokojna nie wiedząc co w końcu odpowie jej Clifford.

Czekała na to już dwa dni. Dziś wieczór zapyta go znowu. A jeśli spróbuje jej cokolwiek narzucać, wyjedzie następnego dnia do Szkocji, do Hildy. Minęła Marehay Farm i skręciła na ścieżkę, prowadzącą pod górę przez gęsty jodłowy zagajnik, zwany Warren. Było wysoce nieprawdopodobne, żeby Parkin mógł się znaleźć gdzieś w tej okolicy: jego zwierzyna nie gnieździła się w tej części lasu. Zresztą chyba jeszcze nie wrócił ze swojej wyprawy do wioski.

Przeszła przez płot i znalazła się w lesie. Pobiegnęła wąską ścieżką, między gęsto rosnącymi jodłami. Nigdy nie lubiła tej zwartej gęstwiny młodych, kłujących drzewek. Zawsze starała się przebyć ten odcinek możliwie najszybciej i wydostać się na otwartą przestrzeń parku. Miejsce to wydawało jej się ponure i opuszczone.

Nagle zerwał się przed nią jakiś ptak, wyraźnie spłoszony. A kiedy wychodziła spoza zakrętu, zostawiając ten ostęp za sobą, z gęstej ściany jodełek wynurzył się mężczyzna. Przez chwilę jej serce zatrzymało się: lecz był to tylko Parkin.

Ten człowiek miał zwierzęcy instynkt! Łudziła się, że uda jej się uniknąć spotkania.

Stał bez ruchu, kiedy powoli się do niego zbliżała. Potem dotknął palcami kapelusza, nadal czekając, aż znajdzie się całkiem blisko. Wymamrotał coś na powitanie.

— Jużem myślał, że coś się stało — powiedział nienaturalnym głosem, nie spuszczać oczu z jej zaczerwienionej, zmieszanej, zmęczonej twarzy.

— Nic takiego — odparła, nerwowo odsuwając opadające na twarz włosy. — Powiedziałam sir Cliffordowi, że jest mężczyzna, który mi się podoba i mogę mieć z nim dziecko.

Patrzył jej nieruchomo w twarz przenikliwym, badawczym spojrzeniem zwierzęcia. Przez krótką chwilę spotkała się z nim wzrokiem i wszystko się w niej rozplynęło, straciła panowanie nad sobą.

— Powiedziałas mu o kogo chodzi? — zapytał.

— Nie, nie powiedziałam.

— Nie pytał?

— Pytał.

— Ale mu nie powiedziałas?

Jego ruchliwe, małe, błyszczące oczy ślizgały się oszłamiająco po jej twarzy.

— Nie.

Czekał. I widać było, że z wielkim trudem powstrzymuje się, żeby się do niej nie zbliżyć. Przemozna siła poruszała struny jego serca i przyciągała go do niej, jak potężny magnes. Wyraźnie to czuła. Podniosła oczy i spojrzała na niego bezradnie. W mgnieniu oka znalazł się przy niej i otoczył ramionami, a ona przytuliła się do jego piersi, tam, gdzie było jej właściwe miejsce.

— Nie chciałaś chyba przesmyknąć się obok? — zapytał cichym i pieszczotliwym głosem, w którym zabrzmiała nuta triumfu.

Nie odpowiedziała. Znów stopniała w jego ramionach. Potężne fale porwały i unosiły ją z sobą, pozbawioną woli i świadomości co się z nią dzieje. Spojrzała mu w twarz i tracąc wszelką świadomość widziała już tylko dziwny, skupiony blask jego oczu.

Odciągnął ją w bok, między gęste drzewa, i w zagajniku jej nieświadome, urywane, podobne do szlochu jęki rozbrzmiewały w jego duszy nutą ekstatycznego triumfu.

Ale kiedy oprzytomniała, nie chciała z nim zostać.

— Muszę iść — szepnęła. — Muszę iść. — Ale jeszcze chwilę się zatrzymała. Potem jej głos brzmiał już bardziej opanowanie. — Muszę iść — powtórzyła cicho, a on podniósł się i z pełną prostoty obyczajnością pomógł jej wstać.

Kiedy stojąc doprowadzała ubranie do porządku, myślała o przebiegłości tego człowieka. Na ziemi, leżał niewielki stos świeżo naciętych jodłowych gałęzi, przykryty jego płaszczem.

Więc spodziewał się tego! A ona dała się tak całkowicie zaskoczyć?

Milcząc, ze spuszczoną głową, wkładał płaszcz.

— Czy wyglądam w porządku? — zapytała.

Spojrzał na nią i strzepnął suche jodłowe igły z pleców jej płaszcza. Potem wydobyl je z jej włosów.

— Ta! — odparł.

— Muszę się spieszyć — powiedziała. Milczeli przez chwilę.

— Więc co mu powiedziałas? — zapytał stłumionym głosem.

— Och! — myśli jej rozbiegły się i w gruncie rzeczy wszystko zupełnie jej zubożyło. — Co mu powiedziałam? Że... że nigdy się tego nie dowie. Że nigdy mu tego nie zdradzę. I że musi mi przyrzec nigdy się o to nie dopytywać i nie zwracać mi głowy, bo natychmiast od niego odejdę.

— Gdzie?

— Do Szkocji, do siostry.

— Sama?

— Tak.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Odwrócił głowę i spojrzał na czubki drzew.

— Po co mu mówiłaś — zapytał.

— No cóż!.. Tak się złożyło. A gdybym miała mieć dziecko... to prawnie byłoby jego... to nie byłoby uczciwie.

Przez chwilę nie odpowiadał. Potem spojrzał na nią.

— Myślisz, że może się to zdarzyć i będziesz miała dziecko? — zapytał.

— Tak. A ty myślisz inaczej?

Oczy ich się spotkały i na chwilę w jego brązowych tęczęwkach dojrzała nadal żarzące się pożądanie.

— Więc byś się nie zmartwiła? — spytał trochę niepewnie.

— Ja? Zmartwiła? Ucieszyłabym się... jeśli o mnie chodzi. Ale teraz naprawdę muszę już iść. Jeśli kiedyś Clifford zacznie cię podejrzewać, będę musiała natychmiast wyjechać.

— Dlaczego?

— Bo nie mogę z tobą żyć. I nie mogłabym żyć z nim, gdyby się zaczął domyślać, że to o ciebie chodzi.

Zamilkł na dłuższą chwilę.

— Więc chyba najlepiej będzie zostawić sprawy, jak są, jeśli damy radę — powiedział w końcu trochę smutno, zakłopotany.

— Oczywiście — odparła zniecierpliwiona. Odwrócił się, chcąc jej towarzyszyć.

— Zostań — ucięła krótko.

— Tylko do drogi — odparł urażony.

Przeszli, milcząc, po trzeszczących im pod nogami suchych gałęziach aż do ścieżki.

— Nie będziesz się trapić, jak sobie pojedziesz i nie zobaczysz mnie więcej? — zapytał.

Spojrzała mu prosto w oczy i dostrzegła w nich smutek.

— Będzie mi żal — odparła. — Ale co mogę zrobić? Patrzył na nią bardzo długo.

— A tobie nie będzie żal? — zapytała.

— Ano. Ta!.. — zastanowił się przez chwilę. — Ta... — powtórzył smutno, jak gdyby zapatrzony w przyszłość.

— Słuchaj — powiedziała trochę zniecierpliwiona. — Ty masz żonę, a ja męża... musimy brać to, co można... i jakoś... cieszyć się, czym możemy.

— Ta — wykrztusił powoli. Ta... ale — zawahał się. — Bym chciał, żebyś całą noc ze mną pospała... Bym chciał...

— Do widzenia — powiedziała, żeby wyzwolić się spod hipnotyzującego spojrzenia jego poczerwieniałych, lisich oczu. — Przyjdę do chatki.

— Gdyby mnie tam nie było — powiedział — porąb trochę drewniek, to usłyszę, że jesteś. Usłyszę na pewno.

Odwróciła się, a on zniknął wśród drzew, skąd wyszli przed chwilą.

Przebiegła szybko, niecierpliwie przez park, jak gdyby przed czymś uciekała. Zrozumiała, jaką władzę zyskały nad nią zmysły. Czowała się dziwnie, nie podobna do siebie. Bardzo przyjemnie było wyruszać na te wyprawy, pełne nieznanego, zmysłowych przeżyć, ale mogła zatracić w nich samą siebie. Wyrwały ją z jej świata i przestawała być sobą. Tak, czuła w sobie obecność jakiejś innej, obcej kobiety, rozbudzonej i władczej. Biegła teraz do domu na podwieczorek, ale biegła tak szybko chcąc uciec od tego, co tak nagle na nią spadło. Uciec przed tą obcą kobietą, niepohamowaną i jednocześnie czułą, łagodną, niezgłębianą i wrażliwą, ale zarazem bezlitosną, jak morze.

Przez całe życie Konstancja znana była ze swego opanowania i rozsądku. Zdawało się, że jest jedyną naprawdę zrównoważoną kobietą na świecie. Wiedziała teraz, że to się skończyło. Nagle wydobyła się jak gdyby z poczwarki i przemieniła w inne stworzenie, przynajmniej w dziedzinie uczuć; Dlaczego nikt nie przygotowuje ludzi na możliwość takiej metamorfozy? Dlaczego nikt jej nigdy nie mówił, że to zanurzenie się całą istotą, ciałem,

duszą i umysłem w strumieniu, który przeistacza w nową istotę, jak trzęsienie ziemi lub wylew lawy, albo całkowicie przeobraża tak, jak wiosna i nadejście lata zmieniają i ożywiają krajobraz — to pełnia życia seksualnego, cudowna i straszliwie niebezpieczna.

Była dotychczas taka rozsądna. A teraz czuła, że wszystko ją zawodzi. Miała zamiar uznać tego mężczyznę tylko jako ciało, tak jak można na przykład cenić greckie rzeźby w marmurze. I nagle grecki posąg przeistoczył się w wulkan. A może ją przemienił w wulkan?

Była przerażona. Tylko jedno widziała jasno! że ludzka natura, pod martwą pokrywą nawyków, jest równie wulkaniczna jak wnętrze ziemi i pewnego dnia zaczyna się burzyć gdy wewnętrzne ciśnienie staje się zbyt duże, lub zadziała jakiś bodziec z zewnątrz, jedno tajemne zaklęcie: „Sezame otwórz się.” Jej się to przydarzyło z mężczyzną, z nieokrzesanym gajowym. Jeszcze dziś rano, kiedy patrzyła przez okno, jak w zbyt luźnym płaszczu przemierza wielkimi krokami drogę, idąc na posterunek policji, uśmiechała się, ubawiona jego ważną miną i pośpiechem. Jeszcze wtedy mogła patrzeć na niego obiektywnie, jak na śmieszne zjawisko, nie mające z nią nic wspólnego. A teraz, jęknęła w duchu, nie może się od niego oderwać, jej niezależne istnienie nagle przepadło.

Po powrocie do domu, gdy tylko zobaczyła Clifforda powiedziała:

— Strasznie się zgrzałam. Biegłam całą drogę do domu. Poszłam przez park do Marehay, zobaczyć czy króliki naprawdę robią tyle szkód, jak mówi Allcock. Spotkałam go, zaprowadził mnie na miejsce, ale nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że to wcale nie nasze króliki. W tym swoim lasku ma całą królikarnię.

Już gdy to mówiła, poczuła się tak niewymownie znudzona wyrazem twarzy Clifforda, domem i swoimi własnymi słowami, że gotowa była się rozpłakać. Aż do szaleństwa zapragnęła być razem z gajowym, blisko niego, blisko jego ciała, choćby tylko siedzieć z nim razem w jego chatce. Byle tylko być przy nim!

Tymczasem plotła bzdury o Marehay, królikach i szkodach wyrządzanych na dobrach Clifforda. Dlaczego jest taka niespokojna? Gdzie się podziała jej równowaga, dawna niezależność i słynne opanowanie? Dlaczego w żaden sposób nie potrafi ich odzyskać? A może Clifford coś spostrzegł?

Ten gajowy!.. to przecież zwykły prosty człowiek. Tak go widziała dziś rano. A jednak ciało jej wołało tysiącem głosów:

— Nie! Nie! On jest niepowtarzalny! — Konstancja jęczała w duchu. — To głos gatunku tak go przemienia w moich oczach

— wytłumaczyła sobie, trawestując jedno ze znanych powiedzeń H.G. Wellea, którymi tak gardziła. Bezwiednie zaśmiała się w głos. — Głos gatunku! A dlaczegoż by nie? Przemienia go! Tak, to transfiguracja! Ha, ha! Przeistoczenie w człowieka . przesyconego bożym światłem. Ha, ha! Jak ci się to podoba? Większość mężczyzn nosi w piersi bryły gliny, których żaden ogień nie przemieni. A ciało gajowego ma jakąś subtelność, jakąś czystość. Ciałem Parkin był cały czas bliższy Bogu niż większość mężczyzn, niż Clifford.

— A czy wiesz, co zdarzyło się mnie?! — zapytał Clifford z udaną powagą.

— Co takiego? — zapytała Konstancja.

— Panna Bentley rzeczywiście mnie odwiedziła... przysłała przez służącego swój bilet! — wykrzyknął triumfalnie.

— Niepodobna! — zawołała z płonącymi oczami. Clifford wcale nie interesował się nią, ani jej opowieścią o królikach. A ona oderwała się od tamtego mężczyzny zupełnie niepotrzebnie. Clifford był w znakomitym humorze, jak gdyby nigdy nie było między nimi jakiegokolwiek napięcia. Słuchała go w milczeniu, bezkrytycznie: całej jego opowieści o starej panie Bentley, w krótkiej, modnej sukni koloru herbacianej róży. Gdzieś, w odległym zakątku jej kobiecego umysłu zapaliła się na krótko iskierka zainteresowania. Ale jej „Ja” było tak znudzone, tak straszliwie znudzone, że wyło z nudów.

Uciekła wreszcie na górę i usiadła w niskim fotelu, przy oknie. Co zrobi? Co zrobić, żeby odzyskać spokój i równowagę?... Jaki on jest naprawdę piękny! Jak się na nią rzucił! Jaka powinna być wobec niego pokorna i wdzięczna mu za tę prostotę, za spontaniczną miłość. Jak cudownie było być z nim. Jaki jest wspaniały! Ach, gdyby mogła być teraz przy nim, chociażby po to, by poczuć zapach jego sztruksowej kurtki. Takiej zwykłej, starej sztruksowej kurtki, której prążki odciskały się na jej twarzy, gdy się do niej przytulała. Naprawdę, powinna się wstydzić... pracownik jej męża! Ale jego ciało... i niewymowna rozkosz zbliżenia z nim. — „Ano, ta” — próbowała w myśli naśladować rozwlekły, miejscowy dialekt. „Ta, bym chciał...” — Roześmiała się cicho, że tak bardzo jej się to podobało. Jakież to zabawne.

Ale nie może z nim zamieszkać. Nie, nigdy! To niemożliwe. Nie nadaje się na żonę robotnika. Byłoby to z gruntu fałszywą sytuacją. Przypuszczalnie zaczęłyby się posługiwać poprawną angielszczyzną, a to byłby początek końca. Nie, nigdy! Musi zawsze pozostać taki, jaki jest. Nigdy, w najmniejszym nawet stopniu nie może zmniejszyć się dystans dzielący go od Clifforda. Musi bezwzględnie pozostać gajowym.

A ona? Byłoby zupełnym nonsensem, gdyby została żoną gajowego. Jej fortepian, obrazy, książki... wszystko to miałyby porzucić, zostawić? A nawet gdyby to zrobiła, czy potrafiłaby wyrzec się świata swoich myśli, wszystkiego co osiągnęła, zmienić swój sposób myślenia?

Kiedy ogary wiosny wbiegają na tropy zimy...

On jest jednym z tych ogarów wiosny: ogarem Plutona. Nic Platona. A ona uciekającą Persefoną, Prozerpiną. Cóż, wołałaby być żoną Plutona niż Platona. Wołałaby, żeby ją dognał i schwycił drapieżny pies Plutona niż dobrze ułożony, przebiegły pies Platona. Bardzo ją to ubawiło. Była zachwycona swoim dowcipem. Ale była jednocześnie smutna. Gajowy nigdy nie pojmie różnicy między Plutonem i Platonem, choćby miał żyć jeszcze sto lat. O to Plutonowi chodzi: po prostu nie chce się wiedzieć. Ale ona chce wiedzieć, zawsze będzie chciała wiedzieć. Zawsze będzie chciała poczytać czasem Swinburne'a, zagrać sama dla siebie jakiś utwór Mozarta, zobaczyć obrazy Cezanne'a, Renoira lub van Gogha w jakiejś galerii, niedługo znów z chęcią wybierze się do galerii Uffizi. Gotowa by już jutro znów posłuchać Kowanchiny lub obejrzeć rosyjski balet i oczywiście z największą przyjemnością spędzić cały wieczór na beztroskiej pogawędce, jak to robiła w Chelsea, albo posiedzieć w jakiejś piwiarni w Heidelbergu lub Monachium i posłuchać śpiewu lub filozoficznych wywodów miejscowych studentów. I oczywiście będzie zawsze chciała móc zajrzeć do literackiego dodatku Times'a, żeby sprawdzić czy nie ukazała się jakaś nowa, zajmująca powieść.

Wszystko to byłoby niemożliwe, gdyby zamieszkała z Parkinem. A gdyby nawet mogła to robić, byłby w tym jakiś fałsz, coś niewłaściwego. Clifford może dzielić z nią wszystkie te zainteresowania. Ale Parkin... samo brzmienie jego nazwiska wydało jej się zabawne... zastanowiła się jak ma na imię... pewnie Bob albo Billy... ale ona nie chce myśleć o nim jako o Bobie czy Billym... nie życzy sobie tego rodzaju kontaktu z nim.

Nie, jej życie w gajówce byłoby absurdem. A poza tym on jest żonaty. Ta myśl natychmiast obudziła w niej czujność. Musi się rozwieść z tą żoną.

Konstancja miała własny niewielki dochód. Mogła nabyć jakąś małą farmę, gdzie on by gospodarował. Mogłaby wtedy mieć parę pokojów do swojej wyłącznej dyspozycji i swoje prywatne życie, a jednocześnie być z nim.

Lecz nie! Pomyślała o posiłkach. Rozmowa z nim przy jadalnym stole byłaby niemożliwa, a dobrze wiedziała, że nie potrafi obejść się bez rozmowy. A gdyby przyjechała Hilda i przy posiłkach rozmawiałyby z sobą pomijając go, jaki byłby upokorzony i śmieszny, zero przy własnym stole. Nie, nie, nic z tego, nie będzie mogła zamieszkać z nim, jako jego żona.

Usiłując rozumować logicznie, niemal odzyskała równowagę. O dwóch rzeczach była święcie przekonana: że nigdy nie będzie próbowała „dźwignąć go” do własnego poziomu, do poziomu swojego życia, oraz że tak samo jak on, nie potrafi wyrzec się swoich przyzwyczajzeń. Dlatego... cóż to za gorzka konkluzja... nie ma sensu próbować łączyć ich oddzielnych dróg w jedną wspólną drogę. Dlaczego więc łączyć ich ciała? Skąd się bierze ta pasja, która znaczy dla niej więcej niż wszystko inne w życiu? — Ach, gdyby mogła być z nim teraz w jego domku, choćby po to, żeby zapalić lampę! Mieliby może dziś na kolację... przez chwilę szukała w myślach czegoś naprawdę pospolitego... solone śledzie, tak, solone przypiekane śledzie. Cały domek zionie śledziami. A on siedzi w koszuli z podwiniętymi rękawami wsparty łokciami na stole, i wyciąga ości śledzia palcami. Kropelki herbaty wiszą na jego zawadiackich wąsach.

— Te śledzie to nic, tylko sama sól, sama solanka. Należ nam jeszcze trochę herbaty, dziewczyno!

Podsuwa jej kubek. A ona posłusznie wstaje i bierze z paleniska brunatny czajnik żeby mu nalać herbaty. Nigdy nie nauczy się naśladować jego gwary. Nie daje się nawet zapisać. Nie mówił „one”, lecz „ony”, coś pośredniego, jak włoskie paesano. Niektórych dźwięków nie można nawet oddać na piśmie. Dała za wygraną. Kulturalnie należał do innego świata.

Ale śmiała się, sama do siebie, wyobrażając sobie tę scenę ze śledziami i herbatą. Oczywiście będzie go nadal kochała, zniewolona pięknem jego ciała. Nawet zapach śledzi w jego włosach nie uczyni go dla niej mniej pociągającym. Pragnęłaby spać z nim w jednym łóżku. Parkin zapewne nie ma nawet piżamy i sypia w dziennej koszuli. Było to dziwne, ale nic nie mogło sprawić, żeby ją przestał pociągać fizycznie.

Ale upokarzaliby się nawzajem, gdyby zamieszkali razem. Ona — ponieważ kulturalnie należy do innego świata. A on, ponieważ nigdy nie byłby zdolny w pełni jej zrozumieć. On nie ma żadnego określonego celu, do niczego w życiu nie dąży. Jest statyczny. A ona właśnie tego nie znosi. Jest statyczny.

Pomyślała, że nawet Clifford, biedny Clifford marzy i tęskni do tej swojej nieśmiertelności, w której połączy się z czystym ideałem. W jakiś nieokreślony sposób Konstancja rozumiała to. Było to lepsze, niż nie pragnąć niczego, choć ideał ten był bezcielesny. Bardzo męczące.

Westchnęła i poczuła się znużona. Ale po chwili się rozpogodziła na myśl, że miałyby dzieci gajowego, które byłyby dla niej źródłem nowego życia. A może jej dzieci potrafią odkryć jakiś nowy rodzaj nieśmiertelności, w którym bezcielesny ideał odzyska ciało?

Zasadniczo zgadzała się z Cliffordem: każdy człowiek powinien mieć jakiś rodzaj nieśmiertelności. Osobiście nie była zainteresowana jej przewlekłą odmianą, jak to określała „nieśmiertelnością pośmiertną”. Nudziła ją myśl, że uzyska nieśmiertelność, dopiero gdy umrze. Nie, to na pewno będzie coś znacznie bliższego. A może jest się bardziej nieśmiertelnym, kiedy się o tym w ogóle nie myśli? Gajowy z pewnością był nieśmiertelny, kiedy wychodził z jodłowego zagajnika. Nie był wtedy kimś pospolitym, otaczała go aureola nieśmiertelności. Nie jego sprawą było o tym myśleć. Ale ktoś powinien się nad tym zastanowić.

Korciło ją, żeby zapytać Clifforda.

Był bardzo miły przy obiedzie.

— Zastanawiałem się, dlaczego nie zeszłaś na dół — powiedział. — Bardzo długo byłaś na górze.

— Myślałam o wielu rzeczach.

— Domyślałem się tego. Właśnie miałem posłać pielęgniarkę z przysłowiowym grosikiem. Nad czym medytowałaś?

— Och, to było bardzo mgliste.

— Ja także myślałem — powiedział po prostu i przyjaźnie. — Czy fizyczna strona seksu naprawdę dużo dla ciebie znaczy, Kon?

— Obawiam się, że tak — odparła po chwili wahania, uśmiechając się w duchu nad formą jego pytania.

— Czy rzeczywiście czujesz, że nie mogłabyś się bez tego obejść? — zapytał.

— Obawiam się, że tak właśnie czuję — przyznała Konstancja.

— A czy jest jakiś określony mężczyzna, który ci się fizycznie na tyle podoba, że chciałabyś mieć z nim dzieci?

— Tak — odparła i nadal bawiło ją, że w ten sposób o tym

— W takim razie uważam, że masz do tego prawo i nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś to pragnienie zrealizowała, a ja wcale nie będę się tym interesował. Mam nadzieję, że to przyzwoity człowiek. I jeżeli to jest człowiek mądry, który znał swego ojca, trzeba będzie wobec tak zwanych moich dzieci zachować tajemnicę. A może później im powiesz?

— Jeszcze ich nie mam — uśmiechnęła się.

— Racja. Ale bądźmy przewidujący. Obiecuj mi, że im nigdy nie powiesz, że nie jestem ich ojcem. Wiem, że nigdy nie narazisz swojej reputacji, ani nie wystawisz mnie na pośmiewisko. Ale obiecuj mi to, a ja z kolei obiecuję dać ci carte blanche i nie będę o całej tej sprawie myślał.

Konstancji zabrakło tchu. Przez chwilę siedziała oszołomiona. — Czy naprawdę tego dotrzymasz! I nigdy nie będziesz się starał niczego dowiedzieć?

— Nigdy nie będę się starał czegokolwiek dowiedzieć o tobie i twoich miłosnych przeżyciach. Nie chcę absolutnie o niczym słyszeć. I uznaję twoje dzieci za własne. Ale przyrzeknij mi to, o co cię prosiłem.

Konstancja wciąż jeszcze się zastanawiała, czy Clifford nie zastawia na nią pułapki.

— To bardzo szlachetnie z twojej strony. Przyrzekam ci to na tyle, na ile taka rzecz jest możliwa... Nigdy nie powiem moim dzieciom, że nie jesteś ich ojcem... jeżeli będę je miała. I będę bardzo ostrożna...

Ostatnie słowa wymówiła z pewnym wahaniem.

— Więc to byłoby wszystko w tej sprawie — powiedział. — Przypuszczam, że nie chciałabyś tego zalegalizować... To znaczy poprosić starego Morleya, żeby spisał naszą wzajemną umowę?

Zmusił się do uśmiechu. Konstancja milczała.

— Czy jesteś pewny, że nie zrobi ci to wielkiej przykrości? — zapytała na koniec. — Bardzo bym się martwiła, gdyby tak było.

— A więc wszystko mamy już ustalone. Będzie mi przykro, ale tylko trochę. Mam już za sobą wielką katastrofę. Więc będzie to tylko jedna z jej niemiłych konsekwencji. Czy jesteś pewna, że nie wolałabyś w ogóle odejść ode mnie z tym panem?

— Nie — powiedziała. — Nie chcę tego.

— Po prostu na okres godowy... jeśli można się w ten sposób wyrazić — powiedział, a ona przez chwilę rozpaczliwie starała się zgadnąć, czy Clifford coś wie. — Uważam to za zupełnie naturalne — ciągnął dalej — i nie miałyby sensu sprzeciwiać się prawom natury. Wojna powinna była nas tego nauczyć. A więc, kochanie, rozmnażaj się, zgodnie z tym prawem. Mam nadzieję, że mój następca będzie miał ojca godnego przyszłego baroneta. Wierzę w trafność twojego wyboru. Wszystko to bardzo przypomina powieść H.G. Wellsa, w której wybranych osobników rodzaju męskiego, trzymany na swego rodzaju antyseptycznej farmie hodowlanej, w odpowiednim sezonie... jeśli się nie mylę w maju, to znaczy mniej więcej teraz... doprowadza się do biernych żeńskich partnerek. Ale to konsekwencja wojny i nie będziemy już o tym mówili.

Przez długi czas siedzieli w milczeniu.

— A czy ty nie wolałabyś, żebym od ciebie odeszła? — zapytała głucho.

— Ależ kochane dziecko, czy nie wiesz, że przeklinam sam siebie, bo to przeze mnie znalazłaś się w takiej trudnej, skomplikowanej sytuacji. Podziwiam twój hart ducha. Przestań się wahać! Oczekuję narodzin mego syna i spadkobiercy.

— A jeśli się nie urodzi? — zapytała. Rozłożył bezradnie ręce i wzruszył ramionami.

— A la guerre comme á la guerre — powiedział z gorzką ironią — et depuis la guerre comme depuis...

Poczuła się przygnębiona. Zachował się niewątpliwie bardzo dzielnie, ale niezbyt po ludzku. Może poczuła nawet pewne rozczarowanie.

— Jesteś niezwykle dobry, Cliffordzie — rzekła. — I chyba wiesz, że zawsze zostanę przy tobie. To znaczy, jeśli będziesz tego chciał.

— A czym byłoby moje życie, kochanie, gdybyś mnie opuściła? I tak wychodzę z tego bardzo tanim kosztem, w dodatku płacąc na raty. Długo na tym rozmyślałem i doszedłem do wniosku, że prawdziwa mądrość zawsze przynosi piękne owoce. Na pewno sprawdzi się to również w przypadku twoich dzieci. A zatem nie wahaj się dłużej i urodź tego naszego syna i spadkobiercę.

Konstancja niezbyt jasno zdawała sobie sprawę, do czego Clifford zmierza, i nie była pewna, czy on sam dobrze to wie. Czowała, że nie powinien być tak gładko i bez zająknienia mówić o przyszłym synu i spadkobiercy. Ale podziwiała go i naprawdę nie zamierzała go opuścić. Kłopot polegał na tym, że wydawał jej się teraz taki nudny. Nie było w nim nic niezwykłego.

Świat wydawał się jej teraz odmieniony. Nagle ożył. Przywykła widzieć w nim zjawisko estetyczne. Teraz ożył i był... nie bardzo wiedziała jak to wyrazić... chyba cudowny. Wzdrygnęła się na myśl o dawnym, tekturowo-estetycznym, mechanicznym świecie, w którym żyła z Cliffordem. Ach, patrzeć na rozhuśtane drzewa, kołyszące się jak zakotwiczone statki podczas przypływu... czuć dziwne, samoistne i nie ustające życie świata. Wstrzymała oddech, przerażona, że utraci ten nowo objawiony świat i znów zamrze, w niewoli mechanicznie odmierzanych godzin. Teraz zegar tak mało dla niej znaczy. Spokojnego, łagodnego bogactwa dnia nie odmierzają minuty.

Muszę bardzo uważać — powtarzała w duchu — żeby nie stracić kontaktu z nim. To on łączy mnie z prawdziwym życiem. I tylko tego pragnę. Tu nie tyle chodzi o zmysły... chodzi o to, że cały ten teatr świata, stał się realny, żyje wraz ze mną i nie paraduję już na jego scenie w otoczeniu aktorów i marionetek. Och, muszę się modlić, żebym już nigdy nie wpadła w tamtą otchłań martwej nudy. Ostatecznie, jestem jak ta niewiasta, która dotknęła Jezusa. Dotyka się żywego ciała i człowiek ożywa, a to co martwe obumiera. Ach, gdybym tylko mogła zachować ten kontakt na zawsze, do końca życia! Mówią, że namiętność usycha, a miłość umiera. Wierzę, że tak nie będzie, że nigdy już tego kontaktu nie stracę, nawet po śmierci.

Problem ten zaczął ją prześladować. Czy ów nowo odkryty, kojący nurt otaczającej ją zewsząd natury, prawdziwe ukoronowanie życia, musi zamrzeć? Czy kiedyś, w przyszłości, będzie musiała znów pogрузić się w nudzie, przerywanej tylko krótkimi radosnymi chwilami, w cyklicznie powtarzających się nastrojach ożywienia i depresji, sił twórczych i pustki, z których dotąd składało się jej życie? Wszystko to wydawało jej się jałowe i martwe, nawet chwile ożywienia, żarliwego zainteresowania i przepływu sił twórczych. Wszystko było jakies automatyczne, jak iskry wyrzucane przez maszynę.

Ale czy to możliwe? Czy można dać się unosić fali, płynąć w tym łagodnym nurcie życia i nie wpaść z powrotem w ponurą pustkę? Czy życie może zawsze być podobne do strumienia płynącego wśród skał, przez porośnięte turzycą bagna i pod mostami, i nigdy nie wyschnąć? Była pewna, że w przeszłości ludzie cierpieli, dręczył ich smutek, ból i strach, ale nie byli wewnętrznie śmiertelnie znudzeni, a tylko na zewnątrz mechanicznie czynni.

Pomyślała o otaczających ją osobach. Na przykład służba i pani Bolton! Czy pani Bolton ma jakieś źródło, z którego czerpie życie? Czy może duch jej jest uschnięty i pozbawiony czucia?

Wydawało się jednak, że ma takie źródło, chociaż jej mąż od dawna nie żył.

— Czy pani mąż dawno zginął, pani Bolton? Przed ilu laty? — zapytała.

Pielęgniarka wyprostowała się w fotelu. Miała długą twarz i bladą, lecz zdrową cerę. Ale jej duże, szare oczy były naprawdę piękne i patrzyły badawczo. Spojrzała na Konstancję.

— Dwadzieścia trzy lata minęło, mylady, jak go przynieśli nieżywego do domu — powiedziała. Usta jej zacisnęły się mocno.

Konstancja poczuła bolesny skurcz w sercu. Mój Boże! Co czuje żona, gdy do domu przynoszą martwe ciało męża, które dla niej było najdroższym żywym ciałem na ziemi?!

— To straszne! — powiedziała zduszonym głosem, ze zgrozą w oczach.

Od dawna wszystko to wiedziała. Ale dopiero teraz zdolna była sobie uświadomić, że mężczyzna może swoim ciałem być dla kobiety żywym kluczem do całego świata.

— Naprawdę nie wiem jak pani mogła to przeżyć — powiedziała.

— Tak. Ja sama nie mogę tego pojąć. Ale postanowiłam, patrząc na niego, zanim zamknęli trumnę: „Nigdy cię nie zapomnę, najmilszy. Wiem, że ty byś nigdy mnie nie opuścił. Ja też ciebie nie opuszczę.” I dotrzymałam słowa.

Konstancja ukradkiem spojrzała na pielęgniarkę. Policzki pani Bolton zaróżowiły się, był to rumieniec młodej namiętnej kobiety.

— Czy był przystojny? — nieśmiało zapytała Konstancja.

— Nie!... Trudno byłoby go nazwać szczególnie przystojnym. Ale mnie wydawał się inny niż wszyscy mężczyźni jakich spotkałam przedtem czy potem, chociaż miałam kilka dużo lepszych, jak to się mówi, propozycji. Ale nie! Nigdy go nie zapomniałam. I nie zapomniałam jego twarzy, kiedy leżał w trumnie. Wąsy miał rude, choć jego włosy były takie ładne i jasne. A usta jak gdyby chciały mi coś powiedzieć, gdyby mogły. I powiedziały. Były zamknięte, rozumie pani, ale jak żywe i zdawało mi się, że zaraz przemówią. Czekałam na to... Ale i tak wiedziałam, co chciał mi powiedzieć...

— Co takiego?... szepnęła Konstancja. Oczy wezbrały jej łzami.

— „Ivy!” — powiedziała pielęgniarka i usta jej zaczęły drżeć. Ale szybko się opanowała i jej twarz znów przybrała poprzedni daleki wyraz. — Chciał wymówić moje imię... i dotąd wciąż słyszę, jak je mówi. Tak, słyszę go. Obiecałam, że nigdy go nie opuszczę. „I nigdy cię nie opuściłam, najmilszy” zakończyła żarliwie i stanowczo, zwracając się do zmarłego męża.

A Konstancja wyczuła w tej chwili czyjaś niewidzialną obecność w pokoju, męską i opiekuńczą. To nie był duch, ale jak gdyby pojawił się w domu mężczyzna, którego samo istnienie dodaje odwagi kobiecie.

— A potem powiedzieli, że stchórzył, że uciekał, bo się przestraszył! — z oburzeniem mówiła pielęgniarka w przestrzeń, jakby zwracała się do męża.

— Kto tak twierdził? — zapytała Konstancja.

— Ci z zarządu!... I inni, którzy świadczyli za nimi podczas rozprawy.

Obie kobiety milczały przez pewien czas.

— I pani nigdy nie czuła, że naprawdę od pani odszedł? — zapytała Konstancja.

— Nigdy! — stanowczo i zdecydowanie odparła pielęgniarka. — Nigdy! Utraciłam go, ale on nigdy mnie nie opuścił. Bóg wie jak tęsknię do niego. Ale nigdy, ani przez chwilę nie byłam z nim rozdzielona. A serce skutecznie wypełnia pustkę.

Konstancja zastanowiła się. Serce! Czy serce, gdy się obudzi, rzeczywiście może potem panować niepodzielnie? Jak dziwnie to brzmi... przebudzenie się serca. Myślała, że kochała Clifforda. I naprawdę go kochała. Ale teraz wie, że nie kochała go sercem. Jej serce nigdy się dla niego nie przebudziło i gdyby pozostało w jego władaniu nigdy by się w ogóle nie

obudziło. Nawet gdyby wcale nie poszedł na wojnę. Jego straszne okaleczenie, jego paraliż... czy cokolwiek to było... okazały się w jego przypadku symboliczne. Zawsze był częściowo sparaliżowany. Ta część duszy, która sprawia, że mężczyzna wznieca miłość w sercu kobiety, była w Cliffordzie martwa od urodzenia. Tak samo jak u tysięcy innych, podobnych do niego mężczyzn. Kobiety, które mają takich mężów jak on, żyją z sercem nie rozbudzonym. Może wielu to dogadza. Przebudzone serce jest dziwnym, niezależnym istnieniem, obarczonym wielką odpowiedzialnością.

— Więc to pani serce o nim nie zapomina? — zapytała pielęgniarkę Konstancja.

Pani Bolton szybko spojrzała na nią.

— Tak ono czuje. Gdy raz całym sercem zostaje się czyjąś żoną, pozostaje się nią na zawsze. To znaczy, jeśli się je w ogóle ma. Wiele kobiet go nie ma. I wiele w nie nie wierzy. I o ile mi wiadomo, tylko nieliczne za życia ze swoim mężczyzną odpłacają mu całym sercem. Tak było ze mną, tak jest, i tak będzie do końca mojego życia.

Konstancja myślała: — Czy tak samo będzie ze mną? Wydawało jej się to dziwną niewolą. Ale również ukojeniem. Zadrzała tylko w duchu. Wydało jej się nie do wiary, że nigdy nie uwolni się od tego mężczyzny, od gajowego. O ile, naturalnie, kierując się wrodzoną dumą, nie postanowi świadomie stłumić w sobie tego ognia. Potrafi się na to zdobyć. Ale kara byłaby za wielka. Lepiej zgodzić się na wszystko, niż żyć z zimnym sercem. Aż nazbyt dobrze o tym wiedziała.

— Czy mężczyźni czują tak samo? — zadała pielęgniarce stare, wciąż powtarzające się pytanie.

— Nie znam tak dobrze mężczyzn — odparła pani Bolton. — Nie miałam z nimi wiele do czynienia. Ale wydaje mi się, że muszą być bardzo podobni, tylko nie myślą o tym tak wiele, jak kobiety. I oczywiście, jeśli mężczyzna ma dobre serce i kobieta go wzruszy, może dostać od niego niemal wszystko. Przekonałam się, żyjąc wśród górników, że nawet jeśli któryś ma w sercu jakąś kobietę, każda inna może łatwo wydobyć z niego co będzie chciała, byleby tylko mogła się choć trochę podobać i zagrała na odpowiedniej strunie. Wiem, że prawie z każdym mogłabym tak czy inaczej zrobić wszystko, co chciałabym. Tylko z tymi zatwardziałymi młodziakami bez serca, których się dziś spotyka, nie można nic zrobić. Ale i oni mają przeważnie dobre serce i są dobrzy dla kobiet, choć czasem bywają trochę nieokrzesani.

— Czy pani myśli, że robotnicy mają lepsze serca, niż inni ludzie? — zapytała Konstancja.

— Cóż... — pielęgniarka zawahała się. — Myśli pani o szlachcie?

— Tak.

— No więc... Na pewno robotnicy nie są ani w połowie tacy mili i głacy. Ale wydaje mi się, że mają w sobie dużo więcej dobroci. I proszę pamiętać, że znam ich lepiej, myłady. Zrobiłam dla nich dużo, choć oczywiście należało to do moich obowiązków. Więc gdyby nie byli dla mnie dobrzy, co by z nich byli za ludzie? A poza tym nie znam szlachty równie dobrze, bo niby skąd miałabym znać?

— Tak — powiedziała Konstancja, patrząc na nią szeroko otwartymi, nie widzącymi oczami. Zastanawiała się, czy On ma dobre serce. Wiedziała, że tak, ale chciała, żeby ta druga kobieta to potwierdziła.

— Myślę, że nawet ci, którzy wydają się niemili, są często w głębi duszy dobrzy — dodała po chwili.

— Często tak bywa. I właśnie ci z dobrym sercem często wszystkim się przejmują bardziej niż inni i chodzą potem, jak niedźwiedzie, z obolałymi nosami. Trzeba z nimi postępować trochę łagodniej. W głosie pielęgniarki brzmiała macierzyńska wyrozumiałość, jak gdyby była starą matką tysiąca synów.

— Jak nasz gajowy — ciągnęła Konstancja. — Zawsze wygląda, jakby chciał kogoś pozwać do sądu. Ale myślę, że w gruncie rzeczy nie jest taki zły.

Sprytna pielęgniarka natychmiast poczuła się na mocnym gruncie.

— Jego żona to jedna z tych lekkomyślnych kobiet, bez żadnych zasad i pewno przez nią zrobił się taki. Ale matka go broni: „Mogą sobie mówić co chcą, o naszym Oliwierze, ale jak

go zostawić w spokoju, nikomu krzywdy nie robi. Ale jak mu kto wejdzie w drogę, ma potem za swoje”. Staruszka ma sama ostry język i lubi wypić kufelek piwa. Ale żyjemy w zgodzie. „Ej, Siostrze, z ciebie też chytry ptaszek, co to rzadko piska.” Pielęgniarka zaśmiała się sama do siebie.

— Co to znaczy? — zapytała Konstancja.

— Mówi, że trudno coś ze mnie wyciągnąć. I nigdy im się to nie uda. Ona ma trochę ostry język, ale to porządna kobieta. Ojciec gajowego był niezły ladaco i pił za dużo, więc ona sama wychowała chłopców, a trzeba powiedzieć, że miała twardą rękę. „Już was tu nie ma, diabelne uprzykrzenie” — wypędzała ich z domu. Była za czysta i za porządna na to, żeby jej się chłopcy kręcili po kuchni. Prowadziła z nimi regularną wojnę, a teraz żaden z nich nie potrafi żyć w zgodzie ze swoją żoną. Stara jest z tego dumna. „Żadna kobita nie może z nimi wytrzymać. To ile od nich musiała znosić ich matka!” Ale sama ich tak wychowała.

— A synowie nie piją? — zapytała Konstancja.

— Nie, nie tyle, żeby warto było o tym mówić. Ojciec ich tego nauczył. Ale o byle co biorą się do pięści... O Oliwierze, to znaczy o tutejszym gajowym, wiem niedużo. Żyje z dala od ludzi i chyba mu to lepiej odpowiada, niż praca w kopalni.

— Czy ludzie bardzo go nie lubią? — zapytała Konstancja.

— Nienawidzą go. Widzi pani, przyzwyczaili się, że wolno im zastawiać sidła na króliki, kiedy sir Clifford był na wojnie, a Parkina wzięli do wojska. Więc kiedy wrócił na gajówkę, od razu zaczęły się walki w lesie. Nieraz słyszałam, jak sobie przysięgali i odgrązali się, że z nim skończą. Ale nie zrobią tego. Wiedzą, że spełnia swój obowiązek. Zawsze im to powtarzam... Ale nienawidzą go śmiertelnie, nawet kobiety. Jak złapie dzieci, które sobie zerwały garstkę leśnych dzwoneczków, jest okropny.

— Tak — szepnęła Konstancja.

— Ale sir Clifford mówi, że jest doskonałym strażnikiem i łatwo mi w to uwierzyć. Każda rzecz ma dwie strony i tylko o to chodzi, po której jest się samemu.

— Myślę, że naprawdę jest miłym człowiekiem — nagle powiedziała Konstancja i zarumieniła się lekko.

— O tak! Często mówię, że najnieznośniejsi ludzie robią się najmiłsi, kiedy się wie jak z nimi postępować. Ale rzadko kto ujmie się za Parkinem, poza jego starą matką, a ona mówi, że się zmarnował, bo ojciec nigdy nie spuścił mu porządnego lania. Jak się jej słucha, to wszystkiemu winien jest ojciec. Ale moim zdaniem jeśli tu kto zawinił to tylko ona. W każdym razie matka twierdzi, że Parkin nikomu nie robi krzywdy, byle się nie wtrącali do niego, ani do jego królików. Ale może pani zna go od innej strony, myłady... pani i sir Clifford.

— Wydaje mi się miłym człowiekiem — spokojnie powtórzyła Konstancja.

— No cóż... mnie on nie lubi, nieraz go zbesztalam, a on jest z tych, co nie przebaczą.

— Ile on może mieć lat? Czy pani jest od niego o tyle starsza?

— Mam pięćdziesiąt lat.. Tak! Byłam o rok młodsza od mego Teda. Równe pięćdziesiąt. Ale zawsze mi się wydaje, że mam dwadzieścia siedem, a on dwadzieścia osiem. Tak, on się nie starzeje i zawsze będzie miał dwadzieścia osiem lat. Ale ja, według rachunku, doczekałam się pięćdziesiątki... więc Oliwier Parkin będzie chyba miał trzydzieści sześć, albo siedem. Był trzynasto-, a może czternastoletnim wyrostkiem kiedy zostałam pielęgniarką, a jego ojciec zachorował i umarł na marskość wątroby.

— Może ktoś uraził jego dumę, kiedy był chłopcem — powiedziała Konstancja.

— Może tak było. Ale był upartym, małym diabłem, można go było zabić, a nigdy na krok nie ustąpił. Myślę, że lubił swojego ojca pijaka. „Oliwier, złotko, może byś ta skoczył pod „Trzy Becułki? — jeszcze dziś słyszę, jak się przymilał. Zaszkodzi ci tata — mówił chłopiec. „E ta, synku, może pomoże, poczuję się trochę lepiej”. — I chłopak zawsze skądś wytrzasnął trzy pensy na kwartę piwa, a tymczasem matka ciężko harowała, przyjmując brudną bieliznę do prania. Jeśli go przyłapała, sama wypijała to piwo. Mój Boże, cóż to były za wspaniałe walki! Była jak z żelaza, łapała za rękę, w której trzymał kufel, a on się szarpał, wymyślał najgorszymi słowami i starał się rozlać piwo. Ale zawsze zostawało dla niej trochę kropelek na dnie. A wtedy lżył ją straszliwie i znikał z domu na dwa albo trzy dni. Nigdy między matką i synami nie było zbytnej miłości. Ale ciężko dla nich harowała...

— Ilu tam było synów?

— Jeszcze trzech, prócz Oliwiera. Po nim był tylko jeden, najmłodszy. Nazywa się Albert i jest najspokojniejszy z nich wszystkich. Mieszka z matką i córką Oliwiera.

— Czy pani myśli, że Parkin kocha swoją córeczkę?

— O ile wiem, w tej rodzinie nie bardzo dbają o dzieci. A mała jest podobna do swojej matki, taka sama bezczelna.

Zamilkły na chwilę.

— Musi pani znać mnóstwo ludzi — powiedziała Konstancja.

— Och, tylko górników. Znam ich prawie wszystkich. Niewiele wiem o Oliwierze. Parkinie, bo odkąd został gajowym rzadko go widuję. Był wobec mnie arogancki jako wyrostek, ale czego innego można się było spodziewać? Jednak nigdy nie wiadomo. Może się okazać dobrym człowiekiem, jeśli ktoś trafi mu do serca. Ale musiałyby to być kobieta inna niż większość tutejszych. Prawie wszystkie odwracają się do niego plecami. Ale oczywiście, w państwa domu mógł się dać poznać od innej strony.

Konstancja umilkła, zastanawiając się czy pielęgniarzka coś podejrzewa. Była dziwną kobietą, przechowującą w sercu dawno zmarłego, młodego męża, dobrze znała górnicze rodziny i miała niezwykle, teatralny dar realistycznego ożywiania ludzkich postaci. Była osobliwą aktorką. Jej prawdziwe serce niepodzielnie wypełniał zmarły mąż. Dla reszty świata grała rozmaite role. I kiedy chciała, umiała milczeć jak grób.

— Chyba kobieta niewiele ma z życia, jeśli jej serce nigdy dla nikogo się nie obudzi — powiedziała Konstancja.

— Oj tak, mylady. Kobieta z sercem zmarnieje, jeśli ono się nie rozbudzi, albo stanie się w taki lub inny sposób dziwaczką. Wiem, co mówię. Dużo jest kobiet bez serca. Znam je ale te, które je mają i tęsknią za przebudzeniem, niech błogosławią mężczyznę, który je w nich obudzi. Niech sobie wtedy będzie kim chce. Jeśli się ma serce, nie żyje się dla pieniędzy ani żadnych bogactw, to wszystko zostawia się ludziom o sercach małych i nędznych. Właśnie dlatego bogacze, chociaż są tacy mili, okazują się bez serca, kiedy się ich pozna do głębi.

— Może jednak nie zna ich pani tak dobrze. — szepnęła Konstancja.

— Tak, chyba ma pani rację. A może nie chcę ich poznać. Mój mąż znaczył dla mnie więcej niż wszystkie skarby i wszyscy bogacze na świecie, a oni nazwali go tchórzem... Ale wszystko jedno! Jeżeli bogaty człowiek nie potrafi przemówić do czyjś serca, może się to udać biednemu. A wtedy niech sobie będzie kimkolwiek bądź, bo ofiarowuje więcej niż wszyscy inni. Wszystko polega na tym, czego się w życiu szuka i co uważa za najważniejsze.

— Tak — powiedziała Konstancja, wstając.

— I niezależnie od stanowiska, jakie zajmuje się w życiu, mamy swoje myśli i własny sąd o wszystkim. I nikt tego nie powstrzyma. Nikt.

— Dlaczego miałyby to robić? — Konstancja chciała już odejść.

— I jeśli jest w pani, mylady, coś co każe człowiekowi powiedzieć więcej niż powinien, to dlatego, że pani jest kobietą, prawdziwą kobietą, i czyjeś serce bije dla pani, a nie przeciw pani, mylady.

— Wiem, że nie zrobiłaby pani niczego, co by mi zaszkodziło — powiedziała Konstancja.

— Ani nie zrobi tego nikt inny, jeśli będę mogła temu zapobiec! — zawołała pielęgniarka, z płonącymi oczami. Zaraz potem wyszła bez słowa z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Konstancja trochę się jej przestraszyła. Wyglądała jak ktoś niezupełnie przy zdrowych zmysłach.

Pierwszy raz w życiu Konstancja poczuła zimny dreszcz przerażenia, nieokreślony lęk, jak gdyby przed nadciągającą z oddali rewolucją. Dużo wiedziała o straszliwej rewolucji w Rosji i niepohamowanej nienawiści klasowej, która wyładowała się nie docierając tutaj. Ale Rosja była Rosją, romantycznym, strasznym krajem, którego nie można zrozumieć. Anglia, to coś zupełnie innego. „Nic nas nie dzieli, jednym jesteśmy ciałem...” Zawsze czuła, że to prawda i że organicznie są jednym ciałem. Nigdy w całym swym życiu nie czuła cienia obawy, ani klasowego lęku, wobec swoich rodaków. Teraz przeszył ją dziwny ból, jak gdyby pierwszy ostrzegawczy sygnał bólów porodowych kobiety, która nigdy jeszcze nie rodziła. Był to skurcz nie określonego, okropnego strachu, strachu przed jej własnymi rodakami i rodaczkami, szczególnie klasowy lęk. Przez dłuższy czas nie mogła pojąć skąd bierze się ten dziwny, dręczący ją ból. Ale w końcu musiała przyznać, że jego źródłem był jej bliski kontakt z niższymi warstwami społeczeństwa.

Otarła się o nie przez swój romans z gajowym. I stąd zrodził się w niej ów nieznany lęk. Może ci ludzie są wrogami, którzy zburzą jej życie i życie ludzi należących do tej samej klasy, co ona! Może gajowy już teraz triumfuje, że w pewien nieuchwytny sposób ją zniszczył. Przypomniała sobie cień złośliwości w jego głosie, kiedy zapytał: — Czy nie uważasz, że się poniżasz, do kogoś takiego, jak ja? — Czy czuł, że się rzeczywiście w jakiś sposób poniżyła, obcując z nim? I czy triumfuje z tego powodu? A pani Bolton? Było coś złowieszczonego w okazywanej przez nią życzliwości. Czy też cieszy się z jej upadku?

Ta myśl wywołała ogromną zmianę w uczuciach Konstancji i zwróciła ją na powrót ku Cliffordowi. Byli w tym podziale po tej samej stronie barykady. Poczucie lojalności klasowej wróciło jej całkowicie. Odżyła jej więź z mężem.

W obawie przed tym nowym niebezpieczeństwem poszła do lasu rozmówić się z gajowym. Był w swojej chatce, bo wybrała się po herbacie, o zwykłej porze. Ukłonił się, gdy się do niego zbliżała. Co sobie myśli? Czy znów triumfuje z powodu upadku mylady? Czy myśli: — Już tu idzie ta mylady, ta moja dziwka?

— Nie mogę zostać długo — zaczęła. — Muszę zaraz wracać... Czy wszystko u ciebie w porządku?

— Ta, w porządku.

— Clifford — zaczęła znowu i przez chwilę się zawahała. Czy nie powinna nadal mówić „sir Clifford”, zwracając się do tego człowieka? Nie, już za późno. — Clifford wie, że nie jestem mu wierna... już ci mówiłam.

— Ano!

— Ale nie podejrzewa o kogo chodzi.

— Ano! — powtórzył bezmyślnie.

(W oryginale brakuje stron 137—138)

Parkin zastanawiał się nad tym, ale nie znalazł żadnego rozwiązania.

— Więc będziesz mogła to robić tak, jak dotąd? — zapytał.

— Nie chcę, żeby się ktoś o nas dowiedział... o mnie i o tobie — odparła. — Ty też tego nie chcesz, prawda?

— Nikomu nie powiem — rzekł lakonicznie. Milczeli przez dłuższą chwilę.

— Co cie gna do takiego chłopca, jak ja? — zapytał w końcu, uwalniając się od dręczącego pytania. — Bo sobie myślisz, że możesz przychodzić i nie przychodzić, jak zechcesz?

Z kolei ona długo się zastanawiała. Dlaczego przyszła do tego człowieka?

— Nie wiem — powiedziała powoli. — Ale kiedyś zobaczyłam, jak się myleś na podwórku za domem, i pomyślałam, że jesteś piękny.

— Ja! — wykrzywił się z ironicznym niedowierzaniem.

— Twoje ciało wydało mi się piękne — powiedziała. — I... i zapragnęłam cię... nie wiem dlaczego.

— Moje ciało było piękne — powtórzył, nadal się krzywiąc.

— Tak! I w dalszym ciągu tak myślę. Jest w tobie coś pięknego. Chciałabym mieć z tobą dzieci.

Odwrócił twarz i w milczeniu nieruchomo patrzył przez małe okienko. Potem znów spojrzał na nią i dziwny uśmiezek ukazał się na jego ustach: nawet teraz wyglądał tak, jak gdyby go obraziła.

— Dobre sobie — powiedział — żebyś był, jak mówisz, piękny... dla takiej pani jak ty, która zna wszystkich pierwszoklasnych młodych facetów, ech?

— Nie powiedziałam, że jesteś przystojny — odparła.

— Jeden jest przystojny, a drugi nie — powiedział bez związku, ale ponuro. I dodał: Ale nie bierzesz mnie serio, co?

— Pod jakim względem?

— Nie tak, jak gdybym był kimś tobie równym.

— Dlaczego?

Bo nigdy byś nie wyszła za mnie... nawet gdybyś była wolna jak ptak... nie zrobiłabyś tego — powiedział z odrobiną pogardy dla łączącego ich związku.

Przez długi czas milczała.

— Ty też nie chciałabyś tego, prawda? — powiedziała wreszcie.

Z kolei on długo się zastanawiał.

— Chciałbym, jakbyś nie była lepsza ode mnie. Ta. Ale jesteś lepsza, a ja nie chce się żenić z kobietą, która patrzy na mnie z góry.

Przez dłuższą chwilę milczała. Potem zapytała:

— Czy żałujesz, że zbliżyliśmy się ze sobą... tak bardzo? Nie od razu odpowiedział. Musiał to przemyśleć.

— Nie, nie żałuję, jeśli o to chodzi. Et, ani trochę. Chciałbym i niech się dzieje co chce. Nie w tym rzecz. Ale co myślisz o mnie? Patrzysz na mnie z wysoka.

— Nie — zaprzeczyła. — Jestem ci wdzięczna.

— Ech! — odparł. — Może i tak. Ja też jestem ci wdzięczny za te parę razy z tobą. To było ekstra. Ta! Ale... nie o to chodzi. Przecież masz mnie za nic.

Trudno jej było znaleźć odpowiedź. Już powziął do niej urazę.

— No cóż... Jeśli mnie nie chcesz...

Odwrócił się i spojrzał na nią, uśmiechając się nieomal przerażająco.

— Przychodzisz, kiedy chcesz i idziesz kiedy chcesz — powiedział. — Ja się dla ciebie nie liczę. A co ze mną, kiedy wyczekuję i wypatruję ciebie w parku, a ciebie wciąż nie ma? Mówię wtedy sobie: „Dziś nie chce cię widzieć, chłopie. Wracaj do domu i powieś fuzję na kolek! Ta! To czekam! Ano ide do domu i czekam aż do drugiego dnia.” Ale wiem swoje. Masz mnie za nic. Lubisz tylko tej trochę obłąpki ze mną. Patrzysz na mnie z wysoka, śwędzi cię, czy nie śwędzi.

Jakże mało go znała. Był bardziej obcy niż cudzoziemiec, należał do jakiejś dawno wygasłej ludzkiej rasy. Jakim językiem mówił.

— Posłuchaj — powiedziała. — I nie bądź niesprawiedliwy. Słuchaj! Kocham cię. Kocham cię po prostu jako kobieta i chcę z tobą sypiać w twoim domku. Chcę, żebyś mi mówił, że moje ciało jest piękne dla ciebie. Chcę naprawdę być twoją żoną. Ale czy nie możesz zrozumieć, czy nie widzisz, że jest także Clifford? Nie mogę go ot tak sobie, po prostu opuścić. On rozumie, że ja potrzebuję ciebie. Czy nie możesz zrozumieć, że potrzebuję jego?

Spojrzał na nią z zajadłą wściekłością.

— A co by było, gdybyś mu powiedziała, że byłaś z gajowym, z Oliwierem Parkinem, że łądaczyłaś się z nim? Co by na to powiedział?

— Nie wiem. Ale na pewno nigdy mu tego nie powiem. Za nic w świecie.

— A pewnie, że mu nie powiesz. Mogę za to ręczyć. Ech! Konstancję ogarnęło straszliwe zniechęcenie. Drwił z niej.

Przeraził ją szyderczy ton jego głosu. Jego zacięta wrogość i pogarda, z jaką mówił o ich seksualnym życiu. Ponieważ nie był jej równy klasowo, gardził własną miłością, żądzą, czymkolwiek by to nie było, co do niej czuł.

— Trudno — powiedziała w końcu, wstając powoli i kierując się w stronę drzwi. — Lepiej się pożegnajmy. Jestem ci wdzięczna za to, co mi dałeś. Naprawdę wdzięczna. Byłeś dla mnie dobry. Ale lepiej się rozstańmy. Zapomnij o wszystkim. Znowu będę taka, jaką byłam przedtem... przed tą wiosną.

Wyprostował się gwałtownie, jak gdyby zrzucał z ramion jakiś ciężar.

— Ech — powiedział. — Nie mów, że byłem dla ciebie dobry. Dałaś mi znacznie więcej niż ja tobie.

Zajrzał jej w oczy, bardzo błękitne, smutne i pełne wyrzutu i twarz skrzywiła mu się nagle, jak by miał się rozplakać. Nagle ogarnęło go znowu ślepe, niepohamowane pragnienie, żeby ją dotknąć, poczuć ciepło jej ciała.

Zobaczyła, że jego ręce bezwiednie wyciągają się do niej.

— Nie! — wykrzyknęła, cofając się gwałtownie. — Nie! Ty mnie przecież naprawdę nienawidzisz. Muszę iść. I nie mogę już tutaj przychodzić.

Otworzyła szeroko drzwi i ujrzała las skąpany w srebrzystym świetle wieczoru i ciemnofioletowe dzwonki w cieniu bukowych konarów. I kiedy stała niezdecydowana, oczarowana nieskalanym pięknem lasu, objął jej talię ramieniem.

— Czekaj no — szepnęła. — Nie, idź!

Poczuła, jak jego silna dłoń, wciska się w miękkość jej ciała.

— Muszę iść — powiedziała, starając się oswobodzić.

— Słuchaj! Słuchaj — szepnął obejmując ją oburącz i przytulając do siebie. — Posłuchaj! Nie idź! Zostań tu! Nie chcę żebyś szła! Nie chcę, żebyś mnie porzucała! Powiedz, że wrócisz... że zawsze będziesz wracała tu... do lasu. Powiedz, że znowu będę cię miał... tu, w lesie, zawsze! Powiedz coś, obiecaj! Coś mi obiecaj.

— Co mam powiedzieć? — szepnęła.

— Że to... że to się nigdy nie skończy... i że nigdy nie zerwiesz tego, co jest między nami.

— Nie zerwę nigdy tego, co jest między nami — powtórzyła. Odsunął się, patrząc na nią z niedowierzaniem.

— Nigdy — powtórzyła.

Puścił ją nagle, podszedł do warsztatu i wziął w rękę młotek i parę gwoździ.

— Przybijemy to — powiedział biorąc ją za rękę i prowadząc w cudowny półmrok, niebieszczący się od hiacyntów wśród bladych, wiosennych listków.

— Wbijesz w ten dąb swój gwóźdź obok mojego, na dobre i na złe? — zapytał.

— Tak — odparła, spłoszona.

Wziął duży gwóźdź i kilkoma mocnymi uderzeniami wbił go głęboko w pień drzewa. Potem podał jej drugi gwóźdź.

— Wbij go obok mojego — powiedział.

Wbiła swój gwóźdź tuż koło tamtego i Parkin wsunął młotek do kieszeni.

— Zrobione — powiedział.

— Tak. Ale teraz muszę już iść.

— Przyjdiesz znów? Niedługo?

— Tak.

— I zostaniesz ze mną na całą noc, w gajówce? Zastanowiła się nim odpowiedziała:

— Tak, niedługo. Musimy to przygotować, prawda?

— Ale obiecujesz?

Patrzył na nią uważnie, gdy odwracała się, by odejść.

— Nie idź ze mną — powiedziała stanowczo. Nic nie odpowiedział, ale stał nieruchomo, patrząc za nią. W jego brązowych oczach zobaczyła czujność i upór. Zrozumiała, że i tutaj nie wszystko będzie mogła przeprowadzić według swej woli.

Wieczór był bardzo piękny i na tle łuny, która rozjaśniała niebo po zachodzie słońca, splecione konary dębów rysowały się wyraźniej niż w pełnym jego blasku. Wzdłuż ścieżki, na łągach wysoko wyrosniętych niezapominajek lśniły miliony aksamitnych kwiatków niczym gwiazdki na mlecznej drodze. Przebiegła obok nich pośpiesznie, czując że śmieją się z niej, że każdy najdrobniejszy nawet kwiatusek jest małym, roześmianym punkcikiem. Bo się spóźni na obiad. Spóźnisz się, spóźnisz na obiad — śpiewały leśne ptaki.

Clifford wyjechał w swoim fotelu aż do samych schodów i siedział podziwiając zachód. Piękny majowy wieczór urzekał bujnym, tajemniczym rozkwitem angielskiej wiosny.

Ujrawszy Clifforda, szybko zamachała mu ręką na powitanie, a on odpowiedział jej tym samym gestem. Wchodząc po schodach zdjęła kapelusz i rozburzone włosy rozwiały się wokół jej twarzy, w której świeciły duże, szeroko otwarte, błękitne oczy.

— Tak pięknie jest w lesie! — zawołała. — Dlaczego zawsze trzeba się śpieszyć do domu?

— Naprawdę czułaś, że musisz wracać — zapytał. Umilkła, spojrzała na niego uważnie i obudziły się w niej wyrzuty sumienia.

— Tylko dlatego, że było tak pięknie — powiedziała. — Chciałam wrócić, jak tylko zaszło słońce. Ale byłam dość daleko. Dlaczego nie wyjechałeś mi na spotkanie?

— Ja? — zdziwił się. — Tylko prawdziwy kochanek mógłby wyjść ci naprzeciw, w taki wieczór jak dziś.

Szybko położyła rękę na jego dłoni, spoczywającej na kole fotela.

— Myślałam o tobie — powiedziała.

— Jesteś taka piękna. Wyglądasz zupełnie jak kwiat, a raczej jak leśna boginka, ale nie masz w sobie nic z jej przekory. Szkoda, że nie mogę pieszo wyjść ci naprzeciw i spotkać się z tobą w lesie. Czy czułaś się zawiedziona, będąc samotna w tak piękny wieczór?

— Zawiedziona? Dlaczego? Było tak pięknie. Cały świat należał wyłącznie do mnie. Poza kilkoma słowami, które zamieniłam z Parkinem.

— Czy wtargnął w twoje leśne królestwo?

— Nie. Po prostu był tam. Czy nie jesteś głodny? Ja strasznie. Czy mogę tylko umyć ręce i przyjść do obiadu, jak jestem?

— Oczywiście, kochanie. — Schwycił ją nagle za rękę. — Czy jesteś szczęśliwa? — zapytał ściszym głosem.

Zatrzymała się, zaniepokojona.

— Ja... nie myślę o tym — odparła. — Czemu pytasz?

— Bo tak pięknie wyglądasz — powiedział nadal stłumionym głosem. — Jesteś taka śliczna. Nie mógłbym znieść, gdybyś była nieszczęśliwa.

Pochyliła się i szybko pocałowała go w czoło.

— Mój kochany... — szepnęła czule, jak matka.

— Tak? — powiedział. — Może byłoby lepiej, gdyby mnie wtedy zupełnie zmiotło ze świata. Czuję się jak sprytny oszust, który wyniknął się śmierci, ale teraz tego żałuje.

— Och, nie mów tak! — zawołała i mocno ścisnęła jego dłoń.

— Chce mi się wyć i płakać — powiedział z patosem. Znow przystanęła i pocałowała go.

— Wyj i płacz, ile chcesz, a ja będę tuliła twoją głowę — powiedziała czule. — Płacz ile chcesz mój biedaku, mój kochany biedaku.

— No, już koniec! — powiedział nagle. — Opanowałem się. Maj jest właśnie dla... och! nie zawsze tylko maj. Nie zawsze, niestety! Często jest to po prostu mus. Idź, umyj ręce, kochanie, a ja tymczasem wjadę do domu. — Popychając rękami koła, przetoczył swój fotel przez hol. W czasie obiadu był dość wesoły. Ale kiedy siedzieli razem w jego pokoju, znow posmutniał.

— Naprawdę myślę, że lepiej by było, gdybym wtedy umarł — powiedział. — Powinni byli pozwolić mi umrzeć.

— Nie mów tak, Cliffordzie! — wykrzyknęła Konstancja. Podeszła do niego i przytuliła jego głowę do piersi. — Dlaczego tak mówisz? Jeśli nawet się coś utraciło, to chyba lepiej nie stracić wszystkiego, czy nie tak?

Czuł łagodne ciepło jej młodego ciała i jej spokojny, równy oddech, gdy przytulała jego głowę.

— Czy rzeczywiście martwiłabyś się, kochanie, gdybym bezpiecznie wylądował po drugiej stronie Styksu?

— Czemu zadajesz takie pytania? — powiedziała, przyciskając mocniej jego głowę. — Dobrze wiesz, jak się cieszę, że kochasz życie.

— Pytam — odparł — bo życie nie ma dla mnie żadnego sensu, jeśli nikomu na tym nie zależy, żebym żył. I gdy patrzyłem na zachód słońca, a ty nie wracałaś, czułem, że byłabyś szczęśliwsza gdybym umarł i że może sama zdajesz sobie z tego sprawę.

Zwolniła uścisk.

— To bardzo okrutne z twojej strony, Cliffordzie — powiedziała cicho i poważnie. — Nie byłabym szczęśliwsza, gdybyś umarł. Byłoby mi o wiele ciężiej. Nie chcę, żebyś umarł. Potrzebuję ciebie, kochany. Naprawdę to bardzo okrutne, że ode mnie uzależniasz swoją chęć życia. Przecież sam pragniesz żyć? Masz ogromną chęć życia?

— Och, najmilsza... — westchnął. — Taki strasznie niepotrzebny czułem się dziś wieczorem, kiedy wszystkie ptaki zanosiły się samczą pieśnią godową. Cóż to była za męka... jesteś niepotrzebny, niepotrzebny! Jesteś tylko zawadą, niczym więcej...

Spojrzała na niego uważnie. Jego błękitne oczy były szeroko otwarte i patrzyły nieruchomo. Przerzucił na nią swoje straszne cierpienie.

— Posłuchaj, Cliffordzie... — usiadła i powoli zaczęła cicho płakać. Szlochała długo i niepohamowanie, a on nie mógł jej uspokoić. Ale co najdziwniejsze, mimo wszystko w głębi duszy czuła się raczej szczęśliwa.

— Kochanie... moje najdroższe kochanie — powtarzał. — Jestem okropnym brutalem. Niegodnym ciebie brutalem i podłym hamletyzującym świntuchem. Kon, kochana! Gdybyś chociaż zechciała mnie kopnąć. Albo dać mi po twarzy, bo na to zasługuję... Ale nie płacz, najmilsza, bo tego nie zniosę. Jesteś o wiele, o wiele za dobra dla mnie. Kon, moja najdroższa Kon, błagam cię, nie płacz. Jeszcze ten raz, zlituj się nade mną i nie płacz, kochana. Proszę cię o to, ja, wstrętny samolub, który tak bardzo cię kocha... Nie jestem ciebie godny, biedactwo moje... zupełnie ciebie niegodny...

Ale ona płakała dalej, nie mogąc pohamować wybuchu rozpacz. Lecz w duszy czuła się raczej szczęśliwa. Płakała szczerze, gdyż żałowała Clifforda i współczuła mu z całego serca, jak dawniej. W głębi duszy czuła się jednak szczęśliwa, bo wbiła gwóźdź obok gwóźdźa tego drugiego mężczyzny i obiecała mu przyjść na całą noc do jego leśnego domku.

Jej rozpacz stopniowo słabła, jak gdyby oddalała się w przeszłość i stawała płytsza, nie tak zaborcza i mocna, jak tamto, awanturnicze uczucie szczęścia.

Kiedy wyplakała już wszystkie łzy, spędzili spokojny wieczór w serdecznym nastroju. Zawsze czuła się dobrze z Cliffordem, gdy zatopiony w myślach, błędząc kapryśnie z tematu na temat, spokojnie rozmawiał. Mówili o wszystkim, o ludziach, książkach, różnych ideach i o sztuce, prawdziwie interesująco, bez narzucania sobie wzajemnie lub odrzucania poglądów, po prostu w doskonałej harmonii przerzucając się z tematu na temat.

— Tak, zgadzam się z tobą — mówił Clifford — nieśmiertelność jest swego rodzaju czwartym wymiarem, jest stale obecna w naszym życiu, tylko tracimy jej poczucie. Zgadzam się z tobą, że nie jest czymś odsuniętym w daleką przyszłość, tylko my zatracamy w sobie coś, co tę nieśmiertelność czuje, i dlatego o nią nie dbamy. Ale dziś wieczorem, kiedy tak spokojnie z tobą rozmawiam, mam poczucie nieśmiertelności. Czegóż więcej mógłbym pragnąć? Wspólnie, ty i ja, dzielimy się naszą nieśmiertelnością. Czy zgadzasz się ze mną?

— Tak — odparła powoli. — Przeżywamy ją wspólnie. Ale jest mnóstwo rodzajów nieśmiertelności. Jeden z nich czułam, kiedy wracałam do domu koło niezapominajek, które wyglądały jak gwiazdki śmiechu, ciągle się śmiały... Ale myślę, że my dzielimy się naszą nieśmiertelnością i dlatego tak mnie boli, kiedy mówisz, że nie chce ci się żyć. Zrozum, że to rani moją część nieśmiertelności.

— Co za głupiec ze mnie! Jakie niewdzięczne bydlę! — wymyślał sobie po cichu. — Żyję i mam ciebie, a jednak skamlę. Następnym razem daj mi mocno po twarzy!

— Naprawdę? — zapytała uśmiechając się i całując go na dobranoc. Wiedziała, że po tym wybuchu poczuł się znów szczęśliwy. I uśmiechnęła się sama do siebie.

— Czy nie wybralibyśmy się do lasu? — zapytał na drugi dzień, znów bowiem zapowiadała się piękna pogoda.

— Tak — zgodziła się. — Czy już zaraz?

Razem z panią Bolton pomogła mu usiąść w motorowym wózku. Nogi miał całkowicie bezwładne, trzeba je było kolejno przekładać i ustawiać w nowym miejscu. Ale miał bardzo silne ramiona i łatwo mu było się unosić, opierając się na poręczach. Konstancja nie doznawała już wstrząsu przenosząc jego długie, bezwładne nogi, a potem okrywając je pledem. Czas ją uodpornił. Teraz, ilekroć serce jej z litości nad nim kurczyło się boleśnie, przypominała sobie, że on zawsze wierzył w nieśmiertelność ciała i nieśmiertelność duszy. Nie powinien więc rozpaczać tak bardzo, a może nawet wcale nie czuł rozpacz? Może w jakiś sposób jego kalectwo było dla niego ulgą, swego rodzaju ucieczką? Mogło mu być łatwiej żyć, niż będąc w pełni mężczyzną? Gdyby ludzie wierzyli w nieśmiertelność ciała, nigdy nie wdawaliby się w tę, lub jakąkolwiek inną wojnę.

Kiedy już przy samych drzwiach usadowiły go wygodnie w fotelu, Clifford ruszył i objechawszy z cichym warkotem silniczka dom, znalazł się na podjeździe, gdzie na zakręcie, pod ogromnym bukiem, czekała na niego Konstancja. Jechał powoli i dumnie w swoim niskim trzykołowym wózku, który równo i spokojnie, niemal bez hałasu, toczył się naprzód. Kiedy znalazł się blisko Konstancji, obejrzał się i objął spojrzeniem długi, brązowy, kamienny front starego, niskiego dworu. — „Kamienne mury nie czynią więzienia,

I kraty żelazne też nie są klatką...” —

zacytował. — Przynajmniej odkąd ludzie wymyślili mechaniczne pojazdy, nieprawdaż? Widziałś jak łatwo mogę wydostać się z domu? Czy myślisz, że dusza tak samo ogląda się wstecz za swoim ciałem, jak ja na mój stary rodzinny dom?

— Dusza nie wyjeżdża na spacer w zmotoryzowanym fotelu na kółkach — powiedziała Konstancja.

— Masz rację — roześmiał się. — Ale może czymś podobnym są nasze wloty wyobraźni i duchowe eskapady... Myślę, że jesienią trzeba będzie trochę odrestaurować nasz stary dom... albo na przyszlą wiosnę. Czy uważasz, że mogę wydać na to kilkaset funtów?

— Ależ tak, zrób to! Jeżeli nie będzie strajku w kopalni.

— Nie wywołuj wilka z lasu! Po co ci żebracy mieliby strajkować? W rezultacie cofnęłoby to nas do pewnego rodzaju niewolnictwa i na tym by się skończyło.

— Kogo miałoby cofnąć?

— Och, nas wszystkich! My, którzy reprezentujemy sfery rządzące, musielibyśmy w końcu wprowadzić złagodzoną formę niewolnictwa, aby zmusić robotników do pracy. Nie ma żadnej alternatywy. Inaczej nastąpiłaby anarchia.

— Ale czy oni by wam pozwolili? — zapytała. — Czy robotnicy by wam na to pozwolili?

— Och, musielibyśmy to robić po cichu i spokojnie, za ich plecami. Ale zrobilibyśmy... musielibyśmy to zrobić.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Przecież to oczywiste. Żeby utrzymać pracę kopalni i całego przemysłu. Pozwolić im stanąć to zgodzić się na głód i piekło anarchii. Przejście na system komunistyczny spowodowałoby nieuchronnie zatrzymanie się dużej części gospodarki. Co na naszej małej, przeludnionej wyspie musiałyby się skończyć anarchią. Nie pozostaje więc nic innego, jak ostrożnie i w porę nałożyć niezbyt ciężkie kajdanki. Jakie jest inne wyjście?

Znaleźli się na skraju parku i poprzez łagodne zbocza, porośnięte pięknymi, wolno stojącymi drzewami, patrzyli w daleką przestrzeń, na kominy kopalni, jak co dzień wyrzucające w górę czarne i białe pióropusze, oraz na błyszczące, ciemne łupkowe dachy górniczych domków. Ponad tym wszystkim, na szczycie przeciwległego wzgórza, wznosiła się kwadratowa wieża kościoła, zbudowanego z takiego samego brązowego kamienia, jak Wragby. Dachy domków, zachodząc jeden na drugi, stwarzały wrażenia jakichś dziwnych, oryginalnych schodów, które prowadziły aż do kościoła i otaczającej go kępy drzew.

Było w tym obrazie coś widmowego.

— Czy myślisz, że walka klas jest nieunikniona? — zapytała Konstancja.

— Nie! Ale jestem zdania, że niewielu musi rządzić wieloma.

— Czy uważasz, że wzajemne porozumienie jest niemożliwe?

Powoli potrząsnął głową.

— Tak! — odparł. — Między posiadającymi i nieposiadającymi nigdy nie będzie trwałej zgody. Chyba że za takie porozumienie uznamy ciągłe zmagania. Każda strona ciągnie swój koniec do siebie, póki nie unicestwi przeciwnika lub, co jest chyba lepsze, nie wprowadzi łagodnej, umiarkowanej formy niewolnictwa.

— Czy myślisz, że ludzkość dzieli się tylko na posiadających i nieposiadających? Czy na przykład ty jesteś po prostu posiadaczem?

— Tak, jestem nim, jeśli mowa o węglu. Wszystko jest w porządku, dopóki nie wypłynie ta sprawa. A kiedy już raz wypłynie, następuje koniec porozumienia. Każdy ciągnie za swój koniec liny i nie ustaje aż nie wypruje z siebie wnętrzości, albo nie rozłoży przeciwnika.

— Przecież nie musi tak być.

— Nie wiem, musi czy nie musi. Wiem, że tak jest.

— Ale gdybyś nie ciągnął za swój koniec liny? Gdybyś nie trzymał się tak kurczowo swojego majątku? — zapytała Konstancja.

Obiegł spojrzeniem daleki dwór i park.

— Biedne stare Wragby — powiedział? — Czułbym się wtedy jak kapitan, który schodzi ze statku i oddaje go w ręce wroga.

— Ale czy oni są naprawdę wrogami... mam na myśli górników?

— Kiedy widzisz, jak czają się w parku, bezprawnie wdzierają się na nasz teren i usiłują kłusować w lesie, czy nie wydają ci się wrogami?

— Tak. Ale... czy musimy... pozwalać, żeby Wragby było kością niezgody między nami i... i tymi ludźmi?

— Czy nie dziękujesz Bogu, że między tobą i osiedlem Te-vershall jest Wragby? Czy wolałabyś mieszkać na przykład na Bonfoots Row, albo w którymś innym rzędzie górniczych domków?

— Nie... Ale górnicy na pewno nie rozumieją, dlaczego oni nie mieliby mieszkać we Wragby.

— Ależ tak! — odparł powoli. — Doskonale to rozumieją, pomijając jeden jedyny powód, który jest właściwie abstrakcją i niczym więcej.

— O czym mówisz?

— O tej ich ukochanej równości ludzi, czy jak tam oni to nazywają, choć sami dobrze wiedzą, że to banialuki. Sami widzą różnicę między dżentelmenem i górnikiem. Trzeba tę różnicę ciągle podkreślać i mocno im ją wbijać w głowę. Och, posiadanie leży u podstaw wszystkich religii. Nawet „The Times Literary Supplement” pisze, że posiadanie stało się zagadnieniem religijnym. I mają świętą rację. Jestem właścicielem Wragby w takim stopniu, w jakim człowiek może w ogóle posiadać ziemskie dobra. Wragby jest dla mnie symbolem wszystkiego, co godne i szlachetne, a jeśli chcesz, nawet boskie w człowieku. Zburz Wragby lub przerób je na szkołę dla dzieci górników, a zburzysz i unurzysz w błocie wszystko to, co w człowieku godne, szlachetne i boskie. Wierzę w to jak w ewangelię. Wragby to statek, żeglujący w odkrywczej podróży, w poszukiwaniu nowych ludzkich możliwości. Płyń naprzód, a w jego kilwaterze wleką się małe, brudne łódki górniczych domków. Czy wyobrażasz sobie, że — posługując się starym przykładem — znalazłby się w jakimś ich domku, powiedzmy, fortepian, gdyby trzysta lat temu Wragby nie przyczyniło się do jego zbudowania? I tak właśnie rzeczy się mają.

Konstancja nagle zrozumiała, że to prawda. Nagle rzeczywiście pojęła dlaczego nie chce rodzić dzieci w górniczym domku, ani wychowywać ich w gajówce. Urodziłyby się jedynie po to, by płynąć w wielkiej flotyli małych brudnych łódeczek, które pozostawione same sobie, żeglowałyby po prostu do nikąd, bez określonego kierunku i pozbawione wszelkiego znaczenia. Tylko takie dumne statki jak Wragby, odkrywają nowe drogi na wielkich, nieznanych morzach.

To prawda. Zawsze będzie tylko kilku, stosunkowo niewielu przywódców i poszukiwaczy nowych dróg. I zawsze będą nimi ludzie dobrze urodzeni. I oni zawsze muszą sprawować całkowitą władzę w swoich dobrach. Muszą! Bez nich nie będzie dumnych statków, śmiało rzucających wyzwanie nieznany morzom, zostanie tylko tabun płaskodennych, nędznych łódek, żeglujących do nikąd. Wyrzeczenie się własności nic nie da rodzajowi ludzkiemu. Clifford ma rację. Może dziś, wręcz przeciwnie, religijnym obowiązkiem człowieka jest walczyć o -utrzymanie swojej własności. Czuła, że bardziej honorowo jest walczyć, niż nikczemnie ustępować, cofać się przed tyranią.

— Ale Cliffordzie — zapytała — czy rzeczywiście uważasz, że to ludzie z wyższych sfer dowodzą w odkrywczej podróży? A jeśli tak, to skąd bierze się całe to przeciąganie liny?

— Ta gra jest częścią wielkiego eksperymentu. Problem własności nie został jeszcze ostatecznie załatwiony.

— To znaczy załatwiony tak, żeby utrzymać obecny stan rzeczy?

Milczał przez chwilę.

— Możliwe — odparł.—A w każdym razie trzeba walczyć o każdy cal terenu, zanim się go ustąpi przeciwnikowi. O tym rozstrzygnie walka, nie rozwiąże się tej kwestii dyskutując lub po prostu podając sobie ręce na zgodę. Ta sprawa wyzwała w ludziach skrajne emocje. Będę walczył o każdy jard mojego Wragby, o moje prawo do dywidend z kopalni i wszystko inne. Górnicy nie mogą mi przedstawić lepszego tytułu własności. Gdyby przerobili Wragby na szkołę dla swoich dzieci, nazwałbym to degradacją, cofnięciem się wstecz. Musi istnieć życie na wyższym poziomie.

— Tak! — powiedziała. Wiem. I wierzę w to. Ale czy nie ma innego rozwiązania? Słuchaj Cliffordzie, Wragby nie jest w tym stopniu moje, żebym musiała o nie walczyć. Nie mam rodowych siedzib. Dlatego ta sprawa jest mi raczej obojętna.

— Czyżby? — zapytał ironicznie. — Z pewnością by nie była, gdybyś miała dzieci... — urwał na chwilę — ...czy myślisz, że będziesz je miała? — dodał, patrząc na nią nienaturalnie błyszczącymi oczami.

— To możliwe — odparła, oblewając się ciemnym rumieńcem.

— Mam nadzieję, że będziesz je miała chociażby tylko po to, by dalej prowadzić tę walkę. Na Boga, to wielki bój i chciałbym móc ci pomóc w wychowaniu chłopaka tak, żeby trzymał się Wragby. Taka jest nasza przyszłość... walka o posiadanie, o prawo do posiadania dóbr, o utrzymanie ich w naszym ręku.

Znów obejrzał się na stary, milczący dwór, którego długa, brązowa, niska fasada wyglądała trochę smutno w słonecznym blasku majowego poranka.

— Pomyśl... musieć walczyć o prawo dalszego posiadania Wragby! Daj mi syna, Kon! To wszystko, o co cię proszę.

Nie odpowiedziała, lecz odwróciła się szybko, a on ostrożnie ruszył wózkem w dół, po pochyłej drodze prowadzącej przez park. W jego oczach pojawiał się raz po raz wojowniczy błysk, podobnie jak na niebie pojawiały się i znikwały białe obłoki.

Dać mu syna, żeby walczył o Wragby! Tylko po to! I miałby to robić naturalny syn gajowego i wnuk górnika z kopalni. O nie, ...to zbyt nedorzeczne i okrutne.

Szła powoli za wózkem, czerwono wyżywirowaną drogą, na którą tu i ówdzie wdzierały się chwasty, między drzewami pokrytymi kiściami młodych pędów i przez odkryte łączki, gdzie między kępami wysokiej trawy, z małych wełnistych kłębuszków nieśmiało ukazywały łebki pierwiosnki. Ich wzruszająca puszysta świeżość dziwnie ją rozczuliła. Właśnie to! I tylko to! Owa szczególna puszysta delikatność i bezbronność dopiero rozwijających się kwiatków, z niewiarygodną odwagą wychylających się na świat — wielki, zatłoczony i niebezpieczny dla miękkich, kruchych roślinek, które łatwo jest zmiażdżyć. Tak, właśnie to! Ten rodzaj odwagi i taka wewnętrzna siła. Tak, tak, tak! Właśnie tego pragnie. Czegoś tak delikatnego i kruchego, odważnie otwierającego oczy na świat.

Och, dlaczego Clifford nie ma delikatniejszego podejścia, ani choćby cieplejszego kontaktu z górnikami, co na pewno wzbudziłoby ich wzajemność! Ale on jest taki twardy, o wiele twardszy i bardziej nieczuły niż ci szpetni, milczący górnicy. Twardy i zręczny, lecz pozbawiony wrażliwych, delikatnych czuzków zrozumienia i prawdziwej inteligencji, sięgającej daleko w przestrzeń. Czuła, że gdyby była mężczyzną, umiałaby znaleźć klucz do tego makabrycznego problemu walki klas, która już się rozpoczęła. Ale jest tylko kobietą i może współczuć tylko jednemu wybranemu mężczyźnie, a nie wszystkim mieszkańcom miasteczka lub całej uciemnionej klasie.

Dotarli na skraj parku i Konstancja otworzyła furtkę pro wadzącą do lasu. Przed nimi leśna droga wciniała się między milczące, szare drzewa. Fotel na kółkach wtoczył się na nią, miażdżąc niezapominajki, nisko płującą się wykę i pęki marzanny. Clifford jak mógł, starał się omijać kwiaty. Ale, jak piana na morzu po sztormie, cisnęły mu się prosto pod koła.

— Miałaś rację, kochanie — powiedział. — Jest zdumiewająco pięknie.

Mijali leszczynowy zagajnik, gdzie w gęstwinie młodych brązowych pędów rosły, jak gdyby ukradkiem, kępy wysokich, dumnych fioletowych dzwonek, a na ocienionej szarej ziemi rozpościerały się ogromne, szarozielone liście. Gdzieś w pobliżu zerwał się dzięcioł. Na drodze, w wilgotnej trawie, leżały zeschnięte leszczynowe bazie. Wózek wolno toczył się naprzód.

Minęli zagajnik i za skrzyżowaniem drogi ze ścieżką wjechali w przejrzysty dębowy las, pnący się malowniczym zboczem łagodnie w górę. Teren był tu oczyszczony z poszycia i wiele drzew wycięto podczas wojny, zbocze było więc odsłonięte, skąpane w świetle. Bujnie rosnące dzwonki tworzyły w słonecznym blasku barwne, purpurowofioletowe pola i plamy, a między szczątkami pni i starymi strużynami drewna niebieszcili się najczystszy błękitem, wśród młodych, tu i ówdzie rosnących drzew. Clifford musiał utrzymywać wózek w suchu i stanął dopiero na szczycie wzgórza, bał się bowiem, że mógłby utknąć po drodze. Konstancja szła kilka kroków za nim. Jeżeli z zimnej, nieczułej ziemi wyrastają takie delikatne rośliny o czystej błękitnej barwie, które zdają się cicho podzwaniać melodyjnym kurantem, dlaczego człowiek musi być taki twardy, uparcie twardy, jak wielkie ścięgno w kawale duszonej wołowiny? Dlaczego? Dlaczego przez całe życie musi być tylko twardym samolubem? Nawet potężne dęby mają małe, brązowe, mięciutkie łapki, wysunięte jak czujki, i dotykają nimi łagodnego, ciepłego powietrza. Szara kora jest gruba i twarda. Ale na końcu każdej gałązki otwiera się mięciutka łapka. Dlaczego? Po co? Trzeba przetrwać zimę, ale nawet wtedy jedyną ochroną tych delikatnych, mięciutkich łapek są rękawiczki. Łapki zamykają się, ale nie tracą swojej wrażliwości.

Clifford siedział w wózku na szczycie wzgórza i patrzył w dół poprzez cudowną siatkę zielonych gałązek na przepiękne łąny nieskalanego błękitu, rozświetlające zieleń zbocza i ciągnące się do samych stóp wzgórza, a nawet dalej.

— Tak... — przyznał. — Widok jest wspaniały. Urzeka barwą. Ale absolutnie nie nadaje się do namalowania.

To też było zapewne prawdą. Tak wiele rozmaitych rzeczy jest prawdziwych na naszym złożonym, skomplikowanym świecie.

W lewo, przez stary gęsty las biegła wąska ścieżka prowadząca do gajówki. Dzięki Bogu była zbyt nierówna i wąska, żeby wózek mógł nią przejechać.

— Czy zjedziemy w dół, do źródła? — zapytał Clifford,

— Jedźmy! — odparła Konstancja.

Wózek zaczął powoli toczyć się w dół po łagodnej pochyłości, wjechał na wielkie pola dzwonek i posuwał się dalej wśród nich. Dziwny statek! Osobliwy okręt płynący przez pachnące, rozkołysane, błękitne morze. Ostatnia szalupa ratunkowa wojennego okrętu, żeglująca po nieznanym oceanach, by dokonać ostatnich na świecie odkryć. Clifford siedział sztywno wyprostowany, w czarnym starym kapeluszu na głowie, spokojny i zadowolony jak kapitan przy nieśmiertelnym kole sterowym. Ale w jego kilwaterze, jak jedna z towarzyszących łódek, szła powoli zboczem, ubrana w szarą, włóczkową suknię Konstancja. Wózek łagodnie skręcił w bok i zniknął jej gdzieś w dole z oczu.

Nagle z lasu wyszedł gajowy. Konstancja usłyszała za sobą cichy odgłos jego kroków i odwróciła się.

— Myślałem, że dla mnie będziesz żoną tu, w lesie — powiedział, uśmiechając się niepewnie — a jego... — ruchem głowy wskazał w stronę znikającego wózka — na całej reszcie świata.

Jego brązowe oczy patrzyły na nią przenikliwie, ale mimo to, tak, na pewno, mimo to przypominały nie rozwinięte jeszcze ostatecznie, miękkie i czułe brązowe dębowe listki.

— Na pewno tego chcę — odparła unosząc głowę i patrząc na niego. — Ale Clifford chciał zobaczyć kwitnące dzwonki.

Milczał zakłopotany. Potem cicho padło pytanie, które paliło go, zanim zdążył je wypowiedzieć:

— Kiedy przyjdiesz?

Konstancja trochę się bała. Ale jakiś obcy głos samowolnie odpowiedział za nią:

— Dziś wieczór.

— Ta, dziś wieczór — powtórzył cicho, zduszonym głosem. — Do domku..? Znaczy, na gajówkę?

— Tak.

— Czekać na ciebie przy furtce, w parku?

— Tak, po dziesiątej.

— Po dziesiątej!

Z dołu, poprzez drzewa, dobiegło wołanie Clifforda: — Kuu...u!

— Kuu...u — szybko odpowiedziała Konstancja. Był to ich dawny, umowny sygnał.

— Niech głośno krzyczy, jak mnie będzie potrzebował — cicho powiedział Parkin.

Konstancja skinęła głową, spojrzała mu przez chwilę w oczy... w lesie była jego żoną... i szybko pobiegła z boku do wołającego ją Clifforda.

Gajowy niecierpliwie odwrócił się i odszedł w przeciwną stronę.

Konstancja znalazła Clifforda już przy źródle, na przeciwległym, mrocznym stoku, porośniętym modrzewiowym lasem, który sprawiał wrażenie opalonego ogniem. Na drogę wysuwały się wielkie liście łopianu. Było tu ponuro i niesamowicie, jak zawsze.

Tylko źródło było piękne. Bulgotało w małej kryształowo czystej studzińce, usłanej na dnie drobnymi kamykami, które migotały i zdawały się tańczyć. Na brzegu, w wysokiej trawie, kwitły skromne świetliki i pięciorniki. Ze źródła woda ściekała po zboczu wartkim strumyczkiem do płytkiego rowu.

— Napijesz się? — zapytała Konstancja.

— Tak. A ty?

— Ja też.

Na drzewie wisiał mały emaliowany kubek. Konstancja zdjęła go, napelniła wodą i podała siedzącemu w wózku Cliffordowi.

— Czy o czymś pomyślimy? — spytał, biorąc kubek.

— Tak, zróbmy to.

— Poczekaj... czego mam sobie życzyć? — zapytał.

— Nie wolno ci tego mówić.

Usłyszeli stukającego daleko w lesie dzięcioła i zaraz potem głośny krzyk bażanciego koguta. Było bardzo cicho, choć wiał lekki wiatr, a na niebie pojawiło się więcej obłoków.

— Jaka ta woda zimna — powiedział Clifford, pijąc małymi łykami. — Można by sobie życzyć różnych nadzwyczajności. Sądzę, że mężczyźni i kobiety życzyli sobie przy tym źródle spełnienia najbardziej wymyślnych pragnień.

Wypił wodę powoli, w milczeniu, i oddał Konstancji kubek.

— Pomyślałeś coś? — zapytała.

— Tak.

— Nie wolno ci powiedzieć mi tego — upomniała go.

— Wiem! Teraz twoja kolej.

Pochyliła się nad źródłem, opłukała kubek i znów go napelniła. Pomyślała w duchu:

„Nie będę sobie niczego życzyła. Mogłabym przeszkodzić w spełnieniu mego prawdziwego przeznaczenia.”

Piła powoli, lodowata woda pozbawiała ją tchu.

— Czy już sobie coś pomyślałaś? — spytał Clifford.

— Tak — odparła łapiąc oddech i nie zwracając uwagi na to, co mówił.

Zerwała garść marzanny i patrzyła, jak kret wydobywa się z kopczyka i wiosłując w ziemi małymi różowymi łapkami ukazuje ślepy pyszczek.

— Czy widzisz kreta? — zapytała.

— Tak. Dziwię się, że go jeszcze nie dopadł Parkin. Co za okropne życie, zakopywać się i wiercić korytarze w tej brunatnej, mokrej ziemi. Obrzydliwe stworzonko.

— Wygląda, jak by widział różowym koniuszkiem nosa — powiedziała Konstancja — Czy myślisz, że on węszy, czy chodzi mu o coś innego, kiedy kiwa nosem?

— Wygląda jak wielki orator — odparł. Podała mu marzannę do powąchania.

— To taki wytworny, staroświecki zapach — powiedział.

Modrzewie także wystawiały z ciemnego gąszczu na światło swoje zielone pędzelki. Konstancja spojrzała w niebo, które zdawało się odległe i obojętne.

— Zastanawiam się, czy nie zaczniesz padać?

Powoli ruszyli z powrotem. Silnik pykał cicho. Clifford ostrożnie kierował wózkiem, posuwając się wilgotną, zarosniętą trawą, nierówną drogą. Zjechali w dół i skręcili w stronę długiego zbocza, na którym w przerwach między drzewami niebieszcili się dzwonki.

— Jak myślisz, czy wjedzie pod górę? — zapytała.

— Spróbujemy. Mam nadzieję, że się uda.

— Jeśli nie, będziesz musiał zawołać Parkina — powiedziała..

— Dziwię się, że się sam nie pojawił — odparł Clifford.

Wózek toczył się wolno pod górę, wśród bujnych błękitnych hiacyntów. Posuwał się coraz wolniej i z coraz większym wysiłkiem, aż w końcu stanął.

— Zawołaj Parkina — powiedziała Konstancja.

— Spróbujemy jeszcze raz.

Nie miał ochoty wzywać gajowego. Wózek, wydając zabawne, urywane dźwięki, z trudem posunął się kilka kroków dalej. W pobliżu zaszczekał jakiś pies. Brązowy spaniel gajowego przybiegł do nich, przyjaźnie merdając ogonem na powitanie Konstancji, lecz z daleka omijając wózek.

Po zboczach szybko schodził Parkin zmierzając w ich stronę. Gdy znalazł się blisko, dotknął dłonią kapelusza i w swobodnej pozie zatrzymał się przed wózkiem, patrząc na silniczek.

— Obawiam się, że nie wciągnie mnie na górę — rzekł sir Clifford.

— Ano tak wygląda — odparł Parkin, zsuwając kapelusz z czoła i patrząc na wózek. Potem nachylił się, sięgnął pod koła i dotknął silnika. Poklepał zbiornik z benzyną.

— Ma pan dosyć paliwa? — zapytał.

— Och, chyba tak — odpowiedział Clifford.

Parkin oparł strzelbę o pień drzewa, ukląkł przy silniku i zaczął po kolei dotykać rozmaitych śrubek, w skupieniu szukając defektu.

Po chwili podniósł się i stanął w rozkroku.

— Niech pan zapanuje teraz, sir! — powiedział.

Clifford posłusznie jeszcze raz spróbował uruchomić silnik.

— Jakiś paproch, albo coś innego zatyka dyszę — rzekł gajowy. — Niech pan mu da więcej gazu.

Clifford znów posłusznie zastosował się do wskazówki. Silnik zakrzuszył się, kichnął kilkakrotnie, a potem zaczął regularnie pracować.

— Ano! — odezwał się znów gajowy. — Wygląda, że się odetkało.

Clifford milcząc zaczął wjeżdżać na zbocze. Wózek posuwał się powoli, jak gdyby brakowało mu sił, żeby wspiąć się pod górę.

— Mam popchnąć? — spytał gajowy. — Pomóc trochę?

— Sam powinien dać radę — odparł Clifford. — Jeszcze poczekajcie.

Konstancja i Parkin szli za wózkiem, który powoli, cal po calu windował się pod górę. Zastanawiała się nad ciekawym, niemal masońskim koleżeństwem mężczyzn, które łączy ich w sprawach dotyczących maszyn. Parkin był innym człowiekiem — żołnierzem. A jednak odnosił się do Clifforda z całą swobodą, a nawet odrobiną humoru! Clifford był oficerem, a Parkin zwykłym szeregowcem.

Wózek, jak gdyby konając na jakąś chorobę serca, utknął na dobre w samym środku szczególnie pięknego łąnu dzwonek jak statek, który wszedł na mieliznę.

— On nie da rady. Nie ma dość siły — powiedział gajowy.

— Powinien dać radę... tu nie jest stromo — upierał się Clifford.

— Ano, powinien... ale nie da rady. Lepiej ja pana popchnę, sir.

— Jeszcze zaczekajcie — odparł Clifford.

Puścił silnik na najwyższe obroty, a potem z nagłym szarpnięciem włączył bieg.

— Nie tak — rzekł gajowy. — Wypruje pan z niego wszystkie bebechy.

Wózek skoczył gwałtownie do przodu, a potem jak pijany zatoczył się w bok, między drzewa.

— Cliffordzie! — przeraźliwie krzyknęła Konstancja, rzucając się ku niemu.

Gajowy również skoczył i chwycił za poręcz z tyłu fotela. Ale Clifford naciskając ze wszystkich sił zdołał wyjechać na drogę i wózek, wydając dziwne, brzęczące dźwięki, znów wspinał się na pochyłość. Parkin popchnął go z tyłu i wózek, jak gdyby nagle uspokojony, potoczył się gładko.

— No widzicie? Idzie zupełnie dobrze — powiedział Clifford. Obejrzał się triumfująco i zobaczył tuż za sobą jedynie zaczerwienioną twarz Parkina.

— Pchacie?

— Ta. Niedużo.

— Więc dajcie spokój! Mówiłem wam, żebyście tego nie robili.

— Ale bo... — zaczął Parkin, zwalniając nacisk.

— Puśćcie natychmiast! — krzyknął Clifford. — Musi podołać sam.

— Ano musi — powiedział Parkin. Puścił wózek i niemal natychmiast silnik zaczął się krztusić. Clifford, uwięziony na siedzeniu, toczył walkę ze swoją maszyną. Nieszczęsny wózek, wydając osobliwe dźwięki, kołysał się żałośnie z boku na bok, ale nie chciał ruszyć z miejsca.

— Cholery na niego nie ma! — powiedział błydy z wściekłości Clifford, gwałtownie wyłączając silnik.

Parkin bez słowa chwycił ponownie za oparcie i zaczął łagodnie popychać wózek pod górę, poprzez zdeptane i połamane dzwonki. Clifford obejrzał się, z twarzą nadal wykrzywioną miotającą go pasją.

— Czy wy nareszcie dacie spokój?! — krzyknął. — Czekaście, aż wam się powie!

Parkin zręcznie odsunął się i stanął z boku. Zrobił to niemal automatycznie, jak żołnierz formujący czwórki. Ale gdy tylko puścił wózek, przyjął znowu swobodną postawę z nogami w rozkroku, jak żołnierz, który nie stoi na baczność.

Wózek zaczął powoli cofać się w dół.

— Cliffordzie, masz nie włączony hamulec! — krzyknęła Konstancja, rzucając się na ratunek.

Clifford gwałtownie szarpnął lewarek i wózek zatrzymał się.

— Nie ulega wątpliwości, że jestem na łasce wszystkich tu obecnych — powiedział z gorzką ironią.

Nastąpiła długa przerwa. Clifford siedział w swoim wózku, błydy z wściekłości, Konstancja stała zagubiona i zdezorientowana, obok niej gajowy z ironicznie przymrużonymi oczami, a za nim siedział jego pies, czujnie obserwując wózek z wyraźną podejrzliwością i

niechęcią. Zupełnie bezsensownie przebiegł nagle przez drogę bażanci kogut. Wszystko w tej scenie było absurdalne. Ale postacie tego żywego obrazu trwały nieruchome.

— Przykro mi, że się uniosłem, Kon — odezwał się w końcu Clifford.

— Och, nic się wielkiego nie stało — Odparła Konstancja.

— Czy zechcielibyście mnie popchnąć, Parkin? Przepraszam za sposób, w jaki się do was zwracałem.

— Te diable maszyny każdego mogą doprowadzić do szału — powiedział gajowy.

Ale nawet teraz ruszenie wózka z miejsca nie było łatwe, gdyż zablokował się hamulec. Próbowali w różny sposób, grzebali w mechanizmach i usiłowali pociągnąć pojazd. Gajowy ociekał potem. W końcu zdjął kurtkę, wparł się ramieniem w wózek, dźwignął go w górę i nagłym szarpnięciem uwolnił koła, nieświadomy niczego, poza własnym wysiłkiem. Clifford, który niebezpiecznie przechylił się w bok, obejrzał się rozgniewany i ujrzał czerwoną z wysiłku twarz gajowego i nabrzmiąte żyły na jego karku.

— Na miłość boską! — krzyknął, ale w tejże chwili Parkin z powrotem postawił wózek, który powoli, przytrzymywany przez niego, zaczął toczyć się wstecz.

— Odblokowało się — powiedział, dysząc ciężko. Rozejrzał się w koło.

— Może by mi pani podała ten klocek — zwrócił się do Konstancji, wskazując palcem.

Przyniosła mu wskazany kawałek korzenia, a on zaklinował nim wózek.

Włożył kurtkę, otarł twarz czerwoną chustką i odszedł po strzelbę.

— Jak u pana? Wszystko w porządku? — zapytał zupełnie przyjaźnie, znów chwytając oparcie fotela.

— W porządku, dziękuję.

— To jedziemy?

— Tak, jedźmy stąd jak najszybciej.

Gajowy wparł się całym ciężarem ciała w oparcie ciężkiego wehikułu. Trudno go było wprawić w ruch, wózek był naprawdę ciężki. Parkin zaklinował go stopą i ponownie zdjął kurtkę. Potem, mokry od potu, pchnął go pod górę. Gdy się zatrzymał, by złapać oddech i przez chwilę stał ciężko dysząc, Clifford powiedział:

— Przykro mi, że sprawiam tyle kłopotu.

— Niech pan się o mnie nie martwi... to tylko dzisiaj tak ciepło.

Ciekawy był widok tych dwóch mężczyzn, siłujących się na uprzejmość, ale czujnych i krążących ostrożnie wkoło siebie.

Konstancja wyobrażała sobie przedtem, że dojdzie do przyjaźni między nimi. Sądziła, że może ich połączyć wzajemne zrozumienie. Teraz zobaczyła, że równie dobrze mogła próbować połączyć ogień z wodą. Byli nieprzejednanymi wrogami. Jeden robił głupca z drugiego i każdy z nich był tym na swój sposób urażony.

Przez całą powrotną drogę Parkin zachowywał milczenie i nawet nie spojrzął na Konstancję. Bez słowa pchał wózek, idąc ze strzelbą przewieszoną przez plecy, w kurtce, którą znów włożył w parku. Za nim biegł jego pies. Clifford prowadził z Konstancją zdawkową rozmowę o ciotce Ewie i nowym chemicznym ubocznym produkcie kopalni.

Gdy dotarli do domu, Parkin dość troskliwie pomógł sir Cliffordowi przesiąść się na normalny, domowy fotel na kółkach, i odszedł, nie spojrzawszy na Konstancję.

— Zjedzcie coś w kuchni, napijcie się piwa i... i bardzo dziękuję! — zawołał za nim sir Clifford. Dokuczało mu sumienie, że tak się zachował.

Gajowy zasalutował i odszedł.

— Ten Parkin to w gruncie rzeczy niezły chłop — rzekł Clifford podczas lunchu. — Wyczuwam to od razu po tym, jak się ktoś ze mną obchodzi. Ale to w pewnym sensie kawał wariata... w dodatku z tych bezczelnych.

— Myślisz, że jest bezczelny? — zapytała Konstancja.

— Ano, a jak ty myślisz? Inacy? Ech... — odparł Clifford naśladowując wymowę gajowego.

— Wydawało mi się, że to jego sposób bycia.

— O, właśnie! Uważa, że zjadł wszystkie rozumy, a nas za parkę karmionych z ręki papużek. I nie ma dla nas prawdziwego szacunku. Żaden z nich nie ma go dzisiaj. Nawet pani Bolton, mimo całej Swojej uprzejmości. Wiedzą, że obchodzimy się z nimi łagodnie i, biorąc wszystko razem, jesteśmy dla nich dobrzy. Szanują jak należy naszą własność, ale nie szanują nas samych.

— A powinni nas szanować? — zapytała naiwnie, też robiąc wrażenie znacznie głupszej, niż była w rzeczywistości.

Clifford rozłożył szeroko ręce, a potem wzruszył ramionami.

— A czy my szanujemy ich, jako takich? — zapytała Konstancja. — Czy może cenimy ich tylko za to, co dla nas robią?

— A kimże, oni są, jeśli pominie się to, co dla nas robią? Ostatecznie, co sobą przedstawia Parkin poza tym, że pilnuje zwierzyny? Dlaczego miałbym traktować go serio?

— Nie masz żadnego powodu. I nie bierzesz go serio... Ale przypuszczam, że on też sobie myśli: kim oni są, poza tym, co posiadają.

— Poza tym, ca posiadamy nadajemy bieg życiu, unowocześniamy kopalnie, dajemy zatrudnienie jemu i takim jak on i stwarzamy wszystkim Parkinom tego świata możliwość egzystencji. Jeśli o tym nie wiedzą, trzeba ich uczyć.

— Może nigdy w to nie uwierzą.

— Będą jednak musieli. Zastanów się kim byłby Parkin bez bażantów i strzelby. Nie zgięłabyś palca za jego nieśmiertelną duszę, prawda? To po prostu żywe ludzkie mięso, nic więcej.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytała. — Czy uważasz, że nie ma w sobie żadnej tajemnicy życia?

Spojrzał na nią drwiąco.

— Och, tajemnicy życia — powiedział. — To na zawsze pozostanie tajemnicą. Parkin jest po prostu na wpół oswojonym zwierzęciem, które ma pewne miłe cechy zwierzęcia, ale i pewną jego złośliwość.

Konstancja nie przedłużała dyskusji.

Obiecała spędzić noc w jego gajówce i powinna o tym pamiętać. „Jest po prostu na wpół oswojonym zwierzęciem, które ma pewne miłe cechy zwierzęcia, ale i pewną jego złośliwość”. Biedny Clifford. Może pogardza tym, czego sam mieć nie może. Cóż, trudno! „Pół oswojone zwierzę, które ma pewne miłe cechy zwierzęcia”. Czym więcej jest ona sama. A Cliffordowi *i* do tego daleko.

Pójdzie wieczorem do Parkina. Myślała o tym całe popołudnie. Będzie musiała wykraść się w nocy, jak złodziej. Ale czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. A ona nie ma wyrozumiałości dla serca, które boleje tylko nad tym, co widzą oczy. Wścibskie, niespokojne, nienasycone, niegodziwe oczy innych ludzi, które widzą o wiele za dużo i nurzają serca w swoich nędznych spostrzeżeniach. Serce czuje to, co czuć musi, równie dobrze po ciemku, jak w świetle, może nawet lepiej w ciemności. Jeśli o nią chodzi, nie ma ochoty wtrącać się do cudzych tajemnic. Własna wystarczy jej aż nadto.

Obmyśliła swój plan postępowania trzeźwo, spokojnie i bez obawy. Wiedziała, że spełnia swoje obowiązki wobec Clifforda, a wszystko inne należy wyłącznie do niej. O ile się da będzie się starała unikać wszelkich komplikacji.

Nie śpieszyła się nieprzytomnie do wyjścia. Podejmowała poważne zobowiązanie idąc do tamtego mężczyzny. On też już nalegał, żeby była jego żoną, chociażby tylko w lesie. Ściśle ograniczony teren, w którego obrębie miałyby być jego żoną. Jego gajówka ma stać się jej domem w obrębie lasu.

Zawsze te męczące zobowiązania. Mężczyźni już tacy są. Parkin ma jedną żonę. Po co mu druga, choćby tylko w lesie? Mili mężczyźni wszystko traktują poważnie, a niepoważni są Niemili. Mężczyźni, ha!

Wieczorem grała z Cliffordem w karty. Nie lubiła trudnych gier, więc grali w bezika i Konstancji sprawiało to prawdziwą przyjemność. Ale punktualnie o dziesiątej pocałowała Clifforda na dobranoc i opuściła go.

Wszystko starannie obmyśliła. Położyła się do łóżka, wygniotła dołek w pościeli i chwilę poleżała bez ruchu. Potem wstała, zdjęła piżamę i rzuciła ją na łóżko, jak zawsze robiła rano. Włożyła batystową nocną koszulę, na nią włóczkową sukienkę, a jeszcze na nią ciemny, cienki płaszcz od deszczu. Splotła włosy i ukryła je pod ciemnym kapeluszem. W końcu włożyła buciki na gumowej podeszwie. Trwało to tylko chwilę.

Rozejrzała się po pokoju. Wszystko w nim wyglądało dokładnie jak co dzień rano, gdy wstała z łóżka. Jeśli pokojówka zjawi się wcześniej, zanim ona wróci, pomyśli, że jej pani, jak często się zdarzało, poszła się przejść przed śniadaniem. Nikt się nie zdziwi, widząc Konstancję wracającą o wpół do ósmej przez park.

Przez chwilę uważnie słuchała. Clifford miał słuch wyostrzony, jak ryś. Cicho przeszła długim korytarzem, zeszła na dół schodami dla służby, otworzyła obite skórą drzwi i znalazła się w kuchni. Służba już spała, o czym upewniła się wieczorem, zanim poszła do swego pokoju. Świecąc elektryczną latarką odryglowała kuchenne drzwi, wyszła na dwór i cicho zamknęła je za sobą. Dziś przez całą noc muszą zostać nie zaryglowane.

Szeptem uspokoiła psa i szybko przebiegła dziedziniec a potem ogród za domem. Bez trudności znalazła się w parku, gdyż po południu otworzyła zamykaną na klucz furtkę.

Noc była ciepła, na wpół jasna, niebo przesłonięte chmurami, przez które gdzieniegdzie przeglądały większe gwiazdy. Wielka huta w Gross Gate barwiła czerwoną luną niższe chmury, rozświetlając ciemność niesamowitym odbłaskiem, w którego poświacie Konstancja, gdy tylko oswoiła się trochę z tą tajemniczą, nierealną scenerią, mogła odnaleźć drogę prowadzącą do lasu. Na ledwo widocznym niebie dojrzała czarną plamę, znamionującą deszcz. Lekki wiatr zwiął w jej stronę drobne krople z jego obrzeża. Ale ulewa ją ominęła.

Spokojnie i z opanowaniem samotnie zanurzyła się w noc i doszła do dużej bramy, za którą zaczynał się las. Nie było tam nikogo. Otworzyła ją po cichu i kiedy ją zamykała za sobą, nagle drgnęła. On tu czekał.

— Więc przyszłaś — powiedział cicho.

— Jak widzisz — odparła szeptem.

— Chciałaś tego, prawda?

— Tak. Inaczej bym nie przyszła.

Ruszyli przed siebie. W lesie było dużo ciemniej i Konstancja potknęła się.

— Oprzyj się na mnie.

Wpadła na niego. Wsunęła mu rękę pod ramię, a on przycisnął ją do swego boku. Czowała bicie jego serca. Szli w milczeniu, jak gdyby byli sobie obcy, lecz jednocześnie przyciągani magnetyczną siłą.

Ich droga przez las ciągnęła się długo. Ale gajowy szedł z niezawodną pewnością, którą już dobrze знаła i mocno ją podtrzymywał.

— Tyle tu dziwnych odgłosów — szepnęła.

— Co?

— Mówię, że tyle w lesie, dziwnych, nieznanych dźwięków.

— Ano! To drzewa trzeszczą i się ocierają o siebie

W końcu zobaczyli przyćmione światelko. Byli blisko gajówki.

— Zawsze zostawiasz światło w domu? — zapytała.

— Zawsze się świeci, czy jestem w domu, czy nie.

Po cichu otworzył drzwi i Konstancja weszła do środka. Zamknął za nią drzwi na zasuwę i podkręcił wyżej knot w lampie. Na kominku płonął słaby ogień, a na stole stały talerze i szklanki.

— Zjesz co? — zapytał.

Powiesił kurtkę, strzelbę i kapelusz i został w koszuli. Oczy jego błyszczały niesamowicie, co chwila zmieniając wyraz. Był blady. Konstancja usiadła na kanapce w małym, przytulnym pokoiku, a on na swoim rzeźbionym krześle z poręczami. Zaczął odpinać skórzane sztylpy i zdejmować ciężkie buty. Pies hałaśliwie chleptał coś w sionce.

Konstancja rozejrzała się po pokoju. Politurowana komódka stała na szklanych podstawkach, przystrojona różnymi jarmarcznymi ozdobami. Nad nią wisiało na ścianie powiększenie fotografii młodego blondyna z rzadkim, sterczącym wąsikiem i szerokimi barami, oraz kobiety z czarnymi, ufryzowanymi włosami, ubranej w czarną, satynową bluzkę z szerokim koronkowym kołnierzem. Wyglądała pospolicie.

— Widujesz swoją żonę? — zapytała Konstancja.

— Eh?

Ustawił buty i sztylpy przy białym kominku i został w szarych, wełnianych pończochach.

Szybko uniósł głowę i idąc w ślad za jej wzrokiem spojrzał na fotografię.

— Moją żonę? Nie. Żyje z kim innym.

— Nie chcesz jej zobaczyć?

— Nie.

— Dlaczego?

Spojrzał na nią szybko. Ich wzrok spotkał się i w jego oczach zapaliła się iskierka gniewu.

— Bo nie chce i już. To idziemy na górę? Nie rozbierzesz się?

— Tak. Na górze.

Zapalił świecę, zdmuchnął lampę i Konstancja zaczęła iść za nim po schodach.

— Zamknij drzwi od schodów, przed psem — powiedział. Balansując na pierwszym stopniu, starannie zamknęła za

sobą drzwi. Strome schody trzeszczały, gdy stapał po nich w pończochach, a ona szła za nim. Zapewne tamta kobieta też tak za nim chodziła.

Na małym podeście było dwoje drzwi, jedno otwarte. Weszła za nim do małej, zastawionej meblami sypialni. Duże żelazne łóżko stało pod ścianą, przykryte białą kapą, pod przeciwległą ścianą żółta komoda z szufladami, a w pochyłej wnęce przy oknie wbudowana była toaletka z wahadłowym lustrem. Pokój był bezbarwny i wyglądał pospolicie.

— Zawsze śpisz tutaj? — spytała.

— Ja? Ano, na tym łóżku.

Zdjęła kapelusz i płaszcz i powiesiła je na gwoździu, za drzwiami. Potem usiadła na brzegu łóżka i zaczęła powoli zdejmować buciki.

— Nigdy nie lubiłeś swojej żony? — zapytała.

Stał nieruchomo przy drzwiach. Wstrząsnął się z wyraźną niechęcią.

— Nie gadaj o niej. Chyba nie po to tu przyszedłeś? Patrzył na nią, dziwnie, z niepokojem.

— Nie! — odparła. — Ale nie mogę przestać o niej myśleć.

— E tam... to nie jest dobra kobieta... zawsze taka była.

— Ale kiedyś ją lubiłeś?

— Et... lubiłem to, co od niej miałem... i to niedługo. A potem przestałem... i nie lubię. I tyle.

Powoli zdjęła pończochy i podwiązki, a on nadal stał oparty o drzwi, nieruchomy i nieodgadniony. Ściągnęła suknię przez głowę i przez chwilę stała w cienkiej, delikatnej, białej

nocnej koszuli. Przewiesiła suknię i pończochy przez poręcz żelaznego łóżka. Parkin wciąż nie ruszał się z miejsca.

— Będziesz spała od ściany? — spytał. Spokojnie weszła do łóżka.

Wtedy, i dopiero wtedy, usiadł ciężko na jego krawędzi i odpiął szerokie, gumowe podwiązki i ściągnął pończochy. Potem wstał, żeby zsunąć sztruksowe spodnie i Konstancja zobaczyła jego białe, czyste stopy, zniekształcone od chodzenia w niewygodnych, ciężkich butach.

Stał w koszuli i patrzył na nią. A jej przypomniało się jak sobie wyobrażała, że śpi w tej długiej, śmiesznej koszuli.

— Nie mogę uwierzyć, że naprawdę mnie chcesz — powiedział nie odrywając od niej ciemnych, iskrzących się oczu. Był dojrzałym mężczyzną, nie jakimś chłopcem.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie. I ostatnią rzecz, jaką zobaczyła, była jego twarz, kiedy pochylił się nisko nad świecą, żeby zdmuchnąć płomień. Przez chwilę jego wyraźnie oświetlona twarz miała w sobie coś — choć wydawało się to wręcz absurdalne — coś z niepokalanego anioła. W ciemnym pokoju znowu się uśmiechnęła, kiedy jej dotknął. Zrozumiała, że odsunął się od wszystkich kobiet, po pożyciu z tą swoją pospolitą żoną, a stara, zakrzepła odraza do twardej, nieczulej kobiety, jaką była jego matka, walczy zaciekle z żarliwą tęsknotą samotnego mężczyzny do kobiety, której mogłoby zaufać jego ciało. Kobiety z łagodnym, czułym sercem i ciepłym, wrażliwym, spragnionym miłości ciałem! Tliła się w nim iskierka nadziei, że kiedyś się to spełni. Ale wspomnienia bolesnych doświadczeń uparcie wracały, hamowały go i ostrzegały, żeby się do niej nie zbliżał.

Konstancja wiele rozumiała patrząc na „powiększoną fotografię” wyzywającej kobiety w czarnej satynowej bluzce i młodego mężczyzny o szerokich barach i zuchwałym wyrazie oczu.

— Nie bój się — myślała, głaszcząc delikatnie jego muskularne ciało. Nie oszukam cię, przynajmniej w głębi serca.

A kiedy wreszcie przełamał paralizującą go niepewność, rozpalił się w nim płomień najczystszej namiętności.

Zasnął obejmując jej lewą pierś prawą dłonią, gdyż leżała odwrócona do niego tyłem. Wiedziała, że w początkowym okresie musiał tak sypiać ze swoją żoną, bo jego ręka wyciągnęła się z dziecięcą ufnością, znalazła jej pierś i trzymała ją w stulonej dłoni, jak w gniazdku. Kiedy ją odsuwała, instynktownie, przez sen wyciągał znów rękę, odnajdywał jej pierś i tulił jak przedtem. Wydawało się, że ją całą łagodnie kołysze jak gdyby była gołębicą, w gnieździe jego silnej dłoni. Leżała zupełnie nieruchomo, ale nie spała. Całe jej ciało spało spokojnie, objęte jego ciężkim ramieniem. Tylko jej umysł, jak gwiazdka świadomości, żarzył się wątlwym światełkiem, pogrążony w mglistych rozmyśleniach. Jej pierś spoczywała w jego dłoni, jego ramię opasywało ją, trzymał ją mocno w objęciach, nawet przez sen.

A więc tak wygląda prawdziwe małżeństwo! Zdumiewające jak całkowicie uczynił ją swoją żoną, chociażby miała nią być tylko przez tę jedną noc! Niezwykły, zamknięty krąg dwóch istnień, mężczyzny i kobiety! To też jest rodzaj więzienia.

Nie, nie więzienia! Gdyby się tak myślało, więzieniem byłoby samo posiadanie ciała. Gdyby człowiek pragnął tak absolutnej wolności, musiałby rozpuścić się w nicości. Okrutna, ciasna wolność samotnej jednostki, całkowicie odizolowanej od reszty świata, jest gorsza niż więzienie. Jest gwoździem wbitym w serce człowieka.

Nie chciał wypuścić jej z objęć, więc nie próbowała się uwolnić. Dziwne, jak szczelnie ją otoczył. Nie, nie chce uwolnić się z jego uścisku. Nigdy, przenigdy! Chce, żeby nieodwołalnie i jeszcze szczelniej zamknął się wokoło niej.

Wyśliznęła się spod jego ramienia, przyłgnęła do niego i całowała jego twarz i zamknięte oczy budząc swoim pożądaniem jego namiętność, choć jego umysł nadal spał.

Kiedy gwiazdka jej świadomości zgasła, całkowicie już skryła się w zakolu jego mocnego ramienia, a jej pierś samorzutnie wsunęła się z powrotem w jego dłoń, jak w gniazdko.

Świtało, kiedy się obudziła z lekkim przestraszem, zupełnie nieświadoma gdzie jest. To dziwne, niskie okienko! Obróciła się na drugi bok. Nie spał już i patrzył na nią. Obce, brunatne otwarte oczy patrzyły na nią z tak bliska. Natychmiast przycisnął ją ku sobie.

— Już dzień? — zapytała, kładąc głowę na jego piersi.

— Ano... będzie piąta.

Wysłuchała się w głuchy rezonans jego głosu, rozsunęła mu koszulę i przyłożyła ucho do serca. Bum, bum, biło mocno. Przyciągnął ją jeszcze bliżej i zaczął delikatnie głaskać jej pełne, łakome pieszczot łono. Nie rozróżniła jego ręki od swego ciała, bez reszty pochłonięta falą namiętności, posłuszna mu każdym gestem i oszołomiona jego czułością.

Po pewnym czasie do jej świadomości dotarły odgłosy lasu, śpiew ptaków i dudnienie pociągu w niedalekim wykopie.

— Czy jest ładnie? — zapytała.

Wstał z łóżka, rozsunął firanki na niskim okienku i pochylił się, żeby wyjrzeć na dwór. Zapewne codziennie rano wychyla się i wygląda przez okno. Jaki jest samotny! I dosyć śmieszny w koszuli o tyle dłuższej z tyłu.

— Tak — powiedział rozejrzawszy się dokładnie. — Jest bardzo ładnie.

Podniosła głowę. Usłyszała skomlenie psa na parterze.

— To Flossie — rzekł. Uważa, że zaspiałem.

— Która godzina?

Spojrzał na leżący na krześle zegarek.

— Kilka minut po szóstej.

— Nic się nie stanie, jeśli tak wcześnie nie będzie mnie w domu... po prostu powiem, że wyszłam się przejść. Często wychodzę przed śniadaniem.

— Naprawdę? — zapytał siadając na łóżku. Była rozleniwiona i znów spragniona pieszczoty.

— Przynieść ci śniadanie? — zapytał. Niecierpliwił się, chciał już wstać. Konstancja westchnęła.

— Nie! — powiedziała. — Muszę być w domu na śniadaniu.

— O której musisz wyjść?

— Powinam być w domu najpóźniej o ósmej.

— Zrobię ci filiżankę herbaty.

— Zrobisz?

Włożył pośpiesznie pończochy, wciągnął spodnie i szybko zwrócił się ku drzwiom.

— Pocałuj mnie — poprosiła wyciągając do niego białe, miękkie ramiona. Pochylił się, żeby ją pocałować, a ona przytuliła jego głowę do piersi i całowała jego włosy i uszy. Objął ją, poczuł ciężar jej gładkiego, jedwabistego ciała, giętkość gibkiej talii i ciężar bioder. I znów opanowała go niepohamowana żądza.

Po chwili uśmiechnęła się sama do siebie, czując na sobie ciężar jego nieruchomego ciała. Jakie to wspaniałe! Nagle przypomniały jej się słowa: „I konik polny będzie ciężarem, i zmysły zawiodą.” Czy to cytat z Biblii?.. Jakie to musi być straszne, gdy zawiodą zmysły. Jak bardzo go kocha i jest mu wdzięczna za to, że nie zawiodł.

Teraz on leżał nieruchomo, trzymając ją w objęciach, a ona wiedziała, że musi odejść.

— Muszę już iść — powiedziała.

— Ta! — odparł, jak by jej nie słysząc. Nadal leżał na niej bez ruchu, obejmując ją ramionami, a ona nie próbowała się oswobodzić.

— Muszę już iść — przypomniała mu łagodnie. Podniósł się bez słowa, usiadł na brzegu łóżka i odwrócony

do niej tyłem, podciągał spodnie na biodra. Wstał i spojrział na nią. Siedziała wyprostowana, wyglądając dziwnie dziewczęco i niewinnie.

— Czujesz teraz, że jestem twoją żoną w lesie? — zapytała radośnie.

— Moją żoną wszędzie! — powiedział. — Nigdy nie miałem żony i nigdy dotąd nie wiedziałem co to jest kobieta. A ty?

— I ja też nigdy nie miałam mężczyzny.

— Naprawdę? — popatrzył na nią uważnie, niespokojnie.

— Tak! I wiedziałam o mężczyźnie jeszcze mniej niż ty o kobiecie.

— Ha! — powiedział. — To już coś. Otworzył drzwi i zszedł na dół.

Kiedy weszła do kuchni, był w butach i sztylpach. Rozpalał ogień. Włożyła kapelusz i przerzuciła płaszcz przez ramię. Wyprostował się natychmiast i sięgnął po kurtkę i strzelbę.

— Nie musisz mnie odprowadzać — powiedziała.

— Ej? — Nie chcesz mnie?

— Wolałabym nie odchodzić. Zostać tu i zjeść z tobą śniadanie.

Spojrzał na nią badawczo.

— Zostaniesz? — zapytał.

— Nie — odpowiedziała bardzo cicho. — Lepiej już pójdę. Szli przez wilgotny od rosy las, gdzie wszystko było porankiem.

— To szczęście, że mamy siebie — powiedziała, nagle biorąc go za rękę.

Zawahał się przez chwilę, ale ruszył dalej nie patrząc na nią.

— Ta..! — powiedział nieswoim głosem. Przy bramie szepnęła w pośpiechu.

— Znów przyjdę któregoś dnia. Musimy przeżyć to jeszcze raz.

— Ta... Musimy — powiedział, zamykając za nią bramę. Pobiegła przez park i znikła mu z oczu.

Dostała list od Hildy. Pisała, że na początku czerwca wstąpi po nią i razem z ojcem, sir Malcolmem, pojedą na dwa, trzy tygodnie do Francji. Stary malarz dużo podróżował w towarzystwie córek, kiedy były jeszcze podlotkami, i jeszcze teraz lubił czasem wybrać się sam z nimi w świat, zostawiając drugą żonę, ich macochę w domu. Ale po wojnie, od powrotu Clifforda, Konstancja ani razu nie wyjeżdżała z Wragby.

Propozycja podróży do Francji nie była niespodzianką. Hilda nalegała na nią od wielu miesięcy. I teraz podróż miała dojść do skutku. Konstancja zgodziła się wyjechać. Zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży. Chciała przez parę tygodni być sama. Czas biegł szybko, zbliżał się już koniec maja.

— Jeślibyś wolał, Cliffordzie, żebym została w domu, nie pojedę do Francji — powiedziała. — Nie chcę jechać. Zupełnie mi na tym nie zależy. Możesz mi wierzyć.

I była to prawda. Nie chciała odjeżdżać od tego drugiego mężczyzny, nie chciała się z nim rozstawać. Nie zniosłaby tego. Nie chciała też opuszczać Clifforda, gdyby miał czuć się bez niej nieszczęśliwy. Pomimo wszystko wiedziała jednak na pewno, że pojedzie. Takie było jej przeznaczenie.

Clifford podejrzewał, że to podstęp, żeby odciągnąć od niego Konstancję i ewentualnie skojarzyć ją z jakimś innym mężczyzną.

— Och, chcę żebyś pojechała — powiedział. — Ale także chcę, żebyś wróciła... wiesz o tym.

— Na pewno wrócę — odparła bardzo spokojnie. — Ale nie muszę jechać, sam wiesz.

— Nie — powiedział, uważnie patrząc na nią. — Musisz pojechać.

On też czuł, że to przeznaczenie. Jeżeli Hilda znalazła dla Konstancji jakiegoś innego mężczyznę, zapewne ich dawnego przyjaciela ze Szkocji, bo Szkoci z zasady trzymają się razem — i Konstancja będzie miała z nim krótki romans, którego owocem będzie dziecko, nie powinien i nie ma prawa temu przeszkadzać. Nie jest przecież głupcem, ani upartym niewolnikiem konwenansów. W głębi duszy wiedział, że jeżeli nie znajdzie się jakieś

rozsądne wyjście, na przykład urodzenie dziecka przez Konstancję, ich wspólne życie nie ma przyszłości. Był dość przebiegły, aby zdawać sobie sprawę, że Konstancja nie będzie zawsze żyła jak zamężna zakonnica. Nie była kobietą tego typu. I właśnie dlatego pragnął ją przy sobie zatrzymać. Kochał ją za jej ciepłą, spokojną zmysłową kobiecość. Nienawidził kobiet bujających w obłokach. Nieuchwytnie, osobliwe ciepło Konstancji było dla niego czymś nieodzownym, utrzymywało go przy życiu. Kobiety nie potrzebujące mężczyzny i miłości fizycznej po prostu grały mu na nerwach.

A poza tym był dostatecznie wykształcony i wiedział, że jeśli z jego powodu Kon przeżyje młodość jak zamężna zakonnica, zawieszona w niepewności, żałośnie odbije się to na niej później, a nawet może doprowadzić do fizycznych zaburzeń. Takie kobiety jak ona nie nadają się do życia w ciągłym celi bacie.

Długo rozważał jej wyjazd uznając go za konieczny, ale równie konieczny był jej powrót. Potrzebował jej. Stawał się drażliwy i zachowywał się niezupełnie normalnie, kiedy nie było jej w domu.

— Musisz pojechać — powtórzył. — Ale czy wrócisz?

— Och, z całą pewnością.

Wyglądała tak tego pewna! Jakże dziwną jest kobietą! Co kryje się w jej głowie? A jeśli nie w głowie, to w sercu? Czego szuka?

— Nie pozwolisz żeby Hilda odciągnęła cię ode mnie na zawsze?

— Ale skądże! Zresztą Hilda nigdy by nawet nie próbowała tego zrobić.

— Obawiam się, że mogłaby spróbować. Nienawidzi mnie.

— Hilda ciebie nienawidzi! — oburzyła się Konstancja. A gdyby nawet...

(W oryginale brakuje stron 195—196)

— Nie będziesz miał nic przeciw temu? — zapytała go. Znów spojrzał na nią szybko, uważnie.

— A co by z tego przyszło, gdybym miał? — odparł, zaciągając.

Poczuła ogarniające ją przygnębienie. On też się gniewał. Zaczęła go poznawać i nauczyła się rozumieć dlaczego wraca do tego gwarowego akcentu. Kiedy byli sami, dwoje po prostu przyjaznych sobie ludzi, mówił mniej więcej poprawną angielszczyzną. Kiedy gorąco ją kochał, przemawiał do niej tkliwie, dziwnym, gardłowym głosem mężczyzny pieszczącego młodą żonę, a kiedy coś podejrzewał, lub był zły, jego akcent brzmiał brutalnie i napastliwie.

— Dlaczego tak mówisz? — zapytała, patrząc na niego z tą samą rozbijającą szczerością, która tak peszyła Clifforda.

Uśmiechnął się złośliwie.

— Dużo byś sobie z tego robiła, gdybym powiedział, że nie chcę — skrzywił się ironicznie.

— Ależ... głos jej zadrżał. Nie pojedę, jeśli ci naprawdę na tym zależy.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

— Ech tam... — powiedział cicho. — Akurat nie pojedziesz... Nie gadaj bajek.

Konstancja poczuła się dotknięta do żywego. Zaczerwieniła się mocno.

— Nie pojedę. Gdybyś powiedział, że bardzo ci na tym zależy, że Wolałbyś, żebym nie jechała, nie pojedę.

Jego oczy, ze źrenicami jak dwa paciorki, obserwowały ją przenikliwie i drwiąco.

— A jakże by mi mogło nie zależeć? — zapytał cicho.

— Ale... Była bliska łez. — To tylko na krótko. Już tak dawno nie wyjeżdżałam z Wragby. Nie wyjeżdżałam... odkąd wróciłam z Cliffordem. — Spojrzała na niego żałośnie.

Patrzył w ziemię. Oboje milczeli.

— Powiedz mi, dlaczego nie chcesz? — upierała się Konstancja.

— Et, nie zwracaj głowy... jedź sobie i spokój! — powiedział, patrząc przed siebie w las.

— Nie mogę jechać, jeśli... jeśli mnie przez to przestaniesz lubić.

Zaśmiał się krótko.

— E tam! — powiedział z gorzką ironią. — Jeśli przestanę cię lubić... Sama wiesz czy cię lubię, czy nie. I wiesz, że zrobisz co ci się spodoba, czy cię lubię, czy nie. Jak zechcesz pojedziesz. Starczy ci powiedzieć: „Parkin, wyjeżdżam na cały czerwiec. Może cię zobaczę, jak wrócę.”

Robił się przykry.

— Tak — powiedziała. — Mam nadzieję, że cię zobaczę po powrocie.

— Co takiego? Spojrzała mu prosto w oczy.

— Mam nadzieję, że cię zobaczę po powrocie — powtórzyła.

Zrobił ten gwałtowny ruch, który już знаła. Odrzucił w tył ramiona i usztywnił kark, aż szyja mu zgrubiała i żyły nabiegły krwią. Po chwili równie nagle zmienił się, zamknął się w sobie i jakby zmałał.

— Możesz się zobaczyć — powiedział cichym, zdławionym głosem.

Spojrzała na niego zdumiona. A więc on też coś zamierzał. Wydał jej się daleki, uparty i dziwnie mały.

— Czy chcesz powiedzieć, że może cię tu nie być, kiedy wrócę? — zapytała bezgranicznie zdumiona. — Dlaczego? Gdzie chcesz jechać?

Nie odpowiedział jej i patrzył przez ramię w przeciwną stronę.

— Gdzie chcesz jechać? — nalegała. Dalej patrzył w bok.

— Może się zdarzyć że do Kanady — powiedział tym samym bezdźwięcznym głosem.

Poczuła, że nagle coś się w niej załamało.

— Do Kanady — powtórzyła. — Dlaczego akurat do Kanady?

— Mam tam brata — odpowiedział krótko, po prostaku. Prowadzi tartak i zarabia czternaście funtów na tydzień, a czasem więcej... Na pewniaka.

Poczuła, że sił jej braknie.

— Przecież nie umiesz prowadzić tartaku — powiedziała.

— Prędko się nauczę. Czego to nie musiałem robić na wojnie. Brat piorunem mi wszystko pokaże.

Czuła pustkę w głowie. Musiał myśleć o tym od dawna.

— Ale dlaczego? — spytała. — Dlaczego chcesz jechać do Kanady? Przecież tu ci się dobrze powodzi.

— Ta! — odparł. — Jestem gajowym za trzydzieści pięć szylingów na tydzień. Ano! Mam się doskonale! Służę u sir Clifforda, a dla lady Chetterley jestem jej... — spojrzał jej prosto w oczy — jak się to po waszemu nazywa?

— Kochankiem — wykrztusiła z trudem.

— Kochankiem! — powtórzył. Dziwny błysk przeleciał mu po twarzy. — Jebaką — powiedział patrząc na nią tak, jak gdyby chciał ją zabić.

Wiedziała od Clifforda, że to słowo jest sprośne i ordynarne, zaczerwieniła się więc, a potem zbladła. Ponieważ jednak to słowo tak niewiele dla niej znaczyło, nie zrobiło na niej większego wrażenia. Przeraziła ją tylko szatańska nienawiść, a może furia, sama nie wiedziała co to było, która trysnęła z niego tak nagle, jak atakująca kobra.

— Ale jeśli nawet nim jesteś... — wykrztusiła załamującym się głosem — czy się tego wstydzisz?

Patrzył na nią dziwnie i czujnie jak pies, który kogoś ukąsił. Wyraz jego twarzy powoli zmieniał się. Widać było, że usilnie s ara się zebrać myśli.

— Czy się tego wstydzę? — niepewnie powtórzył jej pytanie.

— Tak! Nawet jeżeli, jak to nazywasz, jesteś moim „jebaką”, czy się tego wstydzisz? Chyba nie ma w tym nic, czego musiałbyś się wstydzić?

Jego źrenice powoli rozszerzały się w bezgranicznym zdumieniu i po chwili twarz jego przybrała jakiś chłopięcy wyraz. Patrzyła na niego szeroko otwartymi, niewinnymi, błękitnymi oczami. Zsunął kapelusz z czoła i wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

— Nie! — powiedział. — Święta prawda, nie ma się czego wstydzić. Jeśli ty się nie wstydzisz, to i ja nie.

Stał, śmiejąc się z niej jakoś dziwnie, wciąż jeszcze z powątpiewaniem.

— Dlaczego nie masz kochać się ze mną, jeżeli oboje tego pragniemy?

— Dlaczego nie mam cię rznąć jeżeli oboje tego pragniemy? — powtórzył używając ordynarnego słowa, wyraźnie rozbawiony, uśmiechając się całym sobą, jak robią to psy.

— Tak, dlaczego miałbyś tego nie robić — powtórzyła. Spojrzała jej prosto w oczy. W jego rozbawionych oczach

tańczyła iskierka śmiechu. Znów zsunął kapelusz z czoła i zaraz nasunął go z powrotem.

— To nie do wiary — powiedział. Popatrzyła na niego, zdziwiona.

— To nie do wiary — powtórzył i teraz uśmiech rozjaśnił mu całą twarz.

— Co cię tak bawi? — spytała.

— Ty — odparł.

— Dlaczego?

— Powtórz to — prowokował ją. — Powiedz to jeszcze raz. Dlaczego nie masz mnie...

— Dlaczego nie masz mnie, jak to nazywasz, rznąć, jeśli wiesz, że tego pragnę? I ty przecież tego pragniesz?

Przestał się śmiać i nagle jego zachowanie zmieniło się całkowicie. — Ta. Masz rację — powiedział poważnie. — Masz rację. To właśnie znaczy być prawdziwą lady. Nie ma się z czego śmiać. Tak. Masz rację.

— Więc dlaczego — powiedziała powoli — tak się na mnie złościłeś?

Zdjął kapelusz i spojrzał na nią jak uczeń.

— Złościłem się? — zapytał.

— Tak!

Zwiesił głowę, zamyślony. Po chwili powiedział:

— Chodźmy gdzieś usiąść. Może wtedy ci wytłumaczę, eh...

Usiedli w chatce. Spojrzała na nią ukradkiem. Była mizerna i wyraźnie teraz zmęczona. Chciał wziąć ją w ramiona i pocieszyć, ale zabrakło mu odwagi. Musiał jej wytłumaczyć dlaczego chce jechać do Kanady.

— No cóż! — powiedział patrząc w niebo. Odżyły w nim dawne myśli i wątpliwości i na chwilę w ogóle o niej zapomniał. — No cóż... tak jakoś... wiesz że jebać to ja lubię najbardziej... ty o tym wiesz... a i ja. Ale jakoś, kiedy ciebie nie ma... kiedy jestem sam w lesie, albo tu, na gajówce... zaczyna mi chodzić po głowie kim to ja jestem? Siedzę tu, gotów na każde zawołanie sparalizowanego kaleki, śpię sobie z jego żoną. Kim to ja jestem? Gdyby mnie zawieźli i postawili przed sędzią, powiedziałby że jestem niczym, jak złodziejem i łajdakiem. A mój brat mówi, że mój sługus i śmierdzący gnojek. No więc kim jestem? Nawet ty, co sobie o mnie myślisz? Wiem, że mnie lubisz, wiem to. Nie moja rzecz to powiedzieć. Ale mówię: wiem, że mnie lubisz. Ale lubić to jedno, a szanować człowieka, to co innego. Nie możesz mnie naprawdę szanować... nawet tyle, co sir Clifforda. Nie możesz. A ja przecież to widzę. Nie jestem ślepy. Jaka byłaby ze mnie dla ciebie para?... tylko do obłapki... Prawda, że ci dobrze wygodzę, ale tyle to każdy jeden mężczyzna potrafi. Ani mógłbym cię utrzymać i dać ci jeść, bo masz swoje piniondze i możesz mi płacić z własnej kieszeni. Nie mogę ci dać domu. Ani iść między takich, jak ty... i tego nie chcę. A ty nie możesz się zniżyć i zejść do takich ludzi, jak ja, za nic w świecie bym nie chciał... co? Wszystko to na nic.

Szybko położyła dłoń na jego ręce.
— Ale dlaczego nie może zostać między nami tak jak teraz? Wiesz, że cię Kocham... i myślę, że będę miała dziecko.
Spojrzał na nią jak gdyby z bardzo daleka.
— I sir Clifford uzna je za własne?
— Tak. Z radością. Pomyśl o nim i jaką ma przed sobą przyszłość!
— Ta... Jest kaleką.
— Wobec tego... dlaczego nie możemy dalej żyć z sobą, jak teraz?
Z oczu jego nie zniknął daleki, zagubiony wyraz.
— A ja mam zostać w lesie. Nie mogę! — powiedział.
— Ale czemu?
— Bo nie mogę. Nie może tak być! — odparł. Z rozpaczą zmarszczyła brwi.
— Naprawdę nie rozumiem o co ci chodzi — powiedziała. Wzruszył ramionami i potrząsnął głową.
— Nie mogę i już — powtórzył zdecydowanie. — Nie mogę chodzić po lesie, słuchać rozkazów sir Clifforda, a jednocześnie całe życie czekać, kiedy przyjdiesz... nie; nie mogę!
— Przecież było ci tu dobrze zanim zaczęłam do ciebie przychodzić — powiedziała.
— Może było. Ale wciąż myślałem o Kanadzie. Wciąż myślałem, że muszę tam jechać.
— Ale teraz — kiedy masz mnie, w dalszym ciągu chcesz tam jechać?
— Tak. Jeszcze bardziej.
— Ale dlaczego? Nienawidzisz mnie?
— Czy nie rozumiesz — powiedział z dziwnym, wymuszonym uśmiechem — że przez to czuję się niczym?
— Ale co cię tak gnębi? — zawołała.
— Nie rozumiesz? Co ze mnie za mężczyzna? Nie mogę zadbać o tę moją kobietę, nie mogę dać jej domu i nie mogę się z nią pokazywać, bo ją to poniży... nawet własnych dzieci nie mogę mieć dla siebie. Co ty byś o sobie myślała, gdybyś była mną.
— Byłabym szczęśliwa, że kocha mnie serdeczna, miła kobieta i nie myślałabym o niczym więcej.
— Ano! Może i tak! Ale gdybyś wiedziała, gdybyś wiedziała, że tylko wyręczasz innego? I tylko tyle znaczę!
— Nic podobnego! Jesteś jedynym mężczyzną, którego Kocham.
— Ta... tak mówisz! Ale jesteś lady Chatterley, a ja służę u ciebie w majuntku.
— Ale co tutaj znaczy pochodzenie? To przecież zupełnie nieważne.
— Bardzo ważne.
— Więc czego chcesz? Żebym rzuciła Clifforda i poszła żyć z tobą w gajówce?
— Za nic! — potrząsnął głową z niesmakiem.
— A może myślisz, że mogę wyrzucić Clifforda, a wtedy ty zamieszkałbyś we Wragby?
— Jako co? Twój chłopiec na posyłki?
— Wcale nie. Jako sir Oliwier Parkin.
— Sir Oliwier Gównno!
Gniew odebrał im mowę. Po chwili znów zwróciła się do niego.
— Więc powiedz czego naprawdę chcesz? — zapytała nie swoim głosem. Mam z tobą jechać do Kanady? — dodała niepewnie.
Nie odpowiedział.
— O tym myślisz? — nalegała zirytowana.
— Nie ja mam na to odpowiedzieć — rzekł wreszcie.

— Więc uważasz, że powinnam pojechać z tobą? Niestety nie mogę, bo nie mogę porzucić Clifforda. Przysięgam, że nigdy go nie opuszczę i nie zostawię samego na resztę życia. I nie zrobię tego.

Znowu umilkli.

— No to...

— No to co? — wybuchnęła ze złością.

— Mogę sam jechać do Kanady. Spojrzała na niego nieomal z nienawiścią.

— Och! co za podłość! Jakie to podłe! — wykrztusiła ze ściśniętym gardłem. — I to mówi mężczyzna, którego kochałam.

Patrzył w przeciwną stronę. Konstancja długo milczała, potem wstała i zwróciła się do niego:

— Dobrze — powiedziała. — Jedź sobie do Kanady. Jeśli ci trzeba pieniędzy, chętnie ci dam. Ile ci potrzeba? Sto funtów?

— Wiesz dobrze, że nie chcę czegoś takiego — odparł potulnie.

— Pewno uważasz, że dostajesz za małe pobory i to cię tak złości.

— Nie o to mi chodzi... wiesz sama.

— Jak mogę porzucić Clifforda? Przysięgam, że go nie opuszczę, więc jak mogłabym teraz to zrobić? I co jest wart mężczyzna, który chciałby, żebym coś takiego zrobiła? Obawiam się, że on sam wkrótce mnie by porzucił... Nie... jedź do Kanady!

Odwróciła się. Ale wiedziała, że właśnie ten mężczyzna gotów jest wziąć ją za słowo i na drugi dzień wyjechać. Patrząc mu w oczy z głęboką urazą zapytała:

— Żałujesz, że cię w ogóle kochałam? Patrzył na nią, dręczony sprzecznymi uczuciami.

— Ano! Może żałujesz, ta — mówiła dalej z gorzką ironią, szyderczo przedrzeźniając jego akcent. — Może jednak tego żałujesz, ech...

Naśladowała go tak nieudolnie, że to ją uratowało. Uśmiechnął się do niej.

— Nie potrafisz tak gadać — powiedział. — Nie próbuj.

— Ale powiedz, czy żałujesz, że cię w ogóle kochałam? — nalegała uparcie. — Powiedz prawdę... bo na pewno trochę żałujesz.

— Czy żałuję? — powtórzył. — Może. Troszkę!... Nie, nie żałuję — zakończył szybko.

Konstancja prawie słyszała, jak głowa mu trzeszczy i pęka z rozterki. Spojrzał znów na nią.

— Czasem się wściekam na ciebie, bo czuję się... taki mały! Nie mogę nic zrobić! Ale nigdy bym się tego nie zaparł. To moje życie, czy umrę jutro, czy dożyję stu lat.

— W Kanadzie... z miłą kanadyjską żoneczką.

— Ta... to też się może przytrafić. Ale...

— Och, do widzenia — powiedziała, wyczerpana do ostateczności.

Ale w tej samej chwili zobaczyła, że on drży. Znów odrzucił w tył głowę i z wykrzywioną twarzą, uniósł nad nią rękę.

— Co mam zrobić? — krzyknął rozpaczliwie.

Tak straszliwie cierpiał, że ją to zdumiało. Szybko podeszła i pocałowała go.

— Po co masz w ogóle coś robić? — powiedziała. — Zaczekaj na mnie miesiąc. Tylko jeden miesiąc, a potem wrócę. Czy mam przyjść do gajówki jutro wieczorem, gdy będzie już Hilda? Przyjść?

Trząśnięty całym, walczyły w nim sprzeczne uczucia.

— Robisz ze mnie durnia — powiedział.

— Dlaczego?! — zawołała. — Nic podobnego! Po prostu cię kocham. Poczekaj aż wrócę z Francji i wtedy spokojnie zastanowimy się, co będzie najlepsze. Obiecuj mi, że zaczekasz póki nie wrócę z Francji, a wtedy spróbujemy jakoś wszystko ułożyć. Przyrzeknij mi to, proszę.

— Mam poczekać, aż wrócisz z Francji!

Słowa te wydały mu się złowieszcze. Francja dla niego oznaczała wojnę.

— Tak. Zaczekaj na mnie i niczego nie zmieniaj, zanim nie wrócę do domu... na początku lipca. Zgadzasz się? Obiecujesz?

Przez chwilę nie mógł zdobyć się na odpowiedź.

— Ta!—powiedział w końcu niechętnie.

— To znaczy obiecałeś?

— Tak. Pocałowała go szybko.

— I mam przyjść jutro wieczorem? — szepnęła.

— Tak! — powtórzył, kurczowo zaciskając ręce.

— Chcesz mnie? — nalegała uparcie.

— O Boże, tak! — krzyknął. Zaśmiała się cicho.

— Odprowadzisz mnie kawałek przez las? — zapytała. Szedł obok niej, milcząc. Czuła, że powoli się uspokaja, że

znów jej pragnie, zapominając co ich dzieli. Ale się nie odzywała.

— Więc nie wyjedziesz jutro z siostrą? — zapytał.

— Namówię ją, żeby przenocowała we Wragby, choć pisała, że chce tylko po mnie wstąpić. Sama prowadzi swój samochód. Ojciec przyjedzie z Yorku do Londynu pociągiem.

— Czy zgodzi się zostać na noc, jak ją poprosisz? Konstancja była teraz pewna, że pożądanie znów wzięło w

nim górę.

— Tak! A może nawet zrobi coś lepszego. Może podwiezie mnie jutro wieczorem pod twoją gajówkę i przyjedzie po mnie na drugi dzień rano. Wtedy będziemy naprawdę swobodni.

— Więc chcesz o wszystkim jej powiedzieć?

— Och, już wie.

— I co na to mówi?

— Cieszy się ze względu na mnie.

— Ona cię chyba lubi?

— Bardzo. Jest nas tylko dwie.

Znów pogрузzył się w rozmyślaniach nad dziwną mentalnością dobrze urodzonych.

Umówili się, że on przyjdzie do Wragby po podwieczorku i jeśli zobaczy czerwony szal zwisający z okna Konstancji, będzie to oznaczało niebezpieczeństwo i Konstancja nie przyjdzie. Jeżeli szal będzie biały, będzie to znaczyło, że przyjdzie jak zawsze, po dziesiątej. A gdyby wisiał zielony szal, niech wraca do gajówki, pójdzie drogą dobre cztery mile aż do mo-stu kolejowego, a Konstancja wysiadzie na moście nad wyko pem i razem wrócą do gajówki.

— Wymyślamy jakieś dziwne sztuczki — powiedział. — Do tego doszło.

— Masz coś przeciw temu? — zapytała. Jej się to podobało.

— Ja? Nie, wcale nie, tylko dla mnie to trochę śmieszne. ...Ale bym chciał, żeby szal był zielony.

— Tak. To święty kolor Mahometa. Ba. Mahomet popierał miłość.

— Naprawdę?

— Ależ tak. Inaczej niż Jezus.

Wieczorem rozmawiała z Cliffordem o Mahomecie.

— Czy uważasz, że Jezus słusznie postąpił mówiąc tamtej niewieście: Idź i nie grzesz więcej?" Ostatecznie był tylko mężczyzną — powiedziała. — Nie kobietą.

— Oczywiście.

— Przypuśćmy, że ona by mu powiedziała: „Pójdź, Panie, i zgrzesz ze mną?" Jak myślisz, czy to nie byłoby lepiej?

Clifford spojrział na nią. Wyglądała na podnieconą, była jakaś niespokojna. Roześmiał się głośno.

— On by nie poszedł — odpowiedział z głębokim przekonaniem.

Z początku Konstancja czuła się szczęśliwa podróżując tylko z Hildą. Drogę do Londynu odbyły samochodem i parę dni spędziły tam same, załatwiając sprawunki i chodząc do teatrów.

— Nie uważasz, że bardzo przyjemnie jakiś czas nie mieć przy sobie mężczyzny? — zapytała starszą siostrę.

— Myślę, że tak czy owak błędem jest mieć mężczyznę stale przy sobie — odparła Hilda. — Mężczyźni i kobiety tak krańcowo się różnią, dlatego mają być ze sobą skuci łańcuchem? Jedno drugiemu musi ustępować i obojętnie które z nich się temu poddaje, moim zdaniem wynik jest zawsze godny pożalowania. Małżeństwo jest błędem.

Konstancja zastanowiła się nad tym.

— Tak — przyznała. — Chyba masz rację. Mężczyźni albo są ograniczeni, albo męczący. To prawdziwy wypoczynek być przez jakiś czas z dala od nich.

— Przez większość czasu — sprostowała Hilda.

Ale Konstancja była trochę bardziej staroświecka i powściągliwsza od siostry. Hildę otaczał jakiś szczególny blask. Naprawdę gardziła mężczyznami, gardziła ojcem, i gardziła mężem, którym teraz gardziła nawet za to, że regularnie wpłacał poważne sumy na jej bankowe konto. Nie lubiła Clifforda i pogardzała nim. Trudno sobie wyobrazić jak nieskończenie gardziłaby Parkinem. Wszystko to razem wzięte było bardzo dziwne.

Tym bardziej, że była piękna, miała ciepłą, kobiecą urodę, takie same jedwabiste, kasztanowate włosy jak Konstancja i duże, poważne, szare oczy. Podobnie jak Brunhilda, żyła samotnie przez większość czasu tocząc upartą, niewidoczną walkę. Miewała rozmaitych kochanków. Nie widziała większej różnicy między jednym i drugim mężczyzną, wszyscy wydawali jej się do siebie podobni. Byli jak marionetki na scenie, każdy inny, lecz uruchamiany w ten sam sposób, pociąganiem i zwalnianiem sznurka. Seksem pogardzała, widząc w nim jeszcze jedno oszustwo — po prostu mocniejsze pociągnięcie za sznurek.

Miała jednak w sobie jakąś dziwną siłę, ukrytą i niewytłumaczalną. Jej mąż był członkiem parlamentu. Obracała się w świecie polityków i dyplomatów. Mężczyźni dużo i chętnie z nią rozmawiali. Zawsze na końcu wydawali jej się zarozumiałymi pajacami. I również nieomal zawsze dawała im to odczuć. Jedynie w kilku upartych, trwale piastujących poważne stanowiska arystokratów z najlepszych rodów, pozostających zazwyczaj w cieniu jako, że nie musieli szukać popularności, znajdowała godnych siebie przeciwników. Byli niezwykle dobrze wychowani i traktowali ją z subtelną nutą wyższości. Pewni swojej pozycji, mając niewiele do wygrania i nie bojąc się utracić tego, co już posiadali, wewnątrznie puści i cyniczni, obdarzeni byli osobliwym sprytem, który sprawiał, że w spotykanych ludziach natychmiast bezbłędnie wyczuwali choćby najslabszą ukrytą możliwość sprzeciwu i z dziwną, niemal owadzią bezwzględnością paraliżowali ten sprzeciw, ilekroć się nań natknęli.

Tylko oni byli zdolni wytrącić Hildę z równowagi i obudzić w niej poczucie niższości. Dlatego też uważała ich za najbardziej typowych mężczyzn. Inni, w porównaniu z nimi, byli głupcami, nie mieli bowiem ich dziwnej, zimnej przebiegłości, pewnego rodzaju chłodnej, owadziej mądrości i natychmiastowej orientacji, gdzie się znajduje najczulsze miejsce, w które warto wbić żądło i wpuścić paraliżujący jad. Dawali jej odczuć, że jest plebejuską. I to było jej klęską. Przez kilka dni była jednak bardzo miłą towarzyszką, wносиła bowiem wiele radości i była nieprzeciętnie inteligentna. Konstancję niezwykle podniecało przyglądanie się życiu Londynu, niby jakiejś makabrycznej farsie, swego rodzaju małpiemu cyrkowi z mężczyznami w roli zarozumiałych, zadowolonych z siebie samców i złośliwymi, dokuczliwymi małpami-kobietami. Patrzyła na to z dystansu, z okrucieństwem widza.

Przyjechał sir Malcolm i też zachowywał się jak zadowolona z siebie stara małpa. Pochodził z szanowanego szkockiego rodu ziemskich obywateli i był nieuleczalnie zarozumiały, choć niezbyt nudny. Otrzymał tytuł szlachecki za swoje „historyczne” malarstwo. Ale był szkockim dziwakiem i miał niewyczerpany zapas różnych ciekawych wiadomości, a także skłonność do awanturnych i grzesznych stron życia. Pomimo swojego wieku, był przystojny i dobrze się prezentował z jedwabistymi, siwymi włosami, rumianą twarzą i krótko przyciętym, siwym wąsikiem. Dewizą jego życia było nigdy dla żadnego celu ani w niczyjej sprawie nie narażać się na kłopoty, toteż nic nigdy w rzeczywistości kłopotu mu nie sprawiało. Czasem na jego twarzy pojawiał się wymowny przelotny uśmiech, a zawsze gościł wyraz łagodnego powątpiewania. Był bardzo przywiązany do córek, gdyż czuł się głową rodzinnego klanu. Wolał nic więcej o nich nie wiedzieć poza tym, że były miłymi dziewczynami, którymi dało się kierować w jedwabnych rękawiczkach. Ale bardzo też lubił towarzystwo młodych, pięknych pań. Ożenił się pierwszy raz dosyć późno. Silna klanowa więź ułatwiała im współżycie. Nigdy żadne z nich nie dokuczało drugiemu. Należeli po prostu do jednego szczepu. A to upraszcza sprawy.

I właśnie ta silna, szkocka więź klanowa była źródłem ich siły i słabości. Pojedynczo, każde z osobna czuło się trochę zagubione, jak gdyby odcięte jedno od drugiego. Razem, lub nawet wśród dalszych członków rodziny, od razu nabierali poczucia własnej siły i pewności siebie. A jednak ich osobiste kontakty były bardzo ograniczone: nawet Konstancji z Hildą. Łączyły je sprawy kobiece oraz więzi klanowe i rodzinne.

Zamieszkali w niewielkim hotelu, na lewym brzegu Sekwany, w pobliżu Luwru. W Paryżu Konstancja zawsze czuła się niejako przeniesiona w historyczną przeszłość. Paryż, choć nowoczesny, zachował w każdym razie nad rzeką, charakter średniowiecznej nowoczesności. Pod tym względem przypominał jej Edynburg. Oba miasta były średniowiecznie nowoczesne. I to jej odpowiadało. Na początku zawsze była tym zachwycona. Czuła się odprężona i po trosze przeniesiona w daleką przeszłość. Ludzie byli tu swobodniejsi i mniej skrupowani niż w Anglii.

Lubiła chodzić po ulicach na lewym brzegu rzeki i odpoczywać w Ogrodzie Luksemburskim. Jak pięknie wszystko tam kwitło w środku lata, jakie śliczne i dekoracyjne były klomby i trawniki! Jakże odmienne od trochę melancholijnych i jakby po amatorsku zaplanowanych wspaniałych bujnych rabatek i klombów w Hyde Parku. A na pewno w niczym nie podobne do zapuszczonych ogrodów we Wragby. Te tutaj były piękne, żywe, olśniewające, wesole! Bardzo jej się podobały. Chłopcy o chudych nogach, grający w piłkę i coraz to wykrzykujący coś z pseudo-sportowym zapałem, wyglądali jak gdyby żywcem przeniesieni z czternastowiecznych portretów, a ich ubrania też niewiele różniły się od oryginału.

Do tego, pierwszy raz w życiu sprawiały jej pewną przyjemność spojrzenia mężczyzn, którzy zdawali się oceniać, czy warto byłoby mieć ją w łóżku. Nie miała za złe mijającym ją i Hildę flaneurs mierzącym wzrokiem od stóp do głowy ciało każdej kobiety. Cieszyło ją, że jest kobietą, świadomą swego ciała.

Dość często ci mężczyźni mieli w sobie coś miłego i atrakcyjnego. Zazwyczaj byli dobrze odżywieni, ale właśnie to jej się podobało. Ich oczy, choć śmiałe, nie miały twardego ani obleśnego wyrazu. Czasem w ich spojrzeniu było coś ciepłego. Często wyglądali ordynarnie. Ale dość często przejawiała się w nich jakaś męska dobroć, którą tak lubiła.

Potem, mniej więcej po tygodniu, jej zachwyt przygasł i chociaż Paryż nie przestał jej się podobać, zaczął działać na nią przygnębiająco. Ci mężczyźni, krążący niespokojnie niby dusze w Hadesie, szukający w kobiecie czegoś, czego już właściwie przestali pragnąć, zdawali się przygnębić i oddziaływać przygnębiająco. Byli naprawdę straszliwie znudzeni. Kontynuowali jednak swoją pogoń za kobietami, która nie interesowała ani ich, ani kobiet.

Tyle, że nic innego nie przychodziło im na myśl. Nie mogli znaleźć w sobie żadnych nowych impulsów.

— Ci Francuzi zadają sobie mnóstwo trudu uganiając się za kobietami, których wcale nie pragną — powiedziała do Hildy.

— A czy są mężczyźni, którzy rzeczywiście pragną kobiet? — odparła Hilda. — Oni wszyscy robią to tylko dlatego, że robili to od początku świata. Są znudzeni i pozwala im to na chwilę zapomnieć o nudzie.

Konstancja zastanowiła się nad tym.

— I dlatego, że nie wiedzą co z sobą począć, kiedy są sami — powiedziała.

— Jeszcze bardziej niż kobiety — odparła Hilda.

— Czyż to nie smutne? — zapytała Konstancja.

— Te sprawy między kobietami i mężczyznami, to jeden wielki bluff. To jak konne polowanie na lisa. Głupia zabawa, dla zaspokojenia atawistycznych instynktów.

Konstancja spojrzała na siostrę, przerażona. Zaniepokoiła ją bezwzględność Hildy.

— Myślę, że niezupełnie tak jest — powiedziała. — Czy nie uważasz, że zawsze może się pojawić coś nowego w fizycznej miłości mężczyzny i kobiety? Czy nie myślisz, że pojawia się zupełnie nowy czynnik i to on odświeża życie?

— Jeśli mówisz z doświadczenia, może masz rację. Mnie nigdy nic takiego się nie zdarzyło.

Konstancja długo się nad tym zastanawiała. Czy rzeczywiście doświadczyła czegoś takiego? A może jej doświadczenie z Parkinem niczym się nie różniło od doświadczeń większości kobiet od początku świata? I czy miłość ta nie wypali się w nich tak samo... albo skończy się jakimś nieszczęściem... może nawet zostawi po sobie niesmak?

Kiedy jednak przyglądała się Francuzom w Paryżu, lub w Fontainebleau, Chartres, czy Orleanie, jadąc samochodem na południe, kiedy patrzyła na tych przystojnych ludzi, często przedstawiających wymarzony przez kobiety typ kochanka, zastanawiała się dlaczego jej nie pociągają? Dlaczego tak często myślała: bardzo bym chciała, żeby ten był moim kochankiem, gdybym była jakąś inną kobietą? Na pewno byłby dla innej kobiety uroczym kochankiem. „Jeune, beau, vigoureux”, jak mówi piosenka. Ale nie dla niej. Zawsze brakowało tej jedynej na świecie isierki.

A isierka ta była bezwzględnie potrzebna. Podróżując dalej na południe, Konstancja doszła do wniosku, że łatwiej potrafiłaby ją znaleźć w jakimś niecodziennym Angliku niż we Francuzie. Isierka ta sygnalizuje wielką przygodę, wyzwala żywotne siły, przemienia naturę człowieka od wewnątrz. Często teraz myślała o tym co Clifford jej czytał, ze szczególnym naciskiem: „Natura rządzi się kodeksem ustalonych praw, a natura człowieka to połączenie starych przyzwyczajajeń i zrutyinizowanych uczuć. Ale tli się w jej wnętrzu isierka, która czasem przenika do świadomości, spopiela stare i roznieca nowe uczucia, obala stare przyzwyczajajenia i rodzi mały, twórczy chaos, z którego człowiek wyłania się jako nowa istota.”

Zdaniem Konstancji isierka ta nie przeskakiwała z nicości, lecz rodziła się w doskonałym złączeniu kobiety z mężczyzną. Taka była jej filozofia.

A czy w naturze Parkina, jako mężczyzny, nie było czegoś pięknego, czystego i olśniewającego, co mogło rozniecić właśnie tę isierkę w niej, jako w kobiecie? A może tylko okłamywała się?

Może wszystkie zakochane kobiety tak to sobie wyobrażają. A może to jest prawda. Może niebezpieczeństwo leży w niedostrzeganiu jej? Gdy się dopuszcza, by stare prawa i przyzwyczajajenia, oraz zrutyinizowane uczucia zdławiły tę isierkę?

„Muszę się zdecydować — rozmyślała nieustannie — czy mam bez żadnych zastrzeżeń otworzyć przed Parkinem moją duszę, czy też myśleć o nim tylko, jako o przygodzie?”

Wiedziała, że tak o nim nie myśli. Ale również nie mogła jeszcze otworzyć przed nim ostatnich, najtajniejszych zakątków swej duszy. „Nie mogę mu pozwolić, by posiał tam swoje nasienie” — myślała.

Nie chciała też opuścić Clifforda, aby żyć z tamtym mężczyzną. — Gdybyśmy oboje byli tylko nagim mężczyzną i nagą kobietą, może bym tego chciała — myślała sobie. — Ale oboje mamy na sobie tyle warstw ubrania, w dodatku innego. Równie dobrze można by namawiać żółwia, żeby strzaskał swoją skorupę i szukał innej formy.

Nie chciała opuścić Clifforda i dać się uwięzić wśród robotników. Ani wyjechać do Kanady i stać się mieszkanką kolonii. To mogłoby być jeszcze gorsze. Sama myśl o tym napawała ją odrazą. Uporczywie trzymała się Anglii. Pomysł ucieczki do kolonii wydawał jej się prostacki — krokiem w pustkę. Zupełnie jej to nie interesowało. Niech Parkin jej tego nawet nie proponuje. Jeśli będzie koniecznie chciał, musi pojechać sam. Nie będzie go zatrzymywała.

Nie chciała opuszczać Clifforda. Reprezentował najwyższy poziom tego, co osiągnęła ludzkość w sensie społecznym. Niewątpliwie sposób życia ludzi z tej sfery był najmniej upokarzający.

Nie chciała porzucić klasy panującej, by wejść do podrzędnej. Z tego też zdawała sobie sprawę. Jeśli miała należeć do jakiejś klasy, niech będzie to klasa panująca. Oczywiście może zostać kiedyś obalona. Osobiście czuła, że się tak kiedyś stanie. Ale dopóki nie pojawią się wyraźne oznaki nowych rządów, będzie się trzymała starego systemu.

Mglista bezpostaciowość kolonii była wręcz odrażająca. Konstancja wiedziała, że nie ma w sobie nic z ducha cyganerii, a Parkin też nie jest artystą. O wiele silniej związany był z własną klasą, niż Clifford ze swoją. Clifford, przez swoją platońską filozofię, był w pewnym sensie ponadklasowy.

Tak, ale Parkin, gdy ogarnęła go żądza, też nie mieścił się w swojej klasie. Musiała to przyznać. Gdy dziwne, zmysłowe iskierki pojawiały się w jego oczach, kończyła się jasnie pani, i liczyła się tylko rozbudzona w niej, płonąca kobiecość.

Na tę myśl Konstancja zawsze czuła ukłucie w sercu. Straciła swój prestiż. Wstydziła się trochę. „Mój kurczaczku! Mój kurczaczku! Tak strasznie cię pragnę!” Słyszała gardłowy, gruchający głos gajowego i czuła pod biodrami jego rękę, przyciągającą ją z żywiołową siłą w górę, ku niemu i drżała na wspomnienie namiętności, ale jednocześnie ze wstydu. Tak się poniżyć! „Tak strasznie cię pragnę!” Nawet to, co teraz, z dystansu, wydawało jej się niemal okropne i napawało ją przerażeniem, było jednocześnie po prostu śmieszne. „Tak strasznie cię pragnę.” Jak okropnie to było wymawiane. Czuła, że tam, w gajówce, zachowywała się jak wariatka. Ostatecznie jest czymś więcej, niż jego „kurczaczkiem”.

(W oryginale brak stron 224—225)

Konstancja nie utrzymywała regularnej korespondencji, ale było jej czegoś brak, gdy dłuższy czas nie przychodziły wiadomości z domu. Odpowiadała na nie krótkimi, zdawkowymi listami, zmuszając się do pisania z dużym wysiłkiem. Od Parkina oczywiście nie dostała żadnego listu, bo nie napisała do niego ani słowa i nie miał pojęcia, gdzie ona przebywa.

Dowiedziała się jednak o nim od Clifforda. Stało się to w końcu czerwca, kiedy stary sir Malcolm zaczął myśleć o powrocie do żony, do Yorkshire. Miał wrócić w pierwszych dniach lipca, żeby ją zawieźć do Szkocji. Bawił się jednak dalej beztrosko, z dnia na dzień odkładając wyjazd.

„Mieliśmy tu małą, lokalną sensację” — pisał Clifford. — „Żona gajowego Parkina wróciła do niego niespodziewanie i, jak słyszę, nie została mile przyjęta. Parkin wyrzucił ją z domu, zamknął przed nią drzwi, kiedy jednak wieczorem wrócił z lasu, zastał ją w łóżku zupełnie nagą i dosyć posiniaczoną. Nie miała na sobie nawet nocnej koszuli. Nie wiem, co się stało, ale Parkin uciekł na wieś i przenocował w domku u swojej matki. Tamta kobieta

pewno wybiła szybę i przez okno weszła do gajówki. Górnik, z którym żyła, miał jej dosyć i pognał ją z domu. Wróciła więc do Parkina. Parkin podobno zaklina się, że nie zbliży się do niej nawet na odległość mili, a ona uparcie twierdzi, że wlaźł do niej do łóżka, zanim uciekł na wieś, do matki. Ponieważ tylko duchy niebieskie były świadkami co się tam działo, sprawa pozostaje nie wyjaśniona. Z przykrością częstuję cię tym błotkiem z naszego miejscowego śmietnika, ale pani Bolton, nasza droga ptaszyna buszująca w tego rodzaju śmietnikach, nasz święty ibis i czujny myszołów, wspomniała, że Jaśnie Pani może chciałaby się o tym dowiedzieć. Jeżeli o mnie chodzi, małżeńskie i miłosne perypetie państwa Parkinów nic mnie nie obchodzą, nie chcę tylko stracić przez to doskonałego strażnika zwierzyny.

Podobała mi się zrobiona przez ciebie fotografia sir Malcolma w morzu, z strzechą białych, mokrych Włosew opadających mu na czoło. Wygląda jak miły bobasek w kąpieli. Twój ojciec jest jednym z najśmiertelniejszych śmiertelników. Spłukuje swoją nieśmiertelność przy każdym myciu twarzy. Aż dziwne, że człowiek tak wyzuty z nieśmiertelności, powiedziałbym tak od niej daleki, może być twoim ojcem. Ale to jeszcze jeden dowód, że nieśmiertelność jest darem Wyższych Rejonów i zwykli śmiertelnicy nie mogą dalej jej przekazywać."

Z początku treść tego listu nie dotarła do świadomości Konstancji. Zbyt była pochłonięta otaczającym ją światem i życiem towarzyskim, w którym każdy, obojętnie, mężczyzna czy kobieta, zajadłe walczy przeciwko reszcie o utrzymanie własnej pozycji i depcze przeciwników, by osiągnąć jakąś domniemaną, bezwartościową przewagę. Żyje, ubiera się i gra wymyślne role jedynie po to, by zdobyć sobie jakiś złudny, krótkotrwały prestiż, pozbawione wszelkiego znaczenia prawo weta lub równie bezsensowny tytuł do wymyślenia towarzyskich rozrywek. Cały świat Wragby i lasu wydawał jej się nierealny.

Tutaj, w willi nad brzegiem morza, wszystko było sztuczne i podporządkowane życiu towarzyskiemu. Krajobraz nie był aż tak teatralny jak w Monte Carlo lub Cannes, lecz służył tym samym celom, jako dekoracja dla towarzyskich wydarzeń. Nawet morze przypominało ogromną wannę, codziennie rano napełnianą przez służbę.

Konstancja wkroczyła w sam środek tego światka z dziwnie napiętymi nerwami. Znalazła się na scenie towarzyskich wydarzeń. Z powodzeniem broniła swojej pozycji umiejętnie prowadzoną konwersacją, stosując szybkie, cięte repliki. Ubierała się w swoim stylu i dla własnej przyjemności. I umiejętnie wykorzystując swoją specyficzną wewnętrzną siłę, skutecznie utrzymywała i umacniała swoją pozycję we wciąż zmieniającym się towarzystwie. Cieszyła się coraz większym uznaniem wśród licznych przebywających tam gości. Wszyscy zawsze wymieniali jej obecność na takiej czy innej imprezie. W świecie ludzi walczących wyłącznie o mało ciekawą namiastkę zwaną prestiżem, tanią odmianę rzekomej osobistej wyższości nad innymi — o ową margarynę, którą po wojnie smaruje się towarzyski chlebek, zamiast stosować dawne kryteria osobistej godności i talentu, umiała utrzymać się na powierzchni.

Jednocześnie była tym wszystkim trochę zawstydzona. Zbyt to było tandetne i niesmaczne. Nawet megalomania, wyznawana przez Clifforda na temat nieśmiertelności, była od tego lepsza.

Ale raz porwana tym nurtem, jakoś nie mogła się z niego wydobyć. Chwilami była na wpół zdecydowana natychmiast wyjechać i wrócić pociągiem do Wragby. Ale z drugiej strony nie chciało się jej jeszcze wracać do domu, do Clifforda i jego nieustających tyrad o nieśmiertelności, ani do Parkina i jego nieustającej żądy. Tu była przynajmniej wolna. Z nikim nie była związana i z nikim się nie przyjaźniła, nikt jej nie kochał i ona nie kochała nikogo. Czuła się wolna.

Wiedziała, że ta pozorna wolność jest ostentacyjnie krzykliwa jak czerwone pelargonie, i pozbawiona treści, jak obrzydliwe, nieuniknione partie bridża i pokera. Doskonale widziała nędzę tych karcianych spotkań, rozgrywanych po wysokich stawkach. Ze wstrętem patrzyła

na bezwzględna, ciągłą walkę o „margarynową wyższość”, staczaną przez hotelowych gości. Ale nadal płynęła tym nurtem, utrzymywała się na powierzchni i mimo wszystko nie chciała się z niego wy dostać.

„Ten modny świat omotał mnie, jak zły duch opętuje maniaka. Wszyscy jesteśmy maniakami” — powtarzała sobie często. Powiedziała Hildzie o liście Clifforda, z wiadomościami o Parkinie.

— Cóż — orzekła Hilda po dłuższym namyśle. — Ale jeśli spodziewasz się dziecka, masz to, czego chciałaś. Może to najłatwiejszy sposób wyplątania się z całej afery.

Najłatwiejszy sposób! O Boże!

Konstancja zaczynała nienawidzić tego dziecka, choć wcale nie była jeszcze pewna, czy zostało poczęte. Nie było tym, którego pragnęła. Byłoby znów tylko namiastką czegoś, czego tak gorąco chciała, nie wiedząc dokładnie o co naprawdę jej chodzi. Co znaczy to dziecko, jeśli utraci... jeśli utraci co? Gniew i zawziętość narastały w niej i nie pozwalały jasno sobie uświadomić co traci.

W ich willi zamieszkał na kilka dni zawodowy muzyk. Nie był ani młody, ani przystojny, ani sławny. Niski, mizerny człowieczek z szarą, ascetyczną twarzą, wyraźnie cierpiący na niedomogi trawienia, niespokojny i nerwowy, byłby zupełnym zerem, gdyby nie pewien muzyczny talent. Nie walczył o prestiż, nie dbał co ludzie o nim myślą, i choć od dawna oswojony ze światkiem towarzyskim, obcując z nim stale czuł się przybity i nieszczęśliwy. Na fortepianie grał dobrze, ale niechętnie. Za to jego własne kompozycje, w wykwintnym stylu muzyki elżbietańskiej, były urzekające, a może nawet godne zapamiętania.

Na drugi dzień po przybyciu, usiadł wieczorem obok Konstancji, na kanapce w muzycznym saloniku.

— O Boże! — westchnął. — Jak tu okropnie.

Mówił do niej, jak gdyby była drzewem, z którym można się porozumieć.

— Tak, dość okropnie — szepnęła trochę mimo woli.

— Dlaczego te miejsca są zawsze takie przynębiające?

— Jakie miejsca?

— Te wielkie, eleganckie domy, gdzie spotyka się wszystkich, ale nikogo, kto byłby żywym człowiekiem. Oszaleję! Jestem bliski szaleństwa. Wiem o tym.

— Więc dlaczego pan do nich przyjeżdża?

— Właśnie, dlaczego? Przypuszczam, że działają trochę jak alkohol. Mam za słaby żołądek, żeby pić, i za słabe nerwy, żeby zażywać proszki, więc jest to dla mnie pewnego rodzaju namiastka.

— I co to panu daje?

— A co może dawać, poza zaspokojeniem próżności, że mieszka się w domu z sześcioma lokajami i czterema samochodami? Próżność, zwykła próżność, nic więcej.

— I czy to warto?

— Zawsze trzeba płacić za swoje wady. Jestem nic nie znaczącym pionkiem, więc wydaje mi się, że staję się ważniejszy mając lokaja do dyspozycji i siedząc przy obiedzie obok księżnej Montekukuli. Doskonale to wiem. Wiem, że doprowadza mnie to do szaleństwa. A jednak to

robię.

— Ale dlaczego? Dlaczego pan to robi, zdając sobie z tego cały czas sprawę?

— Och, właśnie to jest moją wadą. Jestem egoistą, jak wszyscy tutaj. Każdy w tym domu jest zwyczajnym, materialistą i egoistą. Zgrywamy się wzajemnie przed sobą. To nam pochlebia. I wszyscy w końcu wariujemy.

— Ja także? — spytała ubawiona Konstancja.

— Oczywiście, inaczej by tu pani nie było. Tylko w pani przypadku potrwa to zapewne dłużej niż w moim. I nie zamkną pani tak prędko, bo pani jest dobrze urodzona, a ja jestem marnym strzępkiem i pochodzę znikąd.

Konstancja była pod wrażeniem jego słów, choć jednocześnie ją bawiły.

— Ale czemu nie robi pan czegoś innego? — zapytała. — Jeżeli pan wie, że doprowadza to pana do obłądu, czemu pan z tym nie zerwie?

— A cóż innego mógłbym robić? Podczas wojny pracowałem w Czerwonym Krzyżu i rozstrajało mnie to jeszcze bardziej. A poza tym może ja chcę oszaleć. Bardzo niewielu ludzi bliskich obłądu rzeczywiście chce się wyleczyć. Kochają swoje szaleństwo. Są z niego dumni. Znienawidziliby panią, gdyby ich pani chciała uleczyć, podobnie jak opętany nienawidził Jezusa.

Konstancja zaśmiała się. Był taki zabawny, na wpół poważny i na wpół arogancki! Ale może właśnie to było wstępnym stadium obłądu.

— Czy to znaczy, że każdy musi oszaleć? — spytała śmiejąc się.

— Większość ludzi na pewno!

Spojrzał na nią poważnymi, bardzo łagodnymi, błękitnymi oczami, w których dostrzegła czystą muzykę.

— A kto uchroni się od szaleństwa?

— Ci, którzy mają gorące serca. Nasze są zimne, a w każdym razie moje i wszystkich tutaj. Wszyscy mamy zimne serca, a to jest o wiele gorsze niż zimne nogi. Jesteśmy tacy mili i pozornie altruistyczni, ale w rzeczywistości krążymy stadami zimni i obojętni, jak kraby i homary, i z zimnym egoizmem żywimy się padliną. Wszyscy zrobilibyśmy się purpurowi, gdyby nas ugotowano.

To było już naprawdę śmieszne.

— Ale nas nikt nie będzie gotował — powiedziała.

— Kto wie? — odparł. — Mogą pewnego pięknego dnia to zrobić.

— Kto?

— Ludzie, którzy mają w sobie jeszcze trochę życia, jakąś gorącą pasję.

— Gdzie oni są?

— Och, przeważnie w niższych klasach społecznych. I oczywiście tu i ówdzie zdarzają się wyjątki. Zabijamy ich najszybciej jak się da. Zabiliśmy już wielu spośród siebie podczas wojny. Właśnie po to są wojny: żeby pozabijać wielkodusznych i zostawić zimnokrwistych i miłosiernych.

— Ale pan nie wydaje mi się miłosierny — powiedziała Konstancja.

— Wcale się nim nie czuję. Ale temperatura mojej krwi spadła poniżej pewnego poziomu. A teraz zaczynam być obłąkany.

— Cóż za dziwadło z pana! Czy sprawia panu przyjemność myśleć, że traci pan zmysły?

— Tak. To swego rodzaju zemsta na mojej głowie, że tak bezkompromisowo mną rządzi. A także moja zemsta nad samym sobą... za karę wpadam w obłąd. A kiedy głowa chłodzi krew poniżej pewnego punktu, zawsze się wariuje. Wszyscy Amerykanie są całkowicie zwariowani, albo na najlepszej drodze do obłądu. Teraz z kolei w Europie zaczyna pnieć się zimne szaleństwo. Jeśli gorąco krwiści, którzy przeważnie są nudni i głupi, gdyż wierzą, że wszyscy ludzie są gorący jak oni... w głowie im się nie mieści, że homary są zimne... bo widzą je tylko po ugotowaniu, kiedy się robią takie czerwone... O czym ja właściwie mówiłem?

— Że jeśli gorąco krwiści czegoś nie zrobią...

— O, właśnie... jeśli gorąco krwiści nie obudzą się i nie zaczną nas, zimnokrwistych mordować, zniszczymy świat i cały gatunek ludzki.

— Czy byłoby to takie wielkie nieszczęście?

— Z punktu widzenia nas, zimnokrwistych, będzie to prawdziwe błogosławieństwo. Nienawidzimy samych siebie, i przez to wszystkiego na świecie. Tylko z nienawiści mamy takie dobre maniere i uprawiamy taką ponurą filantropię. Wszyscy chcemy się wykupić, wykupić się od dnia, w którym nas zamordują. I każdy z nas ma nadzieję, że będzie ostatnim człowiekiem pozostałym przy życiu. Utrzymujemy więc wspaniałe pozory. Ale żywimy się padliną. Konstancja trochę się lękała tego zwariowanego muzyka. Przygnębiło ją zwłaszcza, że ją zaliczył do zimnokrwistych. Rozejrzała się po sali, pełnej dobrze, odżywionych młodych mężczyzn o tłustych udach, ubranych w lśniące smokingi i żartujących wesoło z młodymi, eleganckimi paniami, w srebrzystych, mieniących się metalicznie wytwornych sukniach ponad kolana.

— Nawet tutaj jest mnóstwo miłosnych parok — powiedziała. — Rodzaj ludzki chyba jednak nie tak prędko wyginie.

Muzyk rozejrzał się wokół z wyraźnym obrzydzeniem.

— Oni wszyscy żywią się padliną.

— Ale dlaczego? Może niektórzy z nich mają gorącą krew — rzekła Konstancja.

— Homary stają się czerwone, po ugotowaniu.

— Przecież w tym przypadku gotowanie nie wchodzi w grę. Wszędzie zdarzają się prawdziwie gorącokrwisci ludzie.

— Kraby mogą być życzliwe, ale o ile wiem nie ma gorącokrwistych krabów. Gorąca krew jest atrybutem ssaków karmionych mlekiem dobroci. Nawet tygrysyce mają mleko, ale nie te damy. To są ryby. W naszej willi są osoby życzliwe. Ale ich krew nie jest gorąca. Pozabijaliśmy lub wypędziliśmy ich wszystkich.

— Dlaczego?

— Bo są niebezpieczni. Nigdy nie wiadomo, co zrobią.

— A czy wiemy co zrobią ci tutaj?

— Oczywiście. Całkowicie zniszczą wszystko, co żyje. Ale będą to robili zgodnie z przyjętą regułą. Dużo to lepsze, niż gdyby mieli niszczyć strukturę społeczną w sposób przypadkowy, dorywczy. Ponad wszystko uwielbiamy przepisy, gdyż znakomicie godzą się z naszym egoizmem, który je wymyślił, podobnie jak wszystko inne.

— Niech pan nie zapomina o Rosjanach!

— Oni też mieli swoje przepisy... zimnokrwistą, żydowską formułę. Właśnie dlatego możemy nimi gardzić. Prawdziwa rewolucja nie zna reguł.

— A czy kiedykolwiek dojdzie do prawdziwej rewolucji?

— Może tak, a może nie. Jeśli my zdążymy w porę stłumić i wykończyć wszystkich gorącokrwistych, nigdy nie będzie rewolucji. Tylko, jak w Rosji, przewrót według ustalonej formuły. — Ale czy krew nie może zmienić temperatury, być gorąca, zimna, lub letnia?

— Można ostudzić gorącą krew, ale wtedy zwierzęta zazwyczaj umierają. Nie da się ogrzać krwi zimnokrwistych. Tego cudu nawet Jezus nie potrafił dokonać. Potrafił tylko zwołać żarliwych i pobudzić ich aktywność.

— Przecież zimno- i gorącokrwisci jednocześnie żyją na świecie. Czy nie mogą żyć zgodnie? Moim zdaniem właśnie tak się dzieje.

— Istnieje między nimi stały konflikt. Zimnokrwisci zawsze chcą podporządkować sobie gorących. Ci zaś przeżywają napady nienawiści, podczas których mordują zimnych. Ale zimnokrwisci są przebiegli i nie spoczną, dopóki z gorącokrwistych nie zrobią swoich sług. Potem posuwają się za daleko. Z kolei przychodzi zemsta i wszystko zaczyna się od nowa.

— I gorącokrwisci są zawsze sługami?

— Na Boga, nie! Gorącokrwisty był Aleksander, a także Jezus, Sokrates, Cezar, Tamerlan, Attyla, Piotr Wielki, Fryderyk Wielki, nawet Wolter. Ale od czasu Napoleona notujemy powolny, lecz przerażający triumf zimnych w każdym kraju: faszystów,

demokratów, czy bolszewików. Wszyscy są tacy sami, tylko w różny sposób przejawiają swoją zimnokrwistość.

Mały pomyłony muzyk wyjechał następnego dnia. Ale dla Konstancji, jak uświadomiła sobie z narastającym gniewem i zakłopotaniem, wszystko sprowadziło się do tego, że będzie musiała dokonać wyboru między Cliffordem i Parkinem. Wydawało się, że nie ma najmniejszego powodu, by w swojej sytuacji nie mogła zachować ich obu. Tylko że z jakiejś niepojętej przyczyny było to niemożliwe.

Nie chciała między nimi wybierać. Chciała mieć ich obu. Chciała zjeść ciastko i zachować je nie naruszone. Do pasji doprowadzała ją myśl, że będzie musiała powiedzieć: ciebie wybieram, a ciebie tracę. Była wściekła na Parkina, bo przez niego znalazła się w takim położeniu. Była wściekła, bo nie potrafiła się go wyrzec. Nie mogła pozwolić mu odejść. Z Cliffordem nie czuła się związana jako z mężczyzną. Decydowała jego życiowa pozycja. A ona nie mogła wyrzec się tego wszystkiego, co reprezentował. Miała ochotę pójść za przykładem Hildy i zdecydowanie odciąć się od wszystkiego. W głębi duszy czuła szalejącą złość.

Napisała do Clifforda, zapowiadając swój powrót, oraz do pani Bolton, dowiadując się o męża i przy okazji, od niechcienia, zapytując o dalsze szczegóły skandalu z gajowym. Clifford bowiem zapomniał jej o tym napisać. „Jestem pewna, mylady, że ucieszy się pani, kiedy zobaczy sir Clifforda, bo zrobił wielkie postępy w kuracji. Jego zdrowie bardzo się poprawiło i niecierpliwie czeka na pani powrót. Dom wydaje się pusty bez mylady i z radością znów powitamy ją wśród nas, by swoją obecnością rozjaśniła nam świat, a mówię to w imieniu całego Wragby, od najgodniejszych aż do najniższych, bo mylady jest tu przez wszystkich kochana.

Teraz o panu Parkinie. Nie wiem jak wiele sir Clifford mylady napisał. O ile mi wiadomo, pewnego wieczoru, jak tylko się ściemniło, żona wróciła do niego i powiedziała, że wyrzucił ją górnik, z którym dotychczas żyła. Słyszałam, że zaczęła latać za nowym policjantem, zwalistym ordynusem, który gada tak, że go prawie nie można zrozumieć, chyba ze szkocka. Wygląda na to, że górnik wyrzucił ją z domu, a ponieważ policjant niczego jej nie zaproponował, wróciła do pana Parkina. Późnym wieczorem zjawiała się w gajówce. Ale pan Parkin nie chciał jej wpuścić. Dał jej dziesięć szylingów, kazał się wynosić i zamknął jej drzwi przed nosem. Ale ta bezczelna awanturnica nie chciała odejść, bo wiedziała gdzie jej będzie najlepiej. Waliała w drzwi i wrzeszczała bez przerwy, a pies szczekał i warczał, więc w końcu pan Parkin wysłiznął się tylnymi drzwiami do lasu i zostawił ją, dobijającą się do gajówki. Ale kiedy rano wrócił, zobaczył, że wybiła szybę, dostała się przez okno do środka, wyjadła ze spiżarki wszystko, co jej wpadło w ręce i położyła się do łóżka, bez strzępka koszuli lub jakiegokolwiek okrycia. To najlepiej świadczy jaka to kobieta. Pan Parkin starał się ją zmusić, żeby wstała i się wyniosła, ale ona nie chciała, poszedł więc po swoją matkę. Stara pani Parkin też nie mogła sobie z tą piekielnicą poradzić. Przysięgała, że pan Parkin był z nią w łóżku, a on zaklinał się, że to nieprawda. Leżała goluteńka i nie chciała wstać. Pani Parkin i jej syn Oliwier zabrali całe jedzenie i wszystko, co mogli wynieść z domu, część tych rzeczy schowali w chatce w lesie, a resztę zanieśli do Tevershall, zostawiając tę bezwstydnicę gołą w łóżku, w pustym domu z pozamykanymi drzwiami. Musiała po jakimś czasie wstać, bo po południu była Pod Trzema Beczkami. Miotła się tam ze złości, awanturowała i wyzywała pana Parkina od ostatnich drani i łajdaków. Pewno ktoś jej poradził, żeby poszła na policję i postarała się o nakaz stawiennictwa dla męża, żeby mu kazali ją przyjąć i utrzymywać. Poleciała więc tam, znów zrobiła awanturę i stamtąd poszła wprost do pana Linleya, bo on jest teraz naszym sędzią pokoju. Pan Linley posłał po pana Parkina i zapytał go, czy zgadza się wziąć ją z powrotem, a on odpowiedział, że najpierw zabije ją i siebie. Wtedy pan Linley zapytał go, czemu już dawno nie wystąpił o rozwód albo prawną separację, a pan Parkin powiedział, że jakoś o tym nie pomyślał, ale gotów jest oddać ostatni grosz,

byleby się od niej uwolnić. Wtedy oświadczyła, że mu nie da rozwodu, bo dziś rano był z nią w łóżku. On przysięgał, że to nieprawda, a ona plotła różne świństwa o pokazywaniu prześcieradeł itd. Więc pan Parkin mieszka teraz z matką i stara się o rozwód. Sir Clifford pomaga mu, jak może. Ta kobieta mieszka w gajówce, zaklina się i przysięga, że nie dopuści do rozwodu, że on jest łajdakiem i podstępny łotrem, że opowie sędziemu o nim kilka dobrych numerów... i jeszcze dużo innych bezceństw. Stara pani Parkin jest tym wszystkim bardzo wzburzona i boi się, że pan Parkin zrobi sobie coś złego. Zdaje mi się, że pan Parkin chce zwolnić się z pracy u sir Clifforda. Chce się wynieść z tych stron, bo ta kobieta odgraża się, że nie przestanie go prześladować, póki nie zobaczy go w grobie, bo zrujnował jej życie. A wina z pewnością jest po jej stronie. Ale ona go nienawidzi, to każdemu rzuca się w oczy. Górnik i wszyscy inni jej mężczyźni przestali teraz dla niej istnieć, chodzi jej tylko o tego diabła Oliwiera. Stara pani Parkin mówi, że ona jest zdolna któreś nocy zamordować go w lesie, ale ją uspokajam, że Parkin nie jest mężczyzną, który „dałby się zamordować kobiecie”, chociaż to jest skończona wariatka. Przyszła nawet tutaj, do dworu, ale sir Clifford kazał ją odprawić i zapowiedział, że jeśli nie pójdzie sobie spokojnie, każe Bensonowi i Fieldowi ją związać, zawieźć na posterunek policji i złożyć na nią skargę. Teraz sir Clifford stara się o nakaz eksmisji, żeby ją usunąć z gajówki, a pan Parkin nadal mieszka u swojej matki. Ale ta kobieta bez wątpienia zachowuje się jak wariatka. Jest starsza od pana Parkina i może jej wiek ma z tym coś wspólnego. Ale jeśli na tym świecie żyje jakaś kobieta opętana przez diabła to na pewno ona. I wszystko to skrupia się na panu Parkinie. Zapewniam mylady, że przykro słuchać tych wszystkich okropności, które ona o nim opowiada. Oczywiście nikt jej nie wierzy, ale coś z tego z pewnością do niego przylgnie. Sir Clifford mówi, że ona trafi za kratki, ale ta piekielnica nie boi się więzienia, ani niczego. Chce tylko stanąć przed sędzią, żeby obrzucić błotem pana Parkina i opowiedzieć o wszystkich obrzydliwościach, jakich zaznała od niego w czasie ich małżeństwa, o jakichś zupełnie niemoralnych sprawach. To straszne żeby kobieta w ogóle potrafiła mówić o czymś takim. Ale sir Clifford powiedział mi, że nie pozwolą jej pleść przed sędzią co jej ślina na język przyniesie, nie dopuszczą do tego. Takiej kobiecie trzeba zamknąć usta, bo jeszcze nigdy nie słyszałam tu tylu plotek co teraz i to takich paskudnych. Co za wstyd dla nas, mylady! Ale ona jest nieodpowiedzialna, zły duch ją opętał."

List ten wstrząsnął Konstancją. Poczwała unoszący się z niego cuchnący odór i ujrzała czarną chmurę plugastwa, pokrywającego ją ohydnyimi plamami. Nie mogła na razie się zorientować, czy jej nazwisk wymieniano w związku z Parkinem. Chyba jednak nie. Ze wstrętem myślała o tym ohydnyim skandalu.

A jednak, jak odbity w malutkim wypukłym lusterku, ujrzała wyraźny obraz tego mężczyzny... jej mężczyzny. Maleńkie jak świetlny punkcik, błyszczące jak gwiazda odbicie jego nieskalanej, męskiej nagości. Nigdy prawie o nim nie myślała, zanadto sprawa ta ją złościła. Tylko ten mały obrazek prześladował ją, jak iskierka tańcząca pod zamkniętymi powiekami. Jak każda trzeźwa, szczerze myśląca kobieta, doskonale wiedziała, że opanowany namiętnością mężczyzna pozostaje nieskalanie czysty, dopóki do żądy nie wmisza się i nie skazi jej jego „ja". W gruncie rzeczy nie obchodziło jej jakich czynów dopuszcza się, lub dopuszczał się kiedyś, Parkin. Liczyło się tylko gorące pożądanie, które w nim wzbudzała.

Jednocześnie z najwyższą pogardą i obrzydzeniem myślała o wstrętnej reakcji innych ludzi. Trochę łagodniej osądzała jego żonę. Wiedziała co ją opętało. Ta kobieta bez wątpienia kochała go i czuła, że on nią pogardza. Bezmiar jej szaleńczego upodlenia równał się bezmiarowi jej patologicznej miłości do niego, a zarazem obojętnej i zimnej pogardy, którą jej okazywał. Biedaczka była w takim stanie, że nie obchodził jej w ogóle własny los. Nawet gdyby ją wzięto na męki, uparcie powtarzałyby to samo. Była podobna do wściekłego psa i tylko śmierć mogła ją wyzwolić. Konstancja czuła pewnego rodzaju litość dla niej. Ale także, myśląc o niej, wzdrygała się z odrazą i przerażeniem.

Nic dziwnego, że nie miała najmniejszej ochoty wracać do tego koszmarne bagna. Ale zaczął się już lipiec. Sir Malcolm koniecznie chciał zdążyć do Szkocji na sierpień, bo wtedy zaczynały się tam rozmaite zabawy, a Biarritz już opustoszało. Skończył się sezon. Goście z willi też zaczęli się rozjeżdżać. Stary malarz postanowił wyjechać piątego lipca. Konstancja i Hilda zaproponowały jednak powrót samochodem wzdłuż brzegów Zatoki Biskajskiej aż do Bretanii, a potem przeprawę przez Kanał z Le Havre u do Southampton. Byłaby to nowa, nie znana im trasa. Sir Malcolm zgodził się, z zastrzeżeniem, że musi być w Yorkshire najpóźniej dwudziestego lipca.

Konstancja zatelegrafowała Cliffordowi datę swego powrotu. W przeddzień wyjazdu dostała od niego list, i drugi od pani Bolton.

Clifford pisał:

„Niezmiernie ucieszyła mnie wiadomość, że wreszcie stamtąd wyjeżdżasz. Jak tylko zwrócisz się twarzą na północ, uwierzę, że naprawdę wracasz. Cudownie będzie znów mieć tu ciebie z powrotem, choć nie mogę narzekać, bo w czasie twojej nieobecności niezrównana pani Bolton dbała o mnie niezwykle troskliwie. To bardzo interesująca osoba, choć trudno ją zrozumieć. Czasem wydaje mi się jakimś bożym dziwadłem. Raczy mnie mnóstwem plotek z Tevershall i wtedy czuję, jak blisko jestem tej dżungli. Nic nie jest w stanie jej zdziwić. O awanturującej się młodszej pani Parkin mówi z takim samym spokojem jak o tobie lub o mnie. Wszystkie ryby w jej akwarium mają takie same prawa. Ale oczywiście nie jest zupełnie normalna. Po kilku godzinach słuchania jej plotek Plotyn, a nawet Hegel wydają się prawdziwym rajem i czuję, że znów oddycham swobodnie. Jest absolutną prawdą, że nasz świat, który wydaje się nam powierzchnią, w rzeczywistości jest dnem bardzo głębokiego morza, gdzie wszystkie nasze drzewa są podwodnym porostem, a my podwodnymi potworami. Tylko czasem dusza wznosi się przez niezmierzone głębie, na dnie których żyjemy, i ulatuje wysoko w drugi świat, czystych przestworzy i prawdziwego światła. Czujemy się wtedy jak drapieżne mewy, które po polowaniu na pływające pod wodą ryby wzlatają w ekstazie pod niebo. Sądzę, że naszym doczesnym przeznaczeniem jest żywienie się ohydłą, cuchnącą fauną naszej podwodnej dżungli. A nieśmiertelnym przeznaczeniem ucieczka, natychmiast po połknięciu łupu, w świetlistą przestrzeń eteru. Przebijamy powierzchnię dławiącego nas Starego Oceanu i lecimy w świetlaną jasność. Kiedy rozmawiam z tobą czuję, że nurkuję głęboko, chwytając miotającą się rybę człowieczej tajemnicy, a potem płynę w górę, coraz wyżej, i z wodnej głębiny wydostaję się na powietrze. To wspaniała, porywająca gra. Ale z panią Bolton mogę tylko nurkować między wodorosty i wyblakłe potwory i muszę tam przebywać póki ona sobie nie pójdzie. Dopiero potem mogę zacząć wędrówkę ku górze.

Mieliśmy tu ogromne biczowanie morskich potworów w związku ze skandalem Parkina. Nie wiem czy pamiętasz, ale poprzednio pisałem ci, że wróciła do niego jego żona-latawica i któregoś wieczoru zastał ją nagusieńką w swoim łóżku. Od tego czasu chroni się przed nią u swojej matki. Żona-latawica przez tydzień okupowała gajówkę, ale ją stamtąd wyeksmiowałem. Nocuje teraz gdzieś na Dakin's Row, a dnie spędza piekląc się i awanturując. Obiegła dom starej pani Parkin i porwała z niego własną córkę. Ale jabłko niedaleko pada od jabłoni i ta mała jest taka sama, jak matka. Gryzła i broniła się tak zajadle, że uspokoił ją dopiero potężny policzek, po którym znalazła się w rynsztoku, skąd wyciągnęła ją oburzona babka. Latawica pożegłowała potem do swojej ulubionej przystani pod „Trzema Beczkami” i tam, jak mówią górnicy, otworzyła wentyl. Z najdrobniejszymi szczegółami wypłuła z siebie wszystkie udręki swego małżeńskiego pożycia z Parkinem, aby go jak najbardziej skompromitować. Była to nader interesująca opowieść. Cnotliwa pani Bolton nie chce mi zdradzić żadnych szczegółów, mówi tylko że „to za skandaliczne, żeby powtarzać”. Ale doktor Smith, którego bawią takie sprawy poinformował mnie dokładnie o wszystkim. To ciekawy, nieomal średniowieczny asortyment seksualnych ekstrawagancji i pomniejszych

perwersji. Nigdy bym nie podejrzewał naszego przyjaciela Parkina o tak bujną wyobraźnię. Ale wydaje się, że tego rodzaju seksualne perwersje występują stale i we wszystkich środowiskach, podobnie jak pchły i łysiny. Rzuca to jednak nowe światło na naszego gajowego. Uważałem go dotąd za zwykłego prostaka. Teraz widzę, że jest on także małym, podwodnym potworkiem, niezdolnym egzystować bez popełniania bezsensownych i zbędnych drobnych występków. W związku z awanturami swojej żony przychodził do mnie kilka razy po poradę i przyznaję, że z rozbawieniem przyglądałem mu się podczas tych rozmów. Przypominał mi trochę psa z uwiązaną do ogona blaszaną puszką. Oczywiście udawałem, że jej nie widzę, ale głośno brzęczała przy każdym jego ruchu. Kiedy mu powiedziałem, żeby nie przejmował się tym, co żona o nim opowiada, odparł: „Ci, co takich rzeczy słuchają, są gorsi od tych co je robią” i po tej deklaracji zamknął się jak ostryga. Występuje jednak o rozwód. Jego żona odgraża się, że nie dopuści do tego i wsadzi go do więzienia. Na razie sama siedzi za kratkami. Upiła się i napadła na naszego Parkina z wielką butelką Worthingtonowskiego piwa. Obronił się kolbą swojej strzelby, ale przedtem niezłe oberwał w głowę. Nasz przyjaciel, sędzia pokoju, sir Artur Linley, kazał ją aresztować nowemu policjantowi, powszechnie znanemu pod przezwiskiem „mucha plujka”. Latawica-żona do tego stopnia obraziła naszego szacownego dyrektora Linleya, że wlepił jej czternaście dni paki. Teraz, jak słyszę, zaklina się na wszystkich bogów, iż „go wykończy”, oczywiście mając na myśli Parkina, a nie Linleya. Wszystko razem, to rzeczywiście wielki skandal, coś takiego zdarza się w Tevershall raz na dwadzieścia lat. Oczywiście będziemy musieli zamknąć gębę tej kobiecie, bo przekroczyło to już wszelkie granice.

Nieprzyjemną stroną tej historii jest, iż Parkin upiera się, że musi rzucić służbę u mnie i chce, żebym mu pozwolił odejść natychmiast. Stawiam warunek, że musi mi dać zastępcę, albo odsłużyć przepisowe trzy miesiące. Zamiast siebie proponuje więc swego siostrzeńca Joe'go, ale ten chłopak niczego nie umie. Kiedy Parkin mi powiedział, że chce odejść, zażądałem aby mi dokładnie wyjaśnił, dlaczego. Powiedziałem mu, że nie należy przejmować się tym, co ludzie wygadują, ale przyznaję, ten cios butelką mocno go chyba zabolął. Odpowiedział mi: „Odchodzę, sir, i proszę powiedzieć mylady, że nie wstydzę się tego, co mam między nogami, choćby ludzie nie wiem co mówili. Ale też nie chcę żyć wśród takich”. „Nie przejmuj się, zapomnij o tym, człowieku” próbowałem go uspokoić. Obawiam się jednak, że nie udało mi się ukryć rozbawienia, bo odparł: „Ano, może się pon śmiać, ale to tyż jest trocha dziwne w pana sytuacji”. Co oczywiście było bezczelne, ale przyznaję, że sam go sprowokowałem. Więc powiedziałem mu: „Wy też byście się śmieli, Parkin, gdybyście usłyszeli takie rzeczy, na przykład o którymś z górników”. Na co on znowu: „Ta, może i tak. Ale bym się nie zdziwił, gdyby mi doł po zębach, jak by mu się udało mnie dopaść.” Więc na tym skończyłem i przyjąłem jego wymówienie pod warunkiem, że przyśle mi jeszcze kogoś do pomocy smarkatemu Joe. Obawiam się, że gdyby został, mielibyśmy tu wkrótce znacznie więcej bójek, co ani jemu, ani nikomu innemu by na dobre nie wyszło. Muszę też przyznać, że w ciągu całej tej awantury trzymał się bardzo dobrze. Podejrzewam jednak, że musi się czuć trochę bardziej winny, albo zakłopotany, niż się przyznaje.” Pani Bolton napisała krótko.

„Widziałam wczoraj pana Parkina, który wygląda bardzo marnie. Ale to przez te wszystkie zmartwienia i uderzenie butelką piwa w głowę. Jego matka mówiła mi, że chorował potem przeszło godzinę, miał nudności i wymioty, więc nic dziwnego, że tak źle. wygląda. Ale z nikim nie rozmawia i trudno z niego wyciągnąć choćby słowo. Powiedziałam mu, że go bardzo żałuję, bo widzę jak źle wygląda i że to, co go spotkało, jest zupełnie haniebne. Zapytał mnie, czy wiem kiedy mylady wróci. Powiedziałam co mi było wiadome i że będę do Pani pisać. Pytał czy ktoś wspomniał mylady o tym, co się tu dzieje, więc mu powiedziałam, że zrobił to sir Clifford i ja także. Wtedy mnie poprosił, żebym napisała do mylady, że odchodzi, ale nie wyjeżdża jeszcze do Kanady. Zostanie tu, póki nie dostanie rozwodu z tamtą kobietą. Jestem pewna, że żaden mężczyzna nie chciałby być z nią związany o jeden dzień

dłużej, niż by musiał. Przynależałam mu, że napiszę do pani i dam mu znać, gdyby była jakaś wiadomość. Nosi się jak dawniej i patrzy człowiekowi w oczy, żeby odgadnąć, co kto myśli. Ale obawiam się, że ma się bardzo źle. To straszna rzecz dla mężczyzny wiedzieć, że opowiadają o nim takie okropne historie i obgadują go za plecami..."

Konstancja odpisała:

„Proszę powiedzieć Parkinowi, że bardzo ubolewam nad tym, co się stało i żeby nie wyjeżdżał nie zostawiając adresu, bo chcę mu przywieźć z Francji mały upominek i w ten sposób podziękować za to, że był dla mnie taki miły na wiosnę, kiedy byłam bardzo przybita, i pozwolił mi karmić bażancie pisklętą."

Następnego dnia wyruszyli samochodem na północ, do kraju i wszystkiego, co ją tam czekało. Od niczego nie da się na tym świecie uciec. Jedynym wyjściem jest wziąć się za bary z przeciwnościami, niezależnie od tego czym są i mieć to za sobą.

Lato było w pełni, koszone siano i krajobraz francuski wyglądał melancholijnie. Konstancję opanowała nagle gwałtowna odraza do cywilizowanego świata, co jej się od czasu do czasu zdarzało. Do świata stworzonego przez ludzi, w którym wszyscy muszą żyć. Myślała, że przyjemnie byłoby umrzeć i uciec od tego wszystkiego. Ale myśl o przejściu do jakiejś nieznannej nieśmiertelności przynębiała ją bardziej niż kiedykolwiek. Nie pragnęła nieśmiertelności, w której zachowa pamięć, ani snu z dręczącymi koszmarami. Cokolwiek ma nastąpić potem, powinno być zupełnie inne, jak głęboki niezakłócony sen.

Kraj, przez który przejeżdżali, był dziwny i urzekający, jak gdyby zapomniany przez świat. Jaka obca i odmienna wydawała się Francja! Od czasu do czasu zatrzymywali się w jakiejś wiejskiej gospodzie, gdzie mężczyźni zbierali się wieczorem i pili wino. Wsłuchiwała się w gardłowe dźwięki ich dialektu i błogosławiona prostota ich życia budziła w niej nieokreśloną tęsknotę. Patrzyła jak siedzieli z szeroko rozstawionymi kolanami i dłońmi spoczywającymi swobodnie na muskularnych, zwierzęcych udach. Tak samo zwykł siedzieć Parkin. Było w tym jakieś ciepło i spokój, które kojąco działały na jej kobiecą duszę. Właśnie tego pragnęła, chciała znów pogрузić się w półśennym ciepłe nieświadomego istnienia. Zbyt gruntownie i na zbyt długo wyrwano ją ze snu. Chciała znów zasnąć i trwać pogrążona w ożywym śnie u boku mężczyzny, który zwyczajnie przejdzie przez żądze i namiętności życia, nie budząc jej, ale towarzysząc jej stale, jak gdyby płynęli na jednej łodzi.

Patrzyła na wieśniaków, rybaków i drwali i widziała jak stopniowo budzą się i zatracają w nerwowej nędzy cywilizowanego świata. Coraz bardziej poddawali się wpływowi miasta. Ich dotychczasowe życie usuwało się w przeszłość.

Bała się także o samą siebie. Śniło jej się nocą, że została aresztowana i ma stanąć przed sądem, oskarżona o jakąś zbrodnię. Nie orientowała się dokładnie o co ją oskarżają. Ale było to coś haniebnego.

Kiedy myślała o tym po przebudzeniu, wiedziała, że miało to związek ze skandalem Parkina. Dopiero teraz zrozumiała, jak bardzo się boi. Był to rodzaj odwiecznego mojżeszowego lęku przed straszliwą władzą społeczeństwa i ustanowionych przez nie przykazań, które złamała. Pojęła, że stała się zdecydowanym wrogiem społeczeństwa i to ją przerażało. Przez całe życie bała się w duchu ludzi i potężnego, miazdzącego aparatu wymiaru sprawiedliwości. Teraz, z jakiejś nieznannej przyczyny wywołanej skandalem Parkina, ten lęk się zaostrzył i niemal całkowicie ją opanował.

Ale nadal nie utożsamiała go z poczuciem winy lub zła. — Nie. — Mówiła sobie. — Nie czuję się winna, nie zrobiłam nic złego. Przeciwnie, to co robiłam i będę nadal robiła jest dobre. A jednak paraliżuje mnie strach. Jestem obezwładniona. Dręczyło ją uczucie, że ją powalili, że schwytaną niepostrzeżenie, ściąga w dół i miazdzy ów ogromny tłum, jakim jest cywilizowane społeczeństwo. Nie mogła się podnieść i była psychicznie sparaliżowana. Wolalaby wyprawić się na księżyc, niż wrócić do Wragby. Myśli jej wlokły się ospale, czuła się bezsilna, upokorzona i ujarzmiona.

Potem pomyślała o Parkinie. Z pewnością doświadcza tego samego co ona, tylko jeszcze ciężiej. Znała jego szczególną niechęć do życia w tłumie, będącą źródłem jego agresywności, która przeradzała się we wściekłość osaczonego psa, groźnie szczerzącego zęby. Wiedziała jak musi cierpieć czując się publicznie obnażony przez tę podłą kobietę, swoją żonę. „Pomniejsze seksualne perwersje”, pisał Clifford i wydawał się tym ubawiony. Niezupełnie była zorientowana o czym pisał, ale doskonale wiedziała, że każda kobieta, a tym samym każdy mężczyzna, ma swoje seksualne tajemnice, których nikt nie ma prawa ujawniać. „Większa część mego życia — mówiła sobie — jest tajemnicą i najważniejszą dla mnie sprawą jest zachowanie tej tajemnicy oraz szanowanie tajemnic innych ludzi”.

Ale teraz intymne sekrety Parkina są wystawione na widok publiczny i cała okolica złośliwie się uśmiecha, lub szydzi z niego, a na pewno wielu ze świętym oburzeniem woła, że to „hańba i wstyd”! Wiedziała czym to jest! A on, mieszkając u swojej matki, musi chodzić tam i z powrotem przez długą, ponurą górniczą wieś. I po drodze wszyscy mieszkańcy starają się go upokorzyć, obrzucając go błotem wyzwick, jak ekskrementami.

„Nie wstydzę się tego, co mam między nogami”. Mówił o swoim penisie. Pomyślała o nagim mężczyźnie, jego czystej żądzy i tajemnicy jego ciała. Tajemnicy penisa! I wiedziała, jak wie każda kobieta, że penis jest kolumną krwi, żywą fontanną życia. Z tajemnicy narastającego tętna krwi rodzi się wszelkie życie. Czymkolwiek więcej byłoby to zjawisko, na pewno jest rzeką jedyne bóstwa, którego istnienia możemy być pewni, rzeką krwi. „Oto krynica krwi pełna” głosi hymn. I to jest wieczystą prawdą. Każdy mężczyzna jest taką krynica. To nie martwa, przelana krew zmywa wszystkie grzechy, lecz strumień coraz to nowej krwi z żywego, wciąż odnawiającego się źródła. Martwa krew zawsze w końcu cuchnie. Tylko żywa krew, z żywych źródeł, ma moc zmywania starych grzechów i przewinień. Symbolem triumfu żywej krwi jest fallus, a penis pełną krwi krynica życia. Tajemnicy fallusa świat zawdzięcza całe swe piękno, ono zaś znaczy więcej niż wiedza, która często jest złudna, a nawet gdy wydaje się niezachwiana, jej moc po jakimś czasie zamiera. Nasza wiedza o poruszaniu się planet i znajomość praw niebieskiej grawitacji są z pewnością cudowne, ale piękno poruszających się po niebie gwiazd jeszcze bardziej zachwyca. A właśnie penis zmysłowo łączy nas z planetami. Gdyby nie on, nigdy nie poznalibyśmy piękna Syriusza, lub podstawowej różnicy między owocem granatu, a gumową piłką.

Człowiek nie musi poświęcać intelektu dla penisa, ani penisa dla intelektu. Istnieje jednak między nimi wieczysta wrogość i w efekcie tego konfliktu życie nasze jest zawsze rozdarte na dwoje. Ale człowiek ma w sobie świętego ducha, który tkwi w nich obu. Człowiek ma zatem nowy cel w życiu: utrzymywać pokój między nimi i rodzaj płynnej harmonii. Zamiast rozmyślnie, jak uczyniła to nauka i Sokrates, Chrześcijaństwo i Buddyzm, szukać śmierci jednego, by mogło zatriumfować drugie.

Jacy jesteśmy, gdy umrze w nas cud fallusa? Stajemy się nieszczęśliwi i pełni złości. A jacy jesteśmy, gdy penis stanie się tylko narzędziem i zabawką umysłu? Stajemy się perwersyjni i zwyrodniałe złośliwi. Tylko i jedynie penis może uchronić ludzkość przed totalnym zniszczeniem świata i tylko fallus jest symbolem naszej jedności w krwi. Krzyż, jako symbol zamordowanego fallusa, jest złowieszczym symbolem i niesie z sobą zło, wszędzie gdzie się pojawi.

Biedny Parkin, mogą go zranić o wiele boleśniej niż na przykład Clifforda. Nikt nie może prawdziwie zranić Clifforda, tak dotkliwie i boleśnie, jak można zranić fizycznie zdrowego mężczyznę. Można go tylko obrazić, zranić jego miłość własną, lub zostawić samego na pastwę ponurych rozmyślań. Jest naprawdę ponury! Wbrew pozornej subtelności, jest twardy i wyprany z uczuć. Jakie to do niego podobne, że przyłączył się do ludzi, którzy śmieją się z gajowego. Można było oczekiwać, że znajdzie się wśród szyderców. Było w tym coś niezwykle wulgarnego.

Czuła, że ogarnia ją wielka fala odrazy na myśl o nim. Był taki zimny, wytwornie egoistyczny i wyrafinowanie obojętny. Brzydziła się jego wyrafinowaną obojętnością i brakiem serca. Potrafił bez zajknięcia mówić o „pomniejszych seksualnych perwersjach”, nawet przez sekundę nie pamiętając o własnych. Mógł śmiać się z prostytutką wyższością, jak gdyby sam nigdy nie miał penisa. I zaiste, pomyślała, nigdy go nie miał, w jego tajemniczym, uświęconym sensie. Miał po prostu organ, zabawkę i narzędzie swego „ja”.

Strasliwie obrzydli jej ludzie ze swymi „ja”. Stawali się twardzi, okryci grubą skórą, a przy tym rozpaczliwie zdawkowi i powierzchowni. Właśnie to pozwalało im być subtelными tyranami. W jakiś niewytłumaczony sposób Clifford tyranizował całe Wragby... nawet jego tolerancja była zimnym zaprzeczeniem życia. Uff! Beznadziejnie zmęczyła ją zimna pustka takiego życia, jego twardość, obojętność i ta negatywna forma tyranii. Tyranii przez negację: gorącej krwi nie wolno krążyć, ! trzeba ją ostudzić.

— Nie zrobię tego — mówiła sobie. — Nie wezmę dziecka Parkina i nie zaniosę go Cliffordowi. Nie będzie Chatterleyem, baronetem, dzentelmenem, ani żadnym innym zimnym potworem. Skoro raz ogrzałam ręce w ogniu życia, nie będę teraz w ten ogień pluła. A dla mnie ogniem życia jest Parkin, ogrzał całe moje ciało, a także duszę. Ostatnio się go zapierałam i dlatego czułam się tak okropnie. Ale teraz się go nie wyprę. Wrócę do domu i powiem mu to. A także, że jego penis jest dla mnie piękniejszy i że go wolę od ciał wszystkich ludzi żyjących w Tevershall i Wragby.”

Tak rozstrzygnęła ten problem, może nie dosłownie w tej formie, ale z tym samym wynikiem. Jak myśli człowiek porwany falą namiętności, a przy tym głęboko cierpiący? Na pewno nie słowami, lecz w dziwnych, nagłych wybuchach sprzecznych emocji, które słowami można wyrazić ledwie po części.

W tym stanie nerwów Konstancja zdecydowała się wrócić wprost do domu, pociągami przez Dieppe.

— Czy to taka wielka różnica, tych kilka dni? — zapytała Hilda.

— Chcę natychmiast wracać — odpowiedziała Konstancja. — Czuję, że już czas.

— Czas na co?

— Nie chcę opuszczać Parkina w tej sytuacji — powiedziała Konstancja, która z grubsza opowiedziała Hildzie o skandalu.

— Ale co to ma znaczyć? I w jaki sposób możesz mu pomóc?

— Po prostu mogę tam być.

— Ale... po co? Wydaje mi się, że lepiej zrobisz trzymając się od tego wszystkiego z daleka.

Konstancja spojrzała na siostrę błękitnymi, naiwnymi oczami, które zawsze wydawały się najbardziej niewinne, gdy w walce z przeciwnikiem chciała przeforsować swoje zdanie.

— Bardzo dokładnie to przemyślałam. Nie mogę pozwolić mu wyjść z mojego życia. Tak postanowiłam. Muszę z nim żyć.

Teraz Hilda zaczerwieniła się powoli i bardzo silnie.

— Myślę, że zupełnie oszalałaś — powiedziała. — Dlaczego w ogóle musisz z kimś żyć?

— Bo bardzo tego pragnę... właśnie z nim — odparła Konstancja.

Hilda odwróciła się i usiadła.

— Czy jesteś pewna, że nie robisz głupstwa? — zapytała spokojnie.

— Tak, Hildo — z całym przekonaniem odparła Konstancja.

— A jeśli on nie będzie chciał z tobą żyć? Przypuśćmy, że ma ciebie dość?

Konstancja znów spojrzała na nią wielkimi, błękitnymi oczami.

— Ale zrozum Hildo, że wcale tak nie jest.

— Skąd możesz wiedzieć? Milczały przez chwilę.

— No, do widzenia Hildo! — powiedziała Konstancja. — Pojadę na dworzec taksówką.

Przepełnęła Kanał statkiem odchodzącym wieczorem. Noc była spokojna i ciepła. Siedziała na pokładzie, wpatrując się w gwiazdy i w ciemność. Czuła dokoła ogromne zamieszanie, ale w duszy wielki spokój. Nastrój, który pomimo wielu rozrywek dręczył ją przez ostatnie tygodnie, nagle minął. Była teraz bardzo spokojna i podróż upłynęła jak we śnie.

O pierwszej była już w Uthwaite, gdzie miał na nią czekać samochód. A na dworcowym peronie... O Boże!.. czyżby to był Clifford, wsparty na kulach? Nauczył się chodzić o kulach w czasie jej nieobecności! Twarz miał rumianą i wyglądał zdrowo, stojąc o kulach, oparty o żelazny słup podtrzymujący dach nad peronem i wpatrując się w nadjeżdżający pociąg z nieludzką, niemal ptasią przenikliwością. Och, te jego oczy, bladoniebieskie, twarde, bystre oczy angielskiego dżentelmena! Wydawało jej się, że ją uderzyły boleśnie, gdy odnalazł jej twarz. Dostrzegła w nich dziwny, nieludzki błysk triumfu. Triumfował z powodu nowego zwycięstwa odniesionego nad losem. Biedny Clifford!

Służący pośpieszył jej pomóc. Clifford nadal stał oparty o słup, z napięciem ją obserwując. Szybko podbiegła do niego.

— Och, Cliffordzie! — wykrzyknęła, łapiąc oddech.

— Witaj, kochanie — powiedział, kładąc rękę na jej ramieniu i pochylając się, żeby ją pocałować.

Niemal ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że on naprawdę istnieje. Gdy była we Francji, stał się dla niej jak gdyby cieniem.

— Czy naprawdę możesz chodzić? — zawołała patrząc na kule.

— W pewnej mierze — odparł.

— Ależ to cudowne! — Jak..? — nie mogła dokończyć. Oddychała z trudem, z wypiekami na twarzy.

— Namówiła mnie pani Bolton. O, to niezwykła kobieta i wiele potrafi, jeśli ma ochotę.

— I.. wyjeżdżałeś już przedtem z domu?

— Nie aż do Uthwaite. To mój uroczysty występ na cześć twojego powrotu!

Obejrzał się, szukając wzrokiem służącego, Fielda. Był to barczysty, silny, milczący dwudziestopięcioletni mężczyzna z okrągłą, dziecienną twarzą. Skłonił się, podchodząc bliżej.

— Czy chce pan już iść, sir? — zapytał.

— Tak, jestem gotów.

Służący objął go od tyłu i wolno unióś w górę, dopóki kule się nie wyrównały. Na twarzy Clifforda widać było ogromne napięcie, obawę i podniecenie.

— Chodźmy — powiedział.

Potem, wykonując osobliwe, szybkie ruchy kulami, Clifford zaczął przenosić swe ciało przez długi peron stacyjny. Jego martwe nogi kołysały się bezwładnie między kulami, ale mimo to były dość silne, by utrzymać swego właściciela przy następnym wyrzucie kul do przodu. Był to niesamowity, przerażający widok. Field, który wydawał się niski, gdyż był krępy i gruby, biegł drobnymi kroczkami obok, w każdej chwili gotów do pomocy, ani na sekundę nie spuszczał wzroku ze swego pana. Konstancja, która została w tyle, szła szybko za nimi, zdumiona nowym śmiałym wyczynem Clifforda, oraz zawziętym, niemal zapamiętałym udziałem służącego w tym przedsięwzięciu.

Wyszła z dworca w samą porę, żeby zobaczyć jak obejmując silnie Clifforda w pasie, w zdumiewający sposób windował go do otwartego samochodu. I już po chwili Clifford siedział w samochodzie, jak każdy inny. Kule leżały przy nim, a służący z ukłonem otwierał przed nią drzwiczki.

— Ależ Field, to naprawdę cudowne — powiedziała wsiadając.

— Prawda, że cudowne, mylady? — odparł rozpromieniony, patrząc na Clifforda z taką radością i dumą, jak gdyby tamten był jego własną, przedwcześnie rozwiniętą latoroślą. Pobiegnął potem odebrać bagaż. A Konstancja pomyślała, że naprawdę cudowne jest to, że

można mieć takiego oddanego i sprawnego służącego za dwa funty tygodniowo. Ale było zupełnie oczywiste, że ten człowiek czuł się dodatkowo wynagrodzony rezultatem swoich wysiłków.

— No więc? — odezwał się Clifford, oglądając się na nią z uśmiechem. — Wyglądasz kwitnąco. Dobrze się bawiłaś?

— Och, zupełnie dobrze! — odparła.

— Tylko tyle? — zapytał ironicznie.

— Wydawało mi się, że się bawię wspaniale... to cudowne słońce i kąpiel... Ale w rzeczywistości niezupełnie tak było. Oszukiwałam samą siebie.

— Pod jakim względem?

— Sama nie wiem. Nic mnie nie interesowało, a przynajmniej nic z tego, co robiliśmy. To znaczy, że nie absorbowało mnie całkowicie... Ale ty naprawdę jesteś bohaterem. Dlaczego nie napisałeś mi o tym?

— Bałem się, że to może wzbudzić w tobie zbyt wysokie oczekiwania. Czy choć trochę się cieszysz, że wróciłaś?

— Bardzo! — odparła.

I rozglądając się po zeszpeconej kopalniami okolicy czuła, że mówi prawdę. Ten krajobraz był dla niej realny. I zgadzał się z czymś realnym w niej samej.

— Przyjemnie to usłyszeć — powiedział, patrząc na nią uważnie. Było w niej coś, co go pociągało i niepokoiło zarazem.

— Naprawdę nie żał ci było wracać? — nalegał. Spojrzała na niego.

— Chciałam wrócić — odparła.

— To brzmi niemal zbyt pięknie, żeby było prawdziwe. Nie potrafię wyrazić jak się cieszę, że znów jesteś we Wragby.

Teraz ona miała wrażenie, że nie był naprawdę szczery.

— Nie było ci przykro, że tak długo nie było mnie w domu? — spytała.

— Oczywiście było mi przykro. Ogromnie. Ale postanowiłem wziąć się w garść i bardzo dużo pracowałem. Dzięki temu załatwiłem mnóstwo spraw.

Zaczął mówić o nowym eksperymencie, który wypróbowywał w kopalniach. A ona, słuchając go, zorientowała się co teraz jest dla niego najważniejsze; kopalnia i zarządzanie nimi. Postanowił, że co najmniej High Park powinno się wyeksploatować do ostatnich granic, aby przez wiele lat przynosiło poważne dochody, pomimo wszelkich przeciwności. Miał teraz większość udziałów w kopalni, gdyż wykupił udział innego członka górniczej spółki i ryzykował niemal całym majątkiem przeprowadzając swój eksperyment związany z wytwarzaniem chemicznych produktów ubocznych.

— Byłem tam już raz na dole pod ziemią, w High Parku — powiedział. — Wsiadłem do górniczego wózka i zaciągnęli mnie aż do głównej komory. Wydaje mi się, że tam jest wszystko w porządku. Po wojnie kopalnictwo w Anglii zyskało nowe perspektywy, a myślę, że wiem co w naszym przypadku należy zrobić, żeby to wykorzystać.

A więc to tak! Nauczył się chodzić o kulach nie dla niej, lecz ze względu na kopalnię. Chciał dotrzeć do samej ściany węgla i na miejscu zbadać panujące tam warunki. Była to nowa fascynująca go forma walki o supremację, o jego dyrektorskie prawa i majątek. Zainwestowany kapitał i włożone wysiłki mogły mu nie dać przez kilka najbliższych lat żadnego liczącego się dochodu. Ale patrzył w przyszłość.

— Czy jesteś taki pewny przyszłości? — zapytała Konstancja, spoglądając na niego dużymi, poważnymi oczami.

Cień wrogości przemknął mu przez twarz. Odwrócił głowę.

— A dlaczegoż by nie? — zapytał. — Kto sam buduje przyszłość, może być pewny wyniku.

Było coś mechanicznego w jego pojęciu budowania przyszłości. Nie brał pod uwagę ludzkiego czynnika. Siły ludzkie mogą się wyczerpać tak samo jak złoża węgla i okazać się nierentowną inwestycją równie łatwo jak kopalnie.

— Chyba masz rację — powiedziała.

— Dlaczegoż miałbym w to wątpić? — wykrzyknął.

— Nie dowierzam przyszłości — odparła. — Nie sądzę, żeby wszystko zostało jak jest.

— To oczywiste. Właśnie dlatego musimy w to ingerować i w porę wprowadzać zmiany, żebyśmy nie zostali na lodzie.

Ale ona myślała o czymś innym: o życiu i ludzkich uczuciach.

— A jeśli nawet zgodzimy się, że nie przedstawiam dużej wartości jako obiekt zainteresowania ubezpieczeniowego agenta, zostaje nam jeszcze Wragby, ty i dalsze twoje możliwości.

Co miał na myśli? Może swoją nadzieję, że urodzi mu dziecko? Milczeli, ale czuła, że Clifforda dręczy wewnętrzna ciekawość. Bez słów zadawał pytania, których nigdy nie wypowiedziałby głośno i niemal zmuszał ją do odpowiedzi, do jakichś wyznań. Ale zachowała milczenie.

Był wyraźnie zmęczony, kiedy dojeżdżali do Wragby. Zauważyła, że przycichł i zbladł i zdała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie jest taki silny, jak jej się z początku zdawało. Uparcie i mocno trzymał się życia, ale był wewnętrznie odrętwiały i jakby częściowo obumarty. Był wyraźnie zadowolony, gdy służący pomógł mu wejść do domu i w inwalidzkim wózku zawiózł go do sypialni. Znowu niemal zapomniał o obecności Konstancji, o jej powrocie, o wszystkim.

— Teraz sobie odpocznij — powiedziała łagodnie. — Ja zrobię to samo. Też jestem zmęczona.

Nic nie odpowiedział. Zapomniał o jej istnieniu. Zdarzało mu się to również w czasie jej nieobecności: z wyjątkiem chwil, kiedy świadomie zmuszał się do tego, by o niej pomyśleć. Przystawała dla niego istnieć.

Odpoczywała całe popołudnie. Przy herbacie Clifford nadal czuł się zmęczony. Wielki poranny wysiłek wyraźnie go wyczerpał.

— Jak to cudownie, że wróciłaś — powiedział znowu.

Ale wyczuła w nim wielkie znużenie i to, że myślami przebywa gdzie indziej. Odzywał się tylko jak gdyby z góry obmyślonymi zdaniami. Rozmawiała więc z nim spokojnie, chaotycznie opowiadając o Francji i ludziach, którzy mieszkali w willi pod Biarritz. Widziała, że wśród opisywanych przez nią towarzyszy kąpeli, tańców i tenisa szuka w myślach jakiegoś jej przypuszczalnego kochanka. Zastanawiał się przez chwilę nad zwariowanym muzykiem. Miała niemal ochotę wymyślić jakiegoś niezwykle fascynującego mężczyznę, dać pożywkę jego fantazji. Ale się powstrzymała.

— A wy tutaj mieliście przecież nie lada skandal? — zapytała wreszcie. — Jakie są ostatnie wiadomości o Parkinie i jego żonie-latawicy, jak ją nazywasz?

— Latawica przez dwa tygodnie siedziała spokojnie w kiciu. Wyszła kilka dni temu, zdaje się, że ktoś to opłacił. Nie znam bliższych szczegółów. Prawdę mówiąc, mam już dość całej tej historii.

— Czy Parkin wyjechał?

— Odchodzi w sobotę. Znalazł do pomocy potulnemu Joe niejakiego Alberta, reemigranta z Kanady i razem będą pilnowali lasu. Mam nadzieję, że są tam teraz, bo bażanty w tym roku wspaniale się udały.

— Wszyscy trzej jednocześnie są w lesie? To chyba za dużo.

— Nie sądzę, by wszyscy trzej. Tym bardziej, że Parkin może jeszcze siedzi w areszcie. Nie dowiadywałem się.

— W areszcie? Za co?

— Za... och, mam już tego dosyć... za niedzielną chuligańską bójkę z Marsdenem.

— Kto to taki, Marsden?

— Marsden, to ten szczęściarz górnik, który wyrzucił żonę-latawicę, a teraz zdaje się wziął ją z powrotem, bo nie ma mu kto ugotować obiadu.

— A o co się pobili?

— Kto?

— Parkin z Marsdenem.

— Tak jak dwa psy gryzą się o sukę, przypuszczam.

— Z jakim rezultatem?

— Nie znam sportowego wyniku tej walki. Słyszałem tylko, że obaj spędzili niedzielą noc za kratkami. Ale podobno Parkin był wczoraj wieczorem na służbie, w lesie. Ostatecznie kończę z nim w najbliższą niedzielę.

— A co z nim teraz będzie?

— Nie pytałem go o to. Pewno znajdzie sobie jakąś pracę.

Konstancja przestała go wypytywać. Clifford był zmęczony i zapewne Parkin go obraził. W każdym razie przestał się tym człowiekiem interesować. Właśnie taki był Clifford. Mógł gasić swoje uczucia równie łatwo jak płomyk świecy i znów je rozpalać, gdy mu to było wygodne. Jeżeli w ogóle żywił jakieś uczucia! W głębszym, duchowym sensie był ich pozbawiony. Służyły mu jak ubranie, dla osłonięcia prawdziwych intencji. Pozbywszy się Parkina, który nie poddawał się należycie jego woli lub urazał jego ambicję, Clifford zdmuchnął świeczkę przedstawiającą w jego świadomości i uczuciach osobę gajowego i już nie było Parkina. Wyrok był ostateczny. Dla Clifforda Parkin w ogóle zniknął ze świata. Świeczka nie tylko przestała się palić, ale zimna jak lód znalazła się w śmietniku, razem z innymi ogarkami, niedopałkami symbolizującymi uczucia dla osób, które w umyśle Clifforda przestały istnieć.

— Przecież bardzo wiernie pracował dla ciebie — powiedziała Konstancja.

— Tak było. Ale teraz woli dla mnie nie pracować i poinformował mnie, że nie będzie się nikomu wysługiwał.

— Dlaczego?

— A któż może wiedzieć! Po prostu jest malkontentem.

Przypuszczam, że w swoim mniemaniu jest za wielki, by komukolwiek służyć.

— Bardzo chętnie popychał twój wózek.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Chyba pamiętasz?

— Popychał mój wózek, to prawda. Trudno mu było tego nie zrobić, kiedy go poprosiłem. Ale jakoś nigdy nie zauważyłem, żeby to robił chętnie.

— Może powinieś był zauważyć.

— Co mówisz?

— Jeśli ludzie robią coś dla ciebie z dobrego serca i przez życzliwość, powinieś przynajmniej to zauważać.

— Nigdy ich nie proszę, żeby coś dla mnie robili z dobrego serca.

— Ależ Cliffordzie! Spójrz na przykład na Fielda. Jest uosobieniem życzliwości...

— Mam nadzieję, że nie. Dostaje ekstra dziesięć szylingów tygodniowo za te drobne osobiste usługi.

— Ale spójrz jak on je wykonuje! Jaki jest przy tym szczęśliwy, że...

— Moje drogie dziecko, w takim razie ma w tym własną przyjemność. Nie mam zwyczaju wiązać moich uczuć z uczuciami moich służących.

— Ale przynajmniej powinieś je dostrzegać.

— Niepodobnego! To właśnie największy błąd, jaki każdy z nas może popełnić mając do czynienia ze służbą.

— Parkin nie był służącym.

— No to z gajowym. Przeskakujesz z Fielda na Parkina z szybkością zająca na wyścigowym torze. Ale przy sposobności... dlaczego nigdy nie ujmujesz się tak gorąco za kobietami, które nam usługują?

— Zrobiłabym to, gdyby się nadarzyła okazja.

— Okazja! Drogie dziecko, jeszcze nigdy nie było okazji, jeżeli jej się samemu nie stworzyło.

— Pójdę odwiedzić starą panią Parkin.

— Idź, jeśli cię bawi słuchanie niesmacznych historyjek.

— Nikt mi nie będzie ich opowiadał. Ale pójdę zapytać co Parkin będzie robił, gdy stąd odejdzie.

— Nie krępuj się. Możesz sobie grać rolę dobroczynnej pani ze dworu, jeżeli cię to bawi.

— Owszem, bawi mnie. I pójdę tam zaraz.

— Weź samochód.

— Nie, pójdę piechotą.

Szła przez osadę w upalny lipcowy wieczór, w porze kiedy górnicy gromadzą się przed swymi domami lub siedzą na skraju chodnika. Niemal nikt nie zwracał na nią uwagi i nikt jej nie pozdrawiał. Tylko kilku sklepikarzy i nauczyciel skłonili się uniżenie, ale byli to wyłącznie ci, u których dwór robił zakupy. Inni, podobnie jak górnicy, ignorowali ją, ale bez cienia wrogości. Mijając ich nie czuła się skrępowana. Ich blade twarze nie miały wrogiego wyrazu, a ich lekko zdeformowane postacie również nie zdradzały niechęci. Czuła jakieś szczególne, płynące od nich ciepło, zapach górniczych ubrań. Była w tym jakaś niezwykła siła.

Stara pani Parkin była schludnie ubrana, ale czerwona z wysiłku. W małej kuchence było gorąco jak w piecu i rozchodził się przyjemny zapach świeżego pieczywa.

— Och, lady Chatterley! A ja słyszałam, że pani wyjechała.

— Tak, ale już wróciłam. Czy mogę wejść?

— Upiecze się pani żywcem. To mój dzień pieczenia, a jak się ma w domu dwóch mężczyzn, którzy nie chcą jeść chleba z piekarni...

Konstancja usiadła. Stara kobieta czekała, żeby się dowiedzieć po co przyszła.

— Czy Parkin chce wyjechać? — zapytała Konstancja.

— Mówi pani o Oliwierze?

— Tak.

— Chyba myśli o tym... tak mi się zdaje.

— Gdzie się wybiera?

— Nic o tym nie mówi.

— A gdzie jest teraz? W lesie? — Konstancja wypatrzyła podbite gwoździami buty i skórzane sztylpy, w kącie pod kanapą.

— Nie. Położył się, żeby odpocząć. Do lasu pójdzie wieczorem.

— Czy mogę z nim porozmawiać?

Poczuła nagle żar w piersi, jak gdyby jej serce rozpałiło się do białości. Była bliska zemdlenia.

— No... trochę teraz odpoczywa, zanim pójdzie na służbę. Czy to jakieś polecenie od sir Clifforda, coś ważnego?

— Sir Clifford nie ma z tym nic wspólnego. To ja chciałabym się z nim koniecznie zobaczyć.

— Ha... żeby powiedzieć prawdę, to nie wiem czy bendzie chciał z panią mówić, mylady. Ten cholerny awanturnik wybił mu dwa zęby i rozkwaśił mu twarz, jak trafił go pięścią. Ale Marsden do końca życia będzie chodził zezowaty... tyle przynajmniej pociechy.

Staruszka wstała i zwróciła się do Konstancji.

— Więc mam go zawołać?

— Bardzo proszę.

— Powiedzieć mu, że to pani? Nie obiecuję, że wyjdzie.

— Tak, proszę powiedzieć, że to ja.

Pani Parkin przemaszerowała w głąb domu i otworzyła drzwi prowadzące na schody, na górę.

— Oliwierze! Oliwierze!—zawołała, wyraźnie zagniewana.

Konstancja usłyszała na górze ochryple chrząknięcie.

— Przyszła lady Chatterley i chce z tobą mówić. Wstaniesz?

Z góry dobiegł jego stłumiony głos. — Kto taki? — zapytał ostro.

— Lady Chatterley! Jest tu, w kuchni. Cy zyjdziesz? Czeka na ciebie.

Zamiast odpowiedzi usłyszały przez sufit ciężkie stuknięcie.

— Schodzi — powiedziała matka, wracając do kuchni. Serce Konstancji było gwałtownie, zrobiło jej się słabo.

— Jak tu gorąco — szepnęła.

— Gorąco to tu zawsze w taki upał, nawet jak nie piecze się chleba.

Wciąż gniewna, podniosła z ziemi wygięty kawał starej, poczerniałej blachy, błyszczącej i gładkiej jak tarcza, i powiesiła go na kracie paleniska, przed ogniem. Oczywiście Konstancja nie mogła wiedzieć jak dobrze był znany Oliwierowi brzęk tej małej, żelaznej osłony. Usłyszała trzeszczenie schodów pod jego odzianymi w skarpetki stopami i siedziała nieruchomo, czekając.

Kiedy pojawił się w drzwiach w głębi pokoju, odruchowo wstała z krzesła. Patrzyła na niego zalekniona, bez słów. Spojrzał na nią uważnie, nisko pochylając głowę, żeby nie widziała jego ust. Potem wszedł do kuchni i usiadł w fotelu przeznaczonym dla mężczyzn, blisko ognia, z odwróconą twarzą, nie patrząc na nią.

— Dopiero dzisiaj wróciłam — powiedziała, oddychając ciężko.

Obrócił się powoli na fotelu i spojrzał na nią, ukazując całą twarz. Prawy policzek i usta miał posiniaczone i spuchnięte, a w dumnie sterczących wąsach świecił z jednej strony kawałek nagiej skóry. Ale ona widziała tylko twardy, niemal wrogi wyraz jego oczu, które ją o coś pytały, i drobne szare plamki na policzkach, świadczące o skrajnym wyczerpaniu.

— Chcecie nas opuścić? — zapytała, ciągle jeszcze stojąc nerwowo przy drzwiach.

Nie ruszył się z fotela patrząc na nią, świadomy swego oszpecenia. Ale jego głos zabrzmiał szorstko i silnie.

— Coś w tym rodzaju — odparł zimno i nieprzyjaźnie.

— Macie już nową pracę?

— Ta, niedługo będę miał — powiedział tym samym silnym głosem.

— Gdzie? Dokąd pojedziecie?

— Do Sheffield! — uciął krótko. Wydawał się tak odległy, jak gdyby był po drugiej stronie księżycy.

— Co będziecie tam robili?

— Co będę robił?

— Jaką będziecie mieli pracę?

— Jaką pracę? Będę jeździł na ciężarówce, jak mi się powiedzie, z jednym kumplem z wojny.

Mówił tak szorstko i niezrozumiale, że mogłaby go nie poznać po głosie.

Wciąż jeszcze stała, a on siedział w fotelu, z szeroko rozstawionymi stopami w szarych skarpetkach, twarzą zwrócony do zasłoniętego blachą ognia. Nagle pochylił się, szybkim kocim ruchem chwycił blachę za mosiężny uchwyt i odhaczył ją z prętów nad paleniskiem. Ale sparzyła go i z brzękiem upuścił ją na podłogę. Staruszka szybko porwała ścierkę i podniosła osłonę.

— Tylko głupi łapie gołą ręką za rozpaloną blachę! — powiedziała. — Jak się sparzyłeś, to sam sobie teraz radź!

Nic nie odpowiedział. Siedział wpatrzony w rozżarzone węgle wypełniające połowę paleniska.

— Wyjeżdżacie w sobotę? — zapytała Konstancja.

— Albo w niedzielę — odparł, ale teraz jego głos zabrzmiał głucho.

— Przywiozłam wam jedwabną chustkę z Francji, żeby podziękować za to, że pozwoliliście mi karmić bażanciki na wiosnę, kiedy się tak źle czułam. Może przynieść ją wam do chatki? — zapytała zdławionym głosem.

Odwrócił się nagle do staruszki i przyjaźnie rozkazującym tonem, którym prości robotnicy zwykli mówić do swoich kobiet, powiedział:

— Pójdźcie, matko, do Goddarda i przynieście mi uncję tytoniu. Sięgnął do kieszeni spodni po pieniądze. Matka wzięła je niechętnie, mamrocząc coś pod nosem o bieganiu na posyłki. Ale zaraz wyszła, tak jak stała, nie zdejmując fartucha.

Począł aż się oddaliła i stłumionym głosem zapytał sarkastycznie:

— Wiesz już wszystko co się tu dzieje?

— Tak, słyszałam o tym i bardzo mi z tego powodu przykro.

— Ano, jest o czym myśleć.

Oczy miał twarde i nieustępliwe, ale drobne szare plamki na jego policzkach niepokoiły ją bardziej niż okaleczone, spuchnięte usta, wybite zęby i szczerba po nich, widoczna kiedy coś mówił, z trudem władając językiem.

— Naprawdę jest mi straszliwie przykro — jąkała się. — I nie chcę, żebyś stąd wyjeżdżał.

Zwiesił głowę i zobaczyła nabrzmiałe żyły na jego luźno opuszczonych dłoniach. Potem lekko potrząsnął głową i spojrzał na nią.

— Nic nie mogę już zmienić — powiedział.

Takie było przeznaczenie i zrozumiała, że musi się z tym pogodzić.

— Ale czy mogę przyjść jeszcze do chatki, zanim wyjedziesz? — zapytała. Czy mogę przyjść dziś?

Zawzięty wyraz jego oczu ustąpił powoli i zamiast niego pojawiła się rozpacz.

— Nie zrobisz tego, nie możesz tego zrobić — powiedział głucho, jak do dziecka. — Nie wiadomo kto teraz za mną chodzi i szpicluje. Nie, to niebezpieczne.

Mówił powoli i łagodnie, znużonym głosem, jak do dziecka, które nic nie rozumie i jak gdyby sam nie mógł pozbierać myśli.

— Ale ja nie chcę, żebyś mnie opuścił. Rzucę Clifforda i zamieszkać z tobą, jeśli mnie zechcesz — prosiła.

Popatrzył na nią, a potem niespokojnie rozejrzał się wokoło. Wstał, podszedł do drzwi otwartych na małe wybrukowane ceglami podwórko i przez chwilę wyglądał na ulicę. W pełnym świetle jego twarz przedstawiała się oplakanie.

W końcu obrócił się i powiedział cicho: — Zrobiłabyś coś takiego? No pewno nie!

Patrzyła w jego twarde, posępne oczy.

— Przyjdę do ciebie, jeśli zechcesz — powiedziała.

Jego oczy złagodniały, ale nie zniknął z nich smutek. Potrząsnął głową.

— Sama wiesz, że to byłoby niebezpieczne. Nikt o tobie nie wspomniał. Trzymaj się od tego z daleka. — Nadal mówił do niej łagodnie, jak do dziecka.

— Bardzo do ciebie tęskniłam we Francji. Nie chcę tęsknić przez całe życie — jęknęła.

Patrzył na nią uważnie, zastanawiając się, czy mówi to szczerze. A kiedy nagle ujrzał na jej pięknej, łagodnej twarzy wyraz bezgranicznego oddania, serce jego rozplomieniło się pożarem, spopielałając twardą obronną maskę, którą dotychczas osłaniał serce i duszę. Zobaczyła jak światło zapala się w jego oczach i zaraz gaśnie.

— Nie możesz kcieć kogoś takiego jak ja — powiedział z niedowierzaniem.

— Czy mnie nie kochasz? — jęknęła.

Spojrzał na nią przerażony. Bał się tej miłości.

— Ja? A co by ci to dało? — zapytał.

— Kochaj mnie! Kochaj! — błagała.

— Ta! — westchnął i jak dawniej odrzucił w tył głowę. — Naprawdę chcesz tego? — Znów opanowała go gwałtowna żądza.

Nie mogła odpowiedzieć i tylko kilka razy skinęła głową. Westchnął głęboko, jak zahipnotyzowany. Zrozumiał! Ale nie chciał rozumieć.

— Mój Boże! — westchnął. — Żeby tak człowiek wiedział, co ma zrobić! Ale musisz mnie opuścić, to jasne.

— Czy mogę do ciebie przyjść? — nalegała błagalnie.

— Kiedy? — zapytał patrząc w jej uniesione ku niemu oczy.

Zauważyła, że ogarnia go dreszcz.

— Dziś wieczorem! Do chatki!

Popatrzył jej uważnie w oczy i w jego źrenicach zalśniło przelotne, jak uśmiech, światełko. Podeszedł potem do drzwi prowadzących na podwórko i wyjrzał na ulicę. Wrócił szybko.

— Idzie matka — powiedział cicho, lecz obojętnie. — Ano, przyjdź jak kcesz. Ale nie przed północą. A jak jakiś drań będzie się włóczył po lesie, wpakuję mu kulkę. Przyjdź jeśli naprawdę kcesz. Będę w chacie.

Spojrzała na niego.

— Postaram się przyjść — szepnęła. Na podwórku ukazała się pani Parkin.

— Masz swój tabak, a tu pół pensa reszty. Wziął je od niej, bez słowa.

— Zrobię co będę mogła, a sir Clifford też na pewno pomoże — powiedziała Konstancja, kierując się ku drzwiom.

— Ta. Bardzo dziękuję.

— Do widzenia.

Wyszła, zostawiając mu swobodę wyjaśnienia wszystkiego matce, jak mu będzie wygodnie.

— Czego chciała? — zapytała matka.

— Dowiedzieć się czy mam już pracę.

— Tak sobie myślałam. A co jeszcze?

— Ech... nic więcej. Popatrzyła na niego przenikliwie.

— No, coś takiego! — powiedziała w końcu. Nie zwrócił na to uwagi.

Po wizycie Konstancji nie mógł się uspokoić, więc i pomyślał, że jeśli ona chce się narażać, to jej sprawa.

Spędziła spokojny wieczór z Cliffordem, ale nie było między nimi harmonii. Ona dostrzegła jego przykrą arogancję, a jego razila jej nudna, wybujała egzaltacja. Powiedział jej, że Linley, dyrektor kopalni opuszcza z powodu wieku stanowisko i na jego miejsce znaleźli młodego człowieka, energicznego i pełnego zapału.

— Zaprowadzi dyscyplinę w kopalni. Potrzebne są energia i dyscyplina. Te włoskie strajki muszą się skończyć.

Konstancja też nie wierzyła we włoskie strajki, jako metodę. Jednocześnie czuła, że Clifford robi się coraz większym despotą i obawiała się, że będzie wymuszał pracę na

ludziach. Był niesamowicie przebiegły. Jeżeli górnicy mieli swoje sprytne sztuczki w zanadru, on spokojnie i skutecznie zwalczał je odpowiednimi kontrmetodami. Ale kto w końcu wygra?

Spojrzała w bladoniebieskie oczy męża z pewną dozą podziwu, a zarazem z niechęcią. Ostatecznie był tylko pewnego rodzaju robotem, a ona, obserwując jego działania, nie była po jego stronie.

— Czy myślisz, że te metody coś dadzą? — zapytała.

— O jakich metodach mówisz?

— O brutalnej przemocy.

— Nie będzie żadnej brutalnej przemocy. Tylko dyscyplina! Nie nazywaj dyscypliny przemocą. Kopalnie muszą dawać dochód, inaczej także górnicy będą głodowali. A jeśli mają dawać dochód, robotnicy muszą pracować jak wszyscy inni. Muszą! A my tego dopilnujemy.

— Ale w gruncie rzeczy niewiele cię obchodzi, czy będą głodowali, czy nie.

— Tak sądzisz? A jeśli nawet nie jest to moją największą troską, niech oni sami o tym pomyślą. Muszą słuchać moich zarządzeń, inaczej będą głodni.

— Może będą woleli głodować.

— Woleli głodować? To dopiero dowiedzie jacy są głupi i że nie można pozwalać, żeby rządźli się sami.

Przez jakiś czas milczała.

— Nie wierzę w tego rodzaju dyscyplinę — powiedziała w końcu, zasepiona.

— A w jaką wierzysz? — zapytał zimno.

— Powinno dojść do jakiegoś zbliżenia. Powinniście zrozumieć się nawzajem.

— Kto kogo?

— Ty i górnicy. Powinniście zbliżyć się do siebie i traktować się po ludzku. Trzeba tu odrobiny ciepła i życzliwości.

— Ależ kochane dziecko, nie jesteśmy kobietami! To jest świat mężczyzn. Jesteśmy zwierchnikami i podwładnymi. A ciepłą życzliwość, jak to nazywasz, tak samo jak gorący pot, należy inwestować w twardą, ciężką pracę. Nie można wyrąbywać węgla za pomocą ciepłych uczuć, szczególnie tam, gdzie pokłady są cienkie.

— Myślę jednak, że to możliwe — upierała się.

— Och, daj spokój! — Wyrzucił w górę ramiona. — Ostatecznie to nie twoja sprawa.

Umilkła i wieczór ciągnął się nieskończenie, w przykrej atmosferze. Dzielili ich niezgodność myśli.

— Co robiłeś wieczorami, kiedy mnie nie było? — spytała.

— Dużo pracowałem. Czasem przychodził nasz nowy inżynier, Spencer. Jest bardzo inteligentny i niemal instynktownie orientuje się w problemach kopalni.

— A jak radziła sobie pani Bolton?

— Znakomicie. Doskonale wie, czego chce. Konstancja zamilkła.

— A także czego chce ona sama — powiedziała po chwili. A jeżeli ona tak dobrze wie czego ty sobie życzysz, dlaczego ty nie wiesz czego ona chce?

Zamarł na chwilę i patrzył na nią zdumiony.

— Dlatego, Konnie, że mnie to nic a nic nie obchodzi. Powiedziała, że jest zmęczona i poszła na górę.

Jeżeli musi toczyć się między nimi walka poglądów, ona też będzie walczyła, nawet stosując bierny opór. Dyktatorskie traktowanie ludzi przez Clifforda drażniło ją, nie była po jego stronie.

Zeszła z powrotem na dół i usiadła w swoim małym, oświetlonym księżycem saloniku, którego oszklone drzwi wychodziły na ogród. Kapryfolum pachniało upajająco. O jedenastej po prostu poszła przez ogród do parku. Księżyc świecił jasno.

Przy furtce do lasu nie było nikogo. Nie było go też w chatce. Miała swój klucz. Było tam posłanie, na którym teraz sypiał: stos suchych paproci i kilka koców. Usiadła na chwilę. Potem szybko, widząc oświetlony księżycem las, zdjęła suknię i zupełnie naga wyszła w chłodny cień drzew, oddychając głęboko, by się orzeźwić. Była zgrzana i czuła się nieświeżo.

Przybiegł do niej pies i usłyszała kroki zbliżającego się Parkina. Naga, tylko w lekkich pantofelkach, stanęła przed nim w świetle księżyca.

— Czy przyszłam za wcześnie? — spytała. Złął się jej i nie odpowiedział.

— Obróć twarz do księżyca — poprosiła. — Niech cię zobaczę.

Usłuchał, a ona delikatnie dotknęła jego fioletowych, opuchniętych ust. Zesztywniał lekko. Odsunęła mu wargę i zobaczyła okaleczone dziąsła po dwóch wybitych zębach. Był naprawdę oszpecony. Przygnębiło ją to, ale pocałowała spuchnięte miejsce.

— Kochany... — szepnęła. — Taka jestem na nich zła! Czy ty także?

— No chyba — odparł krótko.

— Zdejmij ubranie i bądźmy razem nadzy. Oboje jesteśmy tacy wściekli. Zdejmij ubranie, będziemy oboje nadzy i wściekli.

— A jak kto przyjdzie?

— Zastrzelimy go.

Wszedł do chatki i zdjął płaszcz. Spieszył się idąc tutaj i był zgrzany. Ale zdejmował płaszcz ostrożnie, gdyż bolało go ramię.

— Boli cię? — zapytała.

— Ta, jak zginam.

Pachniał jakąś maścią. Konstancja dopiero teraz to zauważyła.

— Lepiej się nie rozbiorę do końca — powiedział niepewnie.

— Nie! Zrób to! Proszę. Chcę, żebyś się rozebrał. Wszedł z nią w światło księżyca i zobaczyła fioletowe sińce na jego ramionach, piersi i bokach.

— Czy cię to boli? — zapytała.

— Ech! — odparł niecierpliwie. — Trochę.

— Pachniesz balsamem Ellimana.

— Ta, chyba tak.

— Uważasz, że jestem piękna? — zapytała oddalając się o kilka kroków. Jej ciało, oświetlone księżycem, było marmurowo białe, zamiast oczu miała głębokie cienie. Pomyślał, że wygląda jak widmo.

— Chyba — powiedział nieprzekonywująco. Roześmiała się.

— Wiem, że nie! Ani trochę. A ja wcale nie uważam, żebyś był piękny. Jesteśmy jak Adam i Ewa, nadzy w rajskim ogrodzie i wygasło w nas pożądanie. Ale wszystko jedno. Lubię nas takich, jacy jesteśmy.

Oddaliła się, by narwać leśnych kwiatków i przybrała nimi włosy na jego piersi i poniżej pępka. Zwinęła długie pędy kapryfolium i otoczyła nimi swoje piersi.

— Spójrz na mnie, ładnie wyglądam? — zapytała.

— Jak z obrazka! — uśmiechnął się.

— Co by było, gdybyśmy tak jak jesteśmy przeszli przez Tevershall? Uważaj, twoje kwiaty spadają!

Zawiązała długie łądugi wkoło jego ud i szyi. — Co by było, gdybyśmy tak przeszli przez Tevershall? — powtórzyła. — Co by na to ludzie powiedzieli, jak myślisz?

— Ech! — wykrzyknął. — To by dopiero było!

— Prawda? Chciałabym, żebyśmy mogli to zrobić. I chciałabym każdego z nich zdzielić po twarzy witką kaliny za to, że nie jest nagi, jak powinien. Dlatego tak ich nienawidzę.

Zamachnęła się gałązką i zaczęła uderzać go po torsie i nogach.

— Boli? — zapytała.

— Ni — odparł z uśmiechem.
— Otrzepuję cię. Żebyś był czysty. — Nadal biła go lekko gałązką.
— Ale znalazłaś trzepaczkę! — powiedział śmiejąc się, bo liście go łaskotały.
— Nienawidzę ich wszystkich — powtórzyła.
— Nienawidzisz?
— Tak! Nienawidzę ich wszystkich, bo nie mogą być nadzy jak księżyc. Spójrz na niebo! Ujęła swe piersi w dłonie i uniosła je do księżyca. — Pocałuj mnie, księżycu. Pocałuj! Patrzył na jej nagie, mocne ciało i pełne uda, prężące się do księżyca.
— Smisno jesteś — powiedział.
— Ty powiedz to księżycowi — prosiła. — Ty przemów do niego.
Wzniósł nagle ręce ku niebu.
— Ta, psyndź! — zawołał. — Zyndź tu na ziemię!
Konstancja rzuciła mu się w ramiona. Poczuł jej chłodną świeżość i rozdzielające ich gałązki kapryfolium. Upajający zapach kwiatów, świeżość i jaśminowe piękno jej ciała oszołomiły go całkowicie, tylko ona była mu bliska, wszystko inne przestało istnieć.
— Otwórz się dla mnie! Otwórz się cała — szepnęła czule. Pocałowała go i przywarła do niego.
— Będę miała dziecko — szepnęła. Poczuli, że nagle się zawahał i zwiotczał.
— Czekaj na mnie — szepnęła. — Kochaj mnie, przytul i czekaj na mnie. Będę miała twoje dziecko.
Czuła jego powolny, rytmiczny oddech i mocniej do niego przywarła.
— Przytul mnie! Przytul mnie mocno — szepnęła. Otoczył ją ramionami i ponad jej włosami patrzył na srebrny księżyc.
— Ludzie, jak ty — powiedział — są bliżsi księżyca niż tego świata.
— Ale mój świat jest prawdziwy. Tevershall jest nieprawdziwe. I jego mieszkańcy. Wszyscy. Tylko księżyc, ty i ja istniejemy naprawdę. Powiedz, że mnie czujesz, że jestem dla ciebie prawdziwa.
Tuliła się do niego błagalnie.
Przesunął rękę po jej napiętych, chłodnych plecach i jej jedwabście gładkie ciało oraz urzekające piękno sprawiły, że na chwilę świat stał się nierealny.
— Ty jesteś prawdziwa i nic poza tobą — powiedział. Zadrżała ze szczęścia.
— Tak! I księżyc! Kwiaty! I ty! — nalegała. — Las jest prawdziwy i niebo. Tylko ludzie są nieprawdziwi.
— Może są, a może nie są — odparł.
Czekała na takie właśnie wyznanie. Zadrżała znowu.
Zaziębisz się — powiedział.
Zaprowadził ją do chatki i położyli się na jego poślaniu, przykryci kocem. Usnęła natychmiast. A on leżał trzymając ją w ramionach, zatopiony w myślach. Wspominał dawne lata i głęboki, nieokreślony spokój i ufność, które odczuwał, gdy jako mały chłopiec leżał, patrząc przez okno na księżyc. Ten sam nieograniczony, ogromny spokój wypełniał jego duszę teraz. Leżał odwrócony plecami do Tevershall, obojętny na cały zewnętrzny świat. W jakiś niepojęty sposób w jego objęciach znalazło się całe niebo, całe zupełnie odmienne życie, wielka, żywa, kojąca cisza. Pragnął tylko jednego: oddychać tą żywą ciszą. Nic go nie obchodziło Tevershall i niedawne przejścia.
Nie spał całą noc i gdy nadszedł świt, obudził Konstancję. Była ciepła w jego objęciu, jak w gniazdku. Kiedy się kładli, przykrył ją kocami i swoim płaszczem, a ona spała potem głęboko całą noc, bez przebudzenia. Ale teraz musi wstać, a rano jest chłodny.
— Musisz już iść — powiedział. — Joe i Albert zaraz tu będą.
— Nie chcę stąd iść.
— Tak. Ale musisz!

— Chcę przyjść do ciebie i zamieszkać z tobą — nalegała.

— Może coś wymyślimy! — odparł spokojnie.

Spojrzała na niego uważnie. Jego twarz była łagodna i czuła, przez dziwne skojarzenie przypomniała jej świeży, rozchylający się kwiat. Właśnie ten wyraz, nieświadomy i nieuchwytny, wzbudził w niej obłądną miłość do niego. Tak łatwo było go zranić, był bezbronny jak kwiat odarty z osłonek wabiący gamą barw i zapachem.

Ale za tą wrażliwością kryła się jakaś ogromna uśpiona siła, siła życia i budzenia życia. W przyszłości on będzie zwycięzcą, bo w nim jest życie. A Clifford, pomimo swej przebiegłości i szatańskiej woli, zatracił wrażliwość i zrozumienie życia. Na razie jednak władza była w rękach Clifforda, a Parkin był bezbronny. Odeszła więc, a on patrzył na nią czule oczami o rozmarzocych źrenicach, a kiedy się ostatni raz odwróciła, dostrzegła w jego oczach ukrytą tajemniczą siłę. Uśmiechnęła się do niego, a on skinął głową, ale nie odpowiedział uśmiechem. Znow czekał na wyrok swojego przeznaczenia. Umówiła się z nim, że zobaczą się nazajutrz, w piątek, który był ostatnim dniem jego pracy w lesie. W sobotę miał przyjść odebrać pensję, a potem wyjechać do Sheffield, zostawiając nieznanego Alberta w gajówce. Albert był Szkotem, który w Nowej Zelandii ożenił się z dziewczyną z Tevershall. Przed wybuchem wojny wrócili do kraju. Razem z pięciorgiem dzieci mieli się gnieździć w gajówce. To było wszystko, co Konstancja o nim wiedziała.

W ciche, upalne popołudnie szła do lasu na ostatnie spotkanie z Parkinem. Jak krótko trwała jej leśna idylla! Jak szybko utracili swój dom pośród drzew! Spotkał ją na szerokiej leśnej przecince. Brązowy spaniel znow do niej przybiegł.

— Co zrobisz z Flossie? — zapytała.

— Zostawię ją Albertowi. Przywyknie do niego. Skręcili w ścieżkę do chatki. Kiedy znaleźli się na polance, podeszła do wielkiego dębu.

— Spójrzmy na nasze gwoździe — powiedziała.

Stanął za nią. Dwa łebki gwoździ, teraz już zardzewiałe, sterczały w tym samym miejscu. Położyła na nich palce.

— Są przy sobie — powiedziała, patrząc na niego.

— Ta — odparł, odwracając twarz.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem. Wyczuła w nim jakąś rezerwę. Odeszła i usiadła na pieńku koło chatki. Zdjął płaszcz i zaczął reperować jakąś pułapkę.

— Gdzie będziesz mieszkał w Sheffield? — zapytała.

— Trochę z Billem Tewsonem. Byliśmy razem na wojnie... jeździliśmy ciężarówką, w artylerii.

— Co teraz robi?

— Prowadzi ciężarówkę w stalowni Jephsona.

— Ty będziesz robił to samo?

— Bill mówi, że mnie gdzieś zaczepi. A jak zwolni się jakieś miejsce kierowcy, to je dostanę. Ale z początku muszę być robotnikiem.

— To bardzo ciężka praca! — powiedziała, patrząc na niego.

— Ta... ale co robić, jak ma się zarabiać na życie.

— Dlaczego nie pozwalasz, żebym znalazła dla nas jakąś małą farmę, gdzie mógłbyś pracować... a ja zamieszkałabym z tobą?

Milczał chwilę, przerzucając pułapki. Potem wyprostował się i spojrzał na nią.

— Pewna jesteś, że będziesz miała dziecko?

— Tak. Myślę, że tak — szepnęła.

— I nie będziesz chciała ze mną...wiesz co... póki się nie urodzi?

— Chyba tak będzie lepiej, nie myślisz? Przez chwilę nie odpowiadał.

— Tak robią zwierzęta, więc myślę, że tak trzeba — odezwał się w końcu.

— Tak — odparła cicho, zadowolona że przez pewien czas nie będzie oczekiwał od niej zbliżeń.

— Wiesz, że wystąpiłem o rozwód? — zapytał.

— Tak. Kiedy będzie rozprawa?

— Najwcześniej we wrześniu. Potem trzeba będzie czekać jeszcze pół roku. Więc jak dobrze pójdzie, wszystko razem zwlecze się co najmniej do kwietnia nim będę wolny.

Spojrzała na niego uważnie i częściowo odgadła co miał na myśli.

— Tak. Nie chcę jeszcze raz przeżywać tego samego.

Znow wydał jej się obcy. Jego twarz miała twardy, zacięty wyraz.

— Więc nie możemy być z sobą dopóki nie dostaniesz rozwodu? — szepnęła podnosząc głowę i patrząc na niego. Jego piwne oczy z małymi jak paciorki źrenicami patrzyły na nią przenikliwie. Tego dnia był stanowczy i wyraźnie zdecydowany iść własną drogą; Okaleczone i spuchnięte usta jeszcze silniej podkreślały jego męczącą stanowczość.

— Nie wcześniej, cokolwiek będzie — powiedział. — Muszę się jej pozbyć, jeśli mam żyć... Ale ty?! Przecież ty nie chcesz zamieszkać ze mną. Sama wiesz.

— Dlaczego tak mówisz? — zapytała łagodnie.

Na jego twarzy ukazał się wyraz szczególnej niechęci, jak u psa, kiedy wzgardliwie marszczy nos.

— Bo tak jest. Sama dobrze wiesz o tym. Miałś mnie... i wiesz jaki jestem. Rok minie, zanim znowu mnie zechcesz do tego. Ale nie chcesz żyć ze mną. Jaki w tym sens? Tylko sobie wyobrażasz.

— Ale dlaczego miałabym nie chcieć żyć z tobą?

— Dlaczego? Dlatego, że nigdy nie zrobisz ze mnie dżentelmena. Równie dobrze mogłabyś próbować zrobić go z mojej Flossie.

— Byłbyś na tyle dżentelmenem, na ile bym tego chciała. Obrócił się do niej szybko, nagłym groźnym ruchem, który zawsze przejmował ją strachem.

— Ech! — wykrzyknął. — A może ja nie zechce nim być i nie bende?! A może ja sie nie zgodzę? Bo wcale nie zamierzam nim być!

Twarz wykrzywił mu osobliwy wyraz obrzydzenia i nienawiści. Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów i zobaczyła w nim wroga swoich nadziei.

— Wcale nie chcę, żebyś był dżentelmenem. Chcę, żebyś był zwykłym, prostym człowiekiem — powiedziała.

— Ta, prostym człowiekiem. A co z tobą? Ty też bendzies prosta kobita?

— Mogę spróbować — odparła, patrząc na niego niewinnie.

Odrzucił w tył głowę i ramiona, gestem najwyższego zniecierpliwienia.

— Po co to mówisz! — krzyknął. — To są bzdury! Jesteś mylady, znacznie bardziej panią niż kobietą... i nic na to nie poradzisz. Nie jesteś prostą kobietą i nigdy nią nie będziesz. Tak samo, jak ja dżentelmenem... Jak sobie wyobrażasz to mieszkanie i życie ze mną? Powiedz jak ty to widzisz?

— Myślałam, że możemy wydzierzawić jakąś farmę... małą, ładną farmę... albo coś innego, gdybyś wolał...

— Za czyje piniondze?

— Za moje! Mam trzysta funtów rocznego dochodu.

W rzeczywistości miała ich pięćset. Ale wolała powiedzieć mniej.

— Sześć funtów na tydzień? — zapytał. -

— Tak. Może trochę więcej. Moglibyśmy się za to utrzymać. A gdybyśmy mieli farmę, albo coś innego, zarabiałbyś więcej.

— Ta, dwoje ludzi może wyżyć za sześć funtów na tydzień. Ale co byś o mnie myślała, gdybym żył na twój koszt?

— Myślałabym coś dużo gorszego, gdybyś pozwolił, żeby nas rozdzieliła taka niewielka sumka moich pieniędzy.

Przez dłuższą chwilę patrzył na nią przenikliwie, a potem potrząsnął głową.

— Sama siebie zwodzisz, nic więcej — powiedział. Myślisz, że możesz zbudować dla mnie mały, ładny domek, wsadzić mnie tam i rządzić jak ci się będzie podobało. Powiesz mi: „chodź!” kiedy będziesz chciała żebym przyszedł i: „idź sobie!” kiedy ci się znudze, a czasem: „kici, kici!” kiedy będziesz

zadowolona, albo coś zupełnie innego, kiedy nie będziesz. Ale to na nic. Muszę być panem w swoim domu. A ty zawsze będziesz mylady, gdzie byś nie była. Z wyjątkiem może Kanady, bo tam musiałabyś trocha spuścić z tonu. Ale i mnie już się odechciało Kanady.

Urwał wzburzony i zły.

Spojrzała na niego i zaczerwieniła się gwałtownie.

— A co będzie z twoim dzieckiem? — zapytała ze złością.

— Nie chcesz stworzyć domu dla niego?

— Et! — odrzucił w tył głowę. — To twoje dziecko. Jak się urodzi, będzie twoje. I sir Clifforda, jeśli zechce je przyjąć.

Policzki jej poczerwieniały jeszcze mocniej.

— To znaczy, że jak teraz nie możesz mieć ze mną przyjemności, chcesz się mnie pozbyć... nie chcesz już o mnie myśleć... chcesz uciec do Sheffield, albo gdzie indziej, i być wolny? Może nawet wcale nie pojedziesz do Sheffield! Może wyjedziesz sobie do Kanady i umyjesz ręce od wszystkiego. Patrzył na nią długo, badawczo.

— Posłuchaj — powiedział w końcu. — Nie widzę sensu tego gadania. Pojadę do Sheffield pracować w stalowni i będę się uważał za szczęściarza, jak dostanę pięćdziesiąt szylingów na tydzień. Oto co zrobię. Ty jesteś kobita z pieniędzmi i przywykłaś do pieniędzy. Jesteś mylady i przyzwyczaiłaś się żyć jak mylady...

— Wcale nie chcę żyć jak mylady. Chcę się nauczyć gotować, prać i piec. Gdybyśmy mieli domek...

— Ta — powiedział smutno. — Może, jak by ci przyszła ochota. Ale gdybyś musiała mieszkać tam całe życie, prędko przestałoby ci się to podobać. O, zaraz byś chciała z powrotem być we Wragby Hall. Nie gadaj bajek! Nie wiesz i nigdy nie będziesz wiedziała co znaczy być żoną robotnika i utrzymywać rodzinę za trzy funty tygodniowo, w najlepszym razie. I nie chciałbym, żebyś się tego dowiedziała.

— Więc może mnie objaśnisz co to znaczy i czego nie wiem? — powiedziała wyniośle.

— To znaczy harować, dźwigać, skrobać, kłopotać się bez przerwy, słać się ze zmęczenia i wciąż być „czymś gorszym”.

— Dlaczego tak mnie przed tym bronisz, jeśli ja się nie boję? — zapytała.

— Bo lepiej wiem co to jest. Nigdy nie żyłaś w górniczej kuchni...

— Na litość boską!... Więc żyłam gdzie indziej. Mówisz tak, jakby kuchnia górnika była jakimś okropnym, tajemniczym miejscem... w rodzaju hiszpańskiej inkwizycji. Czy ty uważasz ją za taką okropną?

— Ja nie. Ale dla ciebie by nią była.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Bowiem.

— Ha! — wykrzyknęła. — Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Wszyscy jesteście takimi samymi dżentelmenami, nie chcecie dać kobiecie żyć jak jej się podoba.

— Tak to jest — powiedział ochryple. — Ty jesteś z wielkich państwa, a ja z dołów. Myślisz, że jak troszkę się zniżysz, będziesz mogła sporo podciągnąć mnie w górę. Jak nie będę otwierał ust, może nawet ujdę od biedy. Do diabła z tym wszystkim! — Nagle spojrzał jej prosto w oczy. — Nie chcę się pchać wyżej, niż jestem. Po prostu nie chcę. Dla żadnej

kobiety, ani czegoś innego. Nie chcę się piąć na tę drabinę za twoje pieniądze. Chcę zostać, gdzie jestem. Nie chcę ciebie! Nie chcę od ciebie niczego!

Konstancja zbladła. Z takim uporem i zacięłą, wrogą bezwzględnością nigdy się nie spotkała, nawet u Clifforda.

— Więc... więc dlaczego kochałeś się ze mną?—wyjąkała z trudem.

— Ty tego chciałaś — odparł brutalnie.

— A ty nie? — krzyknęła.

Obrócił się i spojrzał na nią.

— Ta — powiedział powoli i łagodnie. — Ta, bardzo chciałem. Wiem o tym... Ale nie chce, żebyś próbowała robić ze mnie dżentelmena. Za duża jest między nami różnica. Nie chcę pchać się w górę, ani żebyś ty się zniżała. Nie chcę i już.

— Więc czego chcesz? — krzyknęła.

— Zostawmy to — powiedział. — Zostawmy jak jest. Pojadę do Sheffield, wezmę tam pracę... a potem zobaczymy.

— Ale jeśli zostaną tutaj, dziecko będzie Clifforda! Zrozum to! — nalegała.

— I co? Będzie miało porządny dom... Nie cieszy cię to?

— Nic cię to nie obchodzi? Nie obchodzi cię własne dziecko? — pytała ze złością, bezgranicznie zdumiona.

— Mnie? Wcale.

— Jesteś nienormalny.

— To będzie twój dzieciak. Ty będziesz go miała.

— Ale prawnie będzie dzieckiem Clifforda. I gdybym potem chciała pójść do ciebie, może mi je odebrać.

— To mu je zostawisz, jak będzie chciał. A może, kiedy się dowie kto jest jego tata, będzie zadowolony, jak się go pozbędzie.

— Czy ty nienawidzisz Clifforda?

— Ja? Za co miałbym go nienawidzić? Flossie szczerknęła krótko i wybiegła na ścieżkę.

— To pewno Albert — cicho powiedział Parkin. Nadal naprawiał pułapki.

Na ścieżce ukazał się wysoki, gładko ogolony mężczyzna, z wąskimi, zaciśniętymi ustami i przenikliwymi, niebieskimi oczami, które widziały już cały świat, ale bez większego zainteresowania. Poruszał się trochę niezręcznie, ale z pewnością siebie mieszkańca kolonii. Parkin wstał i czekał na niego. Albert uchylił kapelusza, niezgrabnie, ale ze swobodą mieszkańca puszczy.

— Mylady, to jest nowy gajowy, Albert Adam.

— Dzień dobry — powiedziała Konstancja. — Czy wprowadziliście się już do gajówki?

— W poniedziałek, psze pani.

Stanął w służbistej postawie, zachowując jednak ostrożną rezerwę.

— W ostatni poniedziałek? — zapytała.

— Tak, psze pani.

— Czy myślicie, że wasza żona będzie zadowolona?

— Tak, psze pani. Na pewno.

— To dziewczyna z Wragby, mylady. Jej ojciec był tam ogrodnikiem, z czasów sir Geoffreya — wtrącił Parkin.

— A wy — Konstancja zwróciła się do nowego gajowego

— byliście, zdaje się, w Nowej Zelandii?

— W Nowej Zelandii i w Kalifornii, psze pani.

— Anglia musi się wam wydawać bardzo mała? Ten las na pewno uważacie za kępę drzew.

— Tak jest. Odnosi się wrażenie, że co parę kroków na potyka się człowiek na płot. Kraj jest mały, ale ludzi mnóstwo.

— Tak, macie rację. Zapadło niezręczne milczenie.

— Przyjdę za chwilę do nowej królikami — odezwał się Parkin.

— Tak. Będę tam czekał — odparł Albert. Uchylił kapelusza i odszedł bez słowa.

— Gdzie przeniosłeś meble z gajówki? — zapytała Konstancja Parkina.

— Trochę zabrała matka... resztę się sprzedało.

— A więc zlikwidowałeś dom?

— Tak.

Spojrzał na nią ciekawie.

— Podobał ci się nowy gajowy?

— Tak. Wydaje się prosty i uczciwy.

— Och, myślę, że to porządny chłop... jak kto potrafi wytrzymać tę jego mowę.

— Napiszesz mi swój adres w Sheffield? — zapytała.

— Teraz zaraz?

— Tak.

Podszedł do płaszcza i z kieszeni wyjął kartkę papieru oraz ołówek. Napisał adres: Mr. T.W. Tewson, 47 Blagby Street. Podał kartkę Konstancji.

— Myślisz, że będę mogła cię tam odwiedzić? — zapytała.

— Mogę po prostu przyjść jako lady Chatterley, która chce odwiedzić jednego z byłych pracowników majątku. Wpadłabym na pół godziny któregoś popołudnia.

— To musiałyby być w sobotę. Jeśli chcesz, zapytam Billa.

— Napisz do mnie — poprosiła. Zawahał się.

— Lepiej nie będę pisał — powiedział po chwili.

— Wyślij list do Hildy, do Szkocji, a ona mi go przekaże. Zrobisz to?

— Ta — odparł niechętnie. Napisała mu adres siostry.

— A teraz do widzenia — powiedziała i łzy napłynęły jej do oczu.

Parkin zbladł. Potem pochylił się i delikatnie ją pocałował.

— Ta! Niedługo się zobaczymy — powiedział łagodnie.

— Nie chcę, żebyś wyjeżdżał. Chcę, żebyś nadal mieszkał w gajówce i żeby las należał tylko do nas! Tak bardzo cię potrzebuję, mimo wszystkiego co mówiłeś... o tym, że jestem mylady i tak dalej... Potrzebujesz mnie choć trochę? — zapytała.

Włożył płaszcz.

— Gdyby było inaczej! — westchnął. — Gdyby było inaczej, moglibyśmy, ty i ja nie być tak daleko od siebie.

— Ale dlaczego musimy być tak daleko?

— Bo tak już jest. Wysoko i nisko, nisko i wysoko... to dalej niż stąd do Nowej Zelandii lub Kalifornii, jak sama mogłaś zobaczyć po Albercie Adamie. Ta! To prawie taka różnica jak życie i śmierć.

— Ależ to takie niemądre, co mówisz. Przecież my nie jesteśmy sobie dalecy.

— Nie! W tej chwili nie. Ale co z nami będzie za godzinę?

— Ja będę we Wragby.

— A ja w Tevershall, u matki. Myślę, że gdybym chciał, mógłbym być takim samym dżentelmenem, jak inni... gdybym chciał.

— Oczywiście... nawet lepszym!

— Tylko, że nie chcę... i na tym koniec.

Spojrzał na nią smutno, ale wyrok przeznaczenia był jasno wypisany na jego twarzy.

— Wiem tylko, że cię kocham — powiedziała. Wciąż nie rozumiem dlaczego tamte inne rzeczy tyle znaczą.

— Och, znaczą — skinął głową. — Znaczą bardzo dużo. I nie zgodziłbym się, żebyś nawet ty próbowała zrobić ze mnie dżentelmena... Nie, nie zgodziłbym się na to.

— Na pewno bym nie próbowała.

— Nie mogłabyś nie próbować.

Potrząsnęła głową żałośnie. Był straszliwie i nedorzecznie uparty. Jak Clifford, tylko stojąc na przeciwnym biegunie.

— Ha, trudno. Więc do widzenia! Napiszesz do mnie?

— Tak, napiszę.

— I pozwolisz mi cię odwiedzić?

— Zapytam Billa.

— Jeżeli nie tam, moglibyśmy się spotkać gdzie indziej w Sheffield, może w parku albo jakiejś herbaciarni... Przyrzeknij!

— No, dobrze — odparł wymijająco.

— Wcale ci naprawdę na mnie nie zależy — poskarżyła się.

— Och, wiesz że cie kocham i w ogóle. Ale jak między ludźmi jest taka przepaść... co z tej miłości? Ale zobaczę się z tobą w Sheffield.

W jego oczach zapaliło się na chwilę znane światełko i uśmiechnął się do niej nieznacznie, lecz czule. Pomachała mu ręką na pożegnanie i odeszła. Zdenerwował ją i sprawił, że czuła się przygnębiona. W jego głupim męskim rozumie liczyły się tylko pozory i okoliczności. Dla niej najważniejsze było uczucie. Ale wierzyła święcie, że świadomie czy nieświadomie kocha ją i wkrótce się przekona, że nie może bez niej żyć. Mimo wszystkiego co powiedział, coś go będzie do niej ciągnęło.

Minęły dwa tygodnie. Lipcowe święto bankowe, które zawsze kojarzyło się Konstancji z wybuchem wojny, też już minęło. Dopiero, kilka dni później przyszedł list od Parkina.

„Szanowna lady Chatterley, moi przyjaciele, państwo Tewson prosili powtórzyć, że ucieszą się jeśli zechce Pani przyjść na herbatę w sobotę. Z szacunkiem O.P.”

Trudno było o bardziej oziębły list. Szczególnie to zakończenie: „z szacunkiem O.P.”. Konstancja czuła się obrażona i miała ochotę odpowiedzieć: „Szanowny panie Parkin, obawiam się, że nie zechcę. Z pogardą K.C.” Ale może z jego strony była to tylko niezręczność, może nie wiedział jak pisać. Zaadresowała więc odpowiedź do pani Tewson.

„Szanowna Pani, bardzo dziękuję za zaproszenie na herbatę w przyszłą sobotę. Jeśli Pani pozwoli, przyjdę około wpół do piątej. Oddana...” Ale nawet kiedy wrzucała do skrzynki swój list, była jeszcze wzburzona. Co on właściwie chciał powiedzieć? Czy chciał w ten sposób okazać, że nie jest dżentelmenem?

Pojechała jednak w sobotę po południu do Sheffield. Droga samochodem trwała trochę ponad godzinę. Zobaczyła przed sobą całun czarnego dymu, który wydał jej się złowieszczy. Przerażało ją coś w samej atmosferze tego mało atrakcyjnego miasta. Wyczuła jego wrogość.

Mimo to pozatwiała sprawunki i odwiedziła doktora, z którym się umówiła. Był bardzo dobrym, znanym lekarzem i przyjął ją z dużym uszanowaniem. Powiedział, że będzie miała dziecko, ale jej stan zdrowia jest znakomity i nie budzi żadnych obaw.

Nie myśląc więcej o tym, pojechała taksówką na Blagby Street. Kierowca wychylił się z wozu i zapytał: — Dokąd? — z takim naciskiem, że na chwilę zaniemówiła. Pomyślała chwilę, a potem zawołał do innego taksówkarza: — Hej, Luke. Gdzie jest Blagby Street?

— Koło Stanswell Road... miniesz King Alfred i zaraz za gospodą „Crown and Anchor”.

Kierowca kiwnął głową i zapuścił silnik.

Blagby Street była stromą, wybrukowaną granitową kostką uliczką, z ciągnącymi się po obu stronach szeregowymi domkami, których dachy zębatą linią na tle nieba wstępowały na stok wzgórza. Była zimna i odpychająca jak kamienny tunel. Kwadratowe okna domków i drzwi, z dwoma schodkami, prowadzącymi na chodnik powtarzały się w nieskończoność.

Kierowca wrzucił pierwszy bieg i samochód powoli dźwigał się pod górę. Pospępna, szara ulica była prawie pusta, oprócz kilkorga dzieci, zjadających pajdy chleba z dżemem, a od czasu do czasu pojawiał się samotny hutnik, wyglądający jak nie z tego świata w swoim roboczym ubraniu i szybko znikał w ciasnym przejściu między domkami. Mimo pogodnego popołudnia wszystkie okna i drzwi były szczelnie zamknięte. Ale te drzwi i okna prowadziły do bawialni o czym Konstancja nie wiedziała.

Samochód zatrzymał się w połowie pochyłości. Zgadzało się, na szczelnie zamkniętych drzwiach widniał numer 47. Wykrochmalone firanki z nottinghamskich fabrycznych koronek były szczelnie zaciągnięte. Drżąc z podniecenia, Konstancja zapłaciła kierowcy, myśląc przy tym, że nigdy jeszcze nie była na żadnej takiej uliczce, ani w żadnym takim domku. A jednak była to na pewno przyzwoita ulica. Stojąc na górnym stopniu schodków zapukała do drzwi. Kilku przechodniów obróciło się i zaczęło się na nią gapić. Kierowca, klnąc siarczyście piekielne wzgórze, ruszył z nieznośnym warkotem motoru w górę ulicy. W końcu, po długim, okrutnym, ciągnącym się w nieskończoność oczekiwaniu, usłyszała, że ktoś odryglowuje drzwi.

Ukazał się Parkin, w samej koszuli, blady, zmęczony i czymś poirytowany.

— Przyszłaś od frontu — powiedział.

— Tak — odparła, nie rozumiejąc o co mu chodzi.

— Wejdiesz do środka?

Weszła do małego saloniku, w którym stał „garnitur” mebli obitych zielonym wytłaczanym welwetem, czarne pianino, etażerki z fotografiami w ramach i gramofon, Na ścianach wisiały ogromne „powiększenia” z fotografii. Drzwi na korytarz były otwarte. Usłyszała szuranie nóg i zobaczyła ciekawie zaglądające dzieci.

— Posiedzisz tutaj, czy pójdziemy do jadami? — zapytał Parkin.

— Zostanę tutaj przez chwilę.

Usiadła na welwetowej kanapie i spojrzała na niego. Wyglądał na bardzo zmęczonego, był niemal wynędzniały! Ciężka praca najwyraźniej dała mu się we znaki, po przyjemnym, swobodnym życiu gajowego. Wyglądał teraz jak robotnik, zupełnie inaczej niż w lesie. Usiadł bokiem na taborecie przed fortepianem i położył ręce na stoliku z imitacji różanego drzewa. Przeraziła się, gdy zobaczyła jak były pokaleczone i spuchnięte, prawie zniekształcone. Przedtem były takie zręczne i zwinne.

— Och, twoje ręce! — wykrzyknęła wstrząśnięta.

— Ano, to robota tak się na nich odbija — odparł tępo, otwierając szeroko dłonie i przyglądając się spuchniętym, zaczerwienionym odciskom.

Siedział, nadal nie patrząc na nią.

— Czy bardzo jest przykra!

— Trzeba trochę czasu, żeby się przyzwyczaić — powiedział znużonym głosem.

— Ale po co miałbyś się przyzwyczajać? — spytała. Tym razem spojrzał jej prosto w oczy.

— Każdy mężczyzna musi — odparł.

Zastanowiła się. Każdy mężczyzna! On tak o sobie myślał, ale dla niej, oczywiście... och, tak nie myślał nikt, kto ją kiedykolwiek obchodził.

— Przecież ty nie musisz — powtórzyła.

Ale on zaczął skubać wpółzagojoną ranę na wielkim palcu i nic nie odpowiedział.

— Nie rób tego — poprosiła łagodnie. Spojrzał na nią szybko, jak mały chłopiec przyłapano na gorącym uczynku.

— Jestem takim samym robotnikiem jak wszyscy tutaj — . odparł wyzywająco.

— Tak... ale... czy chcesz nim być? Odpowiada ci taka praca?

— Och, wszystko będzie dobrze, jak zostanę kierowcą.

— Kiedy to będzie?

Znów długo nie odpowiadał.

— Nigdy nie wiadomo. Może po Nowym Roku. Jaki był rozpaczliwie skryty i uparty!

— Byłam dziś u doktora — powiedziała.

Spojrzał na nią szybko i znów zaczął bezmyślnie skubać zraniony palec, zdradzając stan swoich nerwów.

— Och, u doktora — powtórzył. Domyśliła się, że on też był u lekarza.

— Tak. Powiedział, że dziecko zapewne urodzi się w lutym. Sądzi, że to już trzeci miesiąc.

Spuścił głowę i zostawił swój palec w spokoju.

— Powiedziałaś sir Cliffordowi? — zapytał bardzo cicho.

— Jeszcze nie.

— W przyszłym tygodniu mam rozprawę o rozwód. Muszę pojechać.

— Och, doprawdy?

Zapytała go o kilka szczegółów. Zorientowała się jak wiele ten rozwód dla niego znaczy.

— Dlaczego tak ci na tym zależy? — zapytała. — Ona pewno już nigdy nie będzie cię nachodziła.

Poruszył się sztywno, wyraźnie zmęczony.

— Chcę się jej pozbyć, tak czy owak — odparł.

Widać było, że coś zacisnęło się w jego duszy i nie chciało zwolnić uścisku. Może sprawiło to poczucie doznanej niesprawiedliwości, a na pewno gniew, który obejmował również i ją. Nie mogła go rozbroić.

— Oczywiście tak będzie lepiej — powiedziała miękko. Czyjś głos znacząco zawołał w korytarzu:

— Herbata gotowa.

— Idziemy! — odpowiedział Parkin, wstając szybko. — Czy zjesz podwieczorek? — zapytał Konstancję.

Zauważyła, że Parkin wzdryga się na samą myśl o tym posiłku. Bał się upokorzenia. — Tak — odparła. — To bardzo miło ze strony państwa Tewson, że mnie zaprosili.

Poszedł przodem przez ciągnący się wzdłuż schodów korytarzyk, w którym wisiały płaszcze i kapelusze. Pod schodami widniało ciemne wejście do spiżarni. Drzwi jadalni były zamknięte, żeby mogli nieskrępowanie rozmawiać. Otworzył je i stanęła na progu niedużego pokoju, który wydawał się pełny ludzi. Pośrodku stał zbyt duży stół, nakryty białym obrusem i zastawiony mnóstwem błyszczących półmisek i talerzy.

— Dobry wieczór. To pani jest zapewne panią Tewson? — powiedziała Konstancja, witając się z kobietą o dużych, brązowych oczach, ubraną w trochę za strojną, jedwabną, ciemno żółtą suknię.

— Tak, to ja. Tylko że my w tych stronach mówimy Towson, choć pisze się Tewson. Gdzie pani usiądzie? Proszę się rozgościć.

Pani Tewson miała szczupłą, zmęczoną twarz, ale naprawdę ładne, ciemne oczy. Z przejściem przysuwała Konstancji krzesło.

— Chwileczkę, skarbie, ja też tutaj jestem — odezwał się z głębi pokoju jakiś mężczyzna. Był średniego wzrostu, z bladą twarzą, w której świeciły żywe, patrzące trochę zuchwale, szare oczy. — Dobry wieczór, lady Chatterley — powiedział wysuwając rękę. Jestem Towson, albo Tewson, jak pani woli, a właściwie po prostu Bill. Miło mi widzieć panią w naszym domu. Proszę usiąść, gdzie pani będzie najwygodniej. Wiem, że to ciasna klitka.

Konstancja śmiejąc się podała mu rękę nie bardzo wiedząc co innego mogłaby zrobić. Jego jasnoblond włosy zaczesane były na skroniach gładko do tyłu.

— I dzieci! Proszę przedstawić mi dzieci — powiedziała. W głębi pokoju stało w kącie troje dzieci. Jedenastoletni

chłopiec i dwie młodsze od niego dziewczynki.

— Tak! — odezwała się matka. — Jakżeby bez nich! Chciałam je wygnać, ale akurat by się dały! Nic z tego, kiedy wiedzą że będą goście. Chodź tu, Harry, pokaż, że umiesz się zachować. Przywitaj się z panią. Chodź, Dorothy. I ty, Marjory, złotko.

Konstancja podała rękę zażenowanemu, ale bystremu chłopcu i pogłaskała dziewczynki po policzkach. Dzieci były blade i wydawały się nerwowe, z wyjątkiem najmłodszej dziewczynki, Marjory-złotka.

— Jaka miła, śliczna dziewczynka! — powiedziała Konstancja.

— Z nią jedną nie ma kłopotu z jedzeniem — odparła matka.

— Oliwierze, może lepiej włożymy marynarki? — zapytał znacząco Bill.

— A nie mówiłam? — powiedziała jego żona. — Takie to uparciuchy, że ich z miejsca nie ruszysz. I mają jeden na drugiego zły wpływ. Odkąd Oliwier... to znaczy Parkin... jest u nas, ja wcale się nie liczę. Wszystko co powiem jest jak wiatr.

Bill wyszedł na korytarz i przyniósł dwie marynarki. Przez chwilę w małym pokoiku było dużo zamieszania, dopóki wszyscy nie usiedli, Konstancję posadzono obok Oliwiera, Marjory-złotko na wysokim krzeselku przy ojcu, a pozostałą dwójkę dzieci na kanapce.

— Ciasno tu, prawda? — odezwała się pani Tewson. — Ciągłe mówię Billowi, żeby poszukał większego domu, ale prędzej dałoby się poruszyć górę. Co by tu teraz... Jak pani pije, z cukrem i z mlekiem?

Zaczęła wszystkim po kolei podawać filiżanki.

— Już widzę jak mój mąż patrzy na te małe filiżanki... przyzwyczał się pić w dużym kubku. To samo Oliwier... pan Parkin... obaj lubią pić dużo i na wyścigi. Ale dziś musisz pić powoli, mój stary — dodała, patrząc na męża.

— Nasypałaś mi tyle cukru, że chyba jej wcale nie będę mógł wypić — odparł Bill.

— Upij trocha, a dolej ci wody. Od czego pani zacznie?

Konstancji zabrakło tchu. Na stole był łośoś z puszki, gotowana szynka, konserwowe brzoskwinie i truskawki, chociaż sezon owocowy był właśnie w pełni, ciemne i białe pieczywo, masło, bułka z rodzynkami, a oprócz tego różne domowe ciastka i inne słodkie specjały.

— Proszę spróbować truskawek... Oliwierze, nałóż pani, jeżeli możesz ruszać ręką.

Oliwier bardzo niezręcznie położył na talerzyku Konstancji kilka truskawek.

— Co pani uważa, jak on wygląda? — spytała pani Tewson.

Konstancja wydawała się zaskoczona.

— Mówię o panu Parkinie. Co pani myśli? Jak on wygląda?

— Och, powiedziałabym, że jest trochę zmęczony — odparła Konstancja.

— Trochę zmęczony! Ano, pewno! To okropne, taka robota, jak kto nie jest przyzwyczajony. Przez cały dzień przerzucać żelazo... wszystkie te ostre kanty... och, to okrutna robota dla każdego, a jak kto nie jest przyzwyczajony, to ma za swoje. Naprawdę się bałam, że to się źle skończy, miał przecież zwichnięte ramię, a takich pokiereszowanych rąk to jeszcze w życiu nie widziałam. Ale już przeszedł najgorsze, niedługo się zahartuje. I Bill dopatrzy, żeby dostał pracę kierowcy, jak tylko się zwolni miejsce. Można powiedzieć, że Bill ma tam prawie tyle samo do powiedzenia, co szefowie... Bill, czy ty nie widzisz, co robi dziecko? Marjory-złotko, nie na czysty obrus mamy... co to, to nie...!

Marjory-złotko wylewała łyżeczką herbatę i smarowała łośosiem z puszki śnieżnobiały obrus.

Ten śnieżnobiały obrus, błyszczące szklane salaterki, lśniące noże i łyżeczki, piękna porcelana — cała zastawa była niezwykle wykwintna. Konstancja cały czas podziwiała

niesamowitą energią osoby, która tym wszystkim rządziła. Tylko konserwowe truskawki, które jadła deserową łyżeczką, miały trochę metaliczny smak.

Starsze dzieci były bardzo grzeczne. Bill dorywczo doglądał Marjory-złotka — brał wtedy w swoje ogromne dłonie jej rączkę i wycierał w śliniaczek. Potem koncentrował się na swoim talerzu, nie był to bowiem podwieczorek, lecz główny posiłek dla niego i całej rodziny. Kolacja miała już być skromna.

— Nic pani nie je — zawołała pani Tewson. — Może pani nie smakuje? Och, musi pani coś zjeść, bo pomyślę, że pani gardzi naszym jedzeniem.

Wybór był trudny. Konstancja zaczęła od bułki z rodzynkami.

— Jak się pani wie w Tevershall? — zapytał Bill. — Byłem tam kiedyś, wie pani. A jakże! Nawet w którąś sobotę nocowałem u Oliwiera w gajówce... prawda, Oliwierze?

— Ta!

— Miło mi to usłyszeć. Ale ja tam pana nie widziałam — odparła Konstancja.

— Tak! Staralem się nie leżeć w oczy. Ale widziałem panią i sir Clifforda w parku. Piękny ten wasz park! Ale to było zanim jeszcze zwróciła pani uwagę na Oliwiera.

— Tak — przyznała, zastanawiając się jak dalece ten człowiek się orientuje... co mu Oliwier powiedział.

— Mylady nie zwracała na mnie uwagi, dopóki na wiosnę nie zaczęliśmy karmić bażancików... Wtedy trochęśmy się zaprzyjaźnili, jeśli to nie za dużo powiedziane — spokojnie wyjaśnił Oliwier.

— Jak kto jest miły dla kobiety, wszystko jedno czy to będzie mylady, czy jakaś inna, ona mu odplaci tym samym. I to jest przyjaźń, jeśli chcecie tak to nazwać — zdecydowanie powiedziała pani Tewson.

— Ależ tak! Uważani, że Parkin i ja jesteśmy przyjaciółmi — powiedziała Konstancja.

— Tak pani uważa...! — piwne oczy pani Tewson spojrzały na nią bystro i trochę złośliwie. Konstancja zaczerwieniła się. Nie zdawała sobie sprawy, że pani Tewson poczuła się urażona tym, że mówiła o Oliwierze „Parkin”. W jej uszach brzmiało to prawie jak obelga. Jak popisywanie się swoim wielkopaństwem.

— Tak to jest — dodała pani Tewson po chwili ogólnego milczenia. — Bywa, że zawiąże się przyjaźń między wielkim państwem i tymi co stoją na dole. Ale zawsze jest jednostronna. I nie ma sensu nad tym rozmyślać.

Był to strzał wymierzony w Oliwiera. Wyglądał zakłopotany i czuł się nieswojo.

— Czy nie weźmie mi pani za złe — zwrócił się Bill do Konstancji, kręcąc się nerwowo na krześle — czy pozwoli pani, że prosto z mostu zapytam o coś?

— Ależ oczywiście — odparła Konstancja.

— Jak pani uważa, czy duża jest różnica między ludźmi na różnych szczeblach? Rozumie pani, że nie chcę powiedzieć niczego, czego bym nie powinien... to pewna? No tak! Czy pani uważa, że jest wielka różnica między ludźmi z pani otoczenia i takimi, jak my? Widzi pani przecież jacy jesteśmy... tu wszystko jest jasne. Wszyscy wiedzą kim jesteśmy. Po prostu przyzwoitymi, prostymi robotnikami. Jaki sens miałyby udawać coś innego! Ale weźmy takich ludzi, jak pani. Nigdy się z wami nie spotykamy. Nie znamy was. Nie wiemy jacy jesteście. Więc jak pani myśli, czy duża jest między nami różnica? Co pani naprawdę uważa?

Położył z powagą spracowaną rękę na brzegu stołu i wychylił się w przód, patrząc na nią dużymi, szeroko otwartymi oczami, spod gęstych, ściągniętych brwi. Był naprawdę głęboko przejęty, siedząc z szeroko otwartymi ustami i niespokojnie oczekując jej odpowiedzi.

— W zasadzie nie taka duża — odparła, nerwowo obracając na palcu pierścionek. Jednocześnie czuła coś w rodzaju lęku przed tą bladą, spiętą niepokojem twarzą z szeroko otwartymi oczami, które tak wyczekująco się w nią wpatrywały

— Nie! — powiedział, uderzając dłonią w kant stołu. — Nic w zasadzie! Naprawdę! Atak naprawdę to jesteśmy do siebie podobni. Chcę powiedzieć, że czujemy mniej więcej to samo. Wiem, że jesteśmy ludźmi prostymi... nie jesteśmy dobrze urodzeni. Ale w tym, co ludzie na ogół czują... jesteśmy podobni. No nie? Po większej części czuje pani to samo co my, prawda? Nie mówię o pani osobiście, bo pani ojciec jest malarzem, a artyści są w ogóle swobodniejsi. Dlatego mogę zrozumieć, że pani zechciała tu przyjść... to dla pani coś nowego, zobaczyć nas w naszym domu. Ale sir Clifford? Sir Clifford? On nie jest taki swobodny. On jest z tych, co bardziej zadzierają nosa, jeśli wie pani o czym mówię... z tych dżentelmenów, co się nie zniżają. Z panią łatwiej mi się porozumieć, bo pani jest Górką wielkiego artysty... — „Och, gdyby sir Malcolm mógł to usłyszeć” westchnęła w duchu Konstancja. — Ale weźmy choćby sir Clifforda. Jego uczucia i moje. Czy tak bardzo się różnią?

Podczas tej tyrady Konstancja myślała o wielu rzeczach. A więc to tak! Myśleli, że odwiedziła ich z artystycznej ciekawości. I nie brali jej tego za złe, przyjęli to zupełnie naturalnie. Nawet przez chwilę nie podejrzewali, że jest kochanką Oliwiera. Ten chytry mały spryciarz nie dał im powodu do najłżejszych podejrzeń. Nawet ta kobieta niczego nie podejrzewała. Myśleli, że przyszła tu z nudów i artystycznej ciekawości. Korciło ją, żeby im powiedzieć prosto w oczy: „Jestem w ciąży, za sprawą tego tu Oliwiera Parkina. Jestem w ciąży od trzech miesięcy”.

Ale na wprost siebie widziała wzruszoną, rozgorączkowaną twarz Billa. Czy jego uczucia były takie same, jak Clifforda? O dobry Boże, nie!

— Tak, bardzo się różnią — powiedziała spokojnie, łagodnym głosem.

— Ech? — wykrzyknął. — Naprawdę?

— Tak — powtórzyła.

Patrzył na nią oniemiały, bystrymi, szczerymi, szarymi oczami. Po chwili jego napięcie osłabło.

— Chce pani powiedzieć, że jest wielka różnica między tym, co ja czuję, a tym, co czują tacy ludzie jak sir Clifford? Czy to chce pani powiedzieć?

— Tak.

— Jest różnica? Duża? Na tyle, że się liczy?

— Tak.

Powoli wyprostował się na krześle. Był bardzo blady i jakby oszołomiony. Szybko otarł czoło i zwichrzył włosy, aż stanęły mu dęba na czubku głowy. Potem zaśmiał się krótko i ochryple, spoglądając trochę żałośnie i zarazem szelmowsko na Parkina.

— To samo żeś mi mówił, chłopie! — wykrzyknął. Parkin nie odpowiedział. Nagle wydał się Konstancji śliski i nieuchwytny.

— Co mu pan powiedział? — zapytała łagodnie.

— Ja? — Spojrzał jej prosto w oczy. — Ze tacy ludzie, jak my tutaj i tacy, jak pani i sir Clifford, żyją na innych planetach. I zawsze tak będzie.

— Naprawdę pan uważa, że żyją w zupełnie innym świecie, niż pan? — zapytała.

— Ta! — potwierdził wsuwający duży kawał ciasta do ust i mówiąc dalej z pełnymi ustami: — Tak różnym, jak ogień i woda.

Mówił z zastanawiającą goryczą i smutkiem.

— Ale czy musi tak być? — spytała.

Żuł ciasto, jak zwierzak. W końcu powiedział: — Ta, nie może być inaczej. Tak było i jest. Od samego początku.

— Niech pani koniecznie wypije jeszcze herbaty — przerwała pani Tewson. — Jestem pewna, że ci dwaj tutaj mogliby swoim gadaniem wywiercić dziurę w ścianie. Nikogo nie dopuszczą do słowa! Bill już przedtem był trudny, ale odkąd zamieszkał u nas Parkin, nie

dadzą sobie nic powiedzieć, choć siąść i płacz... Dużo im przyjdzie z tych mądrości... Wielki smród i nic więcej...

Bill spojrzał na żonę, jak na brzęczącą gdzieś daleko muchę. Sam też wyglądał, jak gdyby otrzymał mocny cios w głowę. Znów wychylił się w przód, patrząc z napięciem w twarz Konstancji.

— Daj już spokój, Bill. Lepiej byś coś podsunął do jedzenia, zamiast bez końca mleć ozorem — upomniała go żona.

Bil ocknął się, rozejrzał dokoła po stole, spojrzał w oczy Konstancji i po prostu zapytał:

— Będzie pani co jeszcze jadła?

— Dziękuję, nie.

— Ma pani dość? Na pewno? Niech pani na mnie nie zważa, tylko je.

— Bardzo dziękuję. Nie potrafię już zjeść nic więcej.

— Ano, to postarajmy się wygadać wszystko do końca. Powiedziała pani, że jest różnica, nawet wielka, między tym co czuje taki człowiek, jak ja, i sir Clifford. A Oliwier mówi, że nawet pani i on żyjecie w dwóch różnych światach, jak przyjdzie co do czego. Chociaż pani jest z artystów, co to niby znają wszystkie światy. A Oliwier... Oliwier wcale nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Co ty na to, chłopie? Dobrze mówię? — dodał żartobliwie, zwracając się do Oliwiera.

— Jestem głupi na swój własny rachunek — rzekł Oliwier. Bill ryknął śmiechem, ale zaraz spowaźniał.

— Wszyscy jesteśmy głupi na własny rachunek — powiedział. — Ale co chciałbym wiedzieć... co mi nie daje spokoju... to jak jest możliwe, że ludzie mieszkają w tym samym kraju... mówią tym samym językiem... czytają te same gazety i te de... a różnią się, i to tak bardzo, w tym co czują. Tego ani rusz nie mogę pojąć. Weźmy na przykład sir Clifforda. Jest żonaty. Na pewno bardzo kocha żonę. I ja mam żonę. Także ją kocham... prawda kotku?... na swój własny, głupi sposób. — Ryknął rubasznym śmiechem. — No więc... No więc gdzie ta różnica? Gdzie ta różnica, pytam?

— Dużo bardziej kochasz swoje gadanie, niż żonę — wtrąciła pani Tewson.

— Ta, poczekaj no — spojrzał na nią z wyrzutem, jak gdyby chciała wytrącić mu coś z ręki. Znów zwrócił się do Konstancji:

— Gdzie ta różnica? — nalegał. — I czy w ogóle jest? Konstancja śmiała się, ubawiona jego filozoficznymi dywagacjami. Chciał ją zmusić, żeby rozwiązała jego problemy.

— Na pewno jest różnica — powiedziała. — Ale bardzo trudno wyrazić ją w słowach.

— Więc czy jest ważna? Czy w ogóle coś znaczy? — zapytał szybko.

— Twoja żona to twoje ciało i krew. A żona sir Clifforda to część jego dobra — odezwał się Parkin szorstko.

Konstancja spojrzała na niego, zaskoczona.

— A może tego, co niedobre — powiedziała z łagodnym uśmiechem.

— Dobra czy niedobra na jedno wychodzi — rzekł Parkin,

Bili zerknął szelmowsko na żonę.

— Ja też mogę powiedzieć, że moja żona to część mego dobra — powiedział.

— Możesz śmiało, bo okazała się dobrą inwestycją — gorzko odparła pani Tewson.

— Słyszeliście ją! — wykrzyknął Bili, znów wybuchając głośnym śmiechem.

Konstancję zdziwiło szybko wpadał z powrotem w filozoficzny nastrój i robił się śmiertelnie poważny. Pocierał czoło, jak gdyby bolała go głowa. Przejmował się tą dyskusją: Poruszyła w nim coś głębokiego. Jaki był dziwny!

— Ale czy to takie ważne, że ludzie są różni? — zapytała.

— Widzi pani, to jest tak... — odparł Bill niezwykle łagodnie. — W naszej fabryce jest dużo socjalistów, wielu z nich to komuniści, a nawet zdeklarowani bolszewicy. I oni wbijają nam w głowę, że my, robociarze, czujemy zupełnie odmiennie niż nasi zwierzchnicy i

szeffowie. Mówią, że my dbamy jeden o drugiego, przynajmniej w pewnym stopniu. Ale ci panowie o nikogo nie dbają, tylko o własną kieszeń. Prawda to? Czy tacy jak sir Clifford odnoszą się do innych ludzi jak większość nas?

— Och — odparła Konstancja — Clifford jest bardzo życzliwy.

— Życzliwy! Czy także dla swoich górników? Tak pani mówi?

— Tak — odparła Konstancja powoli. — Na pewno chciałby, żeby jego górnicy mieli się jak najlepiej. I jestem pewna, że zawsze pomógłby każdemu, kto by się znalazł w ciężkiej sytuacji, gdyby mógł. Jest bardzo sprawiedliwy.

— No więc! No więc! Słyszałeś?! — wykrzyknął Bill, z pretensją w głosie zwracając się do Parkina. — Jak ktoś jest sprawiedliwy i stara się postępować uczciwie, trudno mu coś zarzucić.

Zapadła chwila ciszy, w czasie której pani Tewson uniosła Marjorie z jej krzeselka i wytarła jej buzię gąbką. Dwoje starszych dzieci wysłiznęło się pod stołem z pokoju i szybko uciekło. Za długo byli uwięzieni, najadłszy się wszystkiego do syta.

— Dorothy, pilnuj Marjorie i nie wybiegajcie na Stanswell Road, pod te diabelskie samochody. Słyszałaś, co powiedziałam?

— Tak, mamo.

— Okropnie się boję samochodów, autobusów i ciężarówek. To śmiertelna pułapka na dzieci — zwróciła się pani Tewson do Konstancji.

— Są przerażające także dla dorosłych — odparła Konstancja. Czują, że ona też powinna się już pożegnać.

— Ta! — odezwał się Bill, odgarniając włosy z czoła. — Jak ktoś jest sprawiedliwy... jeśli właściciele chcą być sprawiedliwi i uczciwi... no to i sam lepiej bym nie potrafił.

— Gdybyś miał wszystkie te kopalnie, które ma Książę Oakwood, czy nie byłoby sprawiedliwie, gdybyś zrezygnował z części dochodów na rzecz górników? Jak myślisz? — zapytał Parkin dziwnym, ochryplym, wibrującym głosem, w którym dzwięczała kocia drapieżność.

— Ta! Ale to inna sprawa. Może książę nawet by chciał trochę wyrównać te rzeczy, gdyby się znalazł jakiś sposób. Dobrze mówię? — zwrócił się do Konstancji naiwnie, ale zarazem przebiegle.

Konstancja, która znała księcia, roześmiała się.

— Nie sądzę, by myślał, że można znaleźć taki sposób.

— Nie myśli pani, że gotów byłby ustąpić trochę swoich praw dla większej równości? — zapytał poważnie Bill.

— Uważa, że w jego przypadku różnice dostatecznie wyrównują podatki — odparła Konstancja.

— Ta, ale to znowu inna sprawa.

Konstancję zastanawiała powaga, z jaką traktował te zagadnienia. Ona też nie widziała większej różnicy między ściąganiem pieniędzy od księcia na podatki a pozbawianiem go dochodów z węgla.

— Gdyby czuł coś takiego — mówił dalej Bill — mógłby na przykład powiedzieć: Słuchajcie, wszyscy jesteśmy ludźmi. Ale tak się składa, że jestem bardziej bogaty, a wielu z was ma tylko to, co zarobi. Nikt nie jest temu winien, ani ja, ani wy. Świat był już tak urządzony zanim się urodziliśmy. Nie jesteśmy, że tak powiem, za to odpowiedzialni. Ale może nadszedł czas, żeby to trochę wyrównać...

Parkin parsknął w tym miejscu jak rozwścieczony kocur, a Konstancja się roześmiała.

— Sss..! — syczał Parkin. — Nie gadaj! Nie gadaj! Wyrównać różnice! Oni daliby się prędzej powiesić, utopić i żywcem poćwiartować, niżby ją o ździebko wyrównali. Woleliby nie mieć, niż dzielić po równo! Wcale nie myślę, że my i oni to tacy sami ludzie. To mydlenie oczu! Bujdy! Nie uważają nas za ludzi. Nie myślą, że jesteśmy z takiego samego ciała i

krwi... I mają rację! To są drapieżne rekiny i co złapią, nie popuszczą, choćby się ich rozerwało na kawałki, żeby im wydrzeć to z zębów.

Spokojny, ale zionący zabójczą nienawiścią, potok słów trysnął z ust eks-gajowego. Nienawidził Clifforda i wielkich panów, którzy strzelali we Wragby do jego bażantów. Czuł się przez nich obrażony i nienawidził ich. Konstancja słuchała zirytowana i zgnębiona. Taka zacięta nienawiść przerażała ją.

— Och, dałbyś spokój! To tacy sami ludzie, jak my — zaprotestował Bill, ale nawet on mówił to bez przekonania. — Ni, wcale nie tacy sami! Oni są jak ryby, jedni wielcy, czerwoni jak łosoś, inni brudni, z długimi nosami jak makrele, a jeszcze inni zupełnie przezroczyści, jak witlinki... i sami... sami fałszywce. I nie są — Parkin potrząsnął gwałtownie głową — nie są takimi ludźmi jak my. Ja jestem inny niż oni, i oni są inni niż my.

Bill wycierał spocone czoło.

— Tak się to czasem wydaje — powiedział.

— Ale przecież także w wyższych sferach są życzliwi ludzie — powiedziała Konstancja. — Robotnicy nie mogą przypisywać wyłącznie sobie dobrych, ludzkich uczuć. Niech pan pomyśli o własnej żonie, o Tevershall i o jego mieszkańcach... przecież to są robotnicy... i przypomni sobie jak się wobec pana zachowali!

— Tak — powiedział uparcie. — Wiem o tym. Pamiętam.

— Przecież nie może pan winić wyższych klas za to, co zrobiła pańska żona i ta zgraja brutalni z Tevershall.

— Nie! — odparł. W roztargnieniu znów zaczął skubać rankę na dużym palcu.

— Niech pan zostawi palec w spokoju — upomniała go Konstancja.

Spojrzał na nią.

— Ta! — powiedział tym samym co przedtem szorstkim, dziwnym, metalicznym głosem, przypominającym syczenie kocura. — Robotnicy to diabły, a wyższe klasy też diabły, tyle że inne. Ale z diabelskimi robotnikami można się w końcu jakoś dogadać, a z tymi na górze, nigdy. Zamykacie człowiekowi drzwi przed nosem i śmiejecie się z niego za tymi drzwiami.

— Jakie drzwi? — zapytała.

— Nie — odparł szybko. — To ja panią o to pytam.

— Chce pan powiedzieć, że ja także mam takie drzwi? — spytała.

— A niby jak? — odparł z gorzką ironią.

— Nigdy nie sądziłam, żebym je zamykała przed nosem... komukolwiek.

— Dlatego nie może ich pani otworzyć. Siedzi pani za nimi, jak kot na stryszku... i zawsze tam pani siedziała... od urodzenia.

Z kuchni dobiegał brzęk naczyń zmywanych przez panią Tewson. Bill siedział wpatrzony w Parkina z niedowierzaniem, niczego nie rozumiejąc.

— Nie sądzę, żeby to była prawda — powiedziała Konstancja.

— Ta! — odparł. — Macie w sobie mnóstwo drzwi i trzymacie je pozamykane, nawet przed sobą. Bywa, że otworzycie jedno, a czasem dwoje. Ale nigdy wszystkie, ani przed Bogiem, ani przed diabłem. Zawsze siedzicie gdzie zamknięci, gdzie nic do was nie dociera. Choćby kto myślał, że wszystko jest otwarte i jasne jak w dzień.

Konstancja zastanowiła się. Było to dla niej coś zupełnie nowego.

— Przecież musi się mieć jakieś prywatne miejsce, tylko dla siebie — powiedziała.

— Ta, musi się — powtórzył posępnie, wygładzając w zamyśleniu opuchniętymi rękami biały obrus.

Wstała, obrażona. Miała tego stanowczo dość. Ten człowiek zawsze miał do niej jakieś pretensje.

— Chyba jakoś trafię do York Road — powiedziała.

— Och, Oliwier panią odprowadzi... To dla nas rzadkość, móc porozmawiać z kimś takim, jak pani. Pani jest trochę socjalistką, jak kiedyś hrabina Warwick, więc się pani nie pogniewa, jak powiemy coś za dużo. Odwiedzi nas pani, jeszcze kiedyś?

— Bardzo chętnie.

— Ci dwaj — wmieszała się pani Tewson — to potrafią gadać bez końca. Ale widzę, że i pani lubi sobie podyskutować! Ja jestem inna, trzymam się z daleka od wielkich spraw. Ale mam nadzieję, że się pani nie obraziła.

Pani Tewson wytarła już ręce i pośpiesznie zdjęła fartuch. Weszła do pokoju w tej samej eleganckiej sukni z żółtego jedwabiu, która niestety zwisała trochę jak worek z jej przygarbionych ramion. W odróżnieniu od obu mężczyzn, biedaczka nie umiała się postawić. Bill i Parkin trzymali głowy wysoko.

Konstancja w milczeniu szła zimną, brukowaną ulicą. Obok szedł Parkin. W granatowym garniturze i czarnym kapeluszu, nie wyglądał na robotnika. Twarz miał spokojną i zamyśloną i, przynajmniej miała takie wrażenie, było w niej coś rzeczywiście pięknego.

— To bardzo mili ludzie — powiedziała. Cieszę się, że tak naturalnie mnie przyjęli.

— A jak mieli cię przyjąć — spytał.

Ale Konstancja myślała o lady Warwick. Lady Warwick! Czy rzeczywiście wydała się im podobna? Siedzieli w tramwaju, milcząc, Parkin ze zwieszonymi między kolanami opuchniętymi dłońmi. Zapłacił za nią przejazd pieniędzmi, które zwyczajem górników wygrzebał z kieszeni spodni. Tramwaj był zatłoczony i czuła się w nim bardzo nieswojo. Ci ludzie wydawali się jej tak obcy, jak gdyby byli Zulusami lub Eskimosami... a może jeszcze bardziej, z powodu ich niezrozumiałego dla niej, sofistycznego sposobu myślenia.

Pożegnał się z nią na rogu York Road.

— Czy chcesz, żebym jeszcze kiedyś tu przyjechała? — zapytała go.

— Jak masz ochotę.

— Może wybrałbyś się do Wragby na jakiś weekend? Moglibyśmy przez godzinkę posiedzieć w chatce.

— Nie przyjadę... do Wragby... ani do Tevershall... póki nie dostanę rozwodu.

— No to dobrze! W takim razie ja przyjadę do Sheffield. Możemy wynająć taksówkę i pojechać na wrzosowiska... albo do Brixton...

Nic nie odpowiedział.

— Nie masz ochoty?

— Może... któregoś dnia.

— No to do widzenia — powiedziała, wyciągając do niego rękę.

Po raz pierwszy uścisnęli sobie dłonie.

— Musisz teraz uważać na siebie — odezwał się. — I nie martw się o nic. Jak dostanę rozwód...

Czekała niecierpliwie dalszego ciągu, ale zamilkł. Poczwała się rozczarowana.

— Daj mi koniecznie znać, jak ci idzie — poprosiła.

— Tak. Zawiadomię cię.

Uścisnęła jeszcze raz jego spuchniętą dłoń i skierowała się do garażu, gdzie zostawiła samochód. Żałowała jego i siebie. Ale jednocześnie była z siebie raczej zadowolona. Westchnęła z ulgą, gdy się znalazła w skromnym luksusie swego samochodu i zaczęła się oddalać od tego obcego jej środowiska. Cieszyła się, że tam była. Ale także z radością wracała do Wragby. Bardzo starannie pozalaćwała wszystkie polecenia Clifforda i miała nadzieję, że kupiła dokładnie ten drobiazg do jego radia, o który ją prosił. Bardzo pasjonował się teraz swoim radiem, zawsze starając się złapać Berlin, Frankfurt lub Madryt. Sprawiało mu wielką przyjemność, że w swoim pokoju, we Wragby, może słuchać niemieckich odczytów lub oper z Paryża. Na polowanie przyjechało sporo osób. Clifford zaprosił sir

Malcolma, ale starszy pan wolał pozostać w Szkocji. Spośród krewnych i przyjaciół z czasów Cambridge i Eton udało się jednak zebrać miłe i zgrane towarzystwo. Konstancja z przyjemnością brała udział w rozmowach i innych rozrywkach, pomimo że oczywiście drażniły ją dochodzące z lasu odgłosy strzałów i traciła apetyt patrząc na podawane do stołu pieczone bażanty, przypominały jej bowiem pisklęta, które karmiła z Parkinem. Ogarniało ją, jak się jej to czasem teraz zdarzało, uczucie mdłości na myśl o niedorzecznej próżności mężczyzn, którzy strzelali do tych pięknych półswojonych ptaków i nazywali to sportem.

— Nie może być mowy o sporcie — stwierdziła — dopóki stworzenie, do którego strzelacie, nie będzie także mogło strzelać do was. Gdyby bażant miał miniaturową, ale groźną strzelbę pod skrzydłem...

— Chcesz nowej wojny — ostro zareagował Clifford. Stosunki między nimi nie układały się ostatnio najlepiej.

Konstancja coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że Clifford skrycie dąży do bezwzględnej narzucenia jej swojej woli. Chciał jak dawniej panować nad biegiem jej życia. Ale teraz, kiedy nurt jej życia nie płynął posłusznie korytem, które on wytyczył, sama bowiem niespodziewanie znalazła inny, naturalny kanał dla swoich uczuć, powodów do konfliktów oczywiście nie brakowało, choć najczęściej rozgrywały się one w milczeniu.

Clifford znów zaczął wyjeżdżać samochodem. Konstancja nienawidziła tych wspólnych jazd. Ruch samochodu wyraźnie źle działał na jego nerwy, robił się wtedy szczególnie spięty i poirytowany, a czasem, jak obłąkany, potrafił nieświadomie gwizdać godzinami, nieruchomo wpatrzony przed siebie. W miasteczku wysiadał z trudem i szedł chodnikiem wielkimi, rozkołysanymi wyrzutami podobnych do szczudeł kul, z nieodmiennie biegnącym obok służącym, podczas gdy przerażona Konstancja podążała za nimi. Nieodłącznie związane z tym podniecenie i ryzyko, oraz pełne współczucia lub przerażenia spojrzenia, jakimi go obrzucali przechodnie, fatalnie wpływały na jego psychikę. Długo leżał potem i odpoczywał, wyczerpany i rozkojarzony. Ale nie chciał zrezygnować z wyjazdów.

— Aż za długo będę odpoczywał w grobie — odpowiadał, kiedy Konstancja namawiała go, żeby spokojnie został w domu. Zawsze chciał, żeby z nim jeździła. W końcu stało się dla niej prawdziwą torturą, gdy musiała siedzieć z nim w samochodzie, mając tuż obok jego kule i biedne uschnięte nogi, wiedząc że ruch samochodu doprowadza go do ataków szaleństwa. Jego twarz przypominała wtedy tarczę zegara rejestrującego stopnie nerwowego napięcia, osiagającego po pewnym czasie punkt obłędu. W końcu musiała oświadczyć, że nie znosi jazdy samochodem, co było prawdą. Jeżeli więc chciała pojechać gdzieś we własnej sprawie, wyjeżdżała nic mu nie mówiąc i zostawiając tylko wiadomość. Gdy wracała, patrzył na nią przenikliwie i mówił:

— Chętnie byłbym z tobą pojechał.

— Wiem, Cliffordzie, ale musiałam załatwić mnóstwo różnych drobiazgów i dlatego trwało to tak długo. Bardzo byś się zmęczył.

Z każdym tygodniem robił się bardziej nerwowy i oderwany od świata. Jedynym tematem, który go ożywiało, były interesy. Gdy chodziło o kopalnie, odzyskiwał energię. Wiele ranków spędzał w biurze administracji, a wieczorami naczelny dyrektor, inżynier lub sztygar, często przesiadywali zamknięci z nim w gabinecie. Z uporem maniaka koncentrował swoje zainteresowania na sprawach kopalni. A kiedy groził strajk lub ceny angielskiego węgla spadały na rynkach, bliski był chorobliwych napadów lęku, jak gdyby wkrótce miał nastąpić koniec świata.

Jedyny, największy odpoczynek i odprężenie dawało mu tak dawniej pogardzane radio. Miał bardzo drogi aparat i doskonale sobie z nim radził, wyszukując rozmaite zagraniczne stacje. Ale miał także głośnik, który stał się zmorą życia Konstancji. Clifford wciąż półprzymtomnie sprawdzał na zegarku godzinę, starając się sobie przypomnieć jaka stacja o tej porze nadaje. Pasjonowało go wyłapywanie dalekich lub szczególnie trudnych stacji.

Konstancję budziły nagle o wczesnym świcie jakieś niesamowite hałasy i siadała na łóżku śmiertelnie wystraszona. Potem uprzytamniała sobie, że to Clifford stara się złapać Nowy Jork, który nadaje o pół do trzeciej rano.

Zdawało jej się, że Clifford przestał już być ludzką istotą. Nic go naprawdę nie obchodziło, poza jego interesami i radiem. Kopalnie pasjonowały go, stały się jego obsesją i kiedy obmyślał jakieś nowe plany, jego dziwne, bladoniebieskie oczy nabierały nieziemskiego wyrazu. Kiedy wszystko szło dobrze wydawało się, że ogarnia go jakieś dziwne, lodowate szczęście. Konstancję też cieszyły duże dochody. Ale on to odbierał inaczej, wpadał w ekstazę i siedział zasłuchany w swoje myśli, jak w rozkoszne brzęczenie jakiegoś owada. Było to brzęczenie pszczoł składających miód w ulu. A miodem Clifforda były pieniądze.

Nie był jednak skąpy. Gdy tylko pieniądze zaczęły napływać, swędziły go palce, aby je wydać.

— Kup sobie samochód, kochanie! Powinnaś mieć własny samochód i swojego kierowcę — powiedział wspaniałomyślnie, kiedy raz musiała zmienić swoje plany i odłożyć wyjazd do następnego dnia.

— Och nie, Cliffordzie. Za nic.

— Ale dlaczego? Przecież stać nas na to.

Wydawało mu się to odpowiedzią na wszystkie pytania. W tak krótkim czasie całkowicie się zmienił. Dech jej zapierało ze zdumienia. Jego Plato, malowanie obrazów, wszystko to minęło tak szybko, jak odrą u dzieci. Jego pasją było teraz zdobywanie fortuny. Chciał stać się ważną osobistością w hrabstwie.

Ale dążenie to nie było naturalne. Raczej chorobliwe. Nie był już ludzką istotą. Konstancja patrzyła teraz na niego, jak na jakiegoś niesamowitego ptaka, lub dziwne stworzenie, z którego nagle uleciała dusza, a ono żyje nadal siłą własnej, często mylnie skierowanej woli.

Kiedy więc przyszedł sezon polowania na bażanty, postanowił koniecznie zaprosić liczne grono gości. Potrzebował ruchu i zamieszania wokół siebie. Działy na niego niemal tak podniecająco, jak radio. Słyszał głosy, wiele głosów, i nie interesowało go, co mówiły. Wystarczało mu, że je słyszy.

Było to tak, jakby jego dusza nagle ulatywała gdzieś w przestrzeń i siadała, na przykład, na konarze jakiegoś drzewa, w zasięgu głosu. I jeśli słyszał jakieś dochodzące go z zewnątrz dźwięki, jak się to mówi: wsłuchiwał się w nie, miał wrażenie, że jego dusza znów wraca i sadowi się w nim, a przynajmniej nie jest z nim rozłączona.

W swej wyostrzonej podświadomości, był również przez cały czas świadomy egzystencji Konstancji. Dziwny, podobny do sowiego, wyraz jego oczu, kiedy wróciła z Sheffield, uzmysłowił Konstancji, że Clifford zdaje sobie sprawę, że jej podróż była ucieczką od niego. Ale między tym, co wyczuwał psychicznie, być może przez telepatię, i tym, co objawiał mu racjonalnie funkcjonujący umysł, rozciągała się tak wielka przepaść, że ani przez chwilę nie powątpiewał, gdy Konstancja mu powiedziała, że wybrała się tylko na sprawunki. Ona zaś widziała, że wierzy jej bez zastrzeżeń, jak dziecko albo imbecyl. Zarazem jednak dziwny, zagubiony, sowi wyraz jego oczu mówił jej, że częścią swojej istoty zna prawdę.

— Gdzie jest mylady?

Były to pierwsze słowa, jakie zawsze słyszała, gdy wracał do domu. A kiedy ona była poza domem, po prostu cały czas czuła koło siebie jego utajoną obecność. Było w tym coś niesamowitego. Nawet Hilda powiedziała kiedyś:

— Zawsze czuje się przy tobie czyjaś obecność. Czy to Clifford cię prześladowuje?

— Mam nadzieję, że nie — odparła Konstancja, blednąc. Zdawała sobie sprawę, że w swoim zdrowym i naturalnym pożądaniu Parkina szuka ratunku przed upiornym lękiem, jaki wzbudzała w niej myśl o trwałym, nienaturalnym opanowaniu przez Clifforda jej

podświadomości. Nie chciała wciąż odczuwać jego utajonej presji. Nawet teraz, gdyby zechciała, mogła o każdej godzinie dnia i nocy nawiązać z nim pewnego rodzaju porozumienie, a przynajmniej łączność, po prostu myśląc o nim. Wydawało się jej wtedy, że jego dusza lub astral, przybywa i objawia się jej: nie jej ciału, lecz jej własnemu astralowi lub duszy. Ich dusze rozmawiały w zaświatach.

Ale nienawidziła takich duchowych kontaktów. Przerazały ją i budziły w niej bunt. Nienawidziła złowrogiej, obojętnej potęgi widm i ich świata. W jej pojęciu były płomieniem, niosącym zepsucie i zagładę. Modliła się, żeby mogła od nich uciec.

Parkin był jej ratunkiem. Wiedziała, że jeśli mu powie o lęku, jaki budził w niej Clifford, i o prześladowającej ją obsesji Wragby, będzie szczerze jej współczuł i zabierze ją stąd. Ale nie chciała tego uczynić. Wolała nie ujawniać aż do tego stopnia swojej słabości.

Nie powiedziała Cliffordowi, że jest w ciąży. I znów czasem, gdy w jego niebieskich oczach pojawiał się wyraz dziwnej pustki, czuła, że on wie. I choć mogło się to wydawać absurdem, czuła że ta świadomość kryje się w jego wysokich ramionach, w mocnych, rozrośniętych barkach kaleki. Na co dzień jednak, gdy jego umysł funkcjonował normalnie, o niczym nie wiedział, nie pytał jej o nic, a może nawet niczego nie podejrzewał. I tak będzie, dopóki mu wszystkiego odważnie nie powie.

Konstancja się bała. W głąb jej duszy przeniknął zimny, obłądny strach. Po wizycie w Sheffield jasno to sobie uświadomiła. Bała się niesamowitego, zgubnego wpływu tych niszczycielskich sił na jej życie. Bała się napiętej, nieustępliwej, twardej ludzkiej woli, która potrafi przemienić się w potwora, trwale i niszczycielsko działającego w otaczającym go żywym świecie. Była świadoma swojej tęsknoty do zwykłej, zdrowej, gorącej żądzы prostego człowieka, jakim był Parkin. Ale nigdy nie śmiała mu tego zdradzić. Nigdy nie śmiała ujawnić mu choroby, trawiącej jej duszę. Zawsze musiała grać wielką damę, dawczynię, tę która obdarowuje. I nigdy nie ośmieliła się ukazać mu się taką, jaką była naprawdę gdzieś w głębi udręczonej duszy, jak trędowaty, którego może uleczyć jedynie kąpiel w żywej krwi.

Clifford miał więc swoje upragnione polowanie i nawet zaczął mówić o joie de vivre.

— Wiesz, to naprawdę zdumiewające, ale prawdziwą joie de vivre można czuć dopiero wtedy, gdy połowę ciała ma się wyłączoną i niejako połową jest się już w grobie. Dopiero wtedy czuje się w pełni obłądną joie de vivre, prawdziwą radość życia. To naprawdę wspaniałe!

Konstancja słyszała, jak mówił to do Duncana Forbesa. Duncan był malarzem, modernistą, i знаła go jeszcze z czasów zanim spotkała Clifforda. Pochodził z tej samej miejscowości w Szkocji, co jej matka. Był trochę starszy od Konstancji, poważny i spokojny, o typowym wyglądzie Szkota. Przyjaźnili się przez szereg lat, jeszcze przed jego wyjazdem do Paryża, gdzie trochę zdziwaczał i zrobił się modernistą.

Clifford go lubił, bo wydawał mu się bardzo naturalny i sympatyczny.

— Duncan ma w sobie wiele z dziecka — mówił pobłaźliwie. Może tak było. Ale z tego rodzaju dzieci, które są ojcami dorosłych. W kontaktach z ludźmi miał osobliwy dar jasnowidzenia i widział Clifforda na wskroś. Jak zakapturzony, przybywający z północy kruk, siedział w milczeniu i pozwalał Anglikowi mówić, wietrząc padlinę i spokojnie czekając dalszego ciągu. Jasno widział makabryczną stronę całej sytuacji.

Właśnie jemu Konstancja zwierzyła się ze swego stanu. — Nie mów nikomu — powiedziała. — Będę miała dziecko.

— Z Cliffordem?

Jego pytanie padło, jak strzała.

— Nie, z kimś innym.

— Och! — Ale w tym wykrzykniku zabrzmiała wielka ulga.

— Jeszcze mu nie powiedziałam.

Lecz Duncan nie słuchał, pogrążony w głębokiej zadumie.

— Mój Boże — odezwał się w końcu. — Kiedy mi to powiedziałaś, przeżyłem koszmarny wstrząs. Pomyślałem, że ojcem może być Clifford i gdyby tak było...

— Nie, nie! daleko do tego. Zaśmiał się krótko.

— Czy bardzo daleko? — zapytał. — Czy możesz powiedzieć, jak daleko?

— Jak daleko? — zdziwiła się.

— Kim jest ten drugi mężczyzna?

— Nie — odparła. — Wolę tego nie mówić.

— Rozumiem. To tajemnica. Ale czy to porządny człowiek?

— Tak.

— Dlaczego więc nie rzucisz Clifforda i nie zamieszkasz razem z nim?

— Nie bardzo mogę. A poza tym on niezbyt tego pragnie.

— Dlaczego? Czy cię kocha?

— Tak. Sądzę, że tak.

— Może ty go nie kochasz?

— Bardzo go kocham.

— No więc? — Duncanowi nie trzeba było nic więcej mówić.

— Są pewne komplikacje... po obu stronach — powiedziała Konstancja.

— Z twojej strony żadnych — zdecydował szybko.

— Clifford!

— Na litość boską, rzuć go! Teraz ona głęboko się zamyśliła.

— Nie jestem pewna — powiedziała — czy powinnam pozwolić, żeby był prawnym ojcem tego dziecka.

— Sądzisz, że by się zgodził?

— Napomknął o tym... kiedy mu powiedziałam, że chciałabym mieć dzieci.

— Hm! — mruknął. — Tak, to by się zgadzało. Syn i spadkobierca! Uzna go za własnego syna. Radość w całej okolicy. Mały baronet i domniemany dziedzic... Znakomicie!

— To wcale nie jest takie nienaturalne... biedny Clifford!

— Zgadzam się, że pod tym względem nie ma w tym nic niezwykłego. Jak sama powiedziałaś, trzeba się jednak zastanowić, czy możesz podarować Cliffordowi dziecko, szczególnie jeśli jego ojcem jest miły, porządny człowiek. Ale przy sposobności: co o no tym mówi? Czy wie?

— Tak, wie. Powiedział: „dziecko będzie miało ładny dom. Czy cię to nie cieszy?”

Duncan zaśmiał się krótko.

— Można i tak na to spojrzeć. Więc jest ubogi?

— O tak! To robotnik...

— O, ho, ho!

— Ale bardzo miły... nie zna życia, w każdym razie nie w tym sensie, co my... jego naprawdę przerażających stron. Myśli, że Wragby będzie wspaniałym domem dla dziecka.

Duncan znów się zaśmiał.

— Biedak! Pewnie nie zna sir Clifforda Chatterleya.

— Zna... w pewnym stopniu... i nie znosi go.

— Uhm! Dobre i to. I co zatem zamierzasz? — Sama nie wiem.

— Dlaczego nie pomożesz mu ulokować się w jakimś biznesie i nie zamieszkasz z nim?

— Nie chce się na to zgodzić.

— Proponowałaś mu?

— Ależ tak!

— I co stoi na przeszkodzie?

— Och... to takie męczące! Rozwodzi się z taką okropną kobietą... i chce mieć to za sobą.

— Aa... teraz rozumiem. Clifford opowiadał mi tę historię o gajowym! Hm, hm... Nie przejmuj się, że się nieумыślnie zdradziłaś. Nie znam go i nic mnie on nie obchodzi. Mów dalej! A więc chce się rozwieść z jakąś okropną kobietą... Kiedy wystąpi o rozwód?

— Rozprawa odbyła się wczoraj... przeczytałam o tym w dzisiejszej gazecie... małżeństwo zostało unieważnione. Z zawieszeniem.

— Więc jeszcze sześć miesięcy! A kiedy urodzi się dziecko?

— Spodziewam się, że w lutym.

— Rozumiem. Trochę za wcześnie. Czy myślisz, że ten gajowy... nazwijmy go lubym... ożeni z tobą, jeżeli Clifford da ci rozwód?

— Tak! Myślę, że potrafiłabym go namówić.

— Co musiałabyś w tym celu zrobić?

— Powiedziałabym mu, jak strasznie się boję.

— Czego się boisz?

— Clifforda! Siebie samej! Upiorów!

— Mmm... tak, rozumiem! A czy będzie to miało jakiś skutek?

— Gdyby uwierzył, że naprawdę się boję... nie wiem czego... czekającej mnie okropnej przyszłości, zabrałby mnie z Wragby.

— Zrobiłby to?

— Tak.

— Imponujesz mi swoją pewnością. Jest taki naiwny?

— Właśnie tak! Ale wcale nie jest głupi!

— Czy można być naiwnym, nie będąc głupim?

— Tak! Nawet ja jestem taka. Czuję, że nie będąc naiwna jestem dużo głupsza, niż... niż... Ale oczywiście on też jest na swój sposób głupi. Wydaje mu się, że Wragby jest niezwykle ważne i wspaniałe.

— Tak. Tak właśnie myślałem.

— Ale to tylko cienka powłoka, stara zwierzchnia skorupa tak w nim myśli. W głębi pod nią jest żywy ogień, który nie dba o Wragby, w ogóle nie wie, że ono istnieje.

— Zawsze chce się w to wierzyć — wolno powiedział Duncan — kiedy ma się do czynienia z robotnikami. Ale jednocześnie ma się dużo wątpliwości. Robotnicy mają fetysze Wragby głęboko zaszczipione w umysłowości. Tylko tacy ludzie jak my lekceważą je sobie i wiedzą co one naprawdę reprezentują... puste, piękne salony, gorącą kąpiel i świeże warzywa.

Umilkli na chwilę.

— Gdzie on teraz jest... ten twój luby? Z lasu dobiegły odgłosy strzałów.

— Słyszysz?! Zabijają jego bażanty! — powiedziała Konstancja.

— Czy Clifford pojechał tam swoim wózkiem?

— Tak! On też... i zabrał strzelbę.

— Mój Boże... po wojnie i tym wszystkim, co przeszedł... strzela do własnych pięknych, oswojonych ptaków. Mój Boże! Założę się, że siedzi tam w swoim motorowym wózku, strzela i zabija...

— Wczoraj zabił pięć.

Duncan otworzył szeroko usta i wybuchnął bezlitosnym śmiechem. — Ciekaw jestem, czy zdarza mu się okaleczyć któremuś nóżki! Na Jowisza, zapytam go o to.

— Nie rób tego! — poprosiła Konstancja. — To zupełny obłęd, niech lepiej wyładowuje się w strzelaniu do bażantów, niż w scenach w domu.

— Słusznie... masz rację! Znow umilkli!

— Czy w ogóle sobie wyobrażasz, co chcesz zrobić? Uważasz, że możesz tu zostać i obdarzyć Clifforda, synem i spadkobiercą? Jak o tym pomyśleć, to naprawdę świetny kawał.

Ale Konstancja patrzyła ponuro przed siebie.

— Nie, chyba tego nie potrafię.

— Oczywiście! Jeżeli nie potrafisz uważać tej historii z dzieckiem za kawał, lepiej tego nie rób.

Twarz i szyję Konstancji oblał gwałtowny rumieniec.

— Na pewno nie uważam tego dziecka za kawał — powiedziała.

— I lubego też nie?

— Jego? Czasem. Ale nawet on zaszedł mi za skórę, więc żart obrócił się przeciwko mnie.

— Rozumiem.

— Przypuśćmy, że... że nie mogłabym pójść do tego drugiego mężczyzny... — Konstancja zająknęła się — i nie mogłabym zostać tutaj... czy wtedy pomógłbyś mi trochę?

— Ja? To znaczy, miałbym wystąpić w roli nieznanego ojca? To też świetny kawał! — odparł. Ale tym razem w jego głosie zabrzmiała ironia.

— Czy uważałaś to za niemożliwe?

— Nie mam najmniejszego pojęcia! Zupełnie nie wiem co bym zrobił. Musiałbym się całe wieki zastanawiać zanim bym wiedział, jak bym się czuł w takiej skomplikowanej sytuacji. Pamiętasz chyba, że byliśmy kiedyś zaręczeni... jakie to piękne słowo!

— Tak, pamiętam.

— Byłoby zatem całkiem właściwe, gdybyśmy się mimo wszystko w końcu pobrali... otrzymując w prezencie ślubnym dziecko lubego.

— Tak! Z pewnością.

— No więc zaproponuj to lubemu i sprawdź co on powie.

— Tak swobodnie się z tobą czuję, Duncanie... Potrafisz z wszystkiego żartować. To prawdziwa ulga.

— Ale menu złożone wyłącznie z żartów to tak, jak gdyby się próbowano wyżywić się mrożonymi cocktaillami. Tak, wiem o tym. Ale w twojej obecności robię się jeszcze bardziej ironiczny niż zwykle. Ktoś, zdaje mi się, powiedział: „Ironia to mądrość płytkich serc” lub coś równie mądrego. My oboje musimy mieć bardzo płytkie serca, bo kiedy jesteśmy razem nasza płytkość strzela snopem iskier. Zgadzasz się ze mną?

— Sama nie wiem co myśleć. Okropnie się zaplątałam. Świat wydaje mi się pełen nędznych Atrydów.

— Nie zapominaj jednak, że masz jedno wyjście.

— Jakie?

— Możesz się zaprezentować lubemu jako zagubiona, nieszczęśliwa kobieta. Ratuj ją, panie Herkulesie, bo sama sobie nie poradzi. Trzeba człowieka z ludu, żeby odpowiedział na taki apel. Jeśli to zagra, wszystko będzie dobrze.

— Widzę, że potrzebna mi była twoja kpina, Duncanie. Zaczynam odzyskiwać zdrowy rozsądek.

— Świetnie. I nie martw się tak bardzo o swój zdrowy rozsądek. Jeśli ci kiedyś będzie potrzebna moja pomocna dłoń, daj znać, a pomyślę o tym. Na tyle możesz liczyć. Dopóki nie prosisz o jakąś bardziej zasadniczą część mojej anatomii...

Konstancja poszła przygotować się na przyjęcie dzielnej kohorty sportsmenów. Usłyszała z daleka ciche pip-pip wózka Clifforda.

Wieczorem, w salonie, Duncan zwrócił się do niej:

— Czy pamiętasz, Konstancjo, gdy byliśmy w Villa Real de Leon...

— Byliście razem w Villa Real? — przerwał mu Clifford.

— Bardzo krótko — odparł zimno Duncan, zirytowany, że mu przerwano. Nadal patrzył na Konstancję.

— Był tam taki zabawny, mały muzyk... mówię o tym kompozytorze, bez grosza przy duszy, ale z własnym lokajem... pamiętasz go?

— Tak — odparła Konstancja.

Ale myślała o wyrazie twarzy Clifforda, gdy usłyszała, że Duncan też był gościem w willi pod Biarritz. Nie wspomniała mu o tym, bo Duncan zatrzymał się w willi zaledwie kilka dni, wracając z Hiszpanii. Teraz na twarzy Clifforda pojawił się lekki, ledwie dostrzegalny, uśmiech nienawiści. Ci dwaj mężczyźni nagle, z jakiegoś nieznanego powodu rzeczywiście głęboko się znienawidzili. Przedtem byli przyjaciółmi, co prawda traktującymi się trochę ironicznie, ale przez cały czas tej wizyty widać było, że są gotowi o byle co skakać sobie do oczu. Teraz na twarzy Clifforda ujrzała nerwowy, lekki uśmieszek nienawiści, a twarz Duncana miała wyraz kamiennej obojętności, oczywiście sztucznej, bo nerwy miał napięte do ostatnich granic.

— Wyobraź sobie, wygrał około pół miliona franków w Monte Carlo i następnego dnia frank spadł na giełdzie z siedemdziesięciu pięciu na sto dziesięć.

— Co za pech! — wykrzyknęła Konstancja.

— Tak. Ale jak myślisz, co on potem zrobił?

— Mam nadzieję, że wymienił wszystko na angielską walutę.

— Nić podobnego. Podarował całą sumę lokajowi i jednocześnie go wylał. Tak jest! Powiedział mu: „Chcę cię spłacić. Weź to. I wynoś się natychmiast.” Dał mu pół miliona franków.

— Och, to naprawdę szaleniak!

— Wcale tak nie uważam. Ale posłuchaj do końca. Lokaj natychmiast zatelefonował do matki naszego muzyka po instrukcje... tak, on ma przeszło siedemdziesięcioletnią matkę...

— Kon, czy mogłabyś przyjść tu na chwilę? — zimno i wyraźnie odezwał się Clifford.

— Bardzo mi przykro — lodowato odparł Duncan — ale opowiadam Kon o pewnym drobnym wydarzeniu i muszę skończyć.

— Czyżby? — powiedział Clifford. — A ja koniecznie potrzebuję jej pomocy.

Konstancja wstała i poszła przestawić mu nogę i uwolnić od bolesnego skurczu, który czasem go chwycił. Wróciła potem do Duncana.

— I jak się ta historia skończyła — zapytała.

— Nie mogę sobie przypomnieć. Schwycił mnie skurcz mózgu. Czy mogłabyś mocno uderzyć mnie w głowę?

— Po co?

— Żeby zapomniał o dwóch ostatnich minutach i żeby przeszedł mi skurcz.

— Może puścimy jakiegoś foxtrota? — z zimną krwią zaproponowała Anne Maitland, kuzynka Clifforda. Wstała, żeby wybrać płytę.

Na drugi dzień rano Konstancja dostała list.

„Szanowna lady Chatterley, może zainteresuje Panią wiadomość, że wczoraj odbyła się moja rozwodowa rozprawa i dostałem odroczone unieważnienie. Jak wszystko dobrze pójdzie, wyrok uprawomocni się za sześć miesięcy, licząc od wczoraj. Pani Tewson przesyła wyrazy uszanowania i ma nadzieję, że czuje się Pani dobrze. Zapytuje, czy wpadłaby Pani któregoś dnia porozmawiać o socjalizmie, a może nawet o bolszewizmie z panem Tewsonem. Z wyrazami szacunku, oddany sługa, O.P.”

Konstancja pokazała ten list Duncanowi, który spokojnie go przeczytał.

— O.P...Op! Czy to inicjały lubego? Hopla, hop!

— Tak.

— A czy ty hop, hop, podskoczysz do pani Tewson, żeby porozmawiać o socjalizmie, a może nawet o bolszewizmie z panem Tewsonem i spotkać się z tajemniczym Opem?

— Sama nie wiem.

— Lepiej weź mnie ze sobą. Chciałbym zobaczyć ojca spadkobiercy i przyszłego dziedzica Wragby. Może mógłby mi nawet pozować... a ja ofiarowałbym ten portret Cliffordowi, gratulując mu urodzin dziecka. Portret Opa, ojca wszystkich przyszłych Chatterleyów... Mądre jest dziecko, które zna swego ojca. I równie mądry jest ojciec, który

zna swoje dziecię. Jaka szkoda, że będąc z tobą zawsze mówię za dużo. Mógłbym być ojcem tego dziecka zamiast Opa, gdybyś nie wyciągała ze mnie słów, zamiast nasienia. Myślę, że masz dziecko z Opem dlatego, że poza tym niewiele miał ci do powiedzenia.

— Nie pomyślałam o tym. Może masz rację. Każdy chce wygadać wszystkie swoje...

— Bohaterskie porywy — dokończył. — Całkiem słusznie. Z tobą całe moje nasienie wylewa się w słowach. Wielka szkoda, naprawdę. Chociaż nie jestem pewny. Nie chciałbym być ojcem wszystkich przyszłych Chatterleyów, Niech mnie Bóg uchwata. Za nic! Nie chciałbym nawet być ojcem własnego dziecka. Wiem, że nie byłoby w połowie takie mądre jak to, co mówię i w dodatku nie można by było natychmiast o nim zapomnieć. Wolę już nierządne operowanie słowami....

Konstancja milczała, ale uśmiechała się mimo woli. Czuła się lepiej słuchając zabawnych, skandalizujących wywodów Duncana. Ostatecznie świat jest tak pełen frazesów i fałszu, że chyba najprzyzwoitszym wyjściem jest kpina. Każdy powinien umieć śmiać się ze wszystkiego. Ale jednocześnie nie można wszystkiego zbyć śmiechem.

— Czy myślisz, że popełniłam błąd, mając z Opem dziecko?— zapytała.

— Jeszcze go nie masz — odparł spokojnie. — Przypuszczam, że czułabyś się czegoś pozbawiona, gdybyś w ogóle nie miała dzieci. Jeśli naprawdę chciałaś, żeby ktoś stłukł ten garnek i rozlał mleko, to śmieję się teraz, kiedy się to stało. Czy wolałabyś, żeby to było dziecko Clifforda, a nie Opa?

— Byłoby to łatwiejsze — odparła. — Mogłabym szybciej o nim zapomnieć.

— Pewno bardzo byś tego chciała, gdyby chodziło o autentycznego małego Chatterleya. A ponieważ dziecko jest bękartem, zapewne będziesz uważała, że należy mu okazać więcej czułości.

— Nie, to niezupełnie tak — odparła. Ale gdy to mówiła, w piersiach nagle zabrakło jej tchu, serce zaczęło gwałtownie bić, a twarz i szyja poczerwieniały w bolesnym skurczu.

— Obawiam się, że mogę je pokochać — dokończyła, oddychając z trudem.

Duncan spojrział w jej szeroko otwarte, przerażone oczy i roześmiał się.

— Jeśli się obawiasz, że możesz je pokochać, ja się boję, że tak będzie na pewno. Więc nie tylko mleko zostało rozlane, ale i oliwa dolana do ognia. — Patrzyła na nią z zaciekawionym. — Powiedz mi, tylko to jedno mi powiedz, Konstancjo: Czy moje dziecko oddałabyś tak samo jak Opa?

Spojrzała na niego pociemniałymi oczami.

— To byłoby niemożliwe — odparła. Duncan patrzył na nią podejrzliwie i ironicznie.

— Moja mała Konstancjo — powiedział — czy chcesz powiedzieć, że naprawdę go kochasz? Co wcale nie znaczy, że jesteś w nim zakochana. W pięćdziesięciu procentach zakochana jesteś we mnie, w dwudziestu pięciu w Cliffordzie, a w pozostałych dwudziestu pięciu w sobie samej. Patrz, jaki jestem dla ciebie łaskawy. Ale miłość?.. Czy mam wierzyć, że kochasz tego twojego Opa? Wiem, że nie jesteś w nim zakochana. Naprawdę go kochasz? To niemożliwe. Dzisiaj nikt nikogo nie kocha. Wszyscy jesteśmy zbyt zakochani, żeby mieć czas na miłość.

Patrzyła na niego przerażona i serce znów zaczęło jej bić gwałtownie, pozbawiając ją tchu. .

— Wiem co masz na myśli — odparła. — Nie jestem w nim zakochana. Ale nie jestem pewna, czy...

— Czy go kochasz?

— Tak. Dotąd niewiele tego doświadczyłam.

— Na pewno nie! Mogę za to ręczyć!

Uśmiechał się, ale jego twarz ściągnięta była dziwnym bólem. Konstancja przyglądała mu się, oczekując odpowiedzi.

— Nie troszczyłaś się o niego zbyt w ostatnich dniach, o ile udało mi się zauważyć — powiedział.

— Tak, wiem. — odparła. — Czuję się od niego wolna, zupełnie wolna. I raptem wybucha we mnie jakiś ogień i to jest...

— To jest co?

— Parkin.

— Op?

— Tak.

— Hm.

Przez chwilę się zastanawiał.

— I jak długo trwa taki ogień? — zapytał.

— Nie wiem. Nigdy tego nie wiem.

— Ale lubisz ten stan, prawda? — zapytał niecierpliwie.

— Też tego nie wiem. To jest takie silne. I on to sprawia. Wszystko we mnie płonie, i on jest tym ogniem.

— Hm... I chciałabyś być razem z nim?

— Ogromnie.

— Czy chciałabyś być z nim teraz? Westchnęła.

— Tak — przyznała się.

— Hm. Wobec tego mam nadzieję, że ten ogień niedługo wygaśnie, bo robisz się nudna. Powiedz, jak mogę go zalać wodą. Uważam zakochanych za straszliwych nudziarzy, ale teraz widzę, że to anielskie chóry w porównaniu z ludźmi naprawdę kochającymi. Ha! Ha! — zaśmiał się trochę teatralnie, wcisnął w róg dużej kanapy i pogrążył się w myślach.

Konstancja siedziała w milczeniu, z rękami złożonymi na kolanach. Zupełnie zapomniała o swojej robótce.

— Myślę, że kobieta w ciąży rozpaczliwie tęskniąc do mężczyzny, który obdarzył ją dzieckiem, to już koniec świata — powiedział. — Dlaczego nie pojedziesz do tego swojego Opa, jeśli tak za nim szalejesz? Dlaczego nie przeskoczysz do niego, hop, hop, w trzech susach, jak trójskoczek?

— O tej porze pracuje w stalowni — odparła.

— Jest jeszcze głupszy, niż myślałem. Każdy, kto w dzisiejszych czasach zgadza się być płatnym niewolnikiem, jest skończonym głupcem. Nie zwracaj sobie nim dłuższej głowy. Heloci i Hoplici! Ile zarabia tygodniowo?

— Pięćdziesiąt pięć szylingów.

— Ha, ha, ha! To niewiarygodne!, Nieśmiertelny płomień

wynajmujący się za pięćdziesiąt pięć szylingów na tydzień! Prometeusz za dwa pensy na godzinę. Op za dwa dolary dziennie. No, hopkaj, hopkej, siostró! Ile masz własnych pieniędzy?

— Około pięciuset funtów rocznie.

— Więc dlaczego go nie wykupisz?

— Bo nie da się kupić.

— Może się sprzedawać, ale nie da się kupić. Ogień, nie ogień, boję się, że Op to skończony głupiec. Na twoim miejscu zażyłbym kropli walerianowych i ugasił ten ogień.

— On mówi, że jest głupcem na swój własny, rachunek.

— Rzeczywiście tak mówi? Wobec tego to musi być wyjątkowy okaz! Czy można sobie wyobrazić coś podobnego? Chwalić się, że jest się głupcem? Ha, ha, ha! Zbrzydli mi ludzie, Heloci, Hoplici i Oplici! Czy wiesz co dolega dzisiejszemu człowiekowi? Tobie, mnie, wszystkim, nie wyłączając Opa?

— Nie wiem.

— Ten sterylny, stęchły egoizm izoluje nas od całego świata. To nie jest samolubstwo. Samolubstwo zachowało jeszcze w sobie coś z instynktu. To jest egoizm, tani, stuprocentowy i uparty. Będąc nędznymi, nowoczesnymi egoistami, stajemy się jeden dla drugiego zgrzytającym w zębach żwirem, ziarnkiem piasku w oku. Każdy ma swoje „ja”, małe jak ziarnko piasku. To nie tylko nasienie Abrahama rozsiane jest jak ziarnka piasku na brzegach mórz, lecz wszyscy ludzie na świecie. Cała Sahara ziarek piachu, jałowych, egoistycznych, drobnych indywidualistów, śpiewających jak śpiewają ocierające się o siebie piaskowe ziarnka: „Alleluja! Tu jestem! Cudowny, znakomity, wspaniały Ja!” I udając, że mierzymy ludzi ich własną miarą, pozwalamy tej zabawie trwać dalej. „I konik polny będzie ciężarem i zmysły nas zawiodą”. Gdzieś widziałem ten cytat. Myślę, że jest bardzo udany. Nie tylko konik polny jest ciężarem, jest nim także boża krówka i wszystko, co nie jest tobą. Wszystko, co nie jest mną, jest dla mnie ciężarem. *Żądza* dzięki Bogu wygasła i małe ziarenko jest całkowicie zdane na siebie, razem z wszystkimi pozostałymi ziarnkami piasku. „Ja”, „Ja”, tylko „Ja”! Ludzie, którzy mówią piękne słówka i oblewają nas słodkim syropkiem, żeby z nas zrobić piaskowy torcik, to najobrzydliwsi, cuchnący egoiści, zalewający nas śluzem własnego „ja”, żeby nas złapać jak ptaki na lep.

Konstancja wysłuchiwała tej tyrady w milczeniu.

— Gdybym wierzył w Boga, prosiłbym go, żeby mnie zniszczył. Nie uważałbym się za godnego żyć na świecie stworzonym przez Niego. — Ale Bóg miłości odmówiłby spełnienia twojej prośby — odparła Konstancja. — Musiałbyś sam się zniszczyć lub znaleźć jakieś inne wyjście. — No właśnie! Na pewno by tak zrobił. Jestem ziarnkiem piasku na brzegu oceanu miłości. Ich armer Tropi. I nie wyobrażaj sobie, że ty naprawdę kochasz swojego Opa. Kochasz tylko swoje „Ja”. I jego „Ja” w jeszcze większym stopniu. Będziesz schlebiała jego próżności. Prości ludzie są tysiąc razy bardziej egoistyczni i zarozumiali niż my. I jeżeli nie mogą nimi być, zachowują się jeszcze ordynarniej. My zachowujemy przynajmniej jakieś pozory. Oni puszczejają parszywe psy swego „Ja” na swobodę, żeby siusiały na każdym progu. Są takimi samymi egoistami jak my, tylko ordynarniej od nas się zachowują. Op jest jednym z nich. Wywahałem to z jego listu: „Sędzia dał mi unieważnienie”... zupełnie jakby sędzia ofiarował mu srebrny puchar czempiona. Jest takim samym maleńkim egoistą jak cała reszta. I gotów jestem się założyć, że jest nicponiem, bo inaczej nie zgodziłby się zostać ojcem wszystkich Chatterleyów. A twój niebiański ogień, to tylko twoje „Ja”, gotowe do jakiejś nowej sztuczki. Pewno myślisz że potrafisz narzucić swoje „Ja” Opowi, myślisz że jest prostym, zmysłowym mężczyzną, który ci na to pozwoli. Właśnie do tego zazwyczaj sprowadza się miłość: gorączkowe usiłowanie jednej osoby narzucenia drugiej osobie swego „Ja” i swej woli. Choć prawie zawsze właśnie kobiecie udaje się narzucić swoje „Ja” i swoją wolę mężczyźnie. Wydaje mi się, że tego właśnie szukasz u Opa. Z Cliffordem już przestało cię to bawić! Jest starym, wychudłym ptakiem, jego dziób i szpony są równie mocne jak twoje, możecie więc tylko skakać wokoło waszej t r o -uville w postaci domowej padliny, jak para starych kruków. Ale myślisz, że Parkan, czy jak on się tam nazywa, jest tłustszym kąskiem dla emocjonowania się i ujarzmiania. I jeśli ci się nie uda całkowicie go podbić i zaanektować, będziesz mogła przynajmniej, za obopólną zgodą, objąć nad nim protektorat. Ale jeżeli choć trochę znam górników i hutników, spotkasz się z jego strony z najtwardszym, upartym egoizmem, jaki wyprodukował nasz twardy i egoistyczny powojenny świat. Twardy jak żelazo i niemal tak samo nieczuły. Twój Op ukaże w pełnej chwale swoje małe „Ja”, wydusi z ciebie, co będzie chciał... a potem basta! Żegnaj Dolly, muszę cię opuścić.

Konstancja siedziała, szyjąc i uśmiechała się sama do siebie, mimo że ani jedno słowo nie uszło jej uwagi. Wydawały jej się niezwykle trafne, mądre i prawdziwe. I oczywiście, jak wszystko, co jest prawdziwe i co nie godzi w czułe miejsce słuchacza, wydawały się jej ogromnie zabawne. Nie raniły jej, bo Duncan najwyraźniej sam czuł się urażony i jątrzył swe rany.

— Pamiętasz Woltera? — zapytała. — „Skromność spłynęła z naszych warg i w naszych sercach znalazła schronienie”. Oto parodia odpowiednia do mojej sytuacji.

Zwinął się na kanapie jak schwytyany wąż.

— Znajdzie dom pełen — powiedział. — Nie ma miejsc, wszystkie zajęte. W twoim sercu mieszka twoje „Ja”, więc skromność nie znajdzie żadnego wolnego kącika, do którego mogłaby się wśliznąć.

— Ona ma skrzydła — odparła Konstancja. — Będzie mogła usiąść na poręczy, w głowach mojego łóżka.

— I będzie ci ronila łajno w oczy. Mam nadzieję, że to zrobi.

W niedzielę rano wybrali się dwuosobowym samochodem Duncana na przejażdżkę. Był doskonałym kierowcą i lubił szybką jazdę. Celem ich wycieczki były okolice Peak.

Ale gdy przejeżdżali przez Tevershall, ktoś uklonił się Konstancji. W pierwszej chwili nie zorientowała się, kto to. Lecz zaraz potem, gdy go minęli, postać w granatowym garniturze i czarnym kapeluszu zabłysła nagle w jej świadomości. Obejrzała się. On też się obejrzał. To był jej Op, jak go nazwał Duncan.

— Stań na chwilę! Stań! — zawołała szybko. Duncan nadepnął na hamulec.

— Czy coś się stało? — zapytał.

— Chcę tylko z kimś porozmawiać.

Samochód zatrzymał się przy krawężniku. Konstancja odwróciła się, by spojrzeć za siebie. Pomachała ręką do Parkina, a on ruszył powoli w jej kierunku, uchylając czarnego kapelusza. Pomimo wszystkich serdecznych uczuć, jakie dla niego żywiła, wydał jej się śmieszny: raczej niski, sztywny, ze sterczącymi, wystrzępionymi z jednej strony wąsami i czujnością w ruchach. Śmieszny mały samiec, stale gotowy bronić własnej ważności. Gdy czar zmysłów przemija, praktycznie biorąc każda młoda, nowoczesna kobieta tak widzi swojego mężczyznę, w świetle jej własnej pogardliwej wyższości. Tylko ogień pożądania sprawia, że kobieta i mężczyzna tolerują się wzajemnie. Zaledwie zgaśnie, ci nowocześni apodyktyczni egoiści widzą w sobie nawzajem wroga. Kobieta, która z jakiegoś powodu czuje się dziś zwycięska, gdy mężczyzna oddał w jej ręce większość swoich uprawnień, patrzy na swego męskiego partnera kpiąco. Mężczyzna zaś, zdając sobie sprawę, że dobrowolnie wyzbył się na rzecz kobiety przewagi, i nie mając dość siły, by ją odebrać, patrzy na nią z głęboką urazą.

Konstancja wychyliła się z samochodu i patrzyła na Parkina wielkimi, niewinnymi, błękitnymi oczami. Ładną, zaróżowioną, łagodną twarzą, tchnącą opiekuńczą czułością, wabiła go ku sobie. Jednocześnie skrywała w sercu śmiech, który w niej budził.

Czuła się zwycięska! A więc jednak! Musiał przyjechać do Tevershall, pomimo okropnej, przerażającej żony. Konstancja nie odpowiedziała na jego list. Czuła, że dość się za nim nabiegała. Jeśli ktoś ma się za kimś uganiać, tym razem kolej na niego.

I proszę, zjawił się! Nic dziwnego, że w głębi serca śmiała się z niego. Okazała się mocniejsza niż on. Pomimo wszystko musiał przyjść, jak pies bezradnie goniący za suką. Jego twarz, twarz robotnika, była blada i zacięta. Patrzyła na niego z wyrazem macierzyńskiej troski na łagodnej twarzy, skrycie śmiejąc się z niego w duchu.

— Co za niespodzianka! — zawołała. — Kiedy przyjechaliście?

— Dziś rano. Pomyślałem, że zobaczę, jak Albert sobie radzi, kiedy panowie polują.

— Ach, radzi sobie zupełnie dobrze. W tym roku jest na polowaniu pięć strzelb, razem z Cliffordem... słyszeliście?

— Tak. Mówiła mi matka.

— To jest pan Forbes... możecie go już spotkali. Ale on nie poluje.

Parkin skłonił się Duncanowi, patrząc na niego przenikliwie twardymi, brązowymi oczami o zwężonych źrenicach. Konstancja dobrze знаła te oczy. Nie ufały jej. I nie ustępowały jej. Ale kiedy rozplomieniała je i rozszerzała żądza, wtedy ją kochały. Gdy znów

się zwężyły, nie wierzyły i nie kochały jej. Teraz były boleśnie małe. Poczują niemal macierzyńską czułość.

Ale taka czułość zajmuje tylko serce kobiety i nie przenika głębiej, do źródeł jej istnienia. Tak głęboko przeniknąć może tylko czułość do tego, co nieznanne i ciepło mężczyzny-samca, którego kocha. Głębie te są mroczne i u większości nowoczesnych kobiet tak szczelnie zamknięte i doskonale obwarowane, że nikt nawet nie podejrzewa ich istnienia. Tylko czasem w tej obwarowanej głębinie coś dziwnie wzbiera i doskwiera. W Konstancji też głębie jej kobiecej jaźni były zamknięte i tajemniczy strumień żądz został zahamowany. Żyła macierzyńskim „ja”. Żałowała Parkina i chciała być dla niego macierzyńsko czuła, zamykając szczelnie swoje głębsze „ja”, a tajemniczy strumień, normalnie swobodnie płynący między mężczyzną i kobietą, szczelnie zatamować. Strumień pragnienia, zawsze w zasadzie łagodny, głęboki i nieświadomy, tylko chwilami wzbierający nieokiełznanym, gorącym pożądaniem i druzgocący wszelkie przeszkody. Jest on samą istotą życia, tym, co nas łączy. Czyni on nawet naród narodem — spaja ciche, niewidzialne ludzkie pragnienia w jedną wielką wspólnotę podobną do roju pszczół. Kluczem jest zawsze jakaś podświadoma, żywa idea, jednocząca masy ludzkie we wspólnym pragnieniu. Taka idea, niezręcznie nazwana Wolnością i Demokracją, była centralną siłą, która tak długo niosła Anglików we wspólnym, żywym nurcie pragnienia i pobudzała do czynu. Teraz wydaje się martwa, jak może być martwa pszczoła-matka.

— Może siądziecie z nami? — zaproponowała, nagle zapraszając otwierając drzwiczki samochodu. — Z łatwością zmieszczą się trzy osoby. Chyba nie masz nic przeciw temu, Duncanie?

— Ależ skąd! — odparł Duncan. — To wyłącznie twoja sprawa.

— Nie mogę tu wsiadać — powiedział Parkin, odsuwając się i rozglądając w koło.

— Dlaczego? Albert na waszym miejscu wsiadłby bez chwili wahania. Jak zresztą każdy inny.

— Nie, ja nie mogę tu wsiadać — zdecydowanie powtórzył Parkin.

— No, to może pójdziecie przez park do Stacks Gate, a my tam na was zaczekamy — zaproponowała Konstancja.

Spojrzał na nią tymi twardymi, zwięzonymi źrenicami. Doskonale wiedział, że chce mu narzucić swoją wolę. Ale jednocześnie chciał z nią pojechać. Cień bólu, który dojrzała w jego oczach, sprawił, że postanowiła postawić na swoim.

— Nie powinienem. I pani o tym wie — powiedział miękko.

— O, głupstwo! Ciągłe się czegoś boicie. Będziemy na was czekać.

— No, to postaram się być tam jak najprędzej — odparł z lekkim uśmiechem. Konstancja w głębi serca napawała się swoim triumfem, widząc, jak bardzo pragnął przyjść do niej.

— Nie śpieszcie się zanadto — powiedziała z troską w głosie.

Odwrócił się w stronę bramy parku, a Duncan zapuścił silnik.

— To oczywiście Op — powiedział.

— Tak! — potwierdziła Konstancja.

Siedziała zamyślona. Jej członki i całe ciało przebiegały gorące dreszcze na myśl, że on przy niej usiądzie.

— Szkoda, że tak mu sterczą te wąsy i ma dziurę w zębach — oświadczył Duncan. — Gdyby nie to, byłby dość przystojny. Powiedziałbym nawet, wystarczająco miły, żeby mieć z nim dziecko.

Ale Konstancja nie odpowiedziała. Była teraz niezadowolona z obecności Duncana. Chciała mieć Opa wyłącznie dla siebie.

Czekali niedaleko Stacks Gate, u wylotu długiej polnej drogi, prowadzącej do furtki w parku. W końcu zobaczyła zbliżającego się Parkina i chociaż ta zdążająca wielkimi krokami

postać zawsze z daleka wydawała się jej zabawna, jej serce zabiło mocno na jego widok. W łagodnym blasku wrześnieowego słońca szedł szybko, ze ściągniętymi w tył ramionami, niosąc w rękę swój czarny kapelusz.

Trzymała drzwiczki gościnnie otwarte, a on wsiadł do samochodu, wciskając się najdalej, jak mógł, w kąt siedzenia. Łapał oddech po szybkim marszu, a Konstancja przez płaszcz poczuła ciepło jego ciała.

— Nie będzie wam zimno? — zapytała. — Nie macie płaszcza.

— Obawiam się, że istotnie zmarznie — powiedział Duncan, który zawsze się ciepło ubierał. — Niech lepiej weźmie mój szal.

— Naprawdę nie trzeba — zaprotestował Parkin, podnosząc kołnierz i zapinając guziki marynarki. Ale Konstancja nalegała, żeby owinął ciepłym szalem szyję i gardło.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Duncan.

Postanowili jechać do Southwell drogą przez Sherwood Forest, bo Duncan nie widział jeszcze starej katedry.

Parkin siedział zupełnie nieruchomo, a Konstancja umieściła się blisko niego. Ujęła ukradkiem jego dłoń i trzymała ją schowaną. Poczuła, że jego palce kurczowo obejmują jej dłoń, nagłym, zachłannym, bezwiednym uściskiem. Uśmiechnęła się zwycięsko, czując ów konwulsyjny, nerwowy uścisk: Zrobił to z pewnością wbrew własnej woli. Jego ręce i ciało zdradziły go. Nie będzie zdolny się jej oprzeć. Trzymała dłoń w jego ręce, jak w gniazdku, wyczuwając stwardnienia odcisków. Jaka szkoda! Miał takie zręczne, żywe, ciepłe ręce, zanim zaczął wykonywać tę brutalną robotę...

— Jak idzie ci w pracy? — zapytała cicho. — Czy mniej się męczysz?

— Ta. Już prawie przywykłem.

— Ale nie jesteś jeszcze kierowcą?

— Mam zacząć jeździć z Billem, na pomocnika, w przyszłym miesiącu. A w styczniu, kiedy kupię nową ciężarówkę, będę jeździł jego starą.

— A dokąd jeździ Bill?

— Teraz najczęściej do Rothehamu. Wozi stalowe szyny.

Przysunęła się bliżej do niego w porywie pożądania, zupełnie bezpieczna, gdyż nie mogło teraz znaleźć upustu. Jakże ten człowiek umiał zaspokajać jej pragnienia! Czule, ze współczuciem głaskała stwardnienia na jego dłoni. A on zacisnął pięść i uwolnił rękę, instynktownie broniąc się przed jej litością. Położyła wtedy niepewnie drżącą dłoń na jego udzie, które wydało jej się silne i pełne życia. Zadrżała z rozkoszy.

Wiedziała, że nie może niczego od niej zażądać. Była w ciąży i czuła się bezpieczna. Dotykając go, mogła doznawać wszelkich zmysłowych rozkoszy i niczym nie ryzykowała.

Ale on? Jak on to odbiera? Spojrzała na niego, starając się przyciągnąć jego wzrok, chociaż wiedziała, że jej się to nie uda. Ale zauważyła, że jego ciało się odprężyło, a twarz przybrała łagodny, czuły wyraz spokoju, który czynił go pięknym. Jego oczy były szeroko otwarte.

Duncan zerknął na niego przelotnie znad kierownicy.

— Jest pan pewny że wszystko w porządku? — spytał uprzejmie. — Nie zimno?

— Dziękuję, wszystko w porządku — odparł Parkin, mierząc szybkim spojrzeniem długą, bladą, poważną twarz Duncana.

„Zabawne, jak mężczyźni zawsze starają się ocenić jeden drugiego” — pomyślała Konstancja.

— Pan Forbes jest malarzem. Pozwolicie mu namalować wasz portret? — zwróciła się do Parkina.

— Mój? A po co? — zapytał zdumiony OP.

— Chciałbyś, prawda? — zapytała Konstancja Duncana. Duncan szybko ocenił twarz tamtego.

zwycięsko, czując ów konwulsyjny, nerwowy uścisk: Zrobił to z pewnością wbrew własnej woli. Jego ręce i ciało zdradziły go. Nie będzie zdolny się jej oprzeć. Trzymała dłoń w jego ręce, jak w gniazdku, wyczuwając stwardnienia odcisków. Jaka szkoda! Miał takie zręczne, żywe, ciepłe ręce, zanim zaczął wykonywać tę brutalną robotę...

— Jak idzie ci w pracy? — zapytała cicho. — Czy mniej się męczysz?

— Ta. Już prawie przywykłem.

— Ale nie jesteś jeszcze kierowcą?

— Mam zacząć jeździć z Billem, na pomocnika, w przyszłym miesiącu. A w styczniu, kiedy kupię nową ciężarówkę, będę jeździł jego starą.

— A dokąd jeździ Bill?

— Teraz najczęściej do Rothehamu. Wozi stalowe szyny.

Przysunęła się bliżej do niego w porywie pożądania, zupełnie bezpieczna, gdyż nie mogło teraz znaleźć upustu. Jakże ten człowiek umiał zaspokajać jej pragnienia! Czułe, ze współczuciem głaskała stwardnienia na jego dłoni. A on zacisnął pięść i uwolnił rękę, instynktownie broniąc się przed jej litością. Położyła wtedy niepewnie drżącą dłoń na jego udzie, które wydało jej się silne i pełne życia. Zadrżała z rozkoszy.

Wiedziała, że nie może niczego od niej zażądać. Była w ciąży i czuła się bezpieczna. Dotykając go, mogła doznawać wszelkich zmysłowych rozkoszy i niczym nie ryzykowała.

Ale on? Jak on to odbiera? Spojrzała na niego, starając się przyciągnąć jego wzrok, chociaż wiedziała, że jej się to nie uda. Ale zauważyła, że jego ciało się odprężyło, a twarz przybrała łagodny, czuły wyraz spokoju, który czynił go pięknym. Jego oczy były szeroko otwarte.

Duncan zerknął na niego przelotnie znad kierownicy.

— Jest pan pewny że wszystko w porządku? — spytał uprzejmie. — Nie zimno?

— Dziękuję, wszystko w porządku — odparł Parkin, mierząc szybkim spojrzeniem długą, bladą, poważną twarz Duncana.

„Zabawne, jak mężczyźni zawsze starają się ocenić jeden drugiego” — pomyślała Konstancja.

— Pan Forbes jest malarzem. Pozwolicie mu namalować wasz portret? — zwróciła się do Parkina.

— Mój? A po co? — zapytał zdumiony OP.

— Chciałbyś, prawda? — zapytała Konstancja Duncana. Duncan szybko ocenił twarz tamtego. Kochana w Duncanie... w panu Forbesie. Ale oczywiście nic nie mówi. Nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Wiem tylko, że mu działam na nerwy. Pani Bolton jest dla niego duża lepsza, jest bardzo sprytna, łagodna i umie mu schlebiać. Prędko by go pocieszyła po moim wyjeździe. Zresztą, na pewno niewiele by go to obeszło. Zraniłoby jego próżność i poczucie własnej godności, ale jest pozbawiony serca, więc by go to nie dotknęło.

Parkin zastanawiał się przez chwilę.

— Nie — powiedział powoli. — To byłby dla niego ciężki cios. Ta! Stawiał na szacunek, jaki mu ludzie okazują. A gdybyś go opuściła, czułby, że nic mu nie pozostało.

— Ale dlaczego? Jako kobieta nic go nie obchodzi. Jeśli zależy mu na mnie tylko jako na żonie, to jego sprawa. Nie jestem naprawdę jego żoną, i dobrze o tym wiesz. Jeżeli jestem czyjaś żoną, to tylko twoją.

— Ta! — odparł powoli. — Nie jesteś jego żoną, jeśli o ciebie idzie. Ale dla niego nią jesteś. Myślę, że go to zabije, jak go opuścisz.

— Ach! — wykrzyknęła, dotknięta do żywego. — Nie wierz w to! Jest dostatecznie twardy i potrafi zamknąć się we własnej skorupie, szlachetny, cnotliwy i skrzywdzony. Na pewno z tego powodu nie umrze! Przeciwnie, będzie żył dłużej, jeśli odejdę. Jestem przekonana, że zdaje sobie z tego sprawę. A poza tym, tak bardzo cię obchodzi, czy Clifford umrze, czy nie? Przecież go nie lubisz.

— Tak — odparł. — Nie obchodzi mnie, czy sir Clifford umrze. Może nawet byłoby lepiej, gdyby tak się stało.

— No, właśnie. Dlaczego po twoim rozwodzie nie mielibyśmy zamieszkać razem, ty i ja, i wspólnie ułożyć sobie życie? Jeszcze nie powiedziałam Cliffordowi o dziecku i nic mu nie powiem. Jeżeli będziemy żyli razem, nigdy się nie dowie. Pojadę do Szkocji, do Hildy, i zostanę u niej, dopóki dziecko się nie urodzi. A potem, w marcu, kiedy będziesz wolny, przyjedziesz i będziemy mogli żyć razem, naszym własnym życiem. Mogę skłonić Clifforda, żeby mi dał rozwód i wtedy możemy się pobrać albo nie, jak będziemy chcieli. Nie zależy mi na tym. Ale powinniśmy być razem, jestem o tym przekonana. Jeśli się tak nie stanie, będzie to dla mnie wyrzeczeniem się wszystkiego w życiu i zaprzeczeniem wszystkiemu, w co wierzę. Nie czujesz tak samo?

— Ta! — powiedział wolno. — To brzmi bardzo pięknie. Tylko że... spojrzał jej w oczy. — Nie pojadę do Szkocji i nie będę żył w twoim domu, za twoje pieniądze. Nie zrobię tego. Bo nie mogę.

— Ale dlaczego? Skąd to nędzne tchórzostwo, gdy chodzi o niewielką sumę pieniędzy? Więc co chcesz zrobić?

— Co będę robił? To bardzo proste. Muszę zarabiać na życie i żyć z tego, co zarobię.

— Ale możesz zarabiać także na farmie. Możesz tak pracować, żeby dawała dochód! — krzyknęła.

Milczał chwilę, a potem powiedział:

— Ta. Jak inne potrafią, ja też bym umiał. Ale...

— Ale co? Może nie chcesz? — krzyknęła zdenerwowana. Spojrzał jej w oczy, tym razem ze smutkiem. Potarł czoło, zsuwając kapelusz na tył głowy.

— Niech mnie diabli, jak nie chcę, bardzo chce. Niech mnie diabli. Sam sobie byłbym szefem... z wyjątkiem ciebie... i sam bym decydował. Myślisz, że kto lubi wypruć z siebie flaki jak dzień długi za trzy funty tygodniowo i wiedzieć, że będzie tak zawsze i nic się nie zmieni? To więzienie, możesz mi wierzyć, to gorsze niż wojna, bo robi się za pieniądze, nie dla czego innego. Cieszę się, że mogę zarobić trzy funty tygoniowo, a jakże. Ale jestem niewolnikiem, to mój wyrok i przekleństwo, i o tym wiem. Bez żadnych szans i nadziei. Chyba, że to wszystko cholera weźmie. O, gdyby to ode mnie zależało! Niech przepada! Myślisz, że ja nie chcę się wyrwać? Naprawdę tak myślisz?

Patrzył na nią płonącymi oczami, w których dostrzegła gniew, tak jak kiedyś dawniej widziała pożądanie.

— Więc dlaczego nie chcesz się zgodzić? Przecież wiesz, że cię kocham.

— Ta! — odparł ochryple. — Wyrwij się za pieniądze kobity i potem żyj z jej pieniędzy!

Powiedział to z niezwykłą goryczą.

— Czy to takie ważne? Przecież będziesz pracował! — wybuchnęła Konstancja.

— Ta! A tamci? Wszyscy znajdują bogate kobity, które ich urządzają i postawią na nogi? Mogomna to czekać do Sądnego Dnia, a po nich ich dzieci, taką samą mają szansę, jakby już byli w grobie. Weź Billa, to porządny chłop i nie taki gorący, jak ja. Ale ma obrożę na szyi, wie o tym i to mu odbiera odwagę... Ta, mógłbym się wyrwać za pieniądze kobity. A co z wszystkimi chłopakami, którzy nigdy się nie wyrwą, nigdy, aż do czasu królestwa bożego i dalej? Co z nimi?

— Co ma być z nimi? Nie jesteś za nich odpowiedzialny. Kiedy byłeś gajowym, nic cię nie obchodzili...

— Prawda! Prawda! Tak było! Kiedy służyłem u sir Clifforda, nie myślałem o nich. Siedziałem w gajówce, jak niedźwiedź z obolałym nosem i myślałem tylko p sobie. Ale to się

już nie powtórzy. Wolę pracować u Jephsona niż służyć u sir Clifforda lub kogo innego, albo wszystko zawdzięczać kobiecie.

Trząśł się cały, miotany sprzecznymi uczuciami. Twarz miał bladą, jak ściana.

— Dlaczego nie chcesz mi zawdzięczać... tyle... a może tak mało? — spytała łagodnie.
— Boisz się mnie?

Spojrzał na nią z rozpaczą.

— Nie, nie boję się ciebie, dosłownie — odparł. — Nie jesteś kobietą, która by w ten sposób zawiodła mężczyznę. Zaufałbym ci jak samemu sobie, że byś się na mnie za to nie mściła, że ci tyle zawdzięczam, jak chodzi o pieniądze. To nie twój poziom. O tak, wiem to dobrze. Szanuję cię!

Urwał nagle, patrząc na nią.

— Ale boisz się mnie w inny sposób, prawda? — zapytała spokojnie.

— Ta — odparł cicho. — Ta, boję się. I mogę się do tego przyznać przed samym sobą i przed tobą. Boję się ciebie. Ta, tak właśnie jest. Boję się ciebie.

Mówił bardzo cicho, niemal z goryczą.

— Ale dlaczego? — zapytała, szeroko otwierając oczy.

— Jak ci to powiedzieć... Niełatwo z tobą żyć... chcesz wszystko po swojemu, a gdybym ci tyle zawdzięczał, musiałbym na to pozwalać, bo inaczej uważałbym się za łajdaka.

— A cóż by się wielkiego stało, gdybyś mi na to pozwolił? — zapytała oburzona. — Myślałam, że by ci to odpowiadało.

— Ta, w pewien sposób. Ale mężczyzna lubi czuć się pierwszą osobą w swoim domu. A to nie byłby mój własny dom. Więc musiałbym być drugi, i nie mogłoby być inaczej.

— Cóż za obrzydliwe tchórzostwo! Jakby mi zależało na tym, kto będzie pierwszy, a kto drugi. Bądź sobie pierwszy, jak ci na tym zależy. Jest mi zupełnie obojętne, czy będę druga, czy siedemdziesiąta druga! — krzyknęła.

— Taa! — powiedział. — Już to, jak to mówisz, dowodzi, że czujesz się najważniejsza, niezależnie od tego, o jakiego mężczyznę czy o co w ogóle chodzi.

— Nie jestem najważniejsza, nawet w stosunku do Clifforda.

— Jesteś, kiedy o ciebie chodzi. On jest ci obojętny. Złość i oburzenie pozbawiły ją tchu. W jej błękitnych oczach zabłysnął gniew i pogarda.

— Więc jeśli nie chcesz zamieszkać w moim domu, ze strachu, że będziesz w nim drugą osobą — powiedziała zjadliwie — właściwie co chcesz zrobić? Może pozwoliś mi zamieszkać w twoim domu, w którym ja będę druga, a ty pierwszy... i będziemy żyli jak Bill Tewson z jego żoną i bachorami, wszyscy razem na kupie? Czy chciałbyś, żebym to zrobiła?

— Nigdy byś tego nie zrobiła, więc po co to gadanie?

— Tak, rzeczywiście nie zrobiłabym tego! Ani dla ciebie, ani dla żadnego nędznego mężczyzny, który uważa, że musi być Bogiem wszechmocnym, zanim łaskawie pozwoli kobiecie spojrzeć na siebie... Ale niech pan się dłużej nie martwi, panie Parkin! Nie będę już się panu narzucała. Tym razem pożegnamy się na dobre... jeśli tak się obawiasz, że nie będziesz pierwszą osobą w domu. W m o i m domu, pozwól to sobie powiedzieć, nie ma pierwszej ani drugiej osoby, ani żadnych dalszych numerów. Jesteśmy istotami ludzkimi, nie wchodzimy jedno drugiemu w drogę i nikt u nas nie walczy o pierwszeństwo. W moim domu mamy wszyscy dość przyzwoitości, żeby każdemu pozwolić żyć swobodnie, na odpowiednim poziomie. I w moim domu tak będzie zawsze. Nic nie rozumiem z tych obrzydliwych, prostackich kłótni... kto silniejszy, kto słabszy, kto na wierzchu i kto pod spodem. To przekracza moje pojęcie!

Uśmiechnął się gorzko, w milczeniu.

— Jak sobie życzysz — powiedział. — Ale pamiętaj, że sama się zapytałaś.

— I bardzo się z tego cieszę. Teraz przynajmniej wiem dokładnie, jak jest! — krzyknęła z pogardą.

Wrócili do hotelu, milcząc. Konstancja chciała jak najprędzej odjechać sama. Jej nerwy były napięte do ostatnich granic i miotła ją złość. Posłała Parkina po Duncana, którego znalazł w katedrze, podziwiającego jakiś stary normandzki fresk. Zaraz potem ruszyli w powrotną drogę.

— Pojedźmy przez Nottingham — nagle powiedziała Konstancja.

— W porządku — odparł Duncan, szukając wzrokiem skrzyżowania ulic, gdzie mógłby zawrócić. Był w doskonałym humorze. Nie zauważył jeszcze ponurego nastroju tamtych dwojga.

Ale Konstancja, siedząc między Parkinem i Duncanem, nie mogła się uspokoić. Nie mogła znieść bliskości ciał tych dwóch mężczyzn. Szczególnie Parkina. Nie mogła zapomnieć o jego obecności. Jego ciało dotykało jej, chociaż usilnie starała się wcisnąć w sam kat siedzenia. Przy każdym takim zetknięciu miała ochotę głośno krzyknąć. Znikł gdzieś łączący ich nurt sympatii. Parkin siedział w milczeniu, twardy i spięty, odsuwając się szybko, gdy pęd samochodu rzucał ich na zakrętach o siebie. Ale ona nie mogła tego uniknąć i chwilami gotowa była go zamordować. Jechali szybko wąskimi drogami, przez spokojne, senne wsie South Notts. Pełno tu było wysokich żywopłotów i drzew, starych domów i poletek kukurydzy. Młockarnie stały milczące i nieruchome na podwórkach, była niedziela. Jechali przez spokojny, cichy zakątek Anglii.

Ale wkrótce dostrzegli Trent i dymiące zbiorowisko domów Nottinghamu. „Dzięki Bogu, za chwilę się to skończy” — pomyślała Konstancja. Nie mogła już dłużej wytrzymać sąsiedztwa tych dwóch mężczyzn.

— Zajedź na dworzec, Duncanie — powiedziała. — Chcę się rozejrzeć w rozkładzie pociągów.

Duncan skręcił w stronę ciemnej wieży Kościoła Najświętszej Marii Panny.

W mieście panował spokój, ruch był mały, a dworzec zdawał się opuszczony. Ale Konstancja znalazła tragarza, od którego dowiedziała się, że za dziesięć minut odejdzie pośpieszny pociąg do Uthwaite, jeśli przesiądzie się w Trent.

Duncan poszedł za nią, zostawiając Parkina na straży samochodu.

— Wracam do domu pociągiem — oświadczyła Konstancja. — Jazda samochodem działa mi na nerwy.

— Pociągiem? — wykrzyknął zdumiony. Ale Konstancja już poszła kupić bilet.

— Czy mógłbyś odebrać mnie w Uthwaite? — zapytała. — Sprawdź u tego kolejarza, o której tam będę.

Duncan dowiedział się że pociąg będzie w Uthwaite o pół do piątej.

— Ale dlaczego? — pytał. — Czemu to robisz?

— Bo jazda samochodem mnie męczy — odparła.

— Jeśli jest ci za ciasno... — zaczął.

— To nie to — zaczerwieniła się, gniewnie ściągając brwi. — Chodzi o samą jazdę.

Duncan podniósł ręce w górę, poddając się. Znał ją od dawna. Kupił peronówkę i odprowadził ją do pociągu.

— Pożegnaj ode mnie Parkina — powiedziała. — Masz! Daj mu mój szal. Nie będzie mi potrzebny w pociągu.

— Może wziąć mój — zaproponował.

Ale napotkawszy jej płonący gniewem wzrok, bez słowa odebrał szaroniebieski szal, który mu podała.

Czekali w milczeniu, póki prawie pusty pociąg nie ruszył ze stacji. Patrzył jak odjeżdżała — twarz jej była silnie zarumieniona, a szeroko otwarte oczy miały dziwny, obcy wyraz. Ale znał ją od dawna. Wiedział, że nie warto z nią dyskutować. Wrócił do samochodu i usiadł za kierownicą.

— Niech pan wsiada! — zwrócił się do Parkina.

— A lady Chatterley?

— Pojechała pociągiem. Zostawiła panu swój szal — podał go Parkinowi. — Prosiła, żebym pana od niej pożegnał.

Parkin bez słowa wszedł do samochodu i ruszyli z miejsca.

— Powiedziała, że jazda samochodem ją męczy... w jej obecnym stanie... — powiedział Duncan, zmieniając bieg na stromej Alfreton Road.

— W jej stanie? — powtórzył Parkin, którzy siedział patrząc pośepnie przed siebie.

— Kiedy kobieta jest w czwartym miesiącu ciąży...

Jechali dalej w milczeniu, czując do siebie wzajemną niemą sympatię mężczyzn, cierpiących z powodu tej samej kobiety. Duncan i Parkin instynktownie się polubili.

— Powiedziała panu, że jest w czwartym miesiącu? — zapytał Parkin.

— Och, znamy się od dziecka — odparł Duncan. — Mój ojciec był pastorem we wsi, która należała do jej dziadka. Byliśmy nawet zaręczeni i mieliśmy się pobrać.... dziesięć lat temu.

— Och! — odezwał się tępo Parkin.

— Oboje byliśmy zadowoleni, kiedy zerwaliśmy zaręczyny. Uważaliśmy chyba, że za dobrze się znamy. Proszę, niech pan się owinie tym szalem. Nie jest za ciepło.

— Nie zimno mi.— odparł Parkin.

— Na pewno pan zmarznie. Niech pan to weźmie.

— Nie! — stanowczo odmówił Parkin. — Jest mi zupełnie ciepło. Dajmy już temu spokój.

Umilkli i dalej jechali w milczeniu aż do Moorgreen. — Jak ona się dostanie z Uthwaite do domu? — zapytał Parkin.

— Odbiorę ją z pociągu. Będzie w Uthwaite dopiero po czwartej. Czy pan wraca do Sheffield?

— Ja? Tak. Dam sobie w Uthwaite radę. Są stamtąd pociągi i autobusy.

Znów długo milczeli. Popołudnie było pochmurne i Parkinowi zrobiło się chłodno.

— Proszę, niech pan to weźmie — powiedział Duncan, zdejmując swój szal i podając go Parkinowi. — Niech pan włoży mój, a ja wezmę ten drugi.

Jedną ręką zręcznie owinął szyję szaroniebieskim szalem Konstancji, a Parkin wsunął końce szala Duncana głęboko pod marynarkę.

— Co między wami zaszło? Może mi pan coś na ten temat powiedzieć? — zapytał Duncan.

— Powiem panu — odparł Parkin. — Wygląda na to, że i ona panu powie. Zaproponowała mi, żebyśmy zamieszkali razem... za jej pieniądze... a ja nie mogę się na to zgodzić.

— A co stoi na przeszkodzie?

— Po jakimś czasie będzie tego żałowała. To prawda, że lubi mnie na swój sposób. Ale zawsze z radością mnie opuszcza. Widziałem to za każdym razem. Jak dziś.

— Może próbował pan ją do czegoś zmuszać? Ona i jej siostra nie znoszą tego.

— Chyba nie. Nie przypuszczam, żeby to było powodem. Kiedy byliśmy naprawdę ze sobą blisko, zawsze się to powtarzało: „Do widzenia. Muszę już iść.”

— Żeby wrócić do sir Clifforda?

— Ta, do Wragby.

— Chyba musiała tam wracać.

— Musiała. Ale zawsze z góry wiedziałem, że to powie: „Do widzenia. Muszę już iść”. Takim tonem, jakby nie mogła doczekać się chwili, kiedy mi to powie.

— A panu sprawiało to przykrość?

— Myślę, że tak. Bo inaczej nie byłoby mi przykro teraz. Duncan przez chwilę się zastanawiał.

Ale jeśli chce, żeby pan za nią pojechał i z nią zamieszkał, chyba jednak nie chce pana opuścić — odezwał się w końcu.

— Powiedziałyby to. Od czasu do czasu by to mówiła. A potem odchodziłaby. Po prostu, żeby mi pokazać, że jest wolna, że może przychodzić i odchodzić, jak chce. I zawsze byłaby myłady, a ja jej podwładnym.

— Nie! Myli się pan. To nie ma nic wspólnego z jej wielkopaństwem. Była taka sama jako młoda dziewczyna, kiedy w ogóle nie wchodziły w grę tytuły, majątki i tak dalej. Jest taka z natury. Dlaczego nie miałyby taką pozostać?

— Niech sobie będzie. Ale nie ze mną. To tak, jakby się dostało w gębę, kiedy przed chwilą trzymało się kobietę blisko przy sobie, obejmowało ją i chciało się tak z nią leżeć na zawsze. Ale ona wstaje i „Do widzenia. Muszę już iść.” Czuje się, że nie mogła doczekać się chwili, kiedy to powie, już długo przedtem, zanim powiedziała. To tak, jakby dostało się kopniaka, kiedy człowiek nie może się od niej oderwać, tak mu dobrze.

Duncan nie odrywał wzroku od szosy.

— To, co kobieta nazywa swoją wolnością, to jakiś diabelski wymysł — rzekł w końcu.
— Gzy pan powiedział jej to, co mnie teraz?

— Nie, tego nie powiedziałem. Ale powiedziałem, że nie mogę zamieszkać w jej domu, brać od niej pieniędzy i zgodzić się, żeby mną rządziła. Dlatego sobie poszła.

— A czego się pan spodziewał? Dopuścić, żeby coś tak marnego, jak pieniądze, was rozdzieliło? Jak bym ją słyszał! Ale niech pan nie zapomina, że ona nigdy nie wypominałaby panu tych pieniędzy.

— Wiem! Wiem o tym! Ona nie byłaby skąpa — z głębokim przekonaniem zawołał Parkin. Potem potrząsnął głową. — Ale chciałyby rządzić mężczyzną. Nie potrafi inaczej.

— Chciałyby go mieć wyłącznie dla siebie, jeżeli by jej na nim bardzo zależało. To owszem... uwiązać go i mieć tylko dla siebie. Czy panu by to tak bardzo przeszkadzało?

— Sam nie wiem — odparł Parkin. — Ale nie mogę tak zacząć! Nie mogę iść do niej i żyć za jej pieniądze. Już niechby kawał żelaza spadł mi na głowę, wolę zginąć.

Duncan spojrział na niego z zainteresowaniem. — Takie to dla pana ważne? — zapytał. — Nie przypuszczam, żeby te względy tak bardzo mnie zrażały.

— Pan jest inny i pana sytuacja jest inna. Nie jest pan robotnikiem. Pan jest dżentelmenem i należy pan do tej samej klasy, co ona.

— Ja? Syn biednego szkockiego pastora? Dobrze, że sir

Clifford pana nie słyszy. On uważa, że stoję dużo, dużo niżej od niego na społecznej drabinie. Nie wiele mnie to wzrusza. Tak samo ją... ona ma inną mentalność. Ale dlaczego tak się pan broni przed tym, żeby zamieszkać z nią na jakiejś cichej, spokojnej farmie, gdzie moglibyście razem pracować?

— Gdybym miał własne pieniądze, mógłbym to zrobić. Chociaż nie jestem pewny... Biorąc wszystko razem do kupy jestem robotnikiem, i tego się trzymam. Wychowałem się wśród robotników, po co miałbym się teraz pchać wyżej, między innych? Nie lubię dżentelmenów, sądząc z tego, co o nich wiem. Czego miałbym szukać między nimi?

— Powiedział pan przed chwilą, że ja jestem dżentelmenem.

— Ta, ale pan jest taki jak ona... panu nie zależy, czy pan jest tu, czy gdzie indziej. Pan trochę jest od nas i trochę od nich. Ale ja wiem, kim jestem, wiem, że należę do robotników. Mam się tego wypierać i piąć się wyżej.

— Pan jest bardzo podobny do niej i do mnie... te rzeczy są panu w zasadzie obojętne — rzekł Duncan. — Nie jest pan zwykłym, prostym człowiekiem. Należy pan do odmieńców, którzy nie pasują do żadnej z klas. Jak ja, jak Konstancja i jej siostra Hilda. Clifford Chatterley to zdecydowanie dziecko swojej klasy. Stąd jego ograniczenie i dlatego czasem mam ochotę go kopnąć.... Ale pan nie jest przeciętnym typem robotnika, tak samo jak ja

typowym dżentelmenem, a Konstancja typową lady. Wszyscy troje jesteśmy białymi nosorożcami, jeśli chodzi o różnice klasowe.

Parkin zastanowił się nad tym.

— Wiem — powiedział cicho jakby się zwierzał. — Nie jestem taki, jak Bill ani jak moi kumple od Jephsona. Ale to dlatego, że nigdy nie byłem zadowolony. Moja matka zawsze twierdziła, że coś mnie gnębi... pewno dlatego taki jestem. Zawsze coś mnie gryzło. Myślę, że coś jest ze mną nie tak... i zawsze było. Czułem to, jak daleko sięgam pamięcią... jak gdyby coś było ze mną nie w porządku. Nigdy we wnętrzu nie czułem się zadowolony, jak moi kumple. Ale ludzie u Jephsona chyba mnie lubią i nie chcą, żebym odszedł. Ja też nie chcę ich zostawić...

Widać już było krzywą wieżę kościoła w Uthwaite. Było wcześniej. Pociąg Konstancji jeszcze nie przyszedł. Jechali szybko, w milczeniu, aż do głównego skrzyżowania ulic w miasteczku.

— Czy zajdziemy na herbatę „Pod Słońce”? Albo może wolałby pan, żebym pana odwiózł do Tevershall i wrócił po Konstancję?

— Nie pojedę dzisiaj do Tevershall. Wrócę stąd wprost do Sheffield. Gdybym tam pojechał, mogłaby mnie szukać... a ja nie chcę jej już dziś widzieć.

Poszli do starego pocztowego hotelu, który teraz stał się hotelem kierowców. W hotelu było zacisznie i na kominku palił się ogień. Oprócz nich nie było tam nikogo. Nie rozmawiali niewiele mieli już sobie do powiedzenia. Parkin spojrzął na zegar.

— Pojadę autobusem o czwartej — powiedział.

— Woli pan?

Duncan czuł, że wydarzyło się coś fatalnego. Pomimo wszystko, związek Parkina z Konstancją był konkretnym faktem. Parkin siedział przybity i wyglądał jak skazaniec. Duncan rozumiał go i znów zbudziło się w nim współczucie. Była za dziesięć czwarta.

— Coś panu zaproponuję — powiedział. — Jeżeli pan tu na . mnie zaczeka, odwiozę Konstancję do Wragby i wrócę po

pana. Będziemy mogli jeszcze raz o tym porozmawiać, to znaczy co oboje zrobicie, ewentualnie co pan zrobi. Może za moim pośrednictwem łatwiej się ze sobą dogadacie, niż wprost. Co pan na to?

Parkin, który wyglądał zagubiony, jak bezdomny kot, spojrzął na niego podejrzliwie.

— Co możemy więcej powiedzieć niż to, cośmy już sobie powiedzieli? — mruknął gniewnie.

— Bóg to wie. Niech pan robi, jak pan uważa. Mogę po pana wrócić, jeśli to panu odpowiada. Jeśli nie, musi pan szybko pędzić do autobusu.

Spojrzał na zegar. Parkin zrobił to samo. Ale nie wstał. Siedział osowiały, aż zegar wskazał pięć po czwartej. Westchnął ciężko.

— Ta — powiedział. — Nie mam prawa sprawiać panu tyle kłopotu. Ale co mam zrobić? — Spojrzął na Duncana zgnębiony i zakłopotany.

— Nie będę panu nic doradzał — zaśmiał się Duncan. — Może wam obojgu byłoby łatwiej teraz z sobą zerwać. Przyszłość na pewno będzie trudna. Sami musicie zdecydować.

Nie dostał odpowiedzi. Było już kwadrans po czwartej. Obaj spojrzeli na zegar i wzajemnie się na tym przyłapali.

— Ta, ona już jest niedaleko — westchnął Parkin, a Duncan wybuchnął śmiechem.

— Zupełnie jakby była żoną, której się pan boi — powiedział.

Parkin wyprostował się na krześle.

— Ta! — odparł szorstko. — Kobieta nic nie znaczy dla mężczyzny, póki nie wejdzie mu w krew. A wtedy to gorsze od malarii, która tak dręczyła naszych chłopców pod Gallipoli. Dostaje człowiek ataku i wszystko się w nim wywraca. Czuję ją, jak się zbliża, jakby ktoś skradał się do mnie z nożem.

— Dlaczego z nożem? — zapytał Duncan.

— Ech, tak to czuję. Jak gdyby ktoś miał mi wsadzić nóż w plecy, albo w kark.

Wtulił głowę w ramiona, jak gdyby chcąc uchylić się od niebezpieczeństwa czającego się za jego plecami. Duncan roześmiał się i sięgnął po rękawiczki.

— No — powiedział — wrócę tu najpóźniej o szóstej.

— Niech się pan mną nie kłopotuje — nalegał Parkin. — Mogę pojechać autobusem... albo pociągiem.

— Woli pan? — zapytał go Duncan wprost, zdecydowanym tonem.

Parkin spojrział na niego niepewnie, jak wystraszony chłopak, upokorzony i zły, zagubiony i nie zdolny do czynu.

— Myślałem o tym, że będzie pan musiał jechać, tam i z powrotem — powiedział niepewnie.

— Niech pan się o mnie nie martwi. Uniknę niedzielnego obiadu we Wragby, a to jest coś warte. No, jadę. Będę najpóźniej o szóstej.

— Chwileczkę, zapomniał pan to zabrać — podał mu szal Duncan miał na szyi szal Konstancji.

— Rzeczywiście! Przywiozę panu inny.

Wyszedł. Parkin usiadł, nad słuchując odgłosu zbliżającego się pociągu.

Pociąg przyszedł niemal punktualnie. Konstancja wydawała się bardzo opanowana.

— Niepokoiłam się, czy zdążysz — powiedziała.

— Jestem tu prawie od godziny.

— No tak. Musieliśmy zaczekać w Trent.

Poszli do samochodu. Konstancja zauważyła, że Duncan ma na szyi jej szal, a teraz zobaczyła jego szal na siedzeniu samochodu.

— Dlaczego zamieniliście szale? — zapytała.

— Parkin nie chciał założyć twojego. „Op” jak opozycja. — Masz.

Zdjął szal z szyi i wręczył go jej.

Wzięła go bez słowa i wyruszyli do Wragby. Konstancja była bardzo spokojna i zachowywała się z demonstracyjną godnością.

— Powiedział mi, żeście się posprzecjali — odezwał się Duncan.

— Powiedział?

— Słyszałem, że rozstaliście się na dobre.

— Czyżby?

— On tak chyba myśli.

— Hm.

Rozmowa utknęła w miejscu.

— Myślę, że dobrze się stało — powiedział Duncan. Pochodzenie bardzo was różni. Ale to miły człowiek, tylko zbyt łąsy na kobiety i muszę przyznać trochę za bardzo nieokrzesany. I to po Cliffordzie, który jest w każdym calu dżentelmenem. Nawet w tej połówce małego palca, którą mu odstrzelili na wojnie. Z pewnością musi gdzieś, spoczywać jako kruszynka dżentelmeńskiego ciała. Ale gdzie by nie była, na pewno trzyma się oddzielnie i nie miesza się z gminem, w postaci gliny.

— Tak uważasz?

— Właśnie tak. Samochód pędził szybko.

— Pora niedzielnej popołudniowej herbaty — zaczął znowu Duncan. — Zawsze przypomina mi się nasz parafialny kościółek w Szkocji. Prawdziwy Szkot wierzy tylko w trzy rzeczy: w Boga, pieniądze i kobiety. Ale można wierzyć tylko w jedną rzecz na raz ... albo w nic. Kon?

— Słucham.

— Jesteś pół-Angielką. W co ty wierzysz? W siebie?

— Możliwe.

— Ta. Może tak być, jak mówi Op.

Ale Konstancja nie dawała się wciągnąć w rozmowę.

— Czy wie pani, lady Chatterley, co obiecałem zrobić?

— Skąd mogę wiedzieć.

— Obiecałem Opowi, że wrócę do niego, kiedy cię odwiozę do domu, przekażę mu twoje ostatnie słowo i odwiozę do Sheffield.

Czuł, że wzbiera w niej złość.

— Więc będziesz musiał sam wymyślić — odparła.

— Co wymyślić?

— Ostatnie słowo.

— Och, to mi nie sprawi najmniejszej trudności. Wyłączył bieg, wjechali bowiem na szczyt wzgórza Tevershall.

— Syn szkockiego pastora na pewno potrafi wymyślić ostatnie słowo takiej kobiety, jak ty — powiedział. Samochód gładko toczył się w dół, długą ulicą osiedla, i już po krótkiej chwili Duncan dawał klaksonem sygnały przed bramą Wragby. Przecieli gęsty zagajnik, okalający park, i podjechali pod dom. Konstancja wysiadła. — Wejdiesz? — zapytała.

— Przecież mówiłem ci, że natychmiast wracam do Uthwaite.

— Chyba przedtem wypijesz herbatę?

— Przecież mówiłem ci, że czekaliśmy godzinę w Uthwaite i piliśmy herbatę „Pod Słońcem”.

— Ale co mu powiesz?

— Przecież mówiłem ci, że coś wymyślę. Jestem i m p r o -visatore i potrafię to zrobić w ostatniej chwili. A r i v e -d e r c i! Nie wrócę na obiad, niech dla mnie nie nakrywają.

Uśmiechnął się, uklonił, ruszył z miejsca i szybko nabral rozpędu na owalnym podjeździe, przed frontem starego domu. Był rozdrażniony. Konstancja odgadła to po szybkości, z jaką odjechał. Trudno! Ona też była zła.

Duncan bardzo szybko zajechał do Uthwaite. Parkina nie było w hotelu. Ale w chwilę później zobaczył go na ulicy, idącego powolnym krokiem. Ujrawszy Duncana, podbiegł do samochodu, trochę zdziwiony.

— Szybko pan obrócił — powiedział.

— Tak. Niech pan wsiada.

W chwilę później pędzili już drogą do Sheffield. Żaden z nich nie odzywał się ani słowem. Duncan był zbyt pochłonięty prowadzeniem samochodu. Mile umykały niepostrzeżenie. Mimo to, zanim dojechali do miasta, wszędzie paliły się światła. Zrobiło się ciemno.

— Niech pan zje ze mną obiad — powiedział Duncan.

— Nie, dziękuję. Pójdę do domu.

— Muszę przecież gdzieś zjeść. Za późno, żeby wracać do Wragby. Nie chcę jeść sam, więc niech mi pan towarzyszy.

Parkinowi nie pozostało nic innego, jak go usłuchać. Poszli do „Wiktorii”. Duncan, wciąż jeszcze zły, szybko, stanowczym tonem wydawał polecenia kelnerom. W sali jadalnej było zaledwie kilku gości.

— Czego się pan napije

— A co pan będzie pił?

— Whisky z wodą sodową.

— Wobec tego ja też.

Zdenerwowany i zły, Duncan szybko zabrał się do jedzenia. Wypił whisky i zamówił drugą, także dla Parkina. W czasie obiadu nie odzywał się ani słowem. Poszli potem do baru,

gdzie obaj wypili czystą whisky, do kawy. Duncan zamówił następną kolejkę, do której dodał tylko kilka kropel wody. Parkin zrobił to samo.

Duncan był całkowicie trzeźwy, tylko coraz bardziej spięty. Jego blade policzki jeszcze bardziej poblady. Twarz Parkina, który miał rumianą cerę, zrobiła się czerwona, a oczy błyszczały nienaturalnie.

— Chce pan porozmawiać? — krótko zapytał Duncan.

— Ta... jeśli pan także chce — odparł Parkin i jego oczy zabłysły jeszcze mocniej. Duncan dotąd nie powiedział ani słowa o „Niej”.

— Nie palę się specjalnie — odparł szorstko. — Ale zrobię to ze względu na pana. Nic panu nie przekazała. Nie chciała nawet o panu słyszeć.

— Naprawdę?

— Tak.

Duncan powoli sączył whisky.

— Co pan o niej myśli? — warknął. — Może się pan zgodzi, żeby odeszła... potrafi się pan jej wyrzec... zapomnieć o jej istnieniu?

Mówił jak aktor na scenie, gestykulując gwałtownie.

— Ja... cóż... myślę, że nie umrę z miłości... jeśli o to panu chodzi.

— Nie, nie o to. Żaden mężczyzna nie umiera dzisiaj z miłości do nowoczesnej kobiety, takiej jak ona. Ale czy potrafi się pan ożenić z jakąś inną miłą kobietą, trochę młodszą od pana, a ją wykreślić z pamięci... przestać o niej w ogóle myśleć?

— Nie wiem po co miałbym się z kimś żenić — odparł Parkin. Oczy mu mocno błyszczały.

— Oho! Tak pan mówi! Jeżeli jakaś kobieta nie zainteresuje pana, pan ją może zainteresować. Jest pan takim typem mężczyzny. Jak się pan czuje tam, gdzie pan mieszka, u państwa... Jak oni się nazywają?

— Bardzo mi u nich dobrze. Nazywają się Tewson.

— A pani Tewson nie zakochała się jeszcze w panu?

— Zakochała się we mnie? Nic o tym nie wiem. Po prostu mnie lubi.

— A czy nie jest pod pana wrażeniem?

— Ta! Może się zdarzyć. Może i jest.

— A pan?

— Lubię ją. Ale nie robi na mnie wrażenia.

— Męża to irytuje?

— Nie! Chyba nie.

— Czy zapraszają do siebie wieczorem jakieś młode przyjaciółki?

— Ta. Prawie zawsze przychodzi siostra Billa.

— Ile ma lat?

— Nie pytałem jej.

— Trzydzieści?

— Może dwadzieścia siedem albo osiem.

— Lubi ją pan?

— Ta! Miła dziewczyna, trudno znaleźć lepszą.

— Ożeniłby się pan z nią?

— Ja? Z nią?

Oczy Parkina patrzyły bystro. Był wyraźnie ubawiony tym obstrzałem krzyżowych pytań. Ale w końcu mignął w nim jakiś lęk.

— Przez myśl mi nie przeszło, żeby się z nią ożenić -r- powiedział poważnie. — I z żadną inną.

Ale zakochane oczy Parkina powiedziały Duncanowi wszystko, czego chciał się dowiedzieć.

— Czy ożeniłby się pan z Konstancją... gdyby sir Clifford umarł. — padło następne szybkie pytanie.

Tym razem Parkin długo milczał.

— Ta, może, gdyby mnie chciała... gdyby mnie chciała... w co Wątpię. I niech mi pan wierzy, nie życzę sir Cliffordowi niczego złego.

— To jasne! A gdyby się pan z nią ożenił... czy zgodziłby się pan zamieszkać z nią na farmie, albo w jakimś miłym domu... tam, gdzie ona by chciała?

— Nie wiem! Tego nie wiem. Zresztą co można wiedzieć? Gdybym dostał pracę kierowcy... moglibyśmy zamieszkać gdzieś blisko Sheffield, w jakimś ładnym domu, który by lubiła... i mógłbym wtedy chodzić do mojej roboty.

Dlaczego panu zależy na tej pracy? Zdawałoby się, że nie jest tego warta. Niech pan wypije jeszcze jedną whisky. Ja też się napiję.

Nacisnął guzik, żeby przywołać barmana, a potem powtórzył: — Dlaczego panu tak na tej pracy zależy?

— To zupełnie inna sprawa — odparł Parkin, ścisząc głos. — Jestem sekretarzem komórki... u nas w pracy... należymy do Ligi Komunistycznej. I to jest drugi powód, dlaczego nie chcę stąd odejść.

— Och, naprawdę? Czy ona o tym wie?

— Nie mówiłem jej.

— Dlaczego?

— Nie gada się na prawo i lewo... A poza tym niech pan pamięta, że tak czy inaczej ona jest lady Chatterley.

— Więc jest pan komunistą? Parkin rozejrzał się po sali.

— Tak. Ale my się z tym nie obnosimy.

— To jasne. I chciałby pan, żeby tu były sowiety, jak w Rosji?

— Tak! Robotnicy nie powinni sprzedawać swojej pracy... to tak, jakby się sprzedawało własną duszę, dlatego, że się musi. Będziemy wykonywali swoją część roboty, żeby wszystko szło jak trzeba. Ale nie będziemy sprzedawać naszej pracy po to, żeby innym ludziom napędzić kabzę.

— Więc chce pan, żeby tu było jak w Rosji? Wymordowałby pan, na przykład, wszystkich ludzi należących do wyższych klas? No jak?

— Nie. Wcale by to nie było potrzebne... z wyjątkiem może kilku. Mogliby zejść w dół i być jak wszyscy inni, no nie?

— Nie wiem. Małpa może zejść z drzewa. Ale na ziemi nie staje się ani psem, ani człowiekiem, tylko nadal jest małpą.

— Małpa, nie małpa, będą musieli zejść — stanowczo i ponuro oświadczył Parkin.

— Myśli pan, że potrafi ich pan do tego zmusić? Dwaj mężczyźni spojrzeli sobie uważnie w oczy.

— Ta! — odparł Parkin. — I tak się stanie.

— No tak — powiedział Duncan. — Do tego się rzecz sprowadza. Czy pan myśli, że pani, o którą chodzi, zgodziłaby się zamieszkać i żyć z panem, wiedząc o tym?

— Nie wiem.

— Dlaczego jej pan nie powiedział?

— Nigdy mnie nie pytała. Zawsze mówiła tylko o swoich planach. Nigdy nie myślała o moich. Czy przypuszcza pan, że zgodziłaby się żyć ze mną, gdyby wiedziała?

— Gdyby wiedziała, że jest pan sekretarzem Ligi Komunistycznej? Musiałaby sama być komunistką. A z dała pewnością nie jest.

— Niewiele jej brakuje — powiedział Parkin, patrząc daleko w przestrzeń.

— Tak pan sądzi? Może... Nigdy z nią na ten temat nie rozmawiałem.

— A czy mogę zapytać jakie są pana zapatrywania?

— Moje! Nie mam żadnych. Gdybym był robotnikiem, pewno byłbym komunistą. Ale ponieważ należę do klasy uprzywilejowanej... a przynajmniej korzystam z niektórych jej przywilejów... jestem zerem.

Parkin przyglądał mu się badawczo, błyszczącymi oczami.

— To nieprawda — powiedział.

— Więc o to chodzi? — powiedział Duncan. — Gdyby Konstancja sympatyzowała z tą pana Komunistyczną Ligą... gdyby naprawdę tak było i zamieszkałaby z panem gdzieś w pobliżu Sheffield... nigdy nie wiadomo, co kobieta potrafi zrobić... czy byłby pan zadowolony?

Oczy Parkina rozblęły niezwykłym światłem.

— Czy sądzi pan, że mogłaby to zrobić?

— Nie mogę za nią odpowiedzieć. Równie dobrze mogłaby zrobić, jak nie zrobić. Ale gdyby tak było, czy byłby pan zadowolony?

— Ta, bardzo zadowolony — potwierdził Parkin, szarpiąc nastroszone wąsy. — Gdybym znów miał z nią takie chwile, jak w gajówce... i wierzył, mógł wierzyć, że mnie wesprze... w tej drugiej sprawie... eh! eh! chłopie, eh! ... głowę można stracić...!

Na jego twarzy bezwiednie pojawił się uśmiech, a w oczach ukazały się błyski, które przedtem widziała tylko Konstancja.

— Myśli pan, że mogłaby się zdecydować? — powtórzył, nagle poważniejąc.

— Zamieszkać z panem... i wspierać pana jako komunistę? W tej chwili nie. Ale kto wie, może w przyszłości?

— Tak to jest, że człowiek, żeby nie wiem jakie miał szczęście, zawsze dostaje połowę tego, czego pragnie — powiedział Parkin. — A ja miałem moją połowę na wiosnę. Et, nie chce mi się nawet myśleć, że mógłbym już nigdy jej nie mieć. Życie bym dał żebym znów mógł ją głaskać i czuć jak się dla mnie otwiera... gładzić ją z obu stron jej brzucha...

Żrenice rozszerzyły mu się, a oczy zabłyły i zaraz ściemniały, jakby popadał w omdlenie.

Duncan znów opróżnił swoją szklaneczkę. — Ale nie zgodziłby się pan żyć z nią na jej warunkach? — zapytał.

— Et! Ona nigdy nie otwarłaby się dla mnie jak trzeba. Jak bym jej ustąpił, zawsze trzymałaby któreś tam drzwi zamknięte. Nie umiałaby inaczej.

Duncan zadzwonił gwałtownie o następną kolejkę whisky.

— I będzie panu wszystko jedno, jeśli Clifford dostanie to dziecko? — zapytał, zmieniając temat.

Parkin zmarszczył czoło.

— Jeśli jej będzie to obojętne. To jej *rzecz* — odparł zniecierpliwiony.

Wypił swoją whisky. Zarumieniony, z błyszczącymi oczami, był naprawdę przystojny i promieniowała z niego jakaś wewnętrzna siła, co sprawiło, że demokracja nagle ukazała się Duncanowi w innym świetle. Widział ją teraz jako świat ludzi zafascynowanych ciepłem i pięknem, świadomych łączących ich celów, otwartych i budujących nowy rodzaj kontaktów.

— Czemu nie wstawi pan sobie tych dwóch brakujących zębów? — zapytał.

— Ech? — W szeroko otwartych oczach Parkina błysnęła przez chwilę uraza i zaraz znikła. — Ta, niedługo to zrobię. Żona Billa wciąż mi to wypomina.

— No więc... wydaje się, że na razie nic nie da się zrobić — powiedział Duncan.

— Chyba nic — odparł Parkin.

— Niech ją pan jakiś czas zostawi w spokoju... póki nie da panu jakiegoś znaku... albo pan nie poczuje, że musi się z nią

zobaczyć. Niech jej pan wtedy powie o tej komunistycznej robocie. To dla pana jest bardzo ważne, prawda?

— Co? Nasza komórka? Ta, to jest coś, co złapałem i nie mogę wypuścić... jak gdyby było pod prądem... Ta, to mnie nie zawiedzie.

— Więc niech jej pan powie przy jakiejś okazji... i o tym domu w pobliżu Sheffield... i zobaczymy co z tego będzie.

— Ta! Właśnie to muszę zrobić. To nawet nie jest źle, że trzeba będzie trochę poczekać, aż urodzi się dziecko... bo gdybym ją miał przy sobie, przytuloną, mógł z nią spać i ją obejmować... ej! mogłoby się zdarzyć, że o wszystkim innym bym zapomniał, robił co ona by chciała, a potem tego żałował... Nie! Poczekam! Wiem, że tak jest najlepiej.

Przed jego błyszczącymi oczami zdawały się tańczyć jakieś dziwne, nieokreślone widziadła. Duncan spojrział na niego i trochę niepewnie wstał z krzesła.

— Chodźmy... zanim krzykną: „Zamykamy”!

— Ta! — Parkin wstał również, stulając ramiona obronnym ruchem, przed nieprzyjazną atmosferą hotelu. Nie czuł się tutaj swobodnie. Szczególny fizyczny żar emanujący z jego postaci i rozplomieniona twarz rzuciły się w oczy pijącym przy barze mężczyznom. Aż za dobrze zdawał sobie sprawę z ich niechęci. Duncan roześmiał się. Dawno nauczył się nie zwracać uwagi na obcych gości w hotelach.

Uparł się, że odwiezie Parkina do domu, ale nie chciał wejść do mieszkania. cej niesprawiedliwości. A dla ludzi o twardych karkach, to sprawa bardzo realna.

— Tak. Na pewno. Tylko że ja nie potrafię się zbyt przyjmować wielkimi, bliżej nieokreślonymi przypadkami niesprawiedliwości, które mnie osobiście nie dotyczą. Życie jest zawsze niesprawiedliwe. Dla Clifforda, bo jest sparaliżowany. I dla mnie, jako jego żony. Los i niesprawiedliwość to niemal jedno i to samo. Każdy musi znieść swoje krzywdy.

— A jeżeli oni myślą, że uda im się to przezwyciężyć?

— Powinni w takim razie spróbować. Zastanowił się nad tym przez chwilę.

— Boisz się komunizmu? Podniosła głowę i zamyśliła się.

— Chyba się boję. Ale boję się wszystkiego, co pachnie materializmem... Płace, własność państwowa... i nic więcej.

— A czy w dzisiejszych czasach istnieje coś, poza materializmem?

— Wiem. Ale dziś jest jeszcze jakiś margines swobody dla każdego, kto nie chce być materialistą. Clifford i ja nie musimy być materialistami, bo mamy zapewnione warunki bytu. Myślę, że to jedyna droga, która zabezpiecza przed materializmem.

— A ty i Clifford nie jesteście materialistami?

— Nie sądzę. Uważasz, że jesteśmy?

— Powiedziałbym, że jesteście go dość bliscy. Umilkła, zastanawiając się nad czymś.

— W każdym razie — powiedziała podrażniona — nie jesteśmy takimi atawistycznymi materialistami, jakimi byłibyśmy żyjąc w dzisiejszej Rosji. A może ty wierzysz w Rosję?

— Obawiam się, że nie. Co nie znaczy, że o niej cokolwiek wiem. Ale czuję, że jest tak samo zmaterializowana atawistycznie, jak Ameryka progresywnie. Ogromnie bym chciał, żeby mi ktoś dowiódł, iż jest inaczej.

— Zgadza się — odparła. — Ale ogarnia mnie przygnębienie na samą myśl o dzisiejszej Rosji. I w tym samym stopniu przygnębienia mnie myśl o komunizmie.

— Tak, to przygnębienie — odparł. — Ale rozumiem, że robotnicy muszą prędzej czy później coś zrobić z tym proble-

mem. Ostatecznie Anglia, to nie Rosja. A górnik z Tevershall nie jest rosyjskim muzykiem. Nie mogę sobie wyobrazić naszych górników, rozbijających wam czaszki tylko dlatego, że żyjecie we Wragby Hall. A ty?

— Też sobie nie mogą tego wyobrazić. I nie myślę, żeby to kiedykolwiek zrobili. Są na to zbyt ludzcy.

— Właśnie! Ale wydaje mi się, że z każdym rokiem stają się mniej ludzcy. To beznadziejne! W naszej okolicy ogarnia mnie uczucie zupełnej bezsily, duchowej śmierci. Czy wiesz, czego moim zdaniem Anglicy naprawdę potrzebują?

— Czego?

— Porozumienia, kontaktu. Międzyludzkiego, żywego kontaktu. Może, gdyby komunistom udało się obalić nasz słynny „system” rządów, powstałaby jakaś nowa więź między ludźmi i zamiast naprawdę dbać o pieniądze, naprawdę dbalibyśmy o życie i stosunki między ludźmi.

Umilkli. Konstancja spokojnie haftowała jakąś serwetkę.

— Może masz rację — powiedziała. Ale nie widzę, jak ma do tego doprowadzić socjalizm albo komunizm. Dlaczego my od razu nie zaczniemy?

— Dlatego, że wszyscy doskonale wiemy, że kręci nami „system”. Wszyscy jedziemy jakimiś pojazdami: autobusem, na karuzeli, tramwajem, pociągiem, kopalnianym wózkiem albo w prywatnym samochodzie, poruszani mechanizmem materialistycznego systemu. Nigdy się nie spotykamy, bo wysiadłszy z jednego środka komunikacji, w pół godziny potem przesiadamy się do innego. I tak dalej, a na końcu powiozą nas karawanem... Taki jest właśnie nasz system. Świącie wierzę, że Anglików, a przynajmniej ich większość, znudził już materializm i obrzydło im ciągłe znieczulanie własnych serc po to, żeby system mógł działać dalej. Po wojnie zniechęciłem demokrację. Ale teraz widzę, że się mylę marząc o arystokracji. Potrzebny nam jest przepływ życia, który by łączył nas wszystkich... trzeba wyzwolić owe naturalne dążenie, które się w nas gwałtownie tego domaga. Ale wszyscy boimy się, że nas przejedzie ten autobus, więc wskakujemy do niego i hajda! jedziemy dalej...

Konstancja wcale nie żałowała, kiedy wskoczył do swego małego samochodziku i pozwolił mu uwięzić się do Londynu. Czula, że chciał ją do czegoś zmusić. Od czasu zerwania ich zaręczyn zawsze starał się wymóc na niej, żeby zrezygnowała z czegoś, co tkwiło w jej duszy, a z czego ona wcale nie chciała zrezygnować. Pożegnała go z ulgą.

Zaczął się październik, cały w złotych liściach. Konstancja chciała nie myśleć o nikim i niczym. Ogarnęło ją senne, zmysłowe, niemal lubieżne lenistwo i dziwne, kobiece zadowolenie, nie pozbawione złośliwej satysfakcji. Nosila w sobie dziecko i czula się zdrowa. Była nieopisanie senna i zarazem pełna życia, jak kotka, która po nocy spędzonej na włóczędze kładzie się senna przy kominku, lubieżnie wylizując potargane futerko. Niech jej nikt nie przeszkadza! A przede wszystkim, niech żaden mężczyzna nie próbuje zakłócać jej spokoju lub narzucać swoich myśli. Czula, że gdyby któryś tego spróbował, gotowa byłaby jednym uderzeniem łapy rozpruć mu brzuch. Parkin lub Duncan... a la bonne heure. Niech się trzymają od niej z daleka. Żyła teraz tylko dla siebie, w rytm pulsującego w jej łonie życia.

Clifford pozostawiał ją w spokoju. I to, za co go kiedyś nienawidziła, kiedy tak bardzo potrzebowała zrozumienia i radości, teraz zaczęła w nim cenić. Niczego od niej nie wymagał, poza utrzymywaniem pozorów i spełnianiem pewnych gospodarskich czynności. Prowadziła mu dom dobrze i starannie. Miał wszelkie wygody. Mógł swobodnie żyć swoim niesamowitym życiem. Ona nie potrzebowała nikogo. Niech sobie włącza radio i łapie Madryt, albo nawet samo niebo, nic jej to nie obchodzi! Większość czasu spędzała w swoim pokoju, zajęta szyciem, czytaniem, dobieraniem motków jedwabiu i pisaniem. Nie chciała nikogo widywać.

Pewnego niedzielnego popołudnia, gdy w radio nie było żadnego ciekawego programu, Clifford poprosił, żeby została z nimi coś zaśpiewała.

— Zaśpiewaj mi coś, Kon! Już tak dawno nie słyszałem twojego śpiewu.

— Bo dawno o to nie prosiłeś — odparła.

— Och, mniejsza z tym — powiedział lekceważąco. — Wciąż jesteś tak daleko ode mnie, w tym swoim pokoju na drugim piętrze. Zaśpiewaj... a ja spróbuję ci wtórować. Czy mogę?

— Bardzo proszę — odparła i podeszła do fortepianu.

Głos miała niezbyt silny; nieco płaski w brzmieniu, ale przyjemny. Zaczęła od ich dawnych, ulubionych kompozytorów: Brahmsa, Szuberta i Szumana, ale wszyscy wydawali się jej teraz zbyt sentymentalni. Woląла pospolitsze pieśni. „Och, czy umiesz szyć poduszki, czy mniesz szyć prześcieradła”. — Nagle ta prosta piosenka wydała jej się pełna uczucia. Nawet „Keel Row” stała się jej realnie bliska.

„Nie masz to jak mój Jonny,
Wesoły silny zuch
Wśród chłopców z naszej strony
Najpierwszy on...”

Siedziała przy fortepianie śpiewając i nie zdając sobie sprawy, że okrutnie rani Clifforda. „I tak żwawo barka płynie...” Była zachwycona piosenką. Kołysała się rytmicznie, w takt śpiewanej melodii.

— „Wesoły zuch”, jak to miło brzmi — powiedziała, nie oglądając się na Clifforda.

— Kon — odezwał się.

Odwróciła się od fortepianu i ze zdumieniem ujrzała, że w oczach ma łzy.

— Co się stało? — zapytała zdumiona.

— Nie masz przy mnie zbyt wesołego życia — powiedział. — Nie dziwię ci się, że mnie tak unikasz.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że była nieświadomie okrutna i zrobiło jej się przykro. Ale jednocześnie uświadomiła sobie niezmiennie egoistyczny bieg jego myśli. Myślał o własnym nieszczęściu.

— Ależ ja doskonale się czuję — powiedziała. — Mój tryb życia bardzo mi odpowiada.

— Naprawdę? A ja się tak bałem, że się zamartwiasz... w swoim pokoju na górze.

— O nie... wręcz przeciwnie — odparła. Spojrzał na nią jakoś dziwnie.

— Nie mówiłam ci jeszcze, że spodziewam się dziecka — powiedziała ze ściśniętym gardłem.

Zapadła cisza. Clifford przyglądał się swoim rękóm.

— Zastanawiałem się, czy to może być przyczyną — powiedział spokojnie.

Teraz ona umilkła.

— Kiedy ma się urodzić? — zapytał nieswoim, stłumionym głosem.

— Na wiosnę. Chyba w marcu.

Siedziała na taborecie przy fortepianie, myśląc o swoim macierzyństwie, a on siedział w fotelu, ze spuszczoną głową.

— Zastanawiałem się, czy to może być przyczyną — powtórzył zamyślony. Nie mogła nic wyczytać w jego głosie.

— Nie cieszysz się? — zapytała.

Spojrzał na nią z ironicznym uśmiechem. — Chyba zastępczo. Mam nadzieję, że ten człowiek jest przynajmniej... — Jego wzrok przemknął po jej twarzy. Nie odpowiedziała.

— Czy jest to dziecko Duncana Forbes'a? — zapytał.

— To ohydne, że o cokolwiek pytasz — odparła, osłaniając się swoją macierzyńską godnością. — Czy musisz?

— Po prostu od razu przyszedł mi na myśl — powiedział. — Wydawało mi się to oczywiste...

Uśmiechnął się złośliwie.

— To nie jest dziecko Duncana — odparła spokojnie. — Jeśli nie przestaniesz pytać, będę musiała odejść.

— Jeszcze coś, bardzo niewinnego, kochanie. Czy przynajmniej będzie miało ojca Anglika?

— Tak. Anglika. Wstała.

— Nie! Nie odchodź. Nie będę już o nic pytał. Przyjmę wszystko bez zastrzeżeń. Zrywajmy pączki róż, póki można... A ty? Chyba cię to trochę podniosło na duchu?

— Z pewnością.

— Wyglądasz kwitnąco. Curzon powiedział mi, że jesteś niezwykle piękna. I jeszcze coś, Kon. To nie będzie pytanie... Czy... czy choćby w pewnej mierze zrobiłaś to dla mnie? Wiem, że to brzmi bardzo egoistycznie. Ale gdybym czuł, że choć trochę zrobiłaś to dla mnie...

— Miałam nadzieję, że cię to ucieszy — odparła szybko, czerwieniąc się gwałtownie.

Oczy zabłyśły mu dziwnie i uśmiechnął się, wzruszony.

— Jaka jesteś piękna? — powiedział. — Matka-dziewica. Madonna, podobna do róży zamiast do białej lillii. Na Boga, mam nadzieję, że to dziecko będzie godne ciebie. Wydobędę moje farby i spróbuję cię namalować... nowoczesna Madonna!... i ja, Józef. Gotów jestem wpaść w mariolatorię... stać się czcicielem Maryi. Jesteś wspaniałą kobietą. Czy możesz dać mi na chwilę rękę?

Wstała i podała mu dłoń. Ucałował ją i przytulił do policzka. Potem ucałował obrączkę na jej palcu. A ona, stojąc przy nim, myślała: „Co za potworna scena! Co za melodramat! Niedobrze mi się robi, kiedy mnie nazywa cudowną kobietą. Ale jest w tym chyba też trochę boskiej sprawiedliwości, że muszę tego słuchać z ust Clifforda”.

— Mam nadzieję, że to będzie chłopiec. Ty także?

— Tak. Ale nie powinniśmy czuć się rozczarowani, jeżeli się urodzi dziewczynka.

— Rozczarowani? Moja kochana, cudowna Konstancjo, jeżeli to będzie dziewczynka, będę ją uwielbiał tak samo jak ciebie.

Konstancja poczuła, że cierpnie na niej skóra.

— Przestań mnie uwielbiać — powiedziała. — Stawiasz mnie w fałszywej sytuacji. Bądźmy rozsądni. Bardzo się cieszę, jeśli czujesz się zadowolony. Ale nie róbmy z tego wielkich historii. Zachowujmy się spokojnie. Tak miło jest przebywać w zupełnym spokoju, pozwalając, żeby natura płynęła w nas jak rzeka, swobodnie i nieskrępowanie.

— Tak, masz rację. Masz zupełną rację!

Zmęczona tą sceną, Konstancja poszła do swego saloniku na górze, najprędzej jak mogła. Będzie teraz zawsze miała doskonałą wymówkę, żeby folgować swemu egoizmowi. Clifford nie mógł dostać się na drugie piętro bez straszliwego zamętu i pomocy służących, którzy musieliby wnieść go na górę. I rzeczywiście nigdy się tam nie zjawiał.

Po tej scenie z Cliffordem Konstancja poczuła się bardzo niedobrze. W jej wnętrzu zrodziły się dziwne sensacje i ogarnęło ją zabójcze uczucie mdłości. Nienawidziła Clifforda i jego zachowania. Wzdrygała się wspominając w jak ohydny, pół obłąkany sposób, całował jej rękę, a potem ślubną obrączkę. Jest wpół obłąkany! A z wszystkich chorób, najbardziej przerażał i odpychał ją obłąd. Zdawało się jej, że jego źródłem jest tkwiące w człowieku zło. Gdy w duszy króluje zło, umysł popada w obłąd, aby się dostosować do panującego w niej zła. Pierwszy raz w życiu zapragnęła, żeby Clifford umarł. Nigdy dotąd mu tego nie życzyła. I nawet teraz wzdrygała się z odrazy do samej siebie. A jednak czuła, że w jej sercu rodzi się i wzbiera nieme pragnienie: Tak, życzyła sobie jego śmierci. Przerazało ją to. Ale tego wieczoru dręczyła ją jakaś ponura zmora. Lęk przed czymś nieokreślonym. Świat wydawał jej się szary i wrogi, oraz z góry potępiony i skazany na zagładę, nadciągającą powoli i złowieszczo, jak powódź. Szare, powolne, zaborcze fale — czuła ich mdłą wilgoć, niby pleśń na ścianach swego pokoju. I nie była w stanie tego znieść. Kochała swój pokój. Delikatny szaroróżowy kolor tapet, włoskie maty na podłodze słodko pachnące sitowiem i kilka leżących na nich cienkich, perskich, bladoniebieskich i ciemnoróżowych dywanów. Szpinet, wytworne biurko z różanego drzewa oraz krzesła, pokryte kretonem w tulipanowy deseń, wiszącą nad szezlongiem makatę z toile de Jouy, mały kominek z żółtego marmuru z palącymi się grubymi szczapami i dwa wielkie wazony z pękami różowych chryzantem. Ale

tego wieczoru wszystko to było martwe. Efekty wysiłków, jakie włożyła, starając się uczynić ten pokój pięknym, wydawały się jej teraz chybione i niedorzeczne, jak puder na twarzy starej wiedźmy. Ani ogień na kominku, ani paląca się lampa, nie mogły stłumić męczących ją mdłości i lęku, ani wrażenia, że na jej krytych kretonem krzesłach i ścianach powoli osiada pleśń nieubłaganej zagłady. A ona, siedząc samotnie w wygodnym fotelu przy marmurowym kominku, wydawała się sobie bezgranicznie starą wiedźmą. Zewsząd wpełzała ukryta plugawa sprośność, a na ten widok w jej brzuchu odzywał się okropny, mrozący strach. Jak to jest możliwe? Czyżby jej dziecko zmarło, a ona nosi trupa w swym łonie? Myśl o tym przejęła ją paraliżującym lękiem. Czy jej ciało zmieniło się w cmentarz? Skąd się bierze ten straszny, mrozący ją lęk?

Docierał do niej zewsząd: nie tylko z gabinetu, w którym przebywał wpół obłąkany Clifford, ale również z wilgotnej głębi parku i z woni siarki dolatującej tu, ponad koronami drzew, z odległego Tevershall. Szary, spleśniały koszmar, zapleśniały koszmar, zapowiadający bliski koniec świata.

Pleśń — symbol rozkładu i demoralizacji. Clifford był w szczególny sposób amoralny. Sprawiał, że życie stawało się przerażającą komedią. Tylko dlatego, żeby zadowolić swoją próżność i bezprzykładny egoizm, uczynił ją niepokalaną matką, brzemienneą dziewicą, która miała także rodzić jako dziewica. Okropność! Już dziewiczy poród, sam w sobie, był niemoralną ohydą, gdyż czuła w sobie ciepło tego drugiego mężczyzny. Dziecko było jego żywym nasieniem, ukrytym w jej łonie. Brednie Clifforda o dziewiczym porodzie były dla niej ciężką zniewagą.

Ale tak właśnie było. Clifford zawsze nienawidził seksu, jak wszystkiego, co wymykało się spod jego egoistycznej kontroli. A ona była prawie tyle samo winna, co on. Teraz pojęła, że oboje grzeszyli wyobrażając sobie, że przez seks rozbudują i wzmocnią własne „Ja”. Każde z nich pragnęło zwycięstwa swojego „Ja”, ona — jej, a on — swego. Teraz Clifford, dotknięty kalectwem, ale uparty, pogrążał się nieprzytomnie w złudnej fikcji, a jego egoizm przeradzał się w obłąd. Ona zaś połową swej jaźni przeniosła się w inny świat, a połową tkwiła na starych pozycjach.

Znów pomyślała o Parkinie. Jego też opanował jakiś demon, coś, co ją przerażało i od czego powinna się trzymać z daleka. Ale był to demon żywy i nie było w nim nic sprośnego ani brudnego. Był nim morderczy gniew, który nawiedzał jego duszę, jak upiór. Czuła, że jest wszechwładny i nie może go zwalczyć. Nie pozostało jej nic innego: musi czekać. Czuła, że ten gniew krąży w jego duszy, tam i z powrotem jak miotający się w klatce lampart, zdecydowany wydrzeć się na wolność i skoczyć do oczu swoim prześladowcom. Tak, to musi kiedyś nastąpić. A ona musi czekać.

Ale jeśli to co ich łączyło... czułe radosne uczucie, umarło? Co teraz? Czuła, że umarło tego właśnie wieczoru. Zdradziła je i umarło.

Co dalej? Urwał się nieskończenie delikatny, żywy kontakt między nimi obojgiem. Mocna, serdeczna więź. Duncan miał rację: to ten nowy, szczery kontakt między-ludźmi jest kluczem do życia. Teraz to rozumiała, właśnie teraz, kiedy ów kontakt nagle się zerwał i czuła się jak amputowana kończyna, odcięta od żywego ciała. Dotąd ciepły nurt życia płynął tak pewnie i swobodnie w jej brzemiennej ciele, że nie uświadamiała sobie jego istnienia. Myślała, że wszystko to bierze się z niej samej, dzięki jej wspaniałemu zdrowiu.

Ale dziś wieczorem, kiedy świat zrobił się ponury i pełen widm, a w jej wnętrzu załęgł się zimny żrący niepokój, rozumiała swój błąd. Z tym człowiekiem łączyło ją coś świętego... żywy, nieuchwytny, serdeczny kontakt. Dziś wieczorem zerwała go przez swoją głupią zarozumiałość, a Clifford zniszczył niedorzeczną sceną.

Och, jak mogła tak lekko go potraktować. Był istotą jej życia. Nie on sam, ale jej niepojęty kontakt z nim. On był esencją jej życia. Jej jedyny żywy, cudowny kontakt z

życiem. Teraz zdała sobie sprawę, że po zerwaniu go stała się kolejnym widmem, takim samym jak Clifford i tylu innych.

Całym sercem buntowała się przeciwko tym upiorom. Powinny zginąć. Żyły tylko po to, aby cały świat uczynić koszmarem. Były nieubłagane, jak postępujący rozkład ciała. Nie mogły się zmienić... co najwyżej przyspieszyć rozkład. Istniały tylko w tym celu... w żadnym innym.

Uklękała, wtuliła twarz w poduszkę fotela i zaczęła bezradnie się modlić.

— Ratuj mnie, błagam! Ocal mnie! Ocal mnie przed tym koszmarem! Nie pozwól, żeby zerwał się kontakt, który nas łączy. Zachowaj go dla mnie... zachowaj go dla mnie, a mnie dla niego! Nie daj mi popełnić zdrady. Błagam, uchroni mnie przed nią. Wskaż co mam robić? Co mam robić, jak postępować, żeby nie zdradzić. Nie chcę, brzydzę się zdradą. Och, wskaż mi drogę. Nie wolno mi zdradzić. Dla dobra mojego dziecka. Muszę je urodzić dla życia, nie dla śmierci za życia. Chcę, żeby żyło naprawdę. Tylko tego dla niego pragnę.

Całą duszą pogrążyła się w gorącej modlitwie, klęcząc z twarzą wtuloną w poduszkę. Przycisnęła je do piersi i stopniowo ogarnął ją senny, kojący spokój. Czuła, że widma ją opuszczają. Jej serce rozgrzewało się, niepojęty kontakt wracał, zaczynała powoli zapadać w miękki, łagodny sen.

Nagle zerwała się przerażona, przejęta grozą. Usłyszała jakieś szmery za drzwiami. Tak! Ktoś pukał do drzwi! Czyżby to był Clifford? Straszliwy, najgroźniejszy upiór. Znów zaczęły nawiedzać ją koszmarnie widma.

Pukanie powtórzyło się. Musiała zgromadzić wszystkie siły i tylko dzięki temu i wieloletniemu nawykowi panowania nad sobą udało jej się dowieść do drzwi. Otworzyła je, czując, że kamienieje ze strachu. Przed drzwiami stała pani Bolton.

— Sir Clifford prosił, żebym się dowiedziała czy się pani położyła i czy, mogę coś pani przynieść — mówiła pielęgniarka czułym, fałszywie przymilnym głosem.

— Czy jest już tak późno?

— Za kwadrans jedenasta.

— Oh! Właśnie miałam się położyć do łóżka.

— A może ma pani ochotę na szklaneczkę gorącego mleka... albo filizankę kleiku i kanapkę? Niech pani koniecznie coś zje. Podam pani do łóżka. Powinna się pani teraz dobrze odżywiać.

— Dlaczego? — zapytała Konstancja.

— Sir Clifford mi powiedział! — szepnęła pielęgniarka, z dyskretną, poufałą słodyczą. — To najlepsza nowina, jaką usłyszałam od nie wiem jak dawna. Tylko oczywiście będziemy teraz musieli dbać o myłady równie troskliwie jak o sir Clifforda. Ale on jest taki dobry, na pewno mu to sprawi przyjemność.

Konstancja stała w drzwiach i słuchała tego wszystkiego bliska omdlenia. Błada twarz pani Bolton była błogo rozpromieniona, a jej oczy ukradkiem, ze szczególną dociekliwością badały figurę Konstancji.

— Dziękuję pani — powiedziała Konstancja. — Nie będę potrzebowała niczego.

— Czy na pewno? Od razu by się pani lepiej poczuła. Czy lubi pani ciemne piwo? Bardzo w nie wierzę, jeśli ktoś dobrze je znosi.

— Tak, dosyć je lubię.

— To świetnie! — Zabrzmiało to jak okrzyk najwyższej radości. — Już jutro rano zamówię kilka tuzinów, na jakiś czas powinno wystarczyć. Pani, zdaje się, spodziewa się w marcu... Sir Clifford tak mi powiedział?

Ostatnie słowa powiedziała pani Bolton konspiracyjnie ściszym, drżącym z przejęcia głosem.

— Tak mi się zdaje.

— To znaczy, że przez pięć miesięcy będziemy musieli bardzo starannie się panią opiekować. Czy wolno mi o coś zapytać? Czy mylady była u doktora?

— Tak. Kilka dni temu u doktora Theale'a.

— U niego! To bardzo dobrze. Można mu w pełni zaufać. Czy coś powiedział?

— Tak. Że jestem w doskonałym stanie zdrowia... i że dziecko zapewne urodzi się w początku marca.

— Och, to wspaniale! Jestem taka szczęśliwa! — Pani Bolton zachichotała histerycznie. Potem spojrzała na Konstancję wymownie błyszczącymi, wszystkowiedzącymi oczami, jak gdyby chciała dać jej do zrozumienia, że zna jej tajemnicę i chce jej z tego powodu pogratulować. — Myślę, że mylady również się cieszy?

— Tak. Bardzo się cieszę.

— Oczywiście! Oczywiście! Czyż mogłoby być inaczej? Takie jest życie kobiety... A najszcześniejszy jest chyba sir Clifford — rozpromieniła się i spojrzała na Konstancję porozumiewawczo.

— Tak. Pójdę się teraz położyć. Czy zechce pani zabezpieczyć kominek? Niczego nie będę już potrzebowała. Nie lubię jeść o tak późnej porze, więc proszę już nie przychodzić. Dobranoc pani.

— Dobranoc, mylady. Dopilnuję ognia i doprowadzę pokój do porządku...

Konstancja zeszła na pierwsze piętro, do swojej sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Zaczęło się! Piekielne widma znów zaczęły płać makabryczne figle. Musi wyjechać. Jaka była głupia, rozpaczliwie głupia, kiedy sobie wyobrażała, że będzie mogła tu zostać i oddać dziecko temu okropnemu Cliffordowi. Dziecko! Jej dziecko! Jak gdyby ono nie miało nic w tej sprawie do powiedzenia. Jej żywe dziecko... jej i Parkina. Jaka była głupia, że powiedziała Cliffordowi! Była szalona tak lekko traktując własne życie i całe życie dziecka. To tak, jak gdyby próbowała przeciąć żyłę, którą płynęła krew życia dla potomka w jej ciele i wykrwawić się na śmierć. A dziecko zmieniliby się w martwy skrzep. Dla jego dobra nawet przez chwilę nie wolno jej było myśleć, że je zostawi we Wragby, skazane na duchową śmierć.

Musi spokojnie wyjechać, pod pretekstem krótkiej wizyty u Hildy. Potem dać znać Cliffordowi, że nigdy do niego nie wróci i poprosić o rozwód. Jeśli nie będzie chciał dać jej rozwodu, będzie musiała znaleźć jakieś inne wyjście, żeby uratować przed nim dziecko. Jeśli będzie musiała zmienić nazwisko i wyjechać gdzieś daleko, nie zawaha się tego zrobić.

Było. zaiste dziwne, jak bardzo znienawidziła Clifforda, gdy odezwało się w niej sumienie. Nienawidziła jego martwej obojętności i uporu, które przerodziły się w nim w zimną znieczulicę: jego upiornie fałszywej moralności. Ani jednego ożywczego tchnienia, nigdy, nigdy... Zawsze ta sama łagodna, cuchnąca wyrozumiałość, polegająca na przedstawianiu wszystkiego w fałszywym świetle, aby z wszystkiego, nawet z jej fizycznej zdrady, uczynić wydarzenie schlebiające jego próżności. Zawsze tej próżności schlebiał, jak rasowa, sprytna małpa, jak młody dżentelmen-pawian. Tak, nienawidziła go, jej współczucie dla niego było błędem nie do darowania i nagannym przejawem jej własnej przebiegłości i egoizmu. Niech sobie umiera! Niech fala przyływu zmiecie go, wraz z wszystkimi podobnymi mu ludźmi, z powierzchni ziemi.

Teraz musi go opuścić, cicho i ukradkiem, jak ktoś, kto wymyka się z kryjówki pawiana. I nie może niepokoić Parkina. Musi posłać mu kilka ciepłych słów, zaraz po wyjeździe z Wragby. A potem czekać na niego, aż uprawomocni się jego rozwód, a ona urodzi dziecko.

Musi pojechać do Hildy i poprosić adwokata ojca, żeby wystąpił w jej imieniu. Musi na zawsze wyrwać się z Wragby. Zmyć cały brud, który ją tu oblepił, cały zapleśniały splendor wielkopaństwa, znienawidzony teraz przez nią jak ciężka choroba. Mój Boże, jak dobrze będzie być po prostu panią Parkin. Znów poczuje się uczciwa. Będąc lady Chatterley, zawsze

czuła się obłudna. Zawsze czuła się w fałszywej sytuacji, gdy ludzie mówili do niej „jaśnie pani”, choć oczywiście schlebiali to jej próżności.

Ale teraz pragnie uciec od tej trędowatej zarazy... jeśli się to okaże możliwe, być po prostu panią Parkin... lub wrócić do panińskiego nazwiska i zamieszkać w jakimś zwykłym domu na przedmieściu. Cóż by to było za szczęście! Oddychać świeżym powietrzem prawdziwego życia, zamiast dusić się w martwej, zatęchłej atmosferze Wragby. Nie, nie będzie musiała mieszkać w robotniczym osiedlu, lecz w jakimś domu na farmie, albo w podmiejskiej, dziewięcio- lub dziesięciopokojowej willi... jedno lub drugie, wszystko jedno co! Byle tylko mieć kontakt z życiem. A jeśli będzie mogła nawiązać jakiś kontakt z robotnikami, tym lepiej. Byłoby nonsensem udawać, że jest jedną z nich.

Westchnęła głęboko i zacisnęła pięści. Jakże czuła się szczęśliwa! Wyjedzie, opuści ten dom na zawsze! Odejdzie stąd. Znienawidziła Wragby, ten wielki, obumarły dwór. Nienawidziła obłudnej pychy, którą nasączone były jego mury. Pokolenia władczej wyższości, setki lat niczym nie uzasadnionego zarozumiałstwa i pychy. Nawet ściany były tu przegniłe, a zaprawa murarska, wiążąca kamienie w tych ścianach, skruszała i rozsypywała się, przeżarta czczą, martwą pychą rodowej wyższości, która już dawno przestała się liczyć. Żałowała, że nie może spalić tego domu, zanim go opuści. Co za ohydny grób! A ona przez tyle lat nie zdawała sobie z tego sprawy! Pomimo całej swobody dawnego studenckiego życia i doświadczenia nabytego w artystycznym świecie, zaakceptowała Wragby, nie stwarzając sobie większych problemów.

Dopóki nie pokochała Parkina... swego Opa. Tak, kochała go. Był mężczyzną, choć nie dżentelmenem. Wnosił z sobą tchnienie świeżego powietrza, nowego prawdziwego życia. Jebaka mylady, jak sam ordynarnie się nazwał. Jak jej nienawidził, gdy nie dość serio traktowała go i jego miłość! Nic nie szkodzi. Życie jest jeszcze przed nimi.